STANISŁAW MONIUSZKO

W 100 Rocznicę Śmierci Wielkiego Polskiego Kompozytora



1972 P. N. A. ALMANAC $2.00

KALENDARZ ZWIĄZKOWY







INSURED
FEDERAL SAVINGS AND LOAN INSURANCE CORPORATION
FEDERAL HOME LOAN BANK SYSTEM









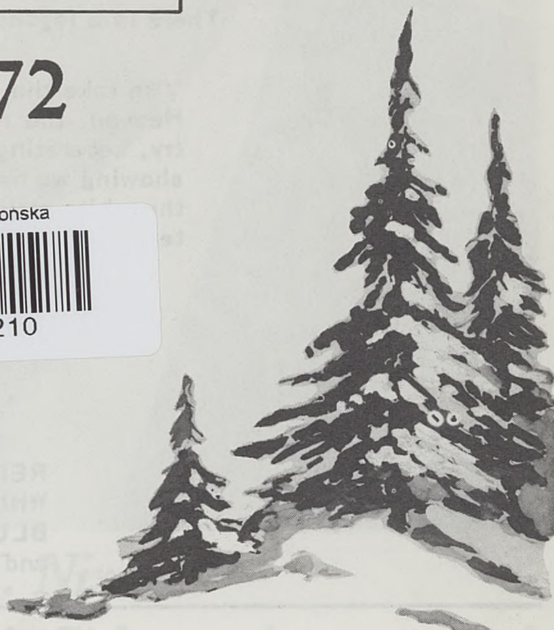


Kalendarz Związkowy

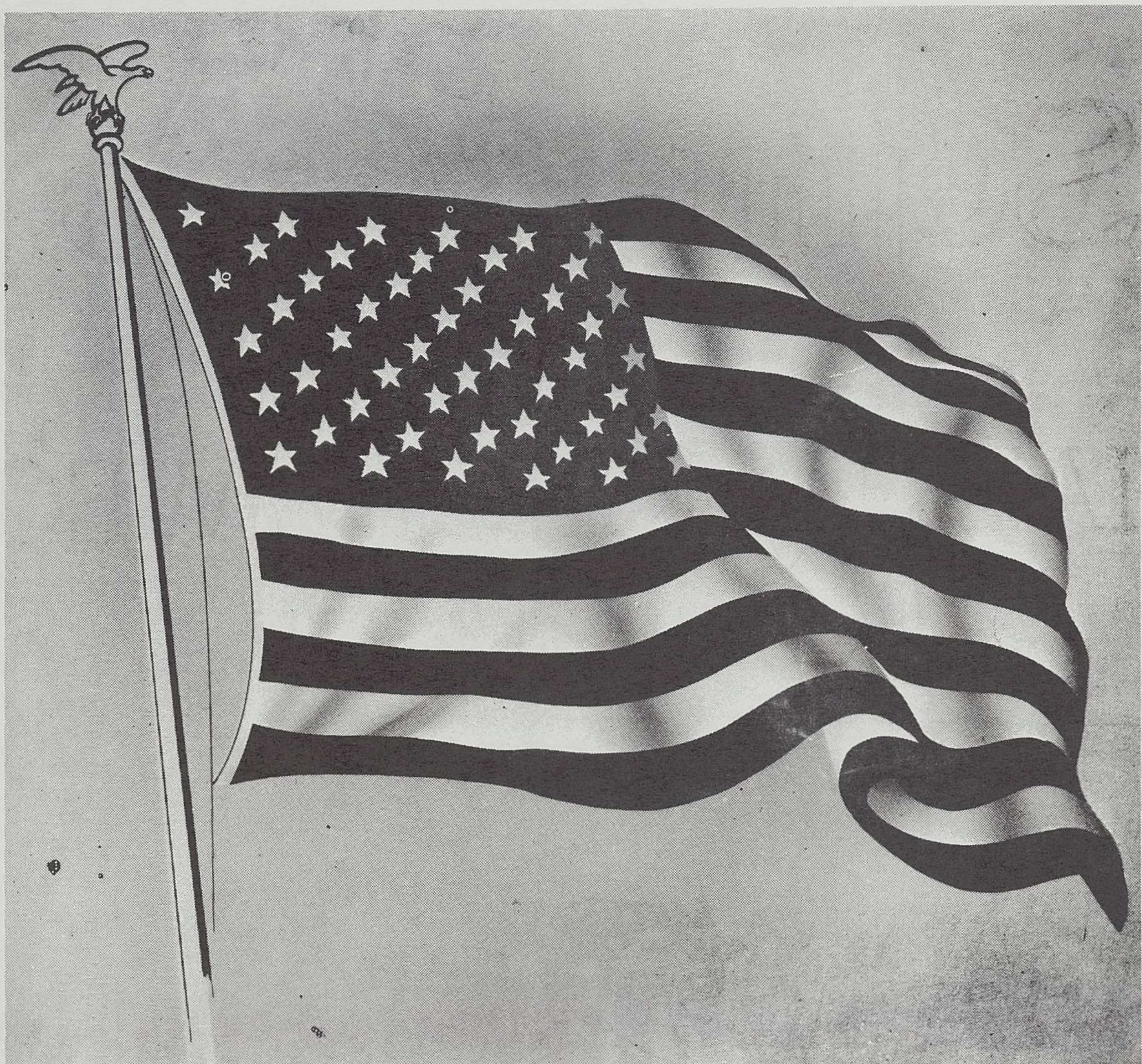
Na Rok

1972





WYDANY NAKŁADEM WYDAWNICTW
ZWIĄZKU NARODOWEGO POLSKIEGO
CHICAGO, ILLINOIS

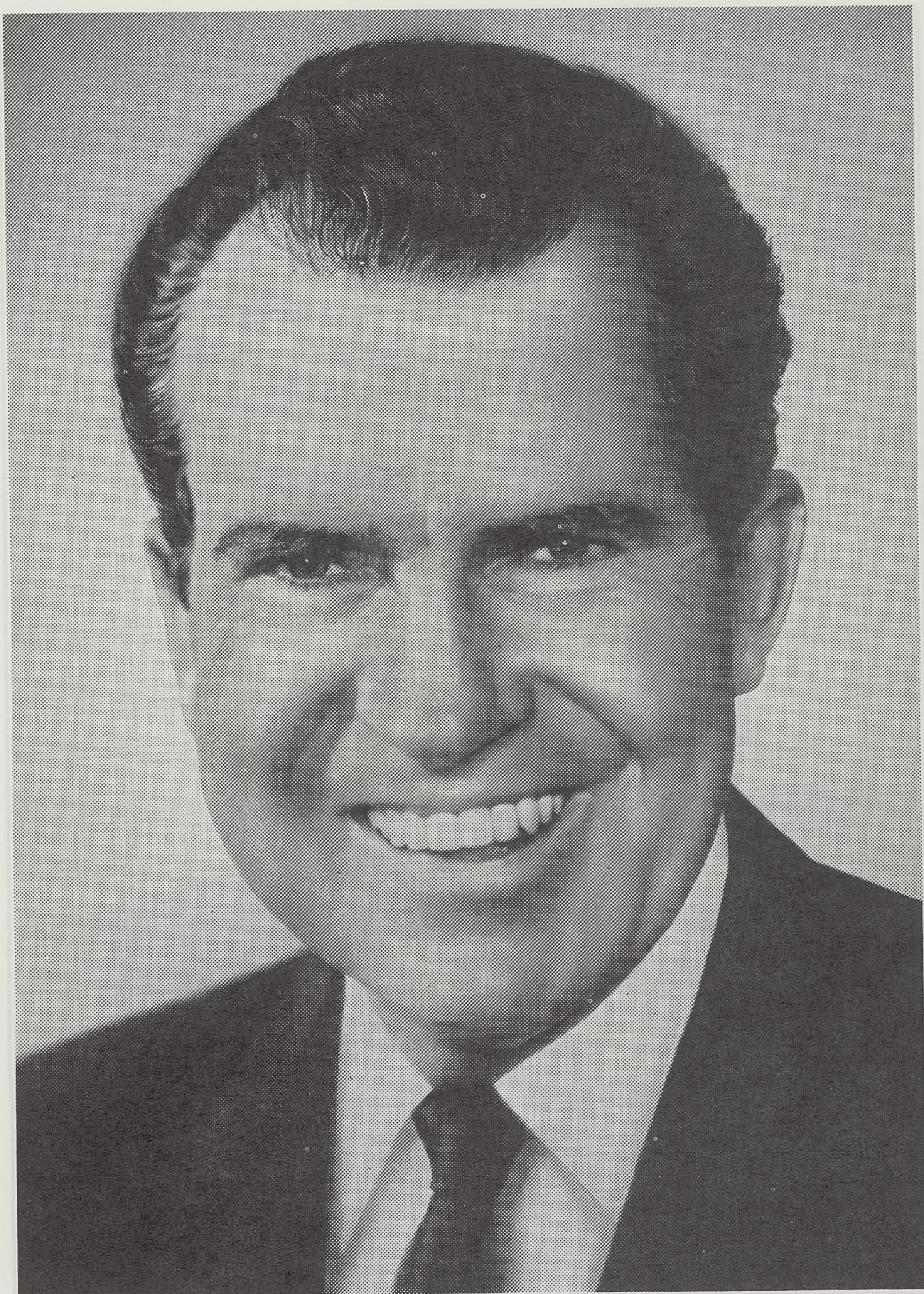


There is a legend that George Washington said:

"We take the stars and blue union from Heaven, the red from our mother country, separating it by white stripes, thus showing we have separated from her, and the white stripes shall go down to posterity representing liberty."

I pledge allegiance to the Flag of the United States of America and to the Republic for which it stands, one Nation under God, indivisible, with liberty and justice for all.

RED stands for hardiness and courage.
WHITE is the symbol of purity and innocence.
BLUE is the color of vigilance, perseverance, and justice.



Richard M. Nixon

37-my Prezydent Stanów Zjednoczonych

STAR SPANGLED BANNER

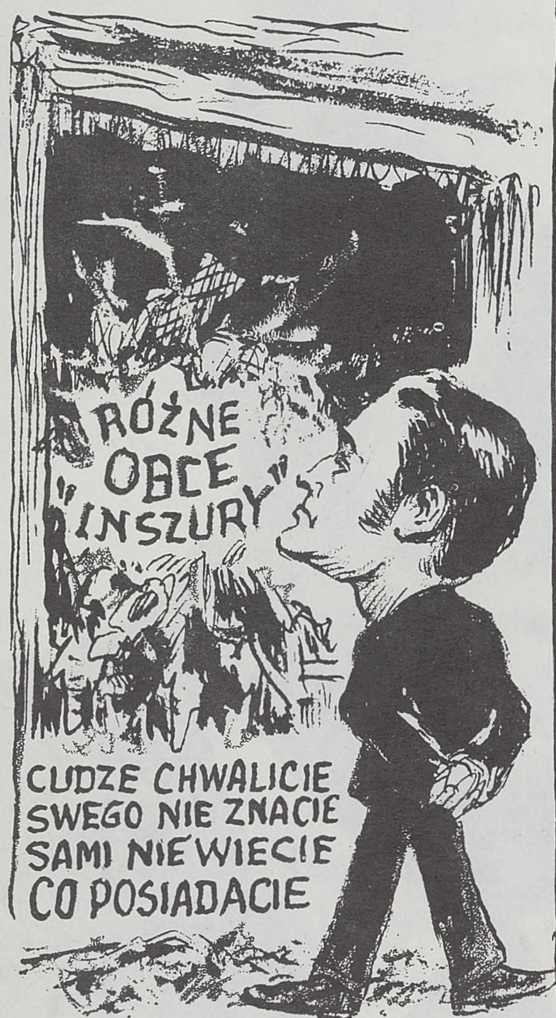
Oh say, can you see, by the dawn's early light,
What so proudly we hailed at the twilight's last gleaming,
Whose broad stripes and bright stars, through the
perilous fight,
O'er the ramparts we watched were so gallantly streaming.
And the rockets' red glare, the bombs bursting in air,
Gave proof through the night, that our flag was still there.
Oh, say does that star spangled banner yet wave
O'er the land of the free, and the home of the brave.

GOD BLESS AMERICA

God Bless America, land that I love,
Stand beside her, and guide her
Thru the night with a light from above,
From the mountain to the prairie,
To the oceans white with foam,
God Bless America, my home sweet home.



SPIRO T. AGNEW
Vice President of the United States



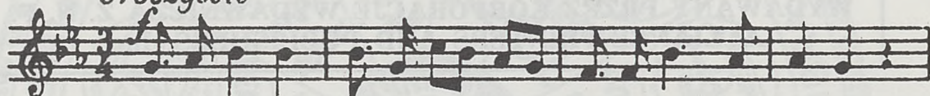


Porównanie Zawsze Wykaże Większe Korzyści z Ubezpieczenia w Z.N.P.

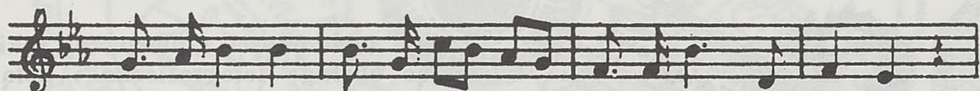


Słowa
Józef Wybicki

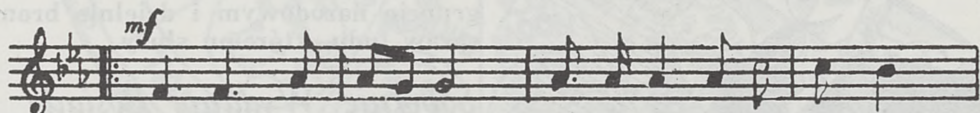
Uroczyście



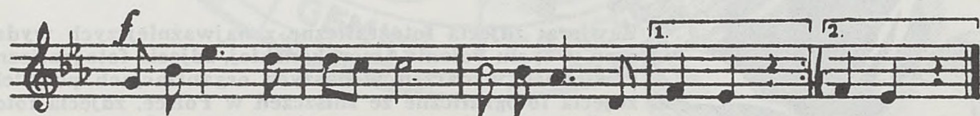
Jeszcze Polska nie zgi-nę - ła -, kie-dy my ży - je - my,



co namob-ca przemoc wzię-ła -, szab-lą od - bie - rze-my.



Marsz, marsz, Dą-brow - ski, z zie-mi włoskiej do Pol - ski!



Za twoim prze-wo- dem złączym się z na-ro- em. -ro-dem.

Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę,
będziem Polakami,
dał nam przykład Bonaparte,
jak zwyciężać mamy.

Marsz, marsz, Dąbrowski...

Jak Czarniecki do Poznania
po szwedzkim zaborze,
dla ojczyzny ratowania
wrócim się przez morze.

Marsz, marsz, Dąbrowski...

BOŻE COŚ POLSKĘ

Boże coś Polskę przez tak liczne wieki
Otaczał blaskiem potęgi i chwały.
Coś Ją osłaniał tarczą Swej opieki
Od nieszczęść które przygnębić ją miały,

Przed Twe ołtarze zanosim błaganie,
Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie

ZWIERZYNIEC NIEBIESKI



(ZODIAK)

Dwanaście gwiazdozbiorów znajdujących po obu stronach ekliptyki (koła), wewnątrz której poruszają się słońce, księżyc i planety.—Koło to podzielone jest na 12 równych części i starożytni nadali poniżej wyrażone nazwy różnym gwiazdozbiorom, jakie się w tych przedziałach znajdują. Początek temu zwierzyńcowi niebieskiemu daje baran.

ARIES — THE RAM — BARAN
Nazwę swoją otrzymał od pierwszego miesiąca babilońskiego, w którym palono barany na ofiarę bogom.

TAURUS — THE BULL — BYK
Nazwany tak przez starożytnych, ponieważ wyrażali oni słońce w postaci byka, któremu oddawali cześć.

GEMINI — THE TWINS — BLIŹNIĘTA
Wywodzą się z legendy o bliźniętach, których wykarmiła wilczyca, którzy potem założyli Rzym.

CANCER — THE CRAB — RAK
Słońce zaczyna swój ruch wsteczny—stąd porównanie i nazwa rak.

LEO — THE LION — LEW
Starożytni używali lwa jako symbolu gorąca, to oznacza upalny miesiąc.

VIRGO — THE VIRGIN — PANNA
Szósty ten znak Zodiaku wzięty został od czci składanej bogini wojny Ishtar—przez babilończyków.

LIBRA — THE BALANCE — WAGA
Noce i dnie równają się prawie ze sobą co do długości—symbolizowane w wadze.

SCORPIO — THE SCORPION — SKORPION
Oznacza ciemność — ponieważ dzień staje się coraz krótszy po jesiennym porównaniu dnia z nocą.

SAGITTARIUS — STRZELEC
THE CENTAUR
Babiloński bóg wojny — wyobrażony w półczłowieku pół-koniu — z łużkiem w ręku.

CAPRICORN — KOZIOROŻEC
THE GOAT
Legenda mówi, że koziorożec był piastunem młodego bożka—słońce.

AQUARIUS — WODNIK
THE WATER BEARER
Bierze swój początek z legendy o deszczach jakie padały i powodowały rozlew Nilu w Egipcie.

PISCES — THE FISHES — RYBY
Symbolizują wiarę starożytnych narodów w życie pozagrobowe.



31 DNI | Angielski JANUARY—Litewski—SAUSIS | 31 DNI

Niemiecki JANUAR—Ruski SICZEŃ

Rosyjski JANWAR

Dni Tygodnia		Kalendarz Rzymsko-Katolicki
1	**Sobota**	NOWY ROK—Mieczysław
1szy Tydzień		
2	**Niedziela**	Makary, Bazyli
3	Poniedz.	Daniel, Genowefa
4	Wtorek	Eugeniusz, Aniela, Tytus
5	Środa	Telesfor, Emilian, Edward
6	Czwartek	TRZECH KRÓLI
7	Piątek	Łucjan, Julian
8	Sobota	Seweryn, Mścisław
2gi Tydzień		
9	**Niedziela**	Julian, Bazyli, Marcjanna
10	Poniedz.	Agaton, Wilhelm
11	Wtorek	Feliks, Honorata
12	Środa	Arkadiusz, Ernest, Tacjana
13	Czwartek	Weronika
14	Piątek	Hilary, Feliks
15	Sobota	Paweł, Marek
3ci Tydzień		
16	**Niedziela**	Marceli, Włodzimierz
17	Poniedz.	Antoni
18	Wtorek	Kat. Św. Piotra w Rz.
19	Środa	Henryk, Mariusz, Marta
20	Czwartek	Fabian i Sebastian
21	Piątek	Agnieszka, Jarosława
22	Sobota	Wincenty, Anastazy
4ty Tydzień		
23	**Niedziela**	Zaśl. N.M.P., Rajmund
24	Poniedz.	Tymoteusz, Felicjan
25	Wtorek	Nawr. Św. Pawła
26	Środa	Polikarp, Paulina
27	Czwartek	Jan Złotousty, Agnieszka
28	Piątek	Karol, Walery, Piotr
29	Sobota	Franc. Salezy, Zdzisław
5ty Tydzień		
30	**Niedziela**	Martyna, Hiacynta
31	Poniedz.	Jan Boska, Ludwik, Marc.



29 DNI — Angielski FEBRUARY—Litewski VASARIS — 29 DNI
Niemiecki FEBRUAR—Rosyjski FEWRAL
Ruski LUTYJ

Dni Tygodnia		Kalendarz Rzymsko-Katolicki
1	Wtorek	Ignacy, Brygida
2	Środa	M.B. Gromnicz., Mirosław
3	Czwartek	Błażej, Wawrzyniec
4	Piątek	Andrzej, Weronika
5	Sobota	Izydor, Albin, Agata
6ty Tydzień		
6	**Niedziela**	Bogdan Tytus, Dorota
7	Poniedz.	**Dzień Lincolna**, Ryszard
8	Wtorek	Jan z Malty, Emilia
9	Środa	Cyryl, Apolonia
10	Czwartek	Jacek, Scholastyka
11	Piątek	Ob.NMP. w Lourdes, Adolf
12	**Sobota**	**Ur. Lincolna i Kościuszki** Julian, Eulalia
7my Tydzień		
13	**Niedziela**	Grzegorz, Katarz., Aniela
14	Poniedz.	Walenty, Zenon
15	Wtorek	Faustyn, Klaudiusz
16	Środa	**POPIELEC**, Julianna
17	Czwartek	Donat, Wincenty
18	Piątek	Symeon, Marianna
19	Sobota	Konrad, Marceli
8my Tydzień		
20	**Niedziela**	Leon, Zenobiusz
21	Poniedz.	**Dzień Washingtona**, Feliks.
22	**Wtorek**	**Ur. Washing. i Pułaskiego**
23	Środa	Piotr, Roman, Marta
24	Czwartek	Maciej
25	Piątek	Wiktor, Izabela
26	Sobota	Aleksander, Mirosława
9ty Tydzień		
27	**Niedziela**	Gabriel, Nestor
28	Poniedz.	**Teofil, Antonina**
29	**Wtorek**	Romana



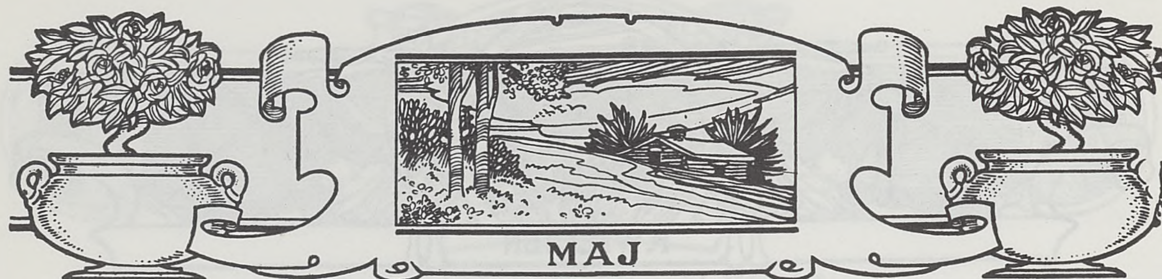
31 DNI — Angielski MARCH—Litewski KOVAS / Niemiecki MAERZ—Ruski BEREZEŃ — 31 DNI

Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy	ZAPISKI
1	Środa	Albin, Antonina	
2	Czwartek	Helena, Amelia	
3	Piątek	Kunegunda, Teresa	
4	Sobota	Kazimierz	
10-ty Tydzień			
5	**Niedziela**	Wacław, Euzebiusz	
6	Poniedz.	Jan B., Wiktor, Róża	
7	Wtorek	Tomasz z Akw.	
8	Środa	Jan B., Wincenty, Emil	
9	Czwartek	Franciszka	
10	Piątek	40 Męczenników, Cyprian	
11	Sobota	Pelagii, Konstantyn	
11-ty Tydzień			
12	**Niedziela**	Grzegorz	
13	Poniedz.	Marek, Krystyna Bożenna	
14	Wtorek	Leon, Matylda.	
15	Środa	Klemens, Longin	
16	Czwartek	Hilary, Eufrozyna	
17	Piątek	Jan, Patryk, Zbigniew	
18	Sobota	Cyryl, Edward	
12-ty Tydzień			
19	**Niedziela**	JÓZEFA, Bogdana	
20	Poniedz.	Aleksander, Anatol, Teodozja	
21	Wtorek	Benedykt	
22	Środa	Oktawiana, Katarzyny	
23	Czwartek	Feliks, Wiktor, Pelagia	
24	Piątek	Marka i Gabriela	
25	Sobota	ZWIASTOWANIE N. M. P.	
13-ty Tydzień			
26	**Niedziela**	**Niedziela Palmowa**	
27	Poniedz.	Jana z Damaszku	
28	Wtorek	Jana Kapistrana	
29	Środa	Cyryla, Jonasza	
30	Czwartek	**Wielki Czwartek**, Aniela	
31	Piątek	**Wielki Piątek**, Balbina	



30 DNI — Angielski APRIL—Litewski BALANDIS / Niemiecki APRIL—Ruski KWITEŃ — 30 DNI

Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy	ZAPISKI
1	Sobota	**WIELKA SOBOTA**	
14-ty Tydzień			
2	**Niedziela**	**WIELKANOC**, Franciszek	
3	Poniedz.	Ryszard, Pankracy	
4	Wtorek	Izydor, Benedykt, Ambroży	
5	Środa	Wincenty, Irena	
6	Czwartek	Celestyn, Julianna	
7	Piątek	Herman, Saturnin	
8	Sobota	Dionizy, January	
15-ty Tydzień			
9	**Niedziela**	Hugon, Maria	
10	Poniedz.	Michała	
11	Wtorek	Filip, Leon	
12	Środa	Juliusz, Wiktor, Zenon	
13	Czwartek	Hermenegilda, Krystyna	
14	Piątek	Walerian	
15	Sobota	Bazyli, Anastazja	
16-ty Tydzień			
16	**Niedziela**	Benedykt, Marcelian	
17	Poniedz.	Robert, Inocenty	
18	Wtorek	Bogumił, Rudolf	
19	Środa	Zenobiusz, Adolfa	
20	Czwartek	Teodor, Agnieszka	
21	Piątek	Konrada, Anzelm	
22	Sobota	Soter i Kajus, Leon, Łukasz	
17-ty Tydzień			
23	**Niedziela**	Wojciech, Jerzy	
24	Poniedz.	Fidelis, Grzegorz	
25	Wtorek	Marek, Jarosław, Grzegorz	
26	Środa	Marceli	
27	Czwartek	Teofil, Piotr, Zyta	
28	Piątek	Witalis, Paweł, Waleria	
29	Sobota	Piotr, Robert, Bogusław	
18-ty Tydzień			
30	**Niedziela**	Marian, Katarzyna	



MAJ

31 DNI | **Angielski MAY—Litewski GEGUŽIS** / **Niemiecki MAI—Ruski TRAWEŃ** | 31 DNI

	Dni Tygodnia	Święci Rzymsko-Katoliccy	ZAPISKI
1	Poniedz.	Józefa Robotnika	
2	Wtorek	Zygmunt, Anastazy	
3	Środa	ROCZ. KONST. 3 MAJA	
4	Czwartek	**Florian, Monika**	
5	Piątek	Pius, Izydor, Irena	
6	Sobota	Jan w Oleju	
19-ty Tydzień			
7	**Niedziela**	Floriana, Benedykta	
8	Poniedz.	Stanisław, Michał	
9	Wtorek	Grzegorz	
10	Środa	Izydora, Antoniego	
11	Czwartek	**Wniebowstąp.**, Filip, Jakub	
12	Piątek	Pankracy	
13	Sobota	Robert, Serwacy	
20-ty Tydzień			
14	**Niedziela**	**Dzień Matek**, Bonifacy	
15	Poniedz.	Jan, Izydor, Zofia	
16	Wtorek	Jan Nep., Andrzej Bobola	
17	Środa	Paschalis, Brunon	
18	Czwartek	Feliks, Bogdan	
19	Piątek	Piotr, Mikołaj, Celestyn	
20	Sobota	Bernardyn, Zuzanna	
21-szy Tydzień			
21	**Niedziela**	**Zielone Św.**, Wiktor, Julia	
22	Poniedz.	Emil, Helena, Julia, **Róża**	
23	Wtorek	Dezydery, Jan	
24	Środa	Joanna, Estera, Zuzanna	
25	Czwartek	Grzegorz, Urban	
26	Piątek	Filip, Augustyn	
27	Sobota	Jan	
22-gi Tydzień			
28	**Niedziela**	Germana, Małgorzaty	
29	Poniedz.	**MEMORIAL DAY**	
30	Wtorek	Ferdynanda, Króla	
31	Środa	Aniela, Petronela	



Angielski JUNE—Litewski BERŻELIS

30 DNI | Niemiecki JUNI—Ruski CZERWEŃ | 30 DNI

Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy	ZAPISKI
1	Czwartek	**Boże Ciało,** Jakub, Konrad	
2	Piątek	Erazm, Marcelina	
3	Sobota	Leszek, Klotylda	
23-ci Tydzień			
4	**Niedziela**	Franciszek, Teodora	
5	Poniedz.	Bonifacy, Waleria	
6	Wtorek	Norbert, Łucja	
7	Środa	Robert, Wiesław	
8	Czwartek	Medard, Elżbieta	
9	Piątek	Felicjan	
10	Sobota	Jan, Małgorzata	
24-ty Tydzień			
11	**Niedziela**	Barnaba, Feliks	
12	Poniedz.	Jan, Onufry	
13	Wtorek	Antoni z Padwy, Łucjan	
14	Środa	**DZIEŃ FLAGI,** Bazyli	
15	Czwartek	Witold, Modest, Jolanta	
16	Piątek	Benon, Justyn, Alina	
17	Sobota	Adolf, Inocenty, Marian	
25-ty Tydzień			
18	**Niedziela**	DZIEŃ OJCÓW, Marek	
19	Poniedz.	Alojzy, Gerwazy, Protazy	
20	Wtorek	Juliana, Florentyny	
21	Środa	Janusza, Alojzego	
22	Czwartek	Paulina	
23	Piątek	Zenon, Wanda, Agrypina	
24	Sobota	Jan Chrzciciel	
26-ty Tydzień			
25	**Niedziela**	Wilhelm, Łucja	
26	Poniedz.	Jan, Paweł	
27	Wtorek	Władysław	
28	Środa	Ireneusz, Leon	
29	Czwartek	PIOTR i PAWEŁ	
30	Piątek	Ernest, Lucyna, Emilia	

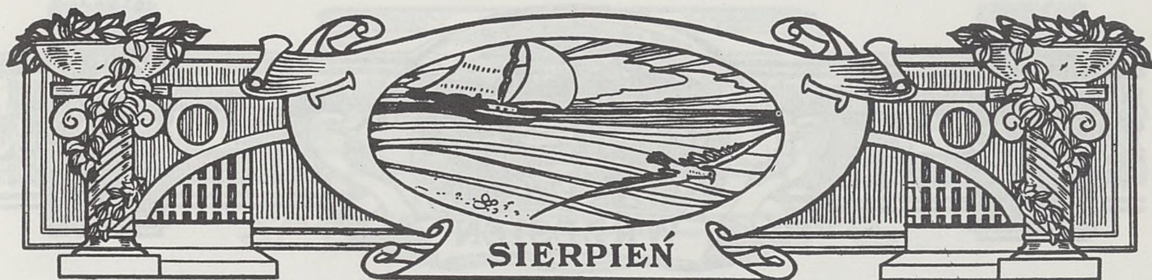





31 DNI — Angielski JULY—Litewski LIEPOS — 31 DNI
Niemiecki JULI—Ruski ŁYPIEŃ

Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy
1	Sobota	Przem. Krwi P. J., Juliusz
27-my Tydzień		
2	**Niedziela**	Nawiedz. N.M.P., Urban
3	Poniedz.	Anatol, Leon, Alfred, Jacek
4	Wtorek	**DZIEŃ NIEPODLEGŁOŚCI**
5	Środa	Antoni, Filomena
6	Czwartek	Dominik, Romuald, Łucja
7	Piątek	Cyryl i Metody
8	Sobota	Prokop, Elżbieta
28-my Tydzień		
9	**Niedziela**	Tomasz, Weronika, Mikołaj
10	Poniedz.	7 Braci Męczen., Amelia
11	Wtorek	Pius, Olga, Pelagia
12	Środa	Jan, Gwalbert
13	Czwartek	Eugeniusz, Małgorzata
14	Piątek	Bonawentura, Marceli
15	Sobota	Henryk, Wit
30-ty Tydzień		
16	**Niedziela**	N.M.P. Szkapl., Andrzej
17	Poniedz.	Aleksy, Bogdan
18	Wtorek	Kamil, Szymon
19	Środa	Wincenty a Paulo
20	Czwartek	Czesław, Hieronim, Małg.
21	Piątek	Wiktor, Andrzej, Prakseda
22	Sobota	Maria Magdalena
29-ty Tydzień		
23	**Niedziela**	Apolinary
24	Poniedz.	Kunegunda, Kinga, Kryst.
25	Wtorek	Jakub, Krzysztof
26	Środa	Anna, Mierosława
27	Czwartek	Pantaleon, Natalia
28	Piątek	Innocenty, Wiktor
29	Sobota	Urban, Fel. Marta Beatr.
31-szy Tydzień		
30	**Niedziela**	Abdon, Donat, Rufin
31	Poniedz.	Ignacy L., Justyn, Helena

ZAPISKI



31 DNI — Angielski AUGUST—Litewski RUGPIUTIS / Niemiecki AUGUST—Ruski SERPEŃ — 31 DNI

Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy	ZAPISKI
1	Wtorek	Piotr w Okowach	
2	Środa	N.M.P. Anielska, Gustaw	
3	Czwartek	Znal. Relikwii św. Szczep.	
4	Piątek	Dominik	
5	Sobota	N.M.P. Śnieżna, Stanisława	
32-gi Tydzień			
6	**Niedziela**	Przemienienie Pańskie	
7	Poniedz.	Kajetan, Donat	
8	Wtorek	Cyriak, Emilian, Justyn	
9	Środa	Roman, Jan	
10	Czwartek	Wawrzyniec, Bogdan	
11	Piątek	Tybercjusz, Zuzanna	
12	Sobota	Hilary, Klara	
33-ci Tydzień			
13	**Niedziela**	Hipolit, Jan, Helena	
14	Poniedz.	Euzebiusz	
15	Wtorek	**WNIEBOWZIĘCIE N.M.P.**	
16	Środa	Roch, Joachim, Ambroży	
17	Czwartek	Jacek, Paweł, Julian	
18	Piątek	Klara, Włodzimierz	
19	Sobota	Bolesław, Ludwik, Marian	
34-ty Tydzień			
20	**Niedziela**	Bernard, Samuel	
21	Poniedz.	Daniel, Joanna	
22	Wtorek	Tymoteusz, Hipolit	
23	Środa	Filip, Apolinary, Wiktor	
24	Czwartek	Bartłomiej, Jerzy	
25	Piątek	Ludwik, Grzegorz	
26	Sobota	N.M.P. Częstochowskiej	
35-ty Tydzień			
27	**Niedziela**	Józef Kalasanty	
28	Poniedz.	Augustyn	
29	Wtorek	Ścięcie Św. Jana, Sabina	
30	Środa	Feliks, Róża z Limy	
31	Czwartek	Rajmund, Marek	



30 DNI — Angielski SEPTEMBER—Litewski RUGSEJAS / Niemiecki SEPTEMBER—Ruski WERESEŃ — 30 DNI

Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy	ZAPISKI
1	Piątek	Idzi, Bronisława	
2	Sobota	Stefan	
36ty Tydzień			
3	**Niedziela**	Szymon, Zenon, Izabela	
4	Poniedz.	**Święto Pracy**, Rozalia, Róża	
5	Wtorek	Wawrzyniec, Dorota	
6	Środa	Zachariasz, Eugeniusz	
7	Czwartek	Melchiora, Reginy	
8	Piątek	Narodzenie N. M. P.	
9	Sobota	Piotr, Sergiusz	
37my Tydzień			
10	**Niedziela**	Mikołaj, Łukasz, Łucja	
11	Poniedz.	Prot, Jacek, Pafnucy	
12	Wtorek	Im. N.M.P., Gwidon, Klara	
13	Środa	Filip, Eugenia	
14	Czwartek	Podw. Św. Krzyża, Kalikst	
15	Piątek	M.B. Bolesnej, Nikodem	
16	Sobota	Kornel, Cyprian, Ludmiła	
38my Tydzień			
17	**Niedziela**	Blizny Św. Fran. Jacek	
18	Poniedz.	Józef, Tomasz, Irena	
19	Wtorek	January, Gustaw, Teodor	
20	Środa	Eustachy, Filipina	
21	Czwartek	Mateusz,	
22	Piątek	Tomasz, Maurycy	
23	Sobota	Tekli, Boguchwała	
39ty Tydzień			
24	**Niedziela**	N. M. P. od Wyk. Niewol.	
25	Poniedz.	Władysław, Kleofas	
26	Wtorek	Cyprian, Justyn	
27	Środa	Władysław, Damian	
28	Czwartek	Wacław, Marek	
29	Piątek	Michał Archanioł	
30	Sobota	Hieronim, Grzegorz	



31 DNI | Angielski OCTOBER—Litewski SPALIUS
Niemiecki OKTOBER—Ruski ŻOWTEŃ | 31 DNI

Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy	ZAPISKI
40ty Tydzień			
1	**Niedziela**	Jan z Dukli, Remigiusz	
2	Poniedz.	Aniołów Stróżów, Teofil	
3	Wtorek	Teresa od Dziec. Jezus	
4	Środa	Franciszek z Asyżu	
5	Czwartek	Placyd, Apolinary	
6	Piątek	Brunon, Artur, Emil	
7	Sobota	N.M.P. Różańcowa, Marek	
41szy Tydzień			
8	**Niedziela**	Brygida, Pelagia	
9	Poniedz.	**DZIEŃ KOLUMBA**, Bogdana	
10	Wtorek	Franciszek Borg. Paula	
11	Środa	**DZIEŃ PUŁASKIEGO**	
12	Czwartek	Maksymiliana, Serafina	
13	Piątek	M. B. z Fatima, Edward,	
14	Sobota	Kalikst	
42gi Tydzień			
15	**Niedziela**	Jadwiga, Teresa	
16	Poniedz.	Leopold, Gaweł, Florentyna	
17	Wtorek	Wiktor, Małgorzata, Maria	
18	Środa	Łukasz Ewangelista	
19	Czwartek	Piotr, Pelagia	
20	Piątek	Jan Kanty, Irena	
21	Sobota	Hilarion, Urszula	
43ci Tydzień			
22	**Niedziela**	Filip, Wojciech, Salomea	
23	Poniedz.	**DZIEŃ WETERANA** n	
24	Wtorek	Rafał Archanioł, Marcin	
25	Środa	Kryspin, Bonifacy	
26	Czwartek	Ewaryst	
27	Piątek	Sabina	
28	Sobota	Szymon, Tadeusz	
44ty Tydzień			
29	**Niedziela**	Abraham, Narcyz, Euzebia	
30	Poniedz.	Alfons, Edmund	
31	Wtorek	DZIEŃ WILKOŁAKÓW, Antoni, Lucylla	



Angielski NOVEMBER—Litewski LAKPRITYS
30 DNI Niemiecki NOVEMBER—Ruski PADOŁYST 30 DNI

Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy	ZAPISKI
1	Środa	**WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH**	
2	Czwartek	DZIEŃ ZADUSZNY	
3	Piątek	Hubert, Sylwia	
4	Sobota	Karol Borom., Witalis	
45ty Tydzień			
5	**Niedziela**	Zachariasz, Elżbieta	
6	Poniedz.	Leonard, Feliks	
7	Wtorek	Ernest, Antoni, Salomea	
8	Środa	Bogdan, Sewer, Ida	
9	Czwartek	Teodor, Orest	
10	Piątek	Andrzej, Lubomir	
11	Sobota	**Święto Niepodl. Polski**	
46ty Tydzień			
12	**Niedziela**	Mateusz, Witold	
13	Poniedz.	Stanisław Kostka	
14	Wtorek	Józefat	
15	Środa	Leopold, Wojciech	
16	Czwartek	M.B. Ostrobram., Edmund	
17	Piątek	Grzegorz, Salomea	
18	Sobota	Katedry Św. Piotra, Roman	
47my Tydzień			
19	**Niedziela**	Felicjan, Elżbieta	
20	Poniedz.	Feliks, Edmund, Anatol	
21	Wtorek	Ofiarowanie NMP., Janusz	
22	Środa	Marek, Cecylia	
23	Czwartek	**ŚWIĘTO DZIĘK.**, Klemens	
24	Piątek	Jan, Aleksander	
25	Sobota	Katarzyna, Erazm	
48my Tydzień			
26	**Niedziela**	Konrada, Jana	
27	Poniedz.	Walerian	
28	Wtorek	Grzegorz	
29	Środa	Błażeja, Saturnina	
30	Czwartek	Andrzej, Zbysława	



31 DNI — Angielski DECEMBER—Litewski GRUODIS / Niemiecki DEZEMBER—Ruski HRUDEŃ — 31 DNI

Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy	ZAPISKI
1	Piątek	Eligiusz, Natalia	
2	Sobota	Hipolit, Paulina	
49ty Tydzień			
3	**Niedziela**	**1 Niedz. Adwentu,** Franc.	
4	Poniedz.	Piotr, Barbara	
5	Wtorek	Anastazy, Saba, Krystyna	
6	Środa	Mikołaj, Emil	
7	Czwartek	Ambroży	
8	Piątek	**NIEP. POCZ. N. M. P.**	
9	Sobota	Piotr, Wiesław, Leokadia	
50ty Tydzień			
10	**Niedziela**	N. M. P. Loret. Julia	
11	Poniedz.	Damazy, Sabina, Adelajdy	
12	Wtorek	Aleksander, Konstanty	
13	Środa	Władysław, Łucja, Otylia	
14	Czwartek	Teodor, Alfred	
15	Piątek	Walerian, Wiktor, Celina	
16	Sobota	Zdzisław, Euzeb., Adela	
51szy Tydzień			
17	**Niedziela**	Łazarz, Florian	
18	Poniedz.	Gracjan, Bogusław	
19	Wtorek	Grzegorz, Urban	
20	Środa	Teofil, Juliusz, Bogumiła	
21	Czwartek	Tomasz, Jan	
22	Piątek	Zenon, Leon, Honorata	
23	Sobota	Wiktoria, Sławomir	
52gi Tydzień			
24	**Niedziela**	WIGILIA, Adam, Ewa	
25	Poniedz.	**BOŻE NARODZENIE**	
26	Wtorek	Szczepan	
27	Środa	Jan Ewangelista	
28	Czwartek	Ś.Ś. Młodziaków, Teofil	
29	Piątek	Tomasz	
30	Sobota	Eugeniusz, Sabina	
Ostatni Tydzień Roku			
31	**Niedziela**	Sylwester, Melania	

Zarząd Związku Narodowego Polskiego

Wybrany Na Sejmie 36-tym Z.N.P. w Pittsburgh, Pa.

KAZIMIERZ LOTARSKI
Cenzor Z.N.P.
926 Broadway, Bufaflo, N. Y. 14212

ALFRED ULMAN
Wicecenzor Z.N.P.
9833 Winfield Ave., Hamtramck, Mich. 48212

ALOIZY A. MAZEWSKI
Prezes Z.N.P.
1514 W. Division St., Chicago, Ill. 60622

HELENA SZYMANOWICZ
Wiceprezeska Z.N.P.
1514 W. Division St., Chicago, Ill. 60622

FRANCISZEK A. PROCHOT
Wiceprezes Z.N.P.
1514 W. Division St., Chicago, Ill. 60622

ADOLF K. PACHUCKI
Sekretarz Z.N.P.
1514 W. Division St., Chicago, Ill. 60622

EDWARD J. MOSKAL
Skarbnik Z.N.P.
1514 W. Division St., Chicago, Ill. 60622

DYREKCJA Z.N.P.

MELANIA WINIECKA
9604 S. Major Ave., Oak Lawn, Ill. 60453

FLORENTYNA WIATROWSKA
3916 W. 67th Pl., Chicago, Ill. 60629

JÓZEF A. DANCEWICZ
12 Locust St., New Bedford, Mass. 02740

JAN H. RADZYMINSKI
6 Heights Dr., Pittsburgh, Pa. 15209

TADEUSZ RADOSZ
5709 So. Neenah Ave., Chicago, Ill. 60638

CZESŁAW F. MIKOŁAJCZYK
1737 W. Division St., Chicago, Ill. 60622

MIECZYSŁAW ODROBINA
2700 Florian Ave., Hamtramck, Mich. 48212

HENRYK J. BURKE
802 Main Ave., Schenectady, N. Y. 12303

HILARY S. CZAPLICKI
7405 E. Roosevelt Blvd., Philadelphia, Pa. 19152

STANISŁAWA NIEDER
187 So. Marengo Ave., Pasadena, Calif. 91101

KOMISARZE I KOMISARKI OKRĘGÓW Z.N.P.

Okręg 1—JAN SIDERSKI
JULIA R. BEBEN

Okręg 2—JÓZEF A. ZDUŃCZYK
EWELINA GAWALIS

Okręg 3—LEOPOLD K. BABIRECKI
HELENA B. PIOTROWSKA

Okręg 4—ANTONI T. AKUS
JOANNA KOWALSKA

Okręg 5—EUGENIUSZ ZEGAR
JANINA KOZMOR

Okręg 6—AUGUST GORSKI
ANIELA C. TUROCHY

Okręg 7—LUDWIG SLIWINSKI
ZOFIA WÓJCIK

Okręg 8—FRANCISZEK ŁYSAKOWSKI
WŁADYSŁAWA OPATKIEWICZ

Okręg 9—ALEKSANDER A. KOPCZYNSKI
MARIA GRABOWSKA

Okręg 10—JÓZEF H. KRAWULSKI
BRONISŁAWA BARĆ

Okręg 11—DR. STANISŁAW J. SULKOWSKI
PAULINA GÓRSKA

Okręg 12—TOMASZ PACZYŃSKI
HELENA ORAWIEC

Okręg 13—PIOTR KACZMAREK
ZOFIA BUCZKOWSKA

Okręg 14—KAROL E. MATRAS
WŁADYSŁAWA PODKOMORSKA

Okręg 15—TADEUSZ WACHEL
MARIA DREWNO

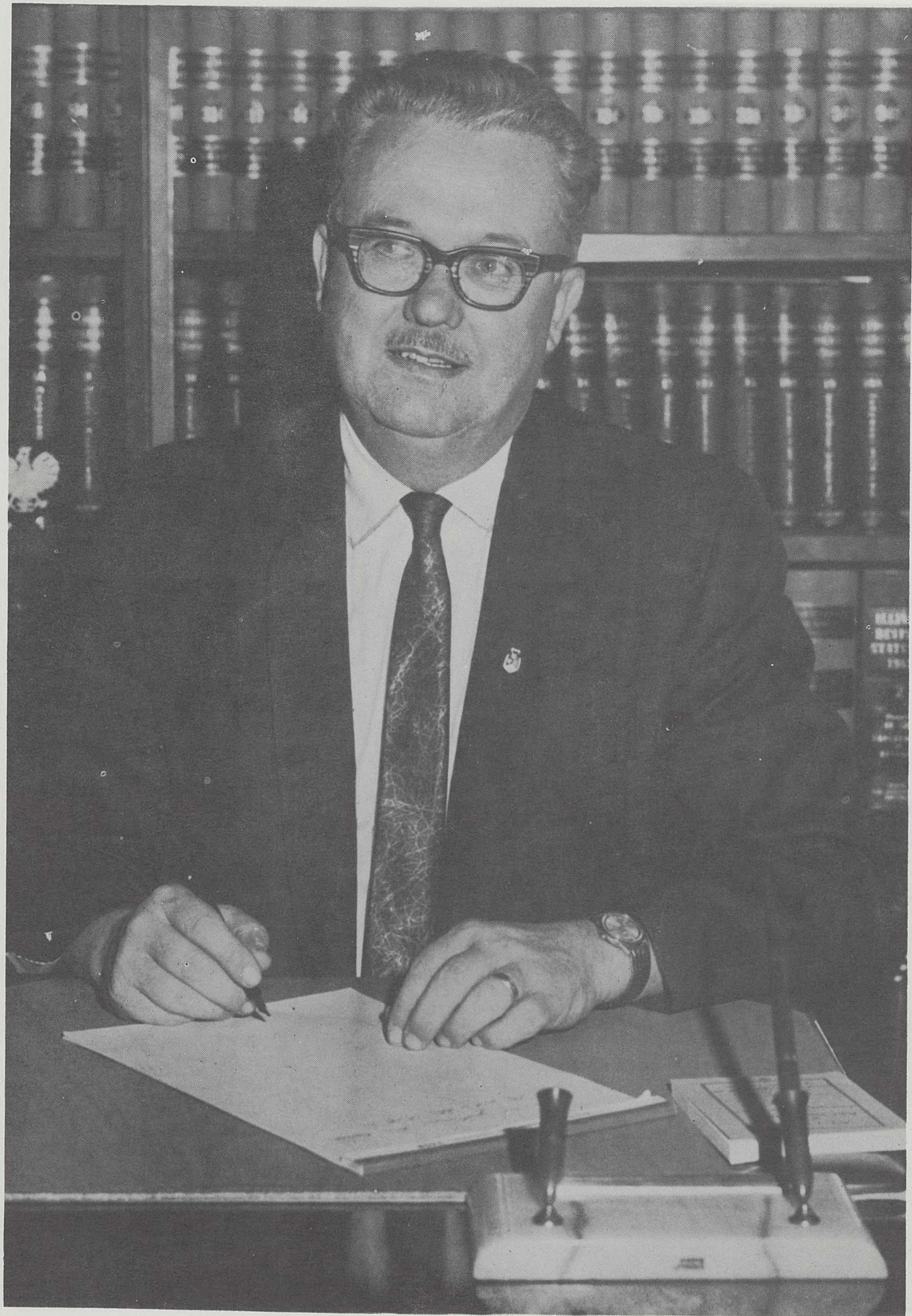
Okręg 16—FRANCISZEK ZIELONY
WŁADYSŁAWA WILK



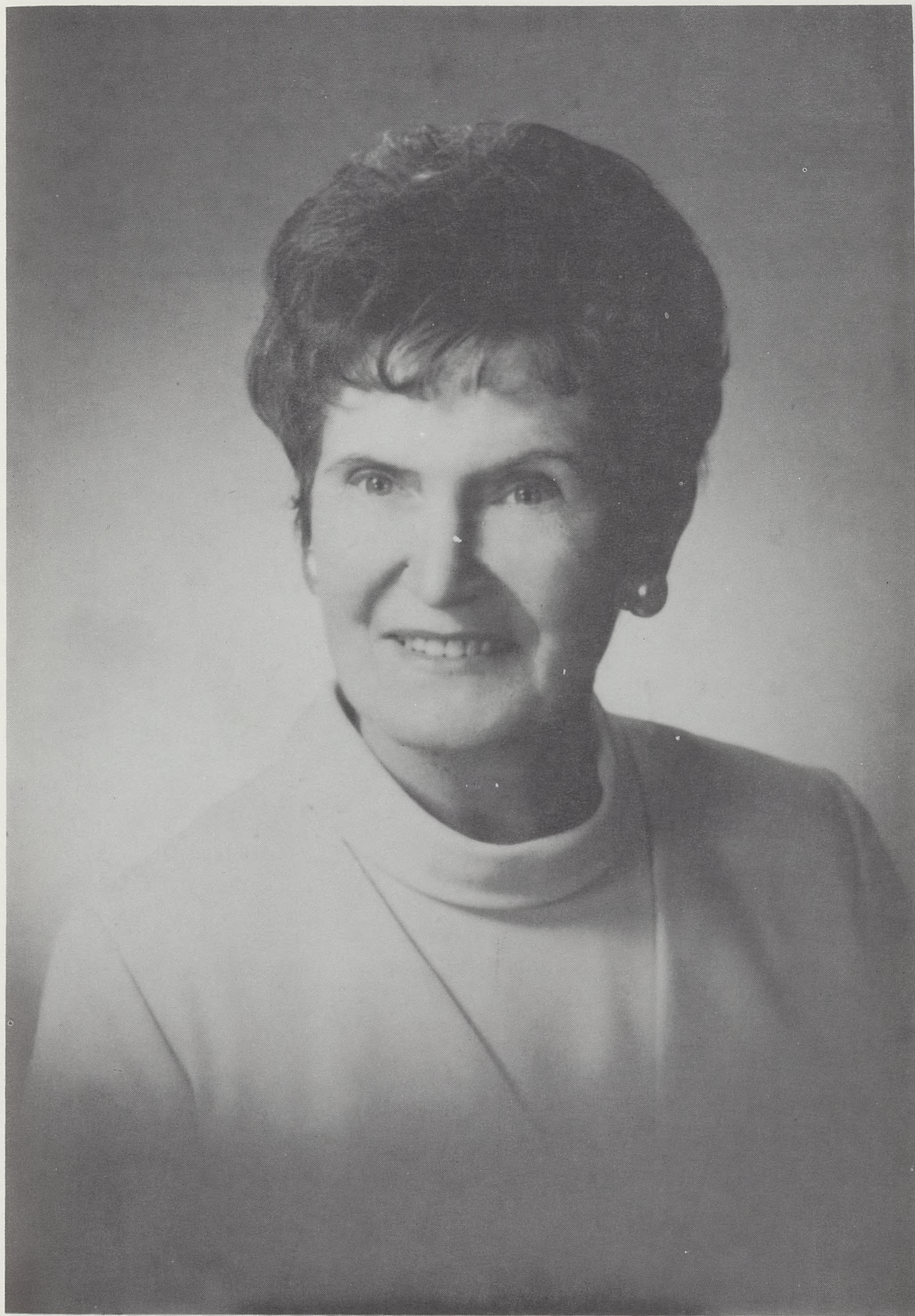
KAZIMIERZ LOTARSKI
Cenzor Z.N.P.



ALFRED ULMAN
Wicecenzor Z.N.P.



ALOIZY A. MAZEWSKI
Prezes Z.N.P.



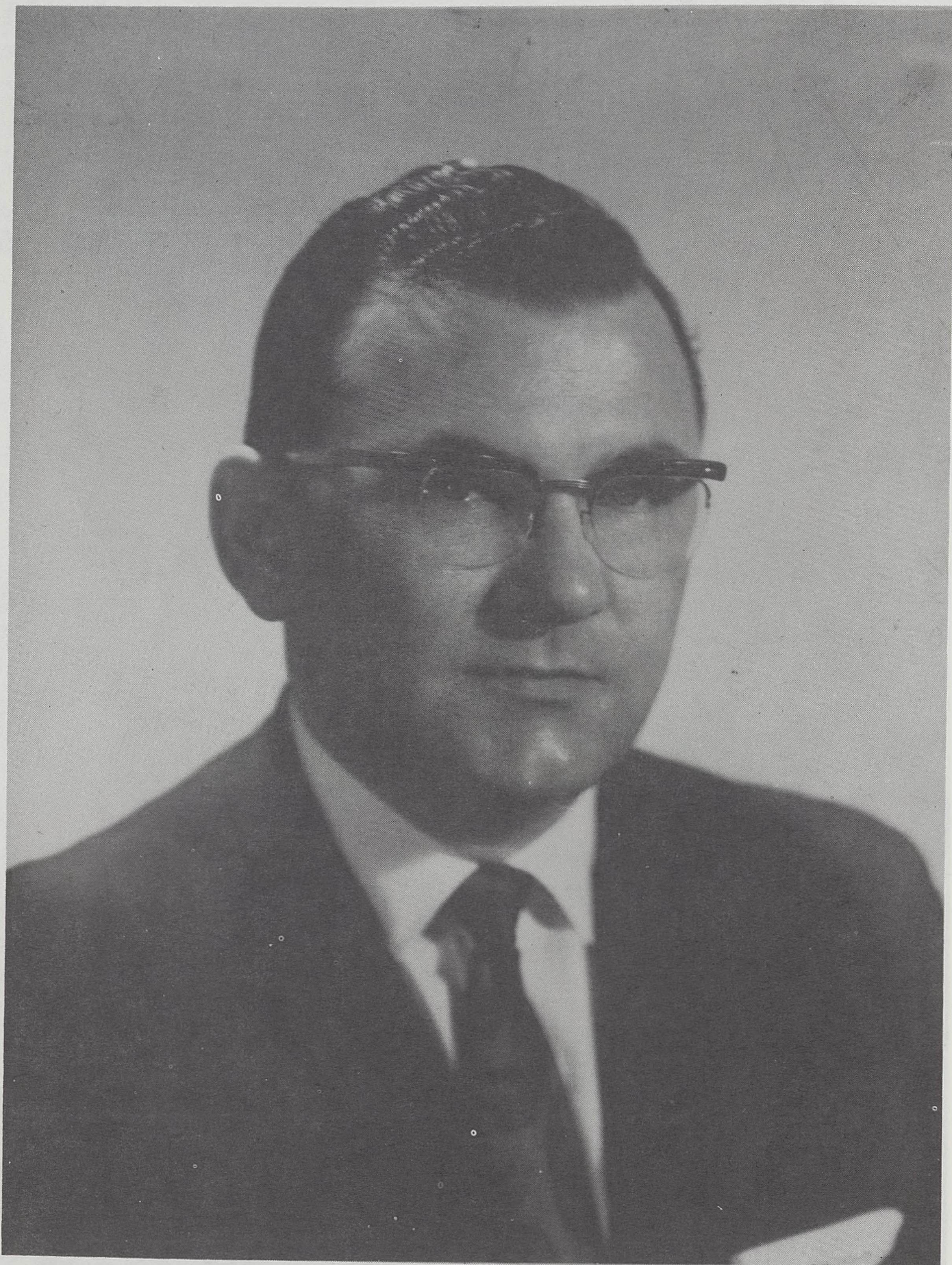
HELENA SZYMANOWICZ
Wiceprezeska Z.N.P.



FRANCISZEK A. PROCHOT
Wiceprezes Z.N.P.



ADOLF K. PACHUCKI
Sekretarz Z.N.P.



EDWARD J. MOSKAL
Skarbnik Z.N.P.

DYREKTORZY I DYREKTORKI

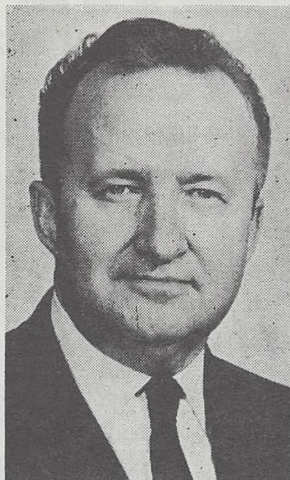
Zarządu Centralnego Związku Narodowego Polskiego



Melania Winiecka
Dyrektorka



Florentyna Wiatrowska
Dyrektorka



Józef A. Dancewicz
Dyrektor



Jan H. Radzyminski
Dyrektor



Tadeusz Radosz
Dyrektor



Czesław F. Mikołajczyk
Dyrektor



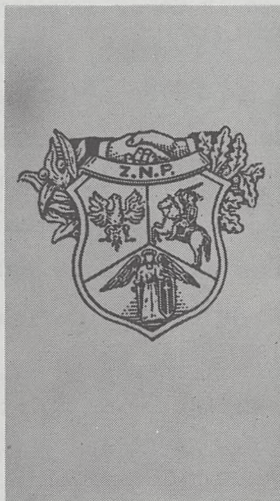
Mieczysław Odrobina
Dyrektor



Henryk Burke
Dyrektor



Hilary S. Czaplicki
Dyrektor





Stanisława M. Nieder
Dyrektorka

DATY SEJMÓW Z. N. P.

Sejm I w Chicago, Ill. od dnia 15 do 18 września, 1880 r.
Sejm II w New York, od 21 do 24 września, 1881 r.
Sejm III w Chicago, Ill. od 21 do 23 września, 1882 r.
Sejm IV w Milwaukee, Wis. od 21 do 24 września, 1883 r.
Sejm Nadzwyczajny w Chicago, Ill. od 21 do 23 lutego, 1884 r.
Sejm V w La Crosse, Wis. od 14 do 17 lutego, 1885 r.
Sejm VI w Bay City, Mich. od 5 do 7 lipca, 1886 r.
Sejm VII w St. Paul, Minn. od 12 do 15 września, 1887 r.
Sejm VIII w Buffalo, N. Y. od 10 do 15 września, 1889 r.
Sejm IX w Detroit, Mich. od 21 do 29 września, 1891 r.
Sejm X w Chicago, Ill. od 4 do 9 września, 1893 r.
Sejm XI w Cleveland, Ohio, od 9 do 14 września, 1895 r.
Sejm XII w Philadelphia, Pa. od 6 do 11 września, 1897 r.
Sejm XIII w Grand Rapids, Mich. od 16 do 21 października, 1899 r.
Sejm Nadzwyczajny w Chicago, Ill. od 19 do 24 marca, 1900 r.
Sejm XIV w Toledo, Ohio, od 14 do 20 października, 1901 r.
Sejm XV w Wilkes Barre, Pa. od 19 do 24 października, 1903 r.
Sejm XVI w Buffalo, N. Y. od 23 do 28 października, 1905 r.
Sejm XVII w Baltimore, Md. od 23 do 28 października, 1907 r.
Sejm XVIII w Milwaukee, Wis. od 11 do 16 października, 1909 r.
Sejm XIX w St. Louis, Mo. od 9 do 14 października, 1911 r.
Sejm XX w Detroit, Mich. od 15 do 22 września, 1913 r.
Sejm XXI w Schenectady, N. Y. od 27 września do 3 października, 1915 r.
Sejm XXII w Pittsburgh, Pa. od 16 do 21 września, 1918 r.
Sejm XXIII w Toledo, Ohio, od 26 września do 1 października, 1921 r.
Sejm XXIV w Philadelphia, Pa. od 25 do 30 sierpnia, 1924 r.
Sejm XXV w Chicago, Ill. od 19 do 20 września, 1927 i od
27 sierpnia do 1 września, 1928 r.
Sejm XXVI w Scranton, Pa. od 20 do 26 września, 1931 r.
Sejm XXVII w Baltimore, Md. od 15 do 21 września, 1935 r.
Sejm XXVIII w Detroit, Mich. od 10 do 16 września, 1939 r.
Sejm XXIX w Boston, Mass. od 19 do 25 września, 1943 r.
Sejm XXX w Cleveland, Ohio od 24 do 30 sierpnia, 1947 r.
Sejm XXXI w Buffalo, N. Y. od 23 do 29 września, 1951 r.
Sejm XXXII w Minneapolis, Minn. od 18 do 23 września, 1955 r.
Sejm XXXIII w Hartford, Conn. od 20 do 25 września, 1959 r.
Sejm XXXIV w Philadelphia, Pa. od 15 do 20 września, 1963 r.
Sejm XXXV w Detroit, Mich. od 17 do 22 września, 1967 r.
Sejm XXXVI w Pittsburgh, Pa. od 19 do 25 września 1971 r.

Migawki Fotograficzne z Sejmu 36 Z.N.P.



ALLIANCE COLLEGE
SALUTES THE
POLISH
NATIONAL
ALLIANCE
HER FOUNDER AND BENEFACTOR



Siedzi ptaszek na drzewie.

Siedzi ptaszek na drzewie
I ludziom się dziwuje,
Że najmędrszy z nich nie wie,
Gdzie się szczęście znajduje.

Bo szukają dokoła
Tam, gdzie nigdy nie bywa.
Pot się leje im z czoła,
Cierń im stopy rozrywa.

Trwonią życia dzień jasny
Na zabiegi i żale:
Tylko w piersi swej własnej
Nie szukają go wcale!

W nienawiści i kłótni
Wydzierają coś sobie —
Aż zmęczeni i smutni
Idą przespać się w grobie.

A więc, siedząc na drzewie,
Ptaszek dziwi się bardzo;
Chciałby przestrzedz ich w śpiewie..
Lecz przestrogą pogardzą.

Adam Asnyk.



Słonko.

Wędrowało sobie słonko,
Uśmiechnięte, jasne, złote:
Szło nad gajem, szło nad łąką —
Napotkało w łzach sierotę.

Ten się żali: „Tak wesoło
Świecisz światu, słonko moje;
Uśmiechami sypiesz wkoło,
Gdy ja smutny we łzach stoję.

Obojętnie patrzysz na to
Jak się ludzkie serca męczą…
I nad każdą ludzką stratą
Promienistą błyskasz tęczą."

Słonko na to: „Biedne dziecię!
I mnie smutno na niebiosach,
Gdy o waszym myślę świecie
I o ludzi ciężkich losach.

Lecz nie mogę ustać w drodze,
By nad każdą boleć raną:
Więc w złocistym blasku chodzę,
Wypełniając co kazano.

Nie pomogą próżne żale…
Ból swój niebu trza polecić —
A samemu wciąż wytrwale
Trzeba naprzód iść… i świecić!"

Adam Asnyk.



ALFABETYCZNY WYKAZ IMION ŚWIĘTYCH

A

Abdona Męczennika 30 Lipca
Adama 24 Grudnia
Adelajdy 10 Grudnia
Adolfa Biskupa 17 Czerwca
Adryana Męczen. 9 Września
Agapita Męczen. 18 Sierpnia
Agatona Papieża 10 Sstycznia
Agnieszki P-ny Męcz. 21 Sty.
Agaty Panny Męcz. 5 Lutego
Agrypiny 23 Czerwca
Albina Biskupa 1 Marca
Albiny Panny 16 Grudnia
Alexandra M. w Rzymie 26 Lutego
Alexandra Męcz. 3 Maja
Alexandra M. w Alex 12 Grudnia
Alexego Wyznawcy 17 Lipca
Alfonsa 2 Sierp. i 22 Paźdz.
Alfreda 3 Lipca
Alodji P. M. 21 Października
Alojzego Gonzagi 21 Czerwca
Amelii księżnej 10 Lipca
Ambrożego Biskupa 7 Grud.
Amalii Panny 2 Marca
Anastazego M. 22 Stycznia
Anastazego Papieża 27 Lutego
Anastazego Wyznaw. 29 Mar.
Anastazji Panny 27 Lutego
Anastazji Rzymian. 26 Paźdz.
Anatoli Męczenniczki 9 Lipca
Anatoliusza Biskupa 3 Lipca
Andrzeja Apostoła 30 Listop.
Andrzeja Polaka Pust. 6 Maja
Andrzeja z Krety 7 Paźdz.
Angeli Mer. P. 31 Maja
Angeli 30 Marca
Anny Matki N.M.P. 26 Lipca
Aniołów Stróżów 2 Paźdz.
Ansgarego Biskupa 4 Lutego
Antoniego Opata 17 Stycznia
Antoniego Padew. 13 Czerw.
Antonina Arcybis. 10 Maja
Antoniny 16 Grudnia
Anzelma 23 Kwietnia
Apolinarego Biskupa 23 Lipca
Apolonii Pan. Męcz. 9 Lutego
Apoloniusza Męcz. 18 Kwiet.
Arkadyusza Męcz. 12 Stycz.
Arseniusza Biskupa 19 Lipca
Artura Biskupa 6 Paździer.
Atanazego Biskupa 2 Maja
Augusta Wyznawcy 3 Sierp.
Augustyna Biskupa 28 Sierp.
Aurelii Panny 25 Września
Awita Męczennika 12 Stycznia

B

Balbiny Panny 31 Marca
Barlaama 27 Listopada
Barbary Panny 4 Grudnia
Barnaby Apostoła 11 Czerw.
Bartłomieja Apost. 14 Sierp.
Bazylego Biskupa 14 Czerw.
Beaty Panny 8 Marca
Bedy Kapłana 27 Maja
Benedykta Opata 21 Marca
Benigny Panny 19 Sierpnia
Benona Biskupa 16 Czerwca
Bernarda Opata 20 Sierpnia
Barnarda Seneńskiego 30 Maja
Bibianny Panny 2 Grudnia
Błażeja Biskupa 7 Lutego
Bogumiła 10 Czerwca
Bonawentury Kard. 14 Lipca
Bonifacego Męczen. 14 Maja
Bonifacego Biskupa 5 Czerw.
Bonifacego B. Forent. 30 Maja
Bony Panny 24 Kwietnia
Bronisławy 18 Sierpnia
Brunona Wyznawcy 6 Paźdz.
Brygidy Panny 1 Lutego
Brygidy Wdowy 8 Paździer.

C

Cecylii Panny Męcz. 22 List.
Celestyna 6 Kwietnia
Celsa Męczennika 28 Lipca
Cezaryusza Biskupa 27 Sierp.
Cypriana Biskupa 16 Wrześ.
Cypriana Męcz. 26 Września
Cyrylla Biskupa 10 Marca
Cyrylla Biskupa 9 Lipca
Cyrylla Diakona 22 Marca
Cyriaka Kapłana 16 Marca
Cyriaka Męczennika 8 Sierp.
Czesława Wyznawcy 20 Lipca
Czterdziestu Męcz. 10 Marca
Czterech koronatów 8 Listop.

D

Damazego Papieża 11 Grudnia
Damiana Męcz. 27 Września
Daniela Męczennika 3 Stycz.
Daniela Proroka 21 Lipca
Dawida Króla 30 Grudnia
Dezyderiusza Biskup. 21 Maja
Domiceli Panny 7 Maja
Dominika Wyznaw. 4 Sierp.
Dominiki Panny 6 Lutego
Donata Pustelnika 17 Lutego
Doroteusza Męczen. 28 Marca
Doroty Panny 6 Lipca
Dydaka Wyzn. 12 Listopada
Dygny 11 Sierpnia
Dionizego Biskupa 8 Kwiet.
Dionizego Męczen. 9 paźdz.

E

Edmunda Biskupa 16 Listop.
Edyty Królewny 15 Grudnia
Edwarda Króla 13 Paździer.
Eleonory Panny 21 Lutego
Eliasza Proroka 20 Lipca
Eligiusza Biskupa 1 Grudnia
Elizeusza Proroka 2 Paźdz.
Elżbiety Wdowy 8 Lipca
Elżbiety Panny 5 Listopada
Elżbiety Królow. 19 Listop.
Emeryka Królew. 5 Listop.
Emiliana Biskupa 11 Wrześ.
Emilianny 5 Stycznia
Emilii 30 Czerwca
Engielberta 7 Listopada
Epifaniusza Bisk. 7 Kwietnia
Erazma Biskupa 2 Czerwca
Estery Królowej 18 Listop.
Euchariusza Bisk. 20 Lutego
Eudoxiusza M. 5 Września
Eufenii Panny 16 Września
Eufrozyny Męcz. 3 Września
Eufrozyny Panny 11 Lutego
Eugenii P. M. 24 Grudnia
Eugeniusza 18 Listopada
Eugeniusza Bisk. 30 Grudnia
Eulalii Panny 10 Grudnia
Eustachiusza Męcz. 20 Wrześ.
Euzebii P. M. 29 Października
Euzebiusza W. 14 Sierpnia
Euzebiusza Bisk. 16 Grudnia
Ewarysta Papieża 26 Paźdz.
Ewy 24 Grudnia
Ezechiasza Króla 30 Paźdz.
Ezechiela Proroka 20 Kwiet.

F

Fabiana 20 Stycznia
Faustyny Męczen. 15 Lutego
Faustyny Wdowy 19 Grudnia
Felicjana Biskupa 24 Stycznia
Felicjana Męczen. 9 Czerwca
Feliksa Kapucyna 18 Maja
Feliksa Papieża 30 Maja
Feliksa z Noli 18 Stycznia
Feliksa Męczen. 30 Sierpnia
Feliksa Walezy 20 Listopada
Ferdynanda Króla 30 Maja
Filipa Apostoła 1 Maja
Filipa Neriusza 26 Maja
Filipa Benicjusza 23 Sierpnia
Filomeny P-ny Męcz. 5 Lipca
Flawiana Męcz. 25 Lutego
Flawii Panny 5 Października
Floriana Męczennika 4 Maja
Floriana Męcz. 17 Paździer.
Florentyna Bisk. 16 Paździer.
Fortunata Męcz. 26 Lutego
Franciszka Borg. 10 Paźdz.
Franciszka Salezego 29 Kwiet.
Franciszka a Paulo 2 Kwiet.
Franciszka Seraf 4 Paździer.
Franciszka Ksaw. W. 3 Grud.
Franciszki Wdowy 9 Marca
Fryderyka Opata 5 Marca
Fulgentego Biskupa 1 Stycz.

G

Gabriela Archanioła 18 Marca
Gaudencji Panny 30 Sierpnia
Gaudentego Bisk. 12 Lutego
Gawła Opata 16 Października
Gedeona Sędziego 18 Czerw.
Genowefy Panny 3 Stycznia
Gerarda Biskupa 24 Września
Germana Biskupa 24 Wrześ.
Germana Biskupa 28 Maja
Gertrudy Panny 17 Marca
Gerwazego 19 Czerwca
Gotfreda (Bogumiła) 13 Sty.
Gotfreda Biskupa 8 Listop.
Graciana Biskupa 18 Grudnia
Grzegorza Biskupa 4 Stycznia
Grzegorza Papieża 12 Marca
Grzegorza Naziańskiego 9 Maja
Grzegorza Cudotwór. 18 List.
Gustawa 2 Sierpnia
Gwidona Wyznaw. 12 Wrześ.

H

Heleny Cesarzowej 2 Marca
Heleny Królowej 22 Maja
Heliodora 3 Lipca
Henryka Cesarza 15 Lipca
Henryka 19 Stycznia
Hermenegilda M. 13 Kwiet.
Hermogenesa 19 Kwietnia
Hiacynty Panny 30 Stycznia
Higina Papieża 11 Stycznia
Hilarego 14 Stycznia
Hieronima Dr. Kościoła 30 Września
Hipolita 13 Sierpnia
Honoraty Panny 12 Stycznia
Huberta Biskupa 3 Listopada
Hugonota 1 Kwietnia

I

Idy Panny 13 Kwietnia
Idziego Opata 1 Września
Ignacego Biskupa 1 Lutego
Ignacego Lojoli Wyznawcy 31 Lipca
Ildefonsa 23 Stycznia
Imienia Jezus 19 Stycznia
Imienia Marii 14 Września
Inocentego Papieża 28 Lipca
Ireneusza Smyrneńskiego 25 Marca
Ireneusza Męcz. 15 Grudnia
Ireny Panny 20 Października
Iwona Wyznawcy 19 Maja
Izabeli Panny 15 Marca
Izabeli Królowej 3 Września
Izajasza Proroka 6 Lipca
Izydora Biskupa 4 Kwietnia
Izydora Oracza 10 Maja

J

Jacka Wyznawcy 18 Sierpnia
Jadwigi Wdowy 16 Paździer.
Jakóba Apostoła 1 Maja
Jakóba Apostoła 25 Lipca
Jakóba Patriarchy 21 Kwiet.
Jakóba z Nizybu 15 Lipca
Jakóba Pustelnika 17 Lutego
Jana Jałmużnika 23 Stycznia
Jana Chryzostoma 27 Stycz.
Jana Franciszka 16 Czerwca
Jana z Matty Wyzn. 8 Lutego
Jana Bożego 8 Marca
Jana w Oleju 6 Maja
Jana Nepomucena 16 Maja
Jana Papieża 27 Maja
Jana Chrzciciela 24 Czerwca
Jana Męczennika 26 Czerwca
Jana Gwalberta 12 Lipca
Jana z Dukli 7 Lipca
Jana Kantego 27 Października
Jana Kapistrana W. 23 Paźdz.
Jana od Krzyża 24 Listop.
Jana Ewangelisty 27 Grud.
Januariusza Bisk. 19 Wrześ.
Jerzego Męczen. 24 Kwietnia
Joachima Ojca NMP. 1 Wrześ.
Joanny Wdowy 24 Maja
Joanny Fremiot 21 Sierpnia
Jordana Wyznawcy 13 Lutego
Jowity Męczen. 15 Lutego
Józefa Obl. N.M.P. 19 Marca
Józefa Kalasant. W. 4 Lipca
Józefa z Kopertynu 18 Wrześ.
Judy Tadeusza Ap. 28 Paźdz.
Judyty Wdowy 16 Listopada
Juliana Męczen. 27 Stycznia
Juliana Męczen. 13 Lutego
Julianny Panny 16 Lutego
Julii Panny Męcz. 22 Maja
Juliusza Papieża 12 Kwietnia
Julity P. M. 30 Lipca
Justa Biskupa 2 Września
Justyna Męczen. 17 Września
Justyniana Bisk. 5 Września
Justyny Panny Męcz. 7 Paźdz.
Juwencjusza Męcz. 1 Czerw.

K

Kaja Męczen. 22 Kwietnia
Kajetana Wyznaw. 7 Sierp.
Kalixta Papieża 14 Paźdz.
Kamilla Wyznawcy 18 Lipca
Kandyda Męcz. 9 Paździer.
Kanuta Króla 19 Stycznia
Karola W. Cesarza 28 Stycz.
Karola Boromeusza 4 Listop.
Karoliny 5 Lipca
Kassjana Męczen. 13 Sierpnia
Kasyldy 15 Kwietnia
Katarzyny Szwedzkiej 23 Mar.
Katarzyny Seneńskiej 30 Kw.
Katarzyny Panny M. 25 List.
Katedry św. Piotra w Rzymie 18 Stycznia
Kat. św. Pawła w Antiochii 22 Lutego
Kazimierza Królew. 4 Marca
Kiliana Biskupa 8 Lipca
Klary Panny 12 Sierpnia
Klety Papieża 23 Listopada
Klemensa Bisk. Męcz. 13 Lut.
Klemensa Papieża 23 Listop.
Kleofona Męczen. 25 Wrześ.
Klotyldy Królowej 6 Czerw.
Kolety Panny 6 Marca
Konstancji Panny M. 18 Lut.
Konstantyna Wyzn. 11 Marca
Konstancji 12 Kwietnia
Konrada Wyznaw. 19 Lutego
Konrada Bisk. 26 Listopada
Korduli Panny 22 Paździer.
Korneli Męczen. 31 Marca
Kozmy Męczennika 27 Wrześ.
Kryspina i Kryspianina 27 Października
Krystyny Panny 24 Lipca
Krzysztofa Męcz. 25 Lipca
Kunegundy Cesarz. 3 Marca
Kunegundy Królow. 28 Lipca
Kwiryna Męczen. 20 Marca

L

Lamberta 16 Kwietnia
Larga Męczennika 8 Sierpnia
Leandra Bisk. W. 27 Lutego
Leokadii Panny 9 Grudnia
Leona I Papieża 11 Kwietnia
Leona XI Papieża 8 Czerw.
Leonarda Wyznaw. 5 Listop.
Leonilii Panny M. 18 Stycz.
Leontyny Panny 15 Marca
Leopolda Margr. 15 Listopad.
Longina Męczen. 15 Marca
Lusjana Męczen. 7 Stycznia
Lucyny Panny 30 Czerwca
Lucyny Męcz. 17 Paździer.
Ludgardy Panny M. 16 Czerw.
Lugdera Biskupa 26 Marca
Ludomira 3 Października
Ludwika Wyznaw. 12 Lutego
Ludwika Króla Syc. 19 Sierp.
Ludwika Króla 25 Sierpnia
Ludwiki Panny 15 Kwietnia

Ł

Ładysława z Gieln. 22 Wrześ.
Łazarza Biskupa 17 Grudnia
Łucji Panny 13 Grudnia
Łukasza Ewang. 18 Paźdz.

M

Macieja Apostoła 25 Lutego
Magdaleny 25 Maja i 22 Lipca
Makarego Opata 2 Stycznia
Makryny M. 21 Lipca
Małgorzaty Kr. Węgierskiej 13 Lipca
Małgorzaty Kr. Szw. 10 Czer.
Małgorzaty P. Męcz. 20 Lipca
Mamerta Biskupa 11 Maja
Mansweta Biskupa 28 Listop.
Marcella Papieża 16 Stycznia
Marcelli Wdowy 31 Stycznia
Marcellana Papieża 18 Czerw.
Marcellina Papieża 26 Kwiet.
Marcina Biskupa 11 Listop.
Marcina Papieża 12 List.
Marcjana Męcz. 17 Kwietnia
Marcjanny P. Męcz. 9 Stycz.
Marka Ewangelisty 25 Kwiet.
Marka Męczennika 24 Marca
Marka z Rzymu M. 18 Czerw.
Marty Panny 29 Lipca
Martyny Panny 30 Stycznia
Marty Męczen. 19 Stycznia
Marii Egipcjanki 10 Kwietnia
Marii z Engii 23 Czerwca
Marii Kleofy 9 Kwietnia
Marii Magdaleny we Fl. 31 Maja
Marii Magdaleny w Jeroz. 22 Lipca
Mariusza 19 Stycznia
Mateusza Apostoła 21 Wrześ.
Matyldy Królowej 14 Marca
Mauryciusza 22 Września

Maurycego 13 Września
Maksymiliana Bisk. 12 Paźdz.
Maxymina Bisk. 3 Czerwca
Medarda Bisk. 3 Czerwca
Melanii P. M. 18 Lutego
Metodego B. W. 10 Marca
Michała Arch. 29 Września
Mikołaja z Tolent. 10 Wrześ.
Mikołaja Biskupa 6 Grudnia
Mirona Męczen. 17 Sierpnia
Młodzianków 28 Grudnia
Modesty Panny 15 Czerwca
Moniki Wdowy 4 Maja

N

Narcyza Biskupa 20 Paźdz.
Narodzenie Chrystusa 25 Grudnia
Narodzenie N.P.M. 8 Wrześ.
Natalji Panny 27 Lipca
Nawróc. św. Pawła 25 Stycz.
Nazarjusza M. 12 Czerwca i 28 Lipca
N. M. Anielskiej 2 Sierpnia
N. M. P. Bolesnej 4 Kwiet.
N. M. P. od wyzw. niew. 24 Września
N.M.P. Loretańskiej 10 Grud.
N. M. P. Łaskawej 11 Maja
N. M. P. Różańcowej 6 Paźdz.
N. M. P. Śnieżnej 5 Sierpnia
N. M. P. Szkaplerz. 16 Lipca
Nawiedzenie N. M. P. 2 Lipca
Nemezjusza Męcz. 19 Grud.
Nicefora Męczen. 29 Lutego
Nicefora Biskupa 13 Marca
Niepok. Pocz. N.M.P. 8 Grud.
Nikodema Męcz. 15 Września
Norberta Biskupa 6 Czerwca

O

Oczyszczenie N.M.P. 2 Lutego
Ofiarowanie N.M.P. 21 List.
Oktawiana Męcz. 22 Marca
Olimpji 26 Marca
Onufrego Pustel. 12 Czerw.
Opieka św. Józefa 21 Kwiet.
Opieki N. M. P. 10 Listopada
Optata Biskupa 4 Czerwca
Ottona Biskupa 2 Lipca
Ottona Męczennika 16 Stycz.
Otylji Panny Męcz. 13 Grud.

P

Pafnucego Męcz. 19 Kwiet.
Pankracego 12 Maja
Pantaleona Męcz. 27 Lipca
Paschalisa 17 Maja
Paschazego Bisk. 22 Lutego
Patrycjusza Bisk. 17 Marca
Patrycji Męcz. 13 Marca
Paulina Biskupa 22 Czerwca
Pauliny Wdowy 26 Stycznia
Pawła Biskupa 22 Marca
Pawła Męcz. 26 Czerwca
Pawła I Pustel. 15 Stycznia
Pawła Apostoła 29 Czerwca
Pelagji Panny 11 Lipca
Pelagji Pokutnicy 12 Paźdz.
Petroneli 31 Maja
Pięciu ran. św. Franciszka 17 Września
Piotra Chryzologa 4 Grudnia
Piotra Egzorcysty 2 Kwietnia
Piotra Nolaski 31 Stycznia
Piotra Męczen. 29 Kwietnia
Piotra Celestyna 19 Maja
Piotra z Werony Męczen. 20 Kwietnia
Piotra i Pawła 29 Czerwca
Piotra w Okowach 1 Sierpnia
Piotra z Alkantary 19 Paźdz.
Piusa Papieża 5 Maja
Placydy Męcz. 5 Października
Placydy P. 11 Października
Podwyższenie św. Krzyża 14 Września
Polieukta Męczen. 21 Maja
Polikarpa Bisk. Męcz. 26 Sty.
Praxedy Panny 2 Lipca
Prokopa Męczennika 4 Lipca
Prokula Męczen. 1 Czerwca
Prospera Biskupa 25 Czerwca
Prota Męczen. 11 Września
Protazego 19 Czerwca
Pryma Męczen. 9 Czerwca
Pryski Panny 18 Stycznia
Przeniesienie św. Kazimierza 27 Sierpnia
Przeniesienie św. Wojciecha 20 Października
Pulcherji Męczennicy 7 Lipca
Pulcherji Panny 10 Września

R

Rafała Archanioła 24 Paźdz.
Rajmunda 23 Stycznia
Rajmunda Kard. 31 Sierp.
Reginy Panny 7 Września
Remigjusza Bisk. 1 Paźdz.
Roberta Opata 7 Czerwca
Rocha Wyznawcy 16 Sierpnia
Romana Opata 28 Lutego
Romana Męcz. 9 Sierpnia
Romany Panny 23 Lutego
Romualda Opata 7 Lutego
Rozalji Panny 4 Września
Rozesłanie Apost. 15 Lipca
Róży Panny 26 Sierpnia
Róży Limańskiej 30 Sierpnia
Rudolfa 17 Kwietnia
Rufy Męczenniczki 28 Listop.
Rufina Wyznawcy 19 Sierp.
Rufiny Panny 31 Sierpnia
Ruperta Biskupa 27 Marca
Ryszarda Biskupa 3 Kwietnia

S

Sabby Opata 5 Grudnia
Sabina Wyznawcy 11 Lipca
Sabiny Męcz. 27 Października
Salezego Męcz. 12 Sierpnia
Salomei Panny 17 Listopada
Salwiana 17 Marca
Saturnina Męcz. 29 Listopada
Saturniny Panny i Męczen. 4 Marca
Scholastyki Panny 10 Lutego
Ścięcie św. Jana Chrzciciela 29 Sierpnia
Serapiona Wyz. Męcz. 14 List.
Serca Pana Jezusa 7 Czerw.
Sergiusza Męcz. 24 Lutego
Serwacego Biskupa 13 Maja
Serwiliana Męcz. 20 Kwietnia
Seweryna Opata 8 Stycznia
Siedmiu Braci Śpiących 10 Maja
Sebastjana 20 Stycznia
Sennena Męcz. 30 Lipca
Sotera Papieża 22 Kwietnia
Spirydona Biskupa 14 Grud.
Stanisława Biskupa 8 Maja
Stanisława Kostki 13 Listop.
Stefana Kr. Węg. 2 Września
Sulpicjusza Męcz. 20 Kwiet.
Sygfryda B. M. 25 Lutego
Sylwerjusza 20 Czerwca
Sylwestra Papieża 31 Grud.
Sylwiana Biskupa 17 Lutego
Symforjana Męcz. 22 Sierp.
Synezjusza Męcz. 12 Grudnia
Syxta Papieża 28 Marca
Szczepana 1 Męcz. 26 Grud.
Szczepana Papieża 2 Sierpnia
Szymona z Lipnicy 28 Lipca
Szymona Apostoła 28 Paźdz.
Szymona z Edesy 5 Lipca

T

Tadeusza Apostoła 28 Paźdz.
Tarsylji Panny 24 Grudnia
Tekli Panny 23 Września
Telesfora Pap. Męcz. 5 Stycz.
Teobalda Pustelnika 1 Lipca
Teodora Męcz. 9 Listopada
Teodora Zakonnika 7 Stycz.
Teodory Męczen. 1 Kwietnia
Teodory Pokutnicy 11 Wrześ.
Teodezji Panny Męcz. 29 Maja
Teodozjusza Wyzn. 11 Stycz.
Teodoryka 1 Lipca
Teofila Biskupa 27 Kwietnia
Teofila Męczen. 20 Grudnia
Teresy Panny 15 Październ.
Tomasza z Akwinu 7 Marca
Tomasza z Wilan. 18 Wrześ.
Tomasza Apostoła 21 Grud.
Tomasza Kantuar. 29 Grud.
Trzech Króli 6 Stycznia
Tyburcjusza 14 Kwietnia
Tymoteusza B. M. 24 Stycz.
Tytusa Biskupa 4 Stycznia

U

Ubalda Biskupa 16 Maja
Urbana 25 Maja
Urszuli Panny 21 Paździer

W

Wacława Króla 28 Września
Walentego Kapł. Męcz. 14 Lut.
Walerego Bisk. 12 Grudnia
Walerego Męcz. 12 Września
Walerji Męcz. 5 Czerwca
Walerji Panny 9 Grudnia
Walerjana Męcz. 14 Marca
Wawrzyńca Męcz. 10 Sierp.
Wenantego Męcz. 18 Maja
Wenefrydy Panny 3 Listop.
Weroniki Panny 13 Stycznia
Weroniki z Julianu 17 Maja
Wiktora 1 Września
Wiktorji Panny 23 Grudnia
Wiktoryna Męcz. 6 Marca
Wiktoryna Biskupa 5 Wrześ.
Wiktora Biskupa Męcz. 2 List.
Wilhelma Arcyb. 10 Stycz.
Wilhelma Opata 6 Kwietnia
Wilhelma księcia 28 Maja
Wilibalda Biskupa 7 Lipca
Wilibrarda Biskupa 7 List.
Wincentego Biskupa 20 Marca
Wincentego Męcz. 22 Stycz.
Wincentego Fer. W. 5 Kwiet.
Wincentego a Paulo 19 Lipca
Wincentego Kadłubka 9 Paź.
Wita 15 Czerwca
Witalisa Męcz. 28 Kwietnia
Władysława Króla 27 Czerw.
Wniebowz. N. M. P. 15 Sierp.
Wojciecha Biskupa 23 Kwiet.
Wolfganga Biskupa 31 Paźdz.
Wszystkich Św. 1 Listopada

Z

Zacharjasza Proroka 6 Wrześ.
Zacharjasza Papieża 5 List.
Zaślubienie N. M. P. 23 Stycz.
Zefiryna Papieża 26 Sierp.
Zenobji Panny 30 Paździer.
Zenobiusza 30 Października
Zenona Żołnierza 22 Grudnia
Znalezienie św. Krzyża 3 Maja
Zofji z 3-ma córkami 15 Maja
Zuzanny P. Męcz. 11 Sierp.
Zwiastowanie NMP. 25 Marca
Zygmunta Króla 2 Maja

KALENDARZYK ŚWIĄT LEGALNYCH W STANACH ZJEDN.

Arbor Day. — Zwykle wyznaczany przez Gubernatora.
Armistice Day (Dzień Rozbrojenia) — 11 listopada.
Christmas Day (Boże Narodzenie) — 25 grudnia.
Columbus Day — 12 października.
Decoration Day, zobacz: Memorial Day.
Defense Day (Dzień Obrony) — 12 września.
Father's Day (Dzień Ojców) Trzecia Niedziela Czerwca
Flag Day — 14 lipca.
Independence Day (Dzień Niepodległości) — 4 lipca.
Indian Day. — Czwarty piątek we wrześniu.
Jeffersona urodziny — 13 kwietnia.
Labor Day (Dzień Pracy) — Pierwszy poniedziałek we wrześniu.
Lincolna urodziny — 12 lutego.
Memorial Day (Dzień Wieńczenia) — 30 maja we wszystkich stanach; w Alabama, Georgia, Florida i Mississippi 26 kwietnia; w North i South Carolina 10 maja.
Mother's Day (Dzień Matek) Druga niedziela w maju.
Nowy Rok — 1 stycznia.
Thanksgiving (Dzień Dziękczynienia) — Ostatni czwartek w listopadzie.
Washingtona urodziny — 22 lutego.

NARODOWE ŚWIĘTA RÓŻNYCH KRAJÓW

Argentyna — 25 maja.
Armenja — 28 maja.
Bałtyckie Kraje — 18 listopada.
Boliwja — 6 sierpnia.
Brazylja — 7 września.
Bułgarja — 5 października.
Chiny — 10 października.
Columbia — 20 lipca.
Costa Rica — 15 września.
Czechosłowacja — 28 października.
Ecuador — 10 sierpnia.
Finlandja — 6 grudnia.
Francja — 14 lipca.
Grecja — 7 kwietnia.
Guatemala — 15 września.
Haiti — 1 stycznia.
Honduras — 15 września.
Liberja — 26 lipca.
Meksyk — 16 września.
Nikaragua — 15 września.
Niemcy — 9 listopada.
Norwegja — 17 maja.
Panama — 28 listopada.
Paragwaj — 14 i 15 maja.
Peru — 28—30 lipca.
Polska — 3 maja.
Portugalja — 1 grudnia.
Rosja Sowiecka — 7-go listopada.
Salvador — 10 września.
Uruguaj — 28 lutego.
Wenezuela — 4 lipca.

ŚWIĘTA LEGALNE W KANADZIE

Nowy Rok — 1 stycznia.
Popielec.
Wielki Piątek.
Niedziela Wielkanocna.
Empire Day — 24 maja.
Dominion Day — 1 lipca.
Labor Day — Pierwszy poniedziałek we wrześniu.
Thanksgiving (Dzień Dziękczynienia) — Zwykle proklamowany na ostatni poniedziałek w październiku.
Christmas (Boże Narodzenie) — 25 grudnia.

TABELKA PORÓWNAWCZA TERMOMETRÓW

Fahrenheit	Celsius	Reaumur	Fahrenheit	Celsius	Reaumur	Fahrenheit	Celsius	Reaumur
212	100.	80.	122	50.	40.	32	0	0
210	98.9	79.1	120	48.9	39.1	30	— 1.1	— 0.9
208	97.8	78.2	118	47.8	38.2	28	— 2.2	— 1.8
206	96.7	77.3	116	46.7	37.3	26	— 3.3	— 2.7
204	95.6	76.4	114	45.6	36.4	24	— 4.4	— 3.6
202	94.4	75.6	112	44.4	35.6	22	— 5.6	— 4.4
200	93.3	74.7	110	43.3	34.7	20	— 6.7	— 5.3
198	92.2	73.8	108	42.2	33.8	18	— 7.8	— 6.2
196	91.1	72.9	106	41.1	32.9	16	— 8.9	— 7.1
194	90.	72.	104	40.	32.	14	—10.	— 8.
192	88.9	71.1	102	38.9	31.1	12	—11.1	— 8.9
190	87.8	70.2	100	37.8	30.2	10	—12.2	— 9.8
188	86.7	69.3	98	36.7	29.3	8	—13.3	—10.7
186	85.6	68.4	96	35.6	28.4	6	—14.4	—11.6
184	84.4	67.6	94	34.4	27.6	4	—15.6	—12.4
182	83.3	66.7	92	33.3	26.7	2	—16.7	—13.3
180	82.2	65.8	90	32.2	25.8	0	—17.8	—14.2
178	81.1	64.9	88	31.1	24.9	— 2	—18.9	—15.1
176	80.	64.	86	30.	24.	— 4	—20.	—16.
174	78.9	63.1	84	28.9	23.1	— 6	—21.1	—16.9
172	77.8	62.2	82	27.8	22.2	— 8	—22.2	—17.8
170	76.7	61.3	80	26.7	21.3	—10	—23.3	—18.7
168	75.6	60.4	78	25.6	20.4	—12	—24.4	—19.6
166	74.4	59.6	76	24.4	19.6	—14	—25.6	—20.4
164	73.3	58.7	74	23.3	18.7	—16	—26.7	—21.3
162	72.2	57.8	72	22.2	17.8	—18	—27.8	—22.2
160	71.1	56.9	70	21.1	16.9	—20	—28.9	—23.1
158	70.	56.	68	20.	15.	—22	—30.	—24.
156	68.9	55.1	66	18.9	15.1	—24	—31.1	—24.9
154	67.8	54.2	64	17.8	14.2	—26	—32.2	—25.8
152	66.7	53.3	62	16.7	13.3	—28	—33.3	—26.7
150	65.6	52.4	60	15.6	12.4	—30	—34.4	—27.6
148	64.4	51.6	58	14.4	11.6	—32	—35.6	—28.4
146	63.3	50.7	56	13.3	10.7	—34	—36.7	—29.3
144	62.2	49.8	54	12.2	9.8	—36	—37.8	—30.2
142	61.1	48.9	52	11.1	8.9	—38	—38.9	—31.1
140	60.	48.	50	10.	8.	—40	—40.	—32.
138	58.9	47.1	48	8.9	7.1	—42	—41.1	—32.9
136	57.8	46.2	46	7.8	6.2	—44	—42.2	—33.8
134	56.7	45.3	44	6.7	5.3	—46	—43.3	—34.7
132	55.6	44.4	42	5.6	4.4	—48	—44.4	—35.6
130	54.4	43.6	40	4.4	3.6	—50	—45.6	—36.4
128	53.3	42.7	38	3.3	2.7	—52	—46.7	—37.3
126	52.2	41.8	36	2.2	1.8	—54	—47.8	—38.2
124	51.1	40.	34	1.1	0.9	—56	—48.9	—39.1

PORÓWNANIE TERMOMETRÓW

Są trzy rodzaje termometrów czyli ciepłomierzy różniące się skalą stopni, a mianowicie: Najczęściej używany Fahrenheita, Reaumura i Celsiusa. Punkt marznięcia i punkt wrzenia wyrażone stopniami, w trzech wyż wspomnianych termometrach wykazują następującą różnicę:

Nazwa termometru	Punkt marznięcia wody	Punkt wrzenia wody
Fahrenheit	32	212
Reaumur	0	80
Celsius	0	100

Chcąc przemienić stopnie jednego na stopnie drugiego termometru postępuje się jak następuje:

Zamieniając Fahreinheita na Reaumura odciąga się od stopni Fahrenheita liczbę 32 a pozostałość mnoży przez 4/9 n.p. Termometr Fahrenheita wskazuje 68 stopni a chcemy się dowiedzieć ile jest stopni Reaumura więc od 68 odciągamy 32 pozostaje nam 36 te mnoży przez 4/9 i otrzymamy 16.

Przemieniając stopnie Fahrenheita na stopnie Celsiusa odciągamy od nich liczbę 32 a pozostałość mnożymy przez 5/9.

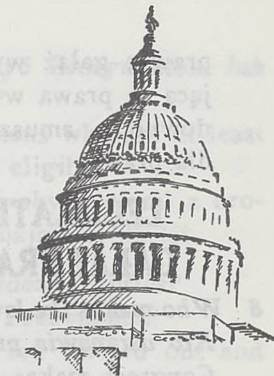
Przemieniając stopnie Reaumura w Fahrenheita mnożymy je przez 9/4 i dodajemy do iloczynu liczbę 32.

Stopnie Reaumura na Celsiusa zamieniamy mnożąc je przez pięć czwartych.

Celsiusa na Fahrenheita mnożąc przez 9/5 i dodając do iloczynu 32.

Celsiusa na Reaumura mnożąc przez 4/5.





Czy Starasz Się o Obywatelstwo?



Pytania i Odpowiedzi Najczęściej Zadawane Przy Egzaminie Obywatelskim

A. THE FORM OF OUR GOVERNMENT
A. FORMA NASZEGO RZĄDU

1. ***What is the form of our government?***
Jaką jest forma naszego rządu?
The United States is a republic.
Stany Zjednoczone są republiką.

2. ***What is a republic?***
Co to jest republika?
It is a government in which the people rule through officers whom they elect.
Jest to taki rząd, w którym rządzi lud przez obieranych przez ten lud urzędników.

3. ***What is the Constitution of the United States?***
Co to jest Konstytucja Stanów Zjednoczonych.
The Constitution is the supreme law of the United States.
Konstytucja jest to najwyższe prawo Stanów Zjednoczonych.

4. ***What does the Constitution provide for?***
Co ustanawia Konstytucja?
The Constitution provides for the organization of our government and the rights and duties of the people.
Konstytucja ustanawia organizację naszego rządu, oraz prawa i obowiązki ludu.

5. ***Can the Constitution be changed?***
Czy Konstytucja może być zmieniona?
Yes, by amending it. There are at present twenty-one amendments to the Constitution.
Tak jest, przez wprowadzenie do niej poprawek. Obecnie jest takich poprawek do Konstytucji dwadzieścia jedna.

6. ***How many branches are there in our government?***
Z ilu gałęzi składa się nasz rząd?
There are three branches.
Rząd nasz składa się z trzech gałęzi.

7. ***What are these three branches?***
Jakie są te trzy gałęzie rządu?
The legislative branch which makes the laws.
The executive branch which carries out the laws.
The judicial branch which enforces the laws.
G a ł ą ź prawodawcza, ustanawiająca

prawa; gałąź wykonawcza, wprowadzająca te prawa w wykonanie, i gałąź sądownicza, zmuszającą do posłuszeństwa dla prawa.

LEGISLATIVE BRANCH
GAŁĄŹ PRAWODAWCZA

8 ***Who makes the laws of the United States?***
Kto ustanawia prawa w Stanach Zjedn.?
Congress makes the laws.
Kongres ustanawia prawa.

9. ***How many parts has Congress?***
Z ilu części składa się Kongres?
There are two parts, the Senate or the Upper House, and the House of Representatives or the Lower House.
Z dwuch części: Senatu czyli Izby Wyższej, i Izby Reprezentantów, czyli Izby Niższej.

10. ***How many members has the Senate?***
Z ilu członków składa się Senat?
There are 100 Senators. Two are elected by the voters of each state. (Find out and memorize the names of the senators from your state).
Jest stu Senatorów. Wyborcy każdego stanu obierają dwuch senatorów. (Dowiedźcie się, jak się nazywają senatorowie z waszego stanu, i zapamiętajcie ich nazwiska.

11. ***Who presides over the Senate?***
Kto przewodniczy w Senacie?
The Senate is presided over by the Vice-President of the United States.
Przewodniczącym Senatu jest Wice-Prezydent Stanów Zjednoczonych.

12. ***For what term is a Senator elected?***
Na jaki termin jest obierany Senator?
His term of office is six years.
Termin urzędowania Senatora wynosi sześć lat.

13. ***The House of Representatives consists of how many members?***
Z ilu członków składa się Izba Reprezentantów?
There are 437 members of the House of Representatives.
Izba Reprezentantów składa się z 437 członków.

14. ***How many Representatives are there from each state?***
Ilu jest Reprezentantów czyli kongresmanów z każdego stanu?
In according to the number of people in each state. Not more than one for every 30,000 people in the state. (Find out the name of the Congressman from your district.)
Zależy to od liczby ludności w tym stanie. Nie więcej, niż jeden na każde 30,000 ludności w tym stanie. (Dowiedźcie się nazwisko kongresmana z waszego okręgu zapamiętajcie je.)

15. ***For what term is a Representative elected?***
Na jaki termin obierany jest Reprezentant?
His term of office is two years.
Termin urzędowania kongresmana wynosi dwa lata.

16. ***Who presides over the House of Representatives?***
Kto przewodniczy w Izbie Reprezentantów?
The House of Representatives is presided over by the Speaker, who is selected by all the members of the House of Representatives.
Przewodniczącym Izby Reprezentantów jest tak zwany Speaker, obierany przez wszystkich członków Izby Reprezentantów.

17. ***How are the laws of the United States made?***
Jak są ustanawiane prawa Stanów Zjednoczonych?
The laws must be passed by a majority of both Houses of Congress with the approval of the President, or by a two-thirds vote of Congress after a veto by the President.
Prawa muszą być uchwalone przez większość obu Izb Kongresu i otrzymać aprobatę (zatwierdzenie) Prezydenta, albo też, po veto Prezydenta, to jest odmowie aprobaty uchwalonego przez Kongres prawa, większością dwuch trzecich części głosów.

18. *What is the capitol of the United States?*
Jakie miasto jest stolicą Stanów Zjednoczonych?
Washington, D. C. (District of Columbia). This is where Congress meets, where the President stays and where the Supreme Court functions.
Washington, D. C. (District of Columbia). Tam zasiada Kongres, mieszka Prezydent i urzęduje Sąd Najwyższy.

EXECUTIVE BRANCH
GAŁĄŹ WYKONAWCZA

19. *Who is our Chief Executive?*
Kto jest naszym naczelnym urzędnikiem wykonawczym?
The President.

Prezydent.

20. *Who takes office if the President dies?*
Kto obejmuje urząd Prezydenta w razie jego śmierci?
The Vice-President,

Wice-Prezydent.

21. *Who elects the President and Vice-President?*
Kto obiera Prezydenta i Wice-Prezydenta?
They are elected by the people.
Są obierani przez lud.

22. *Do the people vote directly for the President and Vice-President?*
Czy lud głosuje bezpośrednio na Prezydenta i Wice-Prezydenta?
No. They vote for their electors.
Nie. Lud głosuje na ich elektorów.

23. *For what term are the President and Vice-President elected?*
Na jaki termin obierany jest Prezydent i Wice-Prezydent?
Their term of office is four years.
Termin ich urzędowania wynosi cztery lata.

24. *Is anyone eligible to be the President or Vice-President?*
Czy każdy może być Prezydentem lub Wice-Prezydentem?
All native-born citizens who are at least 35 years of age are eligible.
Nie. Muszą oni być obywatelami z urodzenia, w wieku conajmniej 35 lat.

25. *What are the President's duties?*
Jakie są obowiązki Prezydenta?
He sees that laws are carried out and approves them before they become laws. He also appoints certain officials and he is the Commander-in-Chief of the Army and Navy.
Dogląda on wykonywania praw oraz aprobuje je, zanim staną się prawem. Prócz tego mianuje on niektórych urzędników oraz jest Naczelnym Wodzem Armii i Floty.

26. *How does he carry out the laws?*
W jaki sposób Prezydent wykonuje prawa?
By appointing a cabinet and judges with the consent of the Senate.
Przez mianowanie Gabinetu oraz sędziów, za zgodą Senatu.

27. *What is the Cabinet?*
Co to jest Gabinet?
The cabinet consists of ten secretaries appointed by the President to be the heads of the Executive departments. They advise the President and administer the laws.
Członkami Gabinetu jest dziesięciu Sekretarzy Departamentów Wykonawczych, mianowani przez Prezydenta na naczelników departamentów wykonawczych. Są oni doradcami Prezydenta i administratorami praw.

JUDICIAL BRANCH
GAŁĄŹ SĄDOWA

28. *What is the highest court in the United States?*
Jaki jest najwyższy sąd w Stanach Zjednoczonych?
It is the Supreme Court, which has nine justices, appointed by the President for life.
Jest to Sąd Najwyższy, który składa

się z dziewięciu sędziów, mianowanych przez Prezydenta dożywotnio, to jest na całe życie.

29. *What is the function of the Courts?*
Jakie są czynności sądów?
They enforce the laws and interpret them.
Przymuszanie do posłuszeństwa prawom oraz ich interpretowanie, czyli tłumaczenie znaczenia praw.

STATE GOVERNMENT
RZĄD STANOWY

30. *Who makes the laws in the 48 states?*
Kto ustanawia prawa w 48 stanach poszczególnych?
The state legislatures.
Stanowe legislatury.

31. *What does the state legislature consist of?*
Z czego się składa legislatura stanowa?
Generally an upper house called the Senate, and a lower house called the Assembly or House of Representatives.
Legislatura stanowa składa się zazwyczaj z Izby Wyższej, zwanej Senatem stanowym, oraz z Izby Niższej, zwanej Zgromadzeniem lub Izbą Reprezentantów.

32. *Who is the chief executive of each state?*
Kto jest naczelnym urzędnikiem wykonawczym w każdym stanie?
The Governor. (Find out and memorize the name of your governor and for how long he is elected.)
Gubernator. (Dowiedzcie się, jak się nazywa gubernator waszego stanu oraz na jaki termin jest on obierany i zapamiętajcie to.)

33. *What is the highest state law?*
Co jest najwyższem prawem stanowem?
The State Constitution.
Konstytucja Stanowa.

MUNICIPAL GOVERNMENT
RZĄD MUNICYPALNY

34. *Outside of federal and state, what goverments have we?*
Prócz rządu federalnego i rządów stanowych jakie mamy jeszcze rządy?
Municipal government generally headed by a mayor. (Find out the name of your mayor and the term of his office.)
Rządy municypalne, na których czele stoi zazwyczaj major. (Dowiedzcie się, jak się nazywa wasz mayor i na jaki termin jest obierany i zapamiętajcie to.)

B. HISTORY OF THE UNITED STATES
B. HISTORIA STANÓW ZJEDN.

35. *Who discovered America?*
Kto odkrył Amerykę?
Christopher Columbus, an Italian explorer, discovered America in 1492.
Krzysztof Kolumb, żeglarz włoski, odkrył Amerykę w roku 1492.

36. *Who was George Washington?*
Kto był Jerzy Washington?
George Washington is known as the Father of Our Country. He was the first president of the United States. He was the leader of our army during the Revolutionary War, which was fought to free us from England.
Jerzy Washington znany jest, jako Ojciec Kraju Naszego. Był on pierwszym Prezydentem Stanów Zjednoczonych. On to był wodzem armii naszej podczas Wojny Rewolucyjnej, stoczonej dla uwolnienia nas od panowania Anglii.

37. *What is the Declaration of Independence?*
Co to jest Deklaracja Niepodległości?
It is a document, written by Thomas Jefferson who later became President of the United States, which declared our independence from England and laid down the principles of liberty, equality and justice for our democratic government.
Jest to dokument, napisany przez Tomasza Jeffersona, który później został Prezydentem Stanów Zjednoczonych, obwieszczający naszą niepodległość od Anglii i wykładający zasady wolności, równości i sprawiedliwości dla naszego rządu demokratycznego.

38. ***When was the Declaration of Independence adopted?***

Kiedy została przyjęta Deklaracja Niepodległości?

The Declaration of Independence was adopted on July 4th, 1776 in Philadelphia. We therefore celebrate the Fourth of July as Independence Day.

Deklaracja Niepodległości została przyjęta 4 Lipca, 1776 roku w Filadelfii. Dlatego obchodzimy 4 Lipca jako Dzień Niepodległości.

39. ***Who was Abraham Lincoln?***

Kto był Abraham Lincoln?

Abraham Lincoln was President during the Civil War, which was fought to preserve the United States from disruption and to free the slaves.

Abraham Lincoln był Prezydentem podczas Wojny Domowej, toczonej o zachowanie Stanów Zjednoczonych od rozbicia i o uwolnienie niewolników.

40. ***Who was Woodrow Wilson?***

Kto był Woodrow Wilson?

Woodrow Wilson was President during the World War I.

Woodrow Wilson był Prezydentem podczas I-ej Wojny Światowej.

41. ***The American flag has how many colors in it?***

Ile kolorów ma sztandar amerykański i jakie?

Three: Red, white and blue.

Trzy: czerwony, biały i niebieski.

42. ***How many stars and stripes are there in the American flag?***

Ile gwiazd i pasów jest na sztandarze amerykańskim?

50 stars, one for each of the 50 states, and 13 stripes, one for each of the 13 original states.

50 gwiazd, po jednej dla każdego z 50 stanów, i 13 pasów po jednym dla każdego z 13 stanów pierwotnych.

43. ***What are the names of the 13 original states?***

Które stany zaliczają się do 13 stanów pierwotnych?

New Hampshire, Massachusetts, Connecticut, New York, Rhode Island, Pennsylvania, New Jersey, Maryland, Delaware, Virginia, North Carolina, South Carolina and Georgia.

New Hampshire, Massachusetts, Connecticut, New York, Rhode Island, Pennsylvania, New Jersey, Maryland, Delaware, Virginia, North Carolina, South Carolina i Georgia.

C. RIGHTS AND DUTIES OF CITIZENS

C. PRAWA I OBOWIĄZKI OBYWATELI

44. ***What is the most important right of a citizen?***

Jakie jest najważniejsze prawo obywatela?

The right to vote.

Prawo głosowania.

45. ***What does the citizen do by voting?***

Czego dokonuje obywatel, głosując?

He participates in the government of the the United States by electing Senators and Representatives to Congress who make the laws, and by electing the President who administers the laws and appoints judges to enforce them.

Bierze on udział w rządzie Stanów Zjednoczonych przez obiór Senatorów i Reprezentantów do Kongresu, którzy ustanawiają prawa w Kongresie, i przez obiór Prezydenta, który zawiaduje administracją praw oraz mianuje sędziów dla ich przestrzegania.

46. ***Can the Constitution be changed?***

Czy Konstytucja może być zmieniona?

Yes. It may be changed by the will of the people, in a lawful way, prescribed in the Constitution itself.

Tak jest. Może ona być zmieniona wolą ludu w drodze praworządnej, przepisanej w samej Konstytucji.

47. ***What is the Bill of Rights?***

Co to jest Statut Praw?

The first ten amendments to the Constitution are called the Bill of Rights.

Pierwsze dziesięć poprawek do Konstytucji zwane jest Statutem Praw.

48. *What rights are guaranteed by the Bill of Rights?*

Jakie prawa zagwarantowane są Statutem Praw?

Freedom of religion, freedom of speech, freedom of the press, trial by jury. Also, the right to peaceably assemble. Life, liberty and property can be taken only after a trial in accordance with the law.

Wolność religii, wolność słowa, wolność prasy, sąd przez Ławę przysięgłych, jakoteż prawo spokojnego zgromadzania się. Życie, wolność i własność mogą zostać odebrane tylko po osądzeniu na mocy prawa.

49. *What do other amendments to the Constitution provide?*

Co ustanawiają inne poprawki do Konstytucji?

There shall be no slavery. That women shall have the right to vote. In other words, equal rights for all without regard to color, creed or sex.

Że nie może być niewolnictwa. Że kobiety posiadają prawo głosowania. Innemi słowy, równe prawa dla wszystkich bez różnicy koloru skóry, wyznania lub płci.

50. *What are the duties of citizens?*

Jakie są obowiązki obywateli?

To uphold the Constitution and the laws of the United States and to defend the country against outside and inside enemies.

Podtrzymywać Konstytucję i prawa Stanów Zjednoczonych oraz bronić kraju od wrogów zewnętrznych i wewnętrznych.



Jan Adamczewski

W Toruńskim Muzeum Kopernika

11 maja 1830 roku odbyła się w Warszawie uroczystość odsłonięcia pomnika Mikołaja Kopernika dłuta Bertela Thorvaldsena. Pod pomnikiem wmurowano pochwałę wielkiego astronoma, napisaną przez wybitnego ówczesnego uczonego, filozofa, matematyka i również astronoma —Jana Śniadeckiego, a przetłumaczoną na trzy języki. Uroczyste przemówienie wygłosił poeta i dramaturg, uczony i działacz polityczny — Julian Ursyn Niemcewicz. Uroczystość nie przebiegła jednak w zupełnej harmonii, gdyż misjonarze warszawscy ciągle jeszcze nie uznawali "bezbożnej teorii' Kopernika i w związku z tym nie zgodzili się na odprawienie mszy na jego intencję, ani nie dopuścili do ołtarza rektora Uniwersytetu Warszawskiego — księdza Zygmunta Szwejkowskiego.

Ale pomnik stał i nieraz był miejscem, w którym oddawano cześć wielkiemu uczonemu. M. in. w 1855 roku Jan Baranowski, dyrektor Obserwatorium Astronomicznego w Warszawie i pierwszy tłumacz łacińskiego dzieła Kopernika na język polski, w towarzystwie grona przyjaciół złożył na cokole pomnika pierwszy egzemplarz opracowanego przez siebie zbioru dzieł Kopernika pt. "Mikołaya Kopernika Toruńczyka o obrotach ciał niebieskich ksiąg 6. Nadto opowiadanie pierwsze J. Joachima Retyka, różne pisma mniejsze M. Kopernika teraz zebrane i życiorys jego". Książka leżała tam kilka dni, aż ktoś ją sobie zebrał.

A znów 19 lutego 1873 roku — w 400 rocznicę urodzin Kopernika — odbyła się przy jego pomniku uroczystość nazwana przez ówczesną prasę "uwieńczeniem" uczonego; po specjalnie zbudowanych schodkach weszło na pomnik kilku ubranych w tużurki panów i uwieńczyło głowę astronoma pozłacanym wieńcem. W tym samym czasie "Tygodnik Ilustrowany" zaapelował do swoich czytelników o składanie ofiar na stypendium im. Mikołaja Kopernika dla wyróżniającego się zdolnościami studenta. W ciągu roku (władze carskie zezwoliły prowadzić zbiórkę tylko przez rok) wpłynęły na ten cel 14,432 ruble i 54 kopiejki — nie tylko z kraju, lecz także od zesłańców politycznych z dalekiej Syberii. Tak więc doczekał się wreszcie Kopernik pomnika, choć jeszcze nie w swoim rodzinnym mieście.

Toruń nie zrezygnował z uczczenia swojego wybitnego syna prawdziwie godnym go monumentem. Wmurowany 20 września 1809 roku na Staromiejskim Rynku kamień węgielny doczekał się wreszcie swojego dalszego ciągu. Trzydzieści lat później powstał specjalny komitet, który nawiązał do inicjatywy Staszica i Rady Stanu Księstwa Warszawskiego. W 1853 roku przed starym toruńskim ratuszem stanął pomnik według projektu rzeźbiarza F. Tiecka. Na granitowym cokole z napisem: Nicolaus CopernicusThorunensis Terrae motor, Solis Coelique stator" (iMkołaj Kopernik, toruńczyk, który poruszył Ziemię, a zatrzymał Słońce i niebo) — stoi odlany w brązie Kopernik. Jedną ręką wskazuje niebo, a w drugiej trzyma astrolabium, czyli przyrząd do wyznaczania położenia ciał niebieskich.

Z wysokości swojego pomnika Mikołaj Kopernik patronuje miastu, w którym przyszedł na świat. W mieście tym — niewielkiem przecież, bo liczy sobie raptem 127 tys. mieszkańców (w r. 1950 — 80.6 tys.) — powstał w 1945 r. uniwersytet nazwany imieniem twórcy teorii o ruchu Ziemi. Jakkolwiek jest to uczelnia bardzo młoda, może się już ona poszczycić wieloma osiągnięciami.

Wśród licznych wydziałów i instytutów uniwersytetu toruńskiego poczesne miejsce zajmuje oczywiście Instytut Astronomii z Obserwatorium Astronomicznym i Zakładem Radioastronomii na czele. Mieści się on w Piwnicach pod Toruniem. Tam też zainstalowano największy dotychczas w Polsce teleskop Schmidta-Cassegraina średnicy lustra 90 cm.

Oczywiście, nie tylko Uniwersytet im. Mokołaja Kopernika czci w Toruniu pamięć "artysty nieba". Miasto, które do dziś ostało się jako autentyczny dokument architektury, układu urbanistycznego, zabytków kultury i historii tych czasów, gdy mieszkał tu i uczył się młody Mikołaj — jak potężny magnes przyciąga tysiące turystów. Chodzą oni tymi samymi wąskimi uliczkami, urokliwymi zaułkami, podziwiają stare kościoły i wysokie gotyckie kamieniczki, dawne śpichrze — które pamiętają czasy kupców-patrycjuszy, potężne mury i bramy miejskie, zwiedzają pierwszy dom rodzinny Mikołaja Kopernika.

Właśnie: zwiedzają dom rodzinny Kopernika. Ta pięknie odrestaurowana kamieniczka przy ul. Kopernika 17 stanowi obecnie część wielkiego toruńskiego Muzeum Epoki Kopernika. W jego skład wchodzi także sąsiednia kamieniczka pod numerem 15 oraz część pomieszczeń Ratusza Staromiejskiego.

Muzeum "zaczyna się" od kamieniczki przy ul. Kopernika 15. Wzniesiona około roku 1350, jest doskonale zachowanym przykładem XIVwiecznego budownictwa mieszczańskiego w Toruniu: autentyczna fasada, doskonale zachowany wewnętrzny układ, a także wiele elementów wyposażenia stolarskiego i polichromie — wszystko to pozwala zorientować się, jak wyglądały domy mieszczańskie w czasach, gdy żyli tu państwo Kopernikowie. Wnętrze kamieniczki, umeblowane stylowymi sprzętami, wypełnione odpowiednimi rycinami i zabytkowymi przedmiotami, ma — jak to określił prof. Jerzy Remer, do niedawna dyrektor Muzeum — "oddawać atmosfere i klimat życia mieszczańskiego i stosunków toruńskiego środowiska z XV wieku, które z pewnością zaważyły na kształtowaniu się umysłowości Mikołaja Kopernika". Tu także znajduie się biblioteka z dziełami Kopernika i o Koperniku, z fotokopiami najważniejszych książek, które niegdyś stanowiły księgozbiór fromborski, a obecnie znajdują się w Uppsali w Szwecji, dokąd wywiozły je wojska szwedzkie jako łup wojenny w czasie najazdu na Polskę w XVII wieku.

Ekspozycję w kamienicy pod numerem 17, a więc we właściwym domu Kopernika, pjoświęcono życiu uczonego. Gromadzi się tu wszystko co dotyczy i obrazuje jego dzieciństwo, studia, wielostronną działalność, dokumenty rodzinne, a także instrumentarium astronomiczne.

Trzecia część Muzeum, mieszcząca się w Ratuszu Staromiejskim, obejmuje trzy sale I piętra wraz z dwoma pomieszczeniami za Wielką Salą Mieszczańską i całe zachodnie skrzydło II piętra. Zgromadzone tu eksponaty — portrety ówczesnych burmistrzów i rajców, uczonych i mecenasów, patrycjuszy toruńskich, przedmioty rzemiosła artystycznego, sztuka średniowieczna, dokumenty dotyczące udziału rodziny Kopernika w wojnach z Zakonem krzyżackim i jej działalności we władzach miasta Torunia — przekazują nam klimat owej epoki Ma tu także powstać galeria wizerunków Kopernika w malarstwie, rzeźbie, grafice i medalierstwie.

Parę zaledwie kroków od rodzinnego domu Kopernika, w późnogotyckiej kamienicy na rogu ul. Św. Ducha i Kopernika, ozdobionej ornamentami z zielonej glazury i kamienia, ma swoją siedzibę Towarzystwo Miłośników Torunia. Skupia ono ludzi różnych profesji, ale połączonych wspólnym umiłowaniem nadwiślańskiego grodu i jego historii, staraniem o to, by było ono coraz piękniejsze, by w rytmie współczesnego życia nic nie utraciło ze swoich starych piękności, aby nadal zachowało wdzięk i urok minionych epok.

MIKOŁAJ KOPERNIK *Nowela*

W domu pani Barbary Kopernikowej wszyscy chodzili na palcach. Oczywiście nie zawsze, ale od wtorkowego wieczoru, kiedy to przyjechał brat jegomość, kanonik Łukasz Waczenrode. Strudzony drogą, spał jeszcze mimo, że miało się już ku południowi. Nie mógł bowiem, dla wielkiej kry, płynąć Wisłą, lecz od samego Włocławka tłukł się dwa dni w karocy po rozmiękłych gościńcach. Był to dobrodziej rodziny i od śmierci ojca właściwa głowa. Za dwie niedziele, po Wielkiej Nocy, jeśli Bóg pozwoli, wszystkich zabierze ze sobą do Włocławka. A teraz śpi w alkowie, pod firankami. Nawet w przyległych pokojach zamknięto okiennice. Dzieci zaraz z rana wypędzono na dziedziniec.

Stoją tam właśnie: Krystka, Jędrek i Mikołaj, rzędem obok siebie, nieruchomo, jak trzy nierówne piszczałki fletu. Głowy zadarli do góry i wyciągają spojrzenia z pomiędzy ścian małego podwórka, jak z głębokiej studni, tam, gdzie jaśnieje błękitna chusteczka nieba. Patrzą pilnie i oczy rozszerzają się im coraz bardziej. Nagle Mikołaj odrywa się z szeregu i wbiega do sieni. Otwiera ciężkie drzwi i ogromnym krzykiem rozdziera ciszę, tak skrzętnie hodowaną od wczorajszego wieczora:

— Matuchno, słońce gaśnie!

Pani Barbara w oniemieniu spojrzała na drzwi alkowy. W pomroce dostrzegła bladą twarz syna i jak drżącemi palcami ściskał na piersiach tercjarski szkaplerz. Zanim przemówiła wyleciał na ulicę.

Teraz to już kanonik na pewno się obudzi. Zgiełk taki, jakby pożar wybuchnął. Ludzie biegną i krzyczą. Pani Barbara wychodzi przed dom, ale tłum wciska ją z powrotem do sieni. Cała ulica św. Anny płynie gwarem i zadyszanymi ludźmi. Pani Kopernikowa przeciera oczy, bo zdaje się jej, że nagle pociemniało.

W istocie, pociemniało. Na niebie działy się rzeczy straszne. Ku jasnej twarzy słońca, stojącej w niezmąconym błękicie, zbliżał się krąg czarny, jak węgiel i wdzierał się w nią coraz głębiej. Słońce wyraźnie gasło. Nakoniec piekielne kolisko zakryło je zupełnie. Po krańcach zmierzchłego nieba rozlały się zorze czerwone. Strach było patrzeć, jak w samo południe wystąpiły gwiazdy. Dookoła sczerniałego słońca t r y s k a ł y promienie, strzępiaste i rozwichrzone, jak włosy na wietrze. Szło od nich na ziemię światło żółtawo-popielate, słabe, mdłe, brudne, w którym wszystkie rzeczy zmieniały swój wygląd, a ludzie mieli twarze trupów.

Cały wiosenny świat zamilkł. Ptaki szukały w popłochu drogi do gniazd. Jaskółki nie mogły trafić do swoich domków, ulepionych w poddaszach, i tłukły się po ścianach wysokich kamienic. Nad Wisłą, płynącą ku dalekiemu morzu, niby struga srebra, szczerniałego od starości, odezwały się żaby wieczornym chórem. Od strony Nowego Miasta, gdzieś z ruin krzyżackiego zamku wyleciały zwabione mrokiem nietoperze. Psy wziąwszy ogony pod siebie, garnęły się do nóg swych panów.

A miasto było, jak w dzień sądu ostatecznego. Ludzie, porzuciwszy zajęcia, ze śpichrzów nadwislańskich, z magazynów, warsztatów, z własnych domów uciekali do kościołów, a zalęknieni ciemnością tych ogromnych gmachów, zbiegali się na rynek. Kupcy, mający wielkie sklepy w parterach ratusza, pozamykali je śpiesznie i razem z innymi klękali na placu. "Zdrowa Marija, miłości pełna . . ." — szło, jak szum morza nad tłumem wezbranym. Kto nie mógł ugasić trwogi spokojem modlitwy, krzyczał i bił się w piersi. Odbywała się powszechna spowiedź. Ścisłe gromadki powtarzały chórem: "Ja grzeszny człowiek, spowiadam się Bogu Wszechmogącemu, Pannie Marijej, matuchnie Jego, świętemu Pietru, świętemu Pawłu i wszystkim świętym, mych wszystkich grzechów, com się był ich dopuścił od mego porodzenia aż do dzisiejszego dnia. . . ." I otwierali swe dusze naoścież przed tem niebem pociemniałem i przed temi gwiazdami, wynikłemi w samo południe. A nad nimi biły dzwony ze wszystkich kościołów: Panny Marii, rzucającego wielki cień w sam środek rynku, św. Jana w ulicy Żeglarskiej, św. Jakóba i św. Ducha za murami. Cały Toruń jęczał płaczem ludzkim i dźwiękiem dzwonów.

Nie trwało to długo. Jeszcze nie śmieli podnieść oczu, zamkniętych przerażeniem, gdy już słońce po dawnemu jaśniało na pogodnem niebie. Zdawało się być bardziej czyste, niż wprzódy, jakby obmyte wszystkiemi łzami, które najpierw z rozpaczy, a teraz z niespodziewanej płynęły radości. Tłum podniósł się z klęczek. Ale nikt nie myślał odejść do domu. Wygrzewali się w tej odrodzonej wiośnie i we własnej ciżbie. Szukali wzajemnie u siebie pociechy lub potwierdzenia swojej troski.

Pani Olejnikowa mówiła do Grzegorzowej Kosznerowej:

— Zły jawił się widocznie na niebie. Miał wielkie czarne skrzydła i ogon.

— A ja widziałam, jak chwycił słońce i schował do torby — rzekła pani Konopacka. — Jedno, że było za ciężkie, więc się torba rozdarła i słońce uciekło. Widziałam, jak potem zły odlatywał precz, na zachód.

Czterech pachołków miejskich niosło człowieka na noszach. Szedł przed nimi stroskany ławnik i wołał, aby się rozstąpić. Pytano go, kogo niosą, bo nie widać było twarzy z pod płaszcza. Okazało się, że Hansa Branda, budowniczego. Gdy słońce się zaćmiło, stał na rusztowaniu w przedsionku kościoła św. Jana. Schodząc z drabiny, zmylił szczeble, spadł i złamał nogę.

— Nie jedno to nieszczęście w dniu wczorajszym — mówił pan Działyński do stojących koło niego obywateli. — Iście, szkoda nam nogi Branda, bo na chwałę Bożą kościół świętojański ozdabia, wszelako może przyjdzie nam czemś gorszem popamiętać 16-go marca, roku 1485. Kto wie, co się teraz dzieje w Krakowie i czy jakoweś niebezpieczeństwo nie grozi osobie miłościwego pana.

A jeden z kupców porwał się za głowę:

— O, Jezu najsłodszy! Nieszczęsny ten Toruń. Ledwochmy się wydostali z pod zakonu krzyżackiego, ledwo nas Polska przygarnęła, a oto może już wielki mistrz znowu do nas idzie.

* * *

U Koperników również lamentowano. Ale nie z przyczyny zaćmienia. Mały Mikołaj znikł gdzieś bez śladu. Nie było go ani w domu, ani na podwórzu. Pani Barbara wciąż powtarzała:

— Taka wszędy ciżba. Zgnietli, udusili.

Kanonik, już dawno rozbudzony i ubrany, chodził po izbie, przystawał nad płaczącą, patrzył na nią surowo i nic nie mówił. Nakoniec rzekł:

— Niech się siostra uspokoi, idę szukać chłopca.

I poszedł. Ludzie kłaniali mu się i całowali go po rękach. Na rynku już uczyniło się trochę pusto. Na tyle, że można się było rozejrzeć wokoło. Więcej: że można było dostrzec chłopca, stojącego koło studni. Mikołaj Kopernik stał na tem samem miejscu, na którem i dziś stoi, tylko znacznie był mniejszy: brakowało mu wysokiego piedestału i czterech wieków sławy. Zamiast sfery, którą dziś trzyma w lewej dłoni, zwijał w palcach trąbkę papieru. Był to jego teleskop. Wieczorami przypatrywał się przez ową trąbkę gwiazdom. Niewiele się przez to widziało, ale wszyscy uczeni ówcześni nie mieli też lepszej lunety. Matka stale mu ją odbierała, bo, spędzając wieczory na dziedzińcu, przynosił do domu katar.

Drgnął, gdy mu kanonik położył dłoń na ramieniu.

— Wuju, — zapytał, — co się stało?

— W domu ci powiem.

Ale zanim do tego doszło, musiał najpierw wysłuchać narzekań matki, że się od niej oddalił. A potem już kanonik opowiadał:

— Dziwne i różne sprawy są onych mocy niebieskich, które Bóg wszechmogący ustanowił, a tylko niewielu ludziom uczonym, a łaską Jego obdarzonym, dopuścił był potrosze rozumem dosiąc. Tedy słuchaj! Ziemię utwierdził Pan w pośrodku. Jest ci ona, jako kula wielka, zawieszona mocą Bożą, stała i nieruchoma. Wielka ci ona jest dla nas, którzy, rozsiani wszędy, gmerzemy około niej nieinaczej, jedno jako mrówki, rozsypane około jakiej góry. Ale naprzeciw całego świata jest ona mała. Wokół tej naszej Ziemi jest powietrze, a nad niem ogień płonący i nieśmiertelny.

Pani Barbara westchnęła. Kanonik przerwał i spojrzał na nią. Ośmielona tem, rzekła:

— O, mój jegomościu, nie na głowę tego chłopaka takie rzeczy. Zeszłej niedzieli był u mnie pan Wojciech Teszner, rektor szkoły przy św. Janie, i mówił, jako Mikołaj niezbytnio się do nauki przykłada. Nie wyrozumiałam wszystkiego, co powiadał, ale snadź nie idzie tam, jako trzeba.

— Hej, siostro, nie wiadomo, ku czemu się umysł takiego dzieciucha sposobi. Może on w niejednem mistrza Tesznera nie zadowoli, a przedsię w drugiem pocichutku zrobi, niźli żądają. Ale nie przerywajcie! Owóż, chłopcze, dokoła tej tu naszej ziemi jest jeszcze siedm sfer albo kół, niby obręcze, jedne nad drugiemi. A każda taka obręcz jest z przeźroczystego kryształu, a po nich ślizgają się planety, inaczej ciała niebieskie: Księżyc napirwej, zaczem Merkury, Wenus, Słońce, które jest większe od Ziemi, Mars, Jowisz, i Saturn. Jedna obręcz nad drugą, a każda wtóra większa. A kiedy w onym ich biegu stanie się tak, iże Księżyc zajdzie między Ziemią a Słońcem, tedy następuje to, co było ninie: zaćmienie. Rozumiesz?

Wpadł Jędrek zdyszany i krzyczał od progu:

— Matuchno, powiadają, że pan Hans Brand nogi nie złamał i w dwie niedziele nawet chromać nie będzie.

Mikołaj zerwał się z zydla:

— Jędrusiu, proszę, abyś potem o panu Brandzie powiedział, bo teraz wuj jegomość niepojęte rzeczy prawią.

Kanonik tak dalej mówił:

— Ony sfery, obracając się, czynią dźwięk niektóry, a razem jakoby harmonią i grają przedziwnie.

— A jakoś tego nie słychać? — spytała pani Barbara.

— Bo już się w tem dźwięczeniu rodzimy i ani jednej chwili przez całe nasze życie grać to nie przestaje. Tedy i nie uważamy, że gra. Ale za temi siedmiu sferami jest firmament niebieski albo utwierdzenie, porówni, jak one, z kryształu, a do tego przytwierdzone są gwiazdy przemnogie i rozmaite. One gwiazdy nie poruszają się same, jedno cały firmament obraca się chyżo koło Ziemi. A nad gwiazdami jest empireum albo przybytek świętych. Tam są wszyscy święci: i twój patron, biskup Mikołaj i mój, ewangielista Łukasz, jenże opowiadał żywot Pana Jezu Krysta. Tamże aniołowie i archaniołowie i serafiny i cherubiny i wielu nazwań moce niebieskie pospołu z błogosławionymi śpiewają chwałę Bogu w Trójcy jedynego, który króluje na samym szczycie w niewymownej światłości.

— Wiekuisty nam, Panie, Twego zmiłowania użycz! — przeżegnała się pani Barbara.

— Amen! — rzekł ksiądz kanonik Łukasz Waczenrode.

Mikołajowi zaś oczy łzami zaszły od słuchania. Przymknął się do ręki wuja:

— Dziękuję jegomości. Jedno mi tak jakoś dziwno, iże ono Słońce, takie wielkie, takie jasne i takie . . . powiedzieć nie zdołam . . . ale, jak go przed chwilą zabrakło, to wszyscy o końcu świata mówili i zimno było zaraz . . . że to słońce biega około naszej małej a okrągłej Ziemie, jako służka potulny.

Starszy Jędrek położył bratu rękę na głowie:

— Nie frasuj się. Niczko, ty już tego nie odmienisz.

Olbrzymie Drzewa

Do starożytnych drzew, które przetrwały długie wieki, opierając się niszczącym wpływom czasu, należy dąb, istniejący w Alloville, w bliskości Yvetot we Francji. U stóp jego nieraz pobożni w godzinie strapienia zginają kolana. Pień jego dochodzi 30 stóp — we wnętrzu tego spróchniałego starca urządzono kaplicę, ponad którą mieści się pokój pustelnika z łóżkiem drewnianym, a wyżej dzwonnica z krzyżem na szczycie, wieńczącym ten budynek roślinny.

Dąb ten liczy przynajmniej dziewięćset lat. W XVII wieku we wnętrzu jego urządzono kaplicę, poświęconą Matce Bożej. W czasie rewolucji francuskiej fanatycy kusili się kilkakrotnie spalić ten budynek historyczny, lecz mieszkańcy Allouville w połączeniu z ludem sąsiednich wiosek ochronili go od zniszczenia i jak się zdaje, wiele jeszcze pokoleń spocznie pod jego rozłożystymi konarami.

Stary dąb w Allouville, jest jednak dość skromnym pomnikiem, w porównaniu z dębem rozrosłym w Montravail. Starzec ten dźwiga na swych barkach co najmniej dwadzieścia stuleci, krzepkiej budowy i wspaniałego wzrostu, dziś jeszcze nie lęka się huraganów. Bogaty liść corocznie wieńczy jego głowę; pień jego tuż przy odziomku przedstawia 31 stóp w średnicy, a obwód dochodzi 93 stóp, okręg zaś wytworzony w górze przez rozłożyste gałęzie, zajmuje 416 stóp.

Wewnątrz pnia wyżłobiono izbę, której średnica wynosi 14 a wysokość 10 stóp, przy tej ścianie urządzono drewnianą ławę, przeznaczoną dla zwiedzających, a za stołem, ustawionym w pośrodku, może wygodnie zasiąść dwunastu współbiesiadników. Mchy i paprocie przyozdabiają tą izbę, którą oświetla słońce, przedzierając się przez okno w korze wykrojone i przez drzwi oszklone.

Szwajcaria, którą przyroda przyodziała w przepyszny kobierzec roślinny, rozpostarty na malowniczych górach i dolinach, niemniej słynne posiada drzewa. Na brzegach jeziora Leman, rozsiada się posiadłość Meillerie, urwiste jej skały oddziela od jeziora droga do Simpton wiodąca. Z Meillerie przez Talemon przybywamy do Maxili i zamku Neuve-Gelle w którym rozrasta się starożytny kasztan. Od XV wieku jak wspomina kronika, już ocieniał on to czarujące ustronie, a przypuszczać wypada, że miał wówczas lata wielce poważne.

Dziś obwód jego u podstawy liczy 45 stóp, burze nie powstrzymały rozwoju wspaniałych jego gałęzi.

Kasztan w Neuve-Gelle, nie może nawet się mierzyć z istniejącym na Etnie, zwanym "Kasztanem Stu Koni," z powodu szerokiego cienia jaki dają rozłożyste jego gałęzie. Tradycja podaje, że Joanna Aragońska, królowa neapolitańska, od roku 1414 do 1435, w podróży odbytej z Hiszpanii do Neapolu, zwiedzając Etnę, zaskoczoną była przez burzę i pod tem opiekuńczem drzewem z licznym swym orszakiem, znalazła schronienie. We wnętrzu tego olbrzyma, zbudowano dom, a w nim urządzono piec do suszenia kasztanów, orzechów, migdałów i innych owoców. konserwowanych przez Sycylijczyków. Często zdarza się, że gdy im zabraknie drzewa na opał, siekierą łupią prastary kasztan, z tego też powodu, drzewo to, dziś jest już w stanie opłakanym. Kolosalny jego obwód liczy 160 stóp polskich

---

Nie uważajmy za niemożliwość tego, czego nie jesteśmy w stanie dokonać sami.

Losy "Szczerbca" Chrobrego

Co się stało ze skarbem koronnym, w którym znajdowały się insygnia królewskie m. in. najstarsza z koron, tzw. bolesławowska, "węgierska" — pochodząca od Jadwigi, "szwedzka" — Zygmunta III Wazy oraz jeszcze dwie inne i wiele przedmiotów ze złota i drogich kamieni, np. pantofelki Królowej Jadwigi (historycy przypuszczają, że były to raczej pantofle koronacyjne Zygmunta Augusta)......?

Jest faktem bezspornym, że Prusacy wdarli się do skarbca, acz z trudem i wynieśli z niego wiele cennych przedmiotów. Adam Czartoryski pisze, że na przyjęciu dworskim widziano piękną biżuterię pochodzenia polskiego na królowej pruskiej. Dwa jeszcze wydarzenia wydają się potwierdzać tezę, że skarbiec w całości padł łupem Prusaków: to wyznanie lorda Sussexa o tym, jak w skarbcu berlińskim przymierzał polską koronę oraz — historia "Szczerbca." Przyjrzyjmy się bliżej tym faktom.

Nie ma powodu nie wierzyć lordowi Susse, ale warto by zapytać, którą koronę miał na głowie. Wątpliwe, aby pokazywano mu koronę zrabowaną, skoro rabunku tego Prusacy wyparli się "na szczeblu dyplomatycznym," gdy rząd rosyjski zażądał zwrotu insygniów królewskich w chwili obejmowania tronu polskiego przez cara. A jednak polska korona była w skarbcu berlińskim.

Cofnijmy się do roku 1697. Po śmierci króla Jana Sobieskiego i burzliwej elekcji, na tronie polskim zasiada pierwszy z Sasów, August II Mocny z dynastii Wettinów. Hulaka, pijak, rozpustnik. Zostawił po swoim panowaniu puste ściany w wielu zamkach i pałacach, bo co cenniejsze dzieła sztuki ściągał do rodzinnego Drezna. Zostały po jego panowaniu dwa zawołania: "Za króla Sasa jedz, pij i popuszczają pasa" oraz — "Zastaw się, a postaw się." Już w drugim roku panowania August Mocny zaciągając pożyczkę u rządu pruskiego dał w zastaw polską koronę, której nigdy nie wykupił.

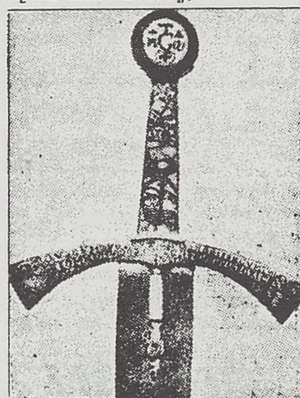
"Szczerbiec" nie posiadający wartości handlowej spróbowali sprzedać polskim magnatom.

A więc, to chyba raczej tę koronę przymierzał w Berlinie lord Sussex.

O wiele bardziej komplikuje historię skarbca sprawa "Szczerbca" — miecza koronacyjnego, który nigdy nie był używany w walce, lecz stanowił ozdobę ceremonii koronacyjnych. Po raz pierwszy — o czym napewno wiadomo ze źródeł pisanych — był on użyty przy koronacji Władysława Łokietka w 1320 r. i odtąd figurował w każdorazowym spisie inwentarza koronnego — również w ostatnim.

Otóż "Szczerbiec" po tajemniczym zniknięciu insygniów ze skarbca na Wawelu pojawił się nagle około roku 1818. Jedna wersja mówi, że przywiózł go do Krakowa niejaki Łabanów, twierdząc że znalazł go po bitwie pod Ruszczenkiem w wojnie rosyjsko-tureckiej. Potem Łabanów zmienił opowiastkę i utrzymywał, że nabył go od Ormianina. Wszystko to wygląda na krętactwo, bo miecz wcale nie jest taki okazały, aby wynosić go z pola walki, jako łup, a ponadto trzeba było wiedzieć, jaką wartość może on przedstawiać dla Polaków, aby oferować jego sprzedaż. Czyli dostawca musiał być podstawiony przez kogoś, kto dobrze wiedział, co trzyma w ręku i co może zań osiągnąć. Inna wersja — którą powtarza również Wielka Encyklopedia Powszechna — głosi, że "Szczerbiec" odnalazł się w Berlinie.

Niestety, obydwie wersje mogłyby popierać tę samą tezę: że Prusacy zagarnęli w całości insygnia królewskie, a "Szczerbiec" zmieniał wielokrotnie właścicieli, pojawiał się i znikał tak, że w końcu zaczęto wątpić, czy jest to autentyczny miecz koronacyjny królów polskich. Podejrzenie musiał z pewnością budzić fakt, że na mieczu przybita jest plakietka z zagubionej pochwy, co wyglądało na umyślne "preparowanie" pamiątki narodowej.



" SZCZERBIEC "

Autentyzm "Szczerbca" wywołał ogromną polemikę, w której zabierali głos historycy i patrioci. Pisał o nim również Kraszewski. Uznano wreszcie, że miecz jest autentyczny, co nie uchroniło go od dalszych perypetii. Zmieniając właścicieli, trafił do petersburskiego "Ermitażu," skąd został Polsce wydany z resztą ocalałych dzieł sztuki zrabowanych przez rząd carski i carskich urzędników. Dekret rewindykacyjny podpisał osobiście Włodzimierz Lenin. Podczas II wojny "Szczerbiec" zawędrował z innymi skarbami narodowymi do Kanady i długo trwało, zanim wrócił na Wawel.

O uratowaniu insygniów przed nadejściem Prusaków do Krakowa — co zostało zanotowane przez Aleksandra Chodźkę — mówił Lelewel już na emigracji w Paryżu.

Feliks Kopera w swojej pracy, wydanej w Krakowie w 1904 r., też powołuje się na legendy rodowe, mówiące o tym, że insygnia zdążono zabrać z Wawelu jeszcze przed wtargnięciem do skarbca pruskiego gubernatora Hoyma. I zważcie: nikt nie widział, aby wynoszono z niego skrzynię zawierającą insygnia. Jedynym źródłem, na którym opierano się w twierdzeniu o zawładnięciu insygniami przez Prusaków, jest wersja Siemieńskiego, który powołuje się na zeznania starego grajka kościelnego.



Zamek Królewski w Warszawie Przed Zniszczeniem

HENRYK SIENKIEWICZ

"ORSO"

Nowelka Osnuta Na Tle Stosunków Amerykańskich

OSTATNIE dni jesieni są dla Anaheim, miasteczka położonego w południowej Kalifornji, dniami zabaw i uroczystości. Kończy się naówczas winobranie całe, więc miasto roi się tłumami ludności robotniczej. Nic bardziej malowniczego nad widok, jaki przedstawia ta ludność, złożona w mniejszej części z Meksykanów, głównie zaś z Indjan Cahuila, którzy dla zarobku przybywają aż z dzikich gór San Bernardino, leżących w głębi kraju. Jak jedni, tak i drudzy roztasowują się na ulicach i placach do sprzedania, czyli tak zwanych lotach, na których sypiają pod namiotami, albo wprost pod gołem niebem, wiecznie o tej porze roku pogodnem. Śliczne to miasto, otoczone kępami eukaliptusów, rycinusów i drzew pieprzowych, wre jakby jarmarkiem gwarnym i hałaśliwym, a stanowiącym dziwne przeciwieństwo z głęboką i poważną ciszą pustyni, porosłej kaktusami, która zaczyna się zaraz za polami winogrodu. Wieczorem gdy słońce kryje promienny swój krąg w toniach oceanu, a na różowem niebie widać również różowo oświecone klucze dzikich gęsi, kaczek, pelikanów, mew i żórawi, ciągnących tysiącami z gór ku oceanowi, w mieście zapalają się ogniska i rozpoczyna się zabawa. Minstrelowie murzyńscy klekocą w kastaniety, przy każdem ognisku słychać odgłosy bębnów i mrukliwe tony bandżu; Meksykanie tańczą na rozciągniętych ponszach ulubione swe bollero; Indjanie wtórują im, trzymając w zębach długie białe laski kiotte, lub rzucają okrzyki: e viva!; ogniska sycone czerwonem drzewem huczą i strzelają iskrami, a przy krwawych ich blaskach widać skaczące postacie, dokoła zaś—miejscowych osadników pod rękę z pięknemi żonami i córkami, przypatrujących się zabawie.

Dzień jednak, w którym ostatnie grono zostaje wytłoczone indyjskiemi nogami, jest jeszcze uroczystszy, zjeżdża albowiem wówczas z Los Angeles wędrowny cyrk pana Hirscha, Niemca, a zarazem właściciela menażerji, złożonej z małp, kuguarów, lwów afrykańskich, jednego słonia i kilkunastu zdziecinniałych ze starości papug: "the greatest Attraction of the World!" Jakoż Cahuilowie oddają ostatnie "pezos," których nie zdołali przepić, aby tylko widzieć nietyle dzikie zwierzęta, bo tych w San Bernardino nie brak, ile artystki, atletów, klownów, i wszystkie cuda cyrkowe, które wydają im się conajmniej "wielką medycyną," to jest czarodziejstwem możebnem do spełnienia tylko z pomocą sił nadprzyrodzonych.

Ściągnąłby jednak na siebie słuszny, a Bóg widzi niebezpieczny gniew pana Hirscha, ktoby myślał że cyrk jego jest przynętą tylko dla Indjan, Chińczyków lub Murzynów. Przeciwnie: przybycie cyrku pociąga za sobą zjazd nietylko okolicznych osadników, ale nawet mieszkańców sąsiednich mniejszych miast: Westminster, Orange i Los Nietos. Ulica "Pomarańcz" bywa wówczas tak zapchana wozami i powozikami najrozmaitszych kształtów, że niepodobna się przecisnąć. Cały wielki świat "setlerski" staje jak jeden mąż. Młode, zgrabniutkie miss, z jaśnemi grzywkami na oczach, powożąc z kozłów, rozjeżdżają z wdziękiem ludzi po ulicach, szczebiocą i szczerzą ząbki; hiszpańskie senioritas z Los Nietos rzucają długie, powłóczyste spojrzenia z pod tiulowych zasłon, zamężne damy z okolicy, ubrane według ostatniej mody, z dumą wspierają się na ramionach ogorzałych farmerów, którym za cały strój służą obdarte kapelusze, rypsowe pantalony i flanelowe koszule, zaściągnięte w braku krawatów na hetkę i pentelkę.

Wszystko to wita się, nawołuje, ogląda bacznem okiem stroje, o ile są "very fashionable," i obgaduje potrochu.

Wśród powozików, zasypanych kwiatami i wyglądających jak wielkie bukiety, harcują na mustangach młodzi mężczyźni, i przechylając się z wysokich kulbak meksykańskich, zaglądają ukradkiem pod kapelusze dziewicze. Pół dzikie konie, przerażone hukiem i gwarem, toczą krwawemi oczyma,—wspinają się i kwiczą, ale dzielni jeźdźcy nie zdają się nawet zwracać na to uwagi.

Wszyscy rozmawiają o "the greatest attraction," czyli o szczegółach przedstawienia wieczornego,—które świetnością ma przejść wszystko, co dotąd widziano. Istotnie, olbrzymie afisze donoszą o cudach prawdziwych. Sam dyrektor Hirsch, "artysta na bacie," ma dać koncert z najsroższym ze znanych dotąd lwem afrykańskim. Lew rzuca się wedle programu na dyrektora, któremu za całą obronę służy tylko bat. Ale zwykle to narzędzie zmienia się w cudownych rękach (zawsze według programu) na ognisty miecz i tarczę. Koniec owego bata ma kąsać jak grzechotnik, migotać jak błyskawica, strzelać jak piorun i trzymać w ciągłem oddaleniu potwora, który napróżno miota się i chce rzu-

cić na artystę. Nie na tem jednak koniec: szesnastoletni Orso, "Herkules amerykański," zrodzony z ojca białego, a matki Indjanki, ma dźwigać na sobie sześciu ludzi, po trzech na każdem ramieniu; prócz tego, dyrekcja ofiaruje sto dolarów każdemu człowiekowi, "bez względu na kolor skóry," któryby małoletniego atletę zmógł w ręcznej walce. Głuche wieści chodzą po Anaheimie, że z gór San Bernardino przybył umyślnie w celu próbowania się z Orsem Gryzli-Killer (zabijacz niedźwiedzi), sławny z nieustraszoności i siły wnicznik, który, jak Kalifornja Kalifornją, pierwszy z ludzi ośmielił się uderzać na szarego niedźwiedzia z toporem i nożem.

Prawdopodobnie zwycięstwo "zabijacza niedźwiedzi" nad szesnastoletnim atletą cyrkowym—podnieca do najwyższego stopnia umysły wszystkich męskich mieszkańców Anaheimu; jeśli bowiem Orso, który dotychczas wszędzie między Atlantykiem a Pacyfikiem rzucał na ziemię najsilniejszych—"yankee," będzie teraz zwyciężony, nieśmiertelna chwała okryje całą Kalifornję.

Umysły kobiece niemniej podnieca znowu następny numer programu: oto, tenże sam potężny Orso będzie nosił na trzydziesto-stopowym maszcie małą Jenny, "cud świata," o której afisz mówi, że jest najpiękniejszą dziewczyną, jaka żyła na ziemi "za ery chrześcijańskiej." Dyrektor, mimo, że Jenny liczy dopiero lat trzynaście, ofiaruje również sto dolarów każdej dziewicy, "bez względu na kolor skóry," któraby ośmieliła się stanąć w zawód pod względem piękności z "aniołem powietrznym." Miss, miski i miseczki z Anaheimu i okolic krzywią się w pogardliwy sposób, czytając ten punkt programu, i utrzymują, że nie byłoby to "lady like" stawać do takiego współzawodnictwa. Swoją drogą, każda z nich wolałaby oddać nawet swoje krzesło na biegunach, niż nie być na wieczornem przedstawieniu i nie zobaczyć tej dziecinnej rywalki, w której piękność zresztą, w porównaniu naprzykład z siostrami Bimpa, żadna nie wierzy. Dwie siostry Bimpa, starsza Refugio i młodsza Mercedes, siedząc niedbale w ślicznem "buggy," czytają właśnie afisz. Na cudnych twarzach ich nie znać najmniejszego wzruszenia, choć czują, że oczy Anaheimu zwracają się na nie w tej chwili: jakby z prośbą, by ratowały honor całego hrabstwa, i zarazem z patrjotyczną dumą, ugruntowaną na przekonaniu, że nad te dwa kwiaty kalifornijskie niemasz piękniejszych we wszystkich górach i kanionach świata tego. Och! bo też śliczne są siostry Refugio i Mercedes! W żyłach ich nie naprózno płynie czysta krew kastylska, o czem matka ich mówi co chwila, wyrażając za jedną drogą wysoką swą pogardę tak dla wszelkiego rodzaju kolorowych, jak i dla ludzi, posiadających jasne włosy, to jest dla "yankee."

Ciała dwóch sióstr są wysmukłe, lekkie, a pełne w ruchach, jakichś tajemnic, niby ociężałe, a takie rozkoszne, że gdy kto z młodzieży zbliża się do nich, serce mu miota się w piersi od niewyznanej i nieświadomej siebie żądzy. Od donny Refugio i Mercedes bije czar, jak woń bije od magnolji i kielichowców. Twarze ich delikatne, płeć przeźroczysta, choć zarumieniona lekką różowością, jakby odblaskiem jutrzenki; oczy powłóczyste i czarne, słodkie, a w spojrzeniu niewinne i tkliwe. Obwinięte w skręty muślinowych "rebozos," w buggy zarzuconem kwiatami, siedzą oto przeczyste, spokojne i tak piękne, że same nawet zdają się nie wiedzieć o swej piękności. Anaheim patrzy na nie, pożera je oczyma, szczyci się niemi i kocha się w nich. Jakaż więc musi być ta Jenny, jeśli i tu chce odnieść zwycięstwo? "Saturday Weekly Review" pisał wprawdzie, że gdy mała Jenny wedrze się na szczyt masztu, wspartego na potężnem ramieniu Orsa, gdy na szczycie drąga zawieszona nad ziemią, narażona na śmierć, pocznie rozkładać rączki i migotać jak motyl, w cyrku robi się cicho, i nietylko oczy, ale i serca śledzą ze drżeniem każdy ruch cudnego dziecka. "Kto ją raz widział na maszcie, lub na koniu—kończy "Saturday Review"—ten jej nie zapomni nigdy, bo największy malarz na ziemi, nawet mister Harvey z San Francisco, który malował Palace Hotel, nie umiałby wymalować nic podobnego."

Sceptyczna lub zakochana w pannach Bimpa młodzież anaheimska utrzymuje, że jest w tem "humbug," niemniej jednak rozstrzygnie się to ostatecznie dopiero wieczorem.

Tymczasem ruch koło cyrku powiększa się z każdą chwilą. Z pośrodka długich szop drewnianych, otaczających płócienny cyrk, dochodzi ryk lwów i słonia; papugi, poprzyczepiane do kół, zawieszonych przy szopach, wrzeszczą w niebogłosy, małpy huśtają się na własnych ogonach, lub przedrzeźniają się publiczności, trzymanej w oddaleniu sznurami rozciągniętymi wkoło budynków. Nareszcie z głównej szopy wyjeżdża procesja, której celem zaciekawić do tego stopnia publiczność, żeby aż skamieniała. Czoło procesji stanowi ogromny wóz, zaprzągnięty w sześć koni z piórami na głowach. Woźnice w kostjumach pocztyljonów francuskich powożą z siodła. Na wozach stoją klatki ze lwami, w każdej zaś klatce siedzi lady z różdżką oliwną. Za wozem postępuje słoń pokryty kobiercem, z wieżą na grzbiecie i łucznikami w wieży. Trąby grają, bębny biją, lwy ryczą, bicze klaskają, słowem, cała ka-

rawana jak gomon posuwa się naprzód z hałasem i wrzawą; niedosyć na tem: za słoniem toczy się maszyna z kominem jak u lokomotywy, podobna do organów, na której para gra a raczej kwiczy i wyświstuje najpiekielniej narodowe "Yankee Doodle." Chwilami para dłużej zatrzymuje się w dudzie, a wtedy z dudy wychodzi zwyczajny świst, co jednak nie zmniejsza entuzjazmu tłumów, które, słuchając tej pieśni kwicząco-parowej, nie posiadają się z radości. Amerykanie krzyczą: hurra! Niemcy: hoch! Meksykanie: viva! Kahuilowie zaś wyją z zadowolenia, jak dzikie zwierzęta, które pokąsał giez.

Tłumy ciągną za wozami, miejsce naokół cyrku wyludnia się, papugi przestają wrzeszczeć, małpy przewracać koziołki: "The greatest attraction" nie bierze jednak udziału w procesji. Na wozach niema ani "niezrównanego na bacie" dyrektora,—ani niezwyciężonego "Orsa," ani "anioła powietrznego Jenny." To wszystko chowa się dopiero na wieczór, aby tem większe wywołać wrażenie, Dyrektor siedzi gdzieś w szopie, lub zagląda do kas, w których jego murzyni wyszczerzają białe zęby do publiczności—zagląda i złości się quand meme; Orso zaś i Jenny mają właśnie próbę w cyrku. Pod płóciennym jego dachem panuje jednak cisza i mrok. Głąb, w której piętrzą się coraz wyżej ławki, prawie zupełnie jest ciemna ,największa natomiast ilość światła wpada przez płócienny dach na wysypaną piaskiem i otrębami arenę. Przy owych szarych, przecedzonych przez płótno blaskach, widać stojącego przy parapecie konia, wedle którego niema nikogo. Grubo-płaski koń nudzi się widocznie, opędza się ogonem od much i kiwa, o ile może, łbem, przywiązanym na białym lejcu i podgiętym ku piersiom. Powoli oko odkrywa i inne przedmioty, jak oto: leżący na piasku drąg, na którym Orso nosi zwykle Jenny, i kilka obręczy, zaklejonych bibułą, przez które Jenny ma skakać—ale wszystko to leży niedbale porzucone, cała zaś pół oświecona arena i mroczny zupełnie cyrk robią wrażenie pustkowia z pozabijanemi oddawna oknami. Szeregi spiętrzonych ławek, w niektórych tylko miejscach obrzucone blaskiem, wyglądają jak rumowiska; stojący ze spuszczonym łbem koń nie ożywia obrazu.

Gdzież są Orso i Jenny? Jedno z pasm wkradającego się przez szpary światła, w którem kręci się i wiruje kurz, pada jako złota plama na zagłębienie dalszych ławek. Plama ta posuwa się zgodnie z ruchem słońca na dworze, a w końcu oświetla grupę, złożoną z Orsa i Jenny.

Orso siedzi na wierzchu ławki, przy nim zaś Jenny. Jej śliczna dziecinna twarzyczka przytulona jest do ramienia atlety, a ręka otacza jego kark i zwiesza się na drugiem ramieniu. Oczy dziewczynki wzniesione są do góry, jakby słuchała uważnie słów towarzysza, który, pochylony nad nią, porusza niekiedy głową, niby tłómacząc coś i przekładając. Tak przytulonych do siebie możnaby wziąć za parę zakochaną, gdyby nie to, że odziane w bladoróżowe trykoty nóżki Jenny, nie dostając do ziemi, kiwają się w tył i naprzód ruchem zupełnie dziecinnym, który nazywa się także robieniem garnków, a jej wzniesione oczy wyrażają raczej zasłuchanie się i mocne natężenie myśli, niż inne jakie romantyczne uczucie. Przytem kształty jej przybierają dopiero pierwsze zarysy kształtów kobiecych. Wogóle Jenny jest jeszcze dzieckiem, ale tak uroczem, że nie ubliżając panu Harvey z San Francisco, który malował Palace Hotel, trudnoby mu było wymarzyć coś podobnego. Jej drobna twarzyczka jest poprostu anielska; ogromne, smutne, niebieskie oczy mają wyraz głęboki, słodki, ufny; ciemne brwi rysują się z nieporównaną czystością na czole białem i jakby zamyślonem, na które płowa, jadwabista, trochę bezładna czupryna rzuca cień, jakiegoby się nietylko mistrz Harvey, ale i pewien inny malarz, nazwiskiem Rembrandt, nie powstydził. Dziewczynka przypomina zarazem kopciuszka i Gretchen, a przytuloną postawą, jaką przybrała, zdradza usposobienie bojaźliwe i potrzebujące opieki.

Od tej postaci w rodzaju Greuza dziwnie odbija strój cyrkowy, złożony z krótkiej gazowej spódniczki, naszywanej srebrnemi blaszkami, tak krótkiej, że nie okrywa jej kolan, i z różowych trykotów.—Siedząc w paśmie złotego światła, na tle głębokiem i ciemnem, wygląda jak jakie zjawisko słoneczne i przeźroczyste, a przytem kształty jej wysmukłe tworzą proste przeciwieństwo z kwadratową postacią chłopaka.

Orso, ubrany w cielisty trykot, wydaje się z daleka nagim, a tenże sam promień oświeca jego rozrosłe nieproporcjonalne bary, zbyt wypukłą pierś, zapadły brzuch i za krótkie w stosunku do długiego tułowiu nogi. Potężne jego formy zdają się być tylko z gruba wyciosane toporem. Ma on wszystkie cechy cyrkowego atlety, ale podniesione do takiej potęgi, że czynią z niego prawie karykaturę. Przytem jest brzydki. Chwilami, gdy podnosi głowę, widać twarz jego, której rysy wprawdzie są regularne, może nawet bardzo regularne, ale jakieś zastygłe i także jakby wyrąbane siekierą. Niskie czoło i spadające aż na nos czarne włosy, podobne do włosienia końskiego, a odziedziczone zapewne po matce skwawie, nadają jego licom wyraz ponury i groźny. Jest on zarazem podobny do byka

i niedźwiedzia, a wogóle uosabia straszliwą siłę, ale złą. Jakoż wcale nie jest dobry.

Gdy Jenny przechodzi koło klatek końskich,—poczciwe te stworzenia zwracają głowy i patrzą na nią rozumnemi oczyma, rżą zcicha, jakby chciały powiedzieć: "How do you do, darling?"—na widok zaś Orsa aż przysiadają ze strachu. Jest to chłopak zamknięty w sobie, mrukliwy i posępny. Murzyni pana Hirscha, pełniący obowiązki masztalerzy, klownów, minstrelów i linoskoków, nie cierpią go i dokuczają mu jak tylko mogą, ponieważ zaś jest metysem, nic sobie z niego nie robią i głośno wypowiadają mu swą pogardę. Dyrektor, który, prawdę rzekłszy, niewiele ryzykuje, stawiając sto dolarów za nim naprzeciw każdemu, ktoby się chciał z nim próbować, nienawidzi go i boi się zarazem, ale w taki sposób, w jaki pogromca zwierząt boi się naprzykład lwa, to jest ćwiczy go z lada powodu.

Dzieje się to jeszcze i dlatego, iż pan Hirsch sądzi, że gdyby on nie bił chłopaka, byłby przez niego bity, ale wogóle trzyma się zasady owej kreolki, która bicie uważała za karę, a niebicie za nagrodę.

Taki to jest Orso. Od niejakiego czasu stał się on jednak lepszym, albowiem zaczął bardzo kochać małą Jenny. Zdarzyło się przed rokiem, że gdy raz Orso, który był zarazem dozorcą zwierząt, czyścił klatkę kuguara, zwierz, wysunąwszy łapę przez pręty, skaleczył go dość mocno w głowę. Wówczas atleta wszedł do klatki, i ze strasznej walki, jaka wywiązała się między nim a zwierzęciem, wyszedł sam tylko żywy. Był jednak tak silnie pokaleczony, że zemdlał, a potem chorował długo, tembardziej, że dyrektor oćwiczył go jeszcze za połamaną kuguarowi kość pacierzową. W czasie choroby — mała Jenny okazywała mu wiele litości, opatrywała w braku kogo innego jego rany, a w chwilach wolnych przesiadując przy nim, czytała mu Biblję, to jest "dobrą książkę", która mówiła o kochaniu się, o przebaczeniu, o miłosierdziu, słowem, o rzeczach, o których nigdy nie było mowy w cyrku pana Hirscha. Orso, słuchając tej książki, pracował długo swoją indyjską głową, a w końcu doszedł do tego przekonania, że gdyby tak było w cyrku, jak w tej książce, to i on nie byłby taki zły. Myślał także, że wówczas nie bywałby bity, a może nawet znalazłby się ktoś taki, ktoby go kochał. Ale kto? Nie murzyni i nie pan Hirsch, więc chyba mała Jenny, — której głos tak mu słodko brzmiał w uszach, jak głos maukawisa.

Wskutek tej myśli, pewnego wieczoru rozpłakał się ogromnie, zaczął całować małe ręce Jenny i od tej pory pokochał ją bardzo. Odtąd, gdy w czasie wieczornych przedstawień dziewczynka jeździła na koniu, on był zawsze na arenie i wodził za nią troskliwemi oczyma. Podstawiając jej obręcze, pozaklejane bibułą, uśmiechał się do niej, a gdy przy towarzyszeniu nuty: "Ach, śmierć blizka!" nosił ją ku wielkiemu przerażeniu widzów na szczycie drąga, to i sam był przerażony. Wiedział dobrze wówczas, że gdyby ona spadła, to jużby nie było nikogo w cyrku z "dobrej książki", nie spuszczał też z niej oczu, a ta jego ostrożność i jakby trwożliwość ruchów dodawała grozy widowisku. — Potem, gdy wywołani burzą oklasków, wbiegali razem na arenę, wysuwał ją zawsze naprzód, aby na nią największe brawa spadły, i mruczał z radości. Z nią też jedną umiał rozmawiać ten mruk i przed nią tylko otwierał się. Nienawidził on cyrku i pana Hirscha, który był zupełnie inny, niż ludzie "dobrej książki". Coś ciągnęło go zawsze na kraniec widnokręgu, na bory i stepy. Gdy wędrownej trupie w ciągłych włóczęgach zdarzyło się przebywać okolice niezaludnione, odzywały się w nim takie instynkta, jakie odzywają się w chowanym wilku,— który pierwszy raz bór zobaczy. Skłonność tę może nietylko po matce oddziedziczył, bo i ojciec jego biały był zapewne jakim wnicznikiem, błądzącym po stepach. Z tych swoich pragnień zwierzał się małej Jenny, a zarazem opowiadał jej, jak się to żyje na pustyni. Po większej części to odgadywał, a trochę wiedział o tem od stepowych strzelców, — którzy niekiedy przychodzili do cyrku, już to dostarczając dzikich zwierząt panu Hirschowi, już aby się pokusić o owe sto dolarów, które dyrektor za zwalczanie Orsa wyznaczył .

Mała Jenny słuchała zwykle tych odgadywań i indyjskich widzeń, otwierając szeroko swe niebieskie oczy, lub zamyślając się. O, bo Orso sam nigdy nie wybierał się na pustynię. Ona była zawsze z nim, i tak im było dobrze, że aż strach. Codzień widzieli coś nowego, mieli całe swoje gospodarstwo, wypadało więc nad wszystkiem się zastanowić.

Siedzą więc teraz oboje w paśmie światła i rozmawiają, zamiast robić próbę nowych skoków. Koń stoi na arenie i nudzi się. Mała Jenny, przytulona do ramienia Orsa, utkwiła zamyślone oczy w przestrzeń i nóżkami kiwa zawzięcie i rozważa w swojej małej główce, jak to będzie na pustyni, a czasem rzuca pytania, żeby się jeszcze lepiej dowiedzieć, jak to będzie.

— A gdzie tam mieszkać? — pyta, podnosząc oczy na towarzysza.

— Tam jest pełno dębów. Bierze się siekierę i buduje się dom.

— Well, — mówi Jenny a nim dom stanie?

— Tam zawsze ciepło. Gryzli Killer mówił, że tam bardzo ciepło.

Jenny poczyna kiwać jeszcze mocniej nóżkami na znak, że jeśli tam ciepło, to jej o nic

więcej nie chodzi; ale po chwili zastanawia się znowu. Ma ona w cyrku ulubionego psa, który nazywa się pan pies, i kota zwanego pan kot, chciałaby więc i względem nich coś postanowić.

— A pan pies i pan kot pójdą z nami?

— Pójdą — odpowiada Orso i mruczy z radości.

— Weźmiemy z sobą i "dobrą książkę?"

— Weźmiemy! — mówi Orso i mruczy jeszcze głośniej.

— Well — szczebioce dziewczynka. — Pan kot będzie nam łapał ptaszki, a pan pies będzie szczekał, jeśli zechce do nas przyjść kto brzydki; a ty będziesz mężem, ja twoją żoną, a one będą nasze dzieci.

Orso taki już uszczęśliwiony, że nie może nawet mruczeć, więc Jenny prawi dalej:

— I pana Hirscha nie będzie, i cyrku nie będzie, i nie będziemy nic nigdy robić, i tyle! . . . Ale nie! — dodaje po chwili: — "dobra książka" mówi, że trzeba pracować, więc czasem przeskoczę sobie przez jaką obręcz, przez dwie obręcze, przez trzy obręcze, przez cztery obręcze!

Jenny nie wyobraża sobie widocznie pracy pod inną postacią, niż skakanie przez obręcze.

Po chwili pyta znowu:

— Orso, i ja naprawdę będę zawsze z tobą?

— Tak jest, Dży: ja ciebie bardzo kocham.

Twarz jego rozjaśnia się, gdy to mówi, i staje się prawie ładna.

A jednak on sam nie wie, jak kocha tę małą jasnowłosą główkę.

Oto: jak brytan swoją panią. Zresztą na całym świecie ją tylko jedną. Swoją drogą wygląda przy niej jak smok, ale co mu to szkodzi? Nic a nic.

— Dży, — mówi po chwili — posłuchaj, co ci powiem.

Jenny, która przed chwilą podniosła się, chcąc spojrzeć na konia, przyklęka teraz przed Orsem, i aby nic nie stracić z jego słów, opiera łokcie na jego kolanach, następnie położywszy brodę na obie dłonie, poczyna słuchać z zadartą główką.

W tej chwili jednak, na nieszczęście dzieci, wchodzi do cyrku artysta na bacie, a wchodzi w jak najgorszym humorze, albowiem próba ze lwem zupełnie się nie udała.

Wyłysiały ze starości zwierz, który radby żeby mu już raz dali święty pokój, żadną miarą nie chciał rzucać się na artystę — pod razami bata chował się tylko w głąb klatki. Dyrektor myślał z rozpaczą, że jeśli to lojalne usposobienie nie opuści lwa do wieczora, to koncert na bacie może się udać, bo bić lwa, który się odwraca, nie jest większą sztuką, niż zacząć jeść raka od ogona.

Humor dyrektora jeszcze się pogorszył, gdy murzyn, sprzedający bilety na paradyz, doniósł mu, że Kahuilowie widocznie już przepili pieniądze wzięte za winobranie, albowiem zgłasza się ich wprawdzie do kasy wielu, ale zamiast pieniędzy, ofiarowują za bilety swoje derki, znaczone U. S., albo też żony, zwłaszcza stare. Brak pieniędzy u Kahuilów był niemałą stratą dla artysty na bacie. Liczył on bowiem na "crowded house", dlatego dyrektor życzył sobie w tej chwili, aby wszyscy Indjanie mieli tylko jeden grzbiet, i aby on mógł dać koncert na tym grzbiecie wobec całego Anaheimu. W tem usposobieniu wchodzi do cyrku, a widząc konia, nie robiącego nic i stojącego ze znudzoną miną pod parapetem, ma ochotę przewrócić kozła z gniewu. Gdzież mogą być Orso i Jenny? Zakrywszy ręką czoło, aby mu oczu nie zaślepiało światło, wdzierające się przez płótno, dyrektor wpatruje się wgłąb i dostrzega w świetlanem pasemku Orsa i Jenny, klęczącą przed nim, z łokciami wspartymi na jego kolanach. Ujrzawszy takie widowisko, puszcza koniec bata na ziemię.

— Orso!

Piorun, któryby uderzył w grupę dwojga dzieci, nie mógłby wywołać większego w nich przerażenia. Orso zrywa się na równe nogi i poczyna zstępować wycięciem między ławkami na dół, tym pośpiesznym ruchem zwierzęcia, idącego do nogi na głos pana; za nim postępuje mała Jenny z oczyma szeroko otwartemi z przerażenia, chwytając się po drodze ławek.

Orso, wylazłszy na arenę, zatrzymuje się przy parapecie, chmurny i milczący. Szare światło ,padające z góry, oświeca teraz wyraźnie jego herkulesowy tułów, osadzony na krótkich nogach.

— Bliżej! — woła ochrypłym głosem dyrektor, gdy tymczasem koniec jego rozpuszczonego bata porusza się po piasku złowrogim ruchem, jakim porusza się ogon tygrysa, czyhającego z zasadzki.

Orso postępuje kilka kroków, i przez jakiś czas obaj patrzą sobie w oczy. Dyrektor ma zupełnie minę pogromcy, który wszedłszy do klatki, ma zamiar ćwiczyć niebezpieczne zwierzę, ale zarazem śledzi je.

Wściekłość bierze w nim jednak górę nad ostrożnością. Jego cienkie nogi, ubrane w łosiowe spodnie i wysokie masztalerskie buty, podskakują pod nim z gniewu. Może zresztą nie samo tylko próżnowanie dzieci wzbudza w nim gniew. W górze między ławkami Jenny patrzy na obydwóch, jakby patrzała sarna na dwa rysie.

—Hoodlumie! . . . łapaczu psów, psie nieznany!—szepce dyrektor.

Bat z szybkością błyskawicy opisał krąg, zaświstał, zasyczał i uderzył. Orso zaskowyczał z cicha i rzucił się krok naprzód, ale

drugie uderzenie wstrzymało go od razu, poczem trzecie, czwarte, dziesiąte. Koncert rozpoczął się, choć widzów jeszcze nie było. Wzniesiona ręka wielkiego artysty nie poruszała się prawie wcale, dłoń tylko kręciła się, jakby część jakiej maszyny, osadzona na śrubie, a każdy jej skręt odzywał się klaśnięciem na skórze Orsa. Zdawało się, że bat, a raczej jadowity jego koniec, wypełnił całą przestrzeń między atletą a dyrektorem, który, podbudzając się sam stopniowo, wpadł w prawdziwe uniesienie artystyczne. Mistrz improwizował poprostu. Trzaskawka, migocąc w powietrzu, dwa razy już wypisała krwawe ślady na szyi atlety, które wieczorem miał pokryć puder.

Orso zamilkł w tańcu. Za każdem jednak uderzeniem posuwał się krok naprzód—dyrektor krok w tył. W ten sposób obeszli całą arenę. I znowu dyrektor wycofywał się z areny, zupełnie jak pogromca z klatki, a wreszcie znikł u wyjścia do stajen . . . zupełnie jak pogromca.

Na odchodnem jednak wzrok jego padł na Jenny.

—Na koń!—wykrzyknął.—Rachunek na później.

Głos jeszcze nie przebrzmiał, gdy biała spódniczka mignęła w powietrzu, i Jenny w mgnieniu oka skoczyła, jak małpa, na grzbiet koński. Dyrektor zniknął za zasłoną, koń zaś począł galopować wkoło, dudniąc niekiedy kopytami w parapet.

—"Hep! hep!"—pokrzykiwała cienkim głosikiem Jenny: "hep! hep!"—ale owo "hep! hep!" było zarazem łkaniem. Koń biegł coraz prędzej i dudnił kopytami, pochylając się coraz gwałtowniej. Dziewczynka, stojąc na siodle z nóżkami przyciśniętemi jedna do drugiej, zdawała się go ledwie końcami palców dotykać; różowe nagie jej rączki chwytały nagłymi ruchami równowagę; rzucone w tył pędem powietrza włosy i cyrkowa z gazy spódniczka goniły za jej lekką postacią, podobną do ptaka, krążącego w powietrzu.

—"Hep! hep!"—pokrzykiwała jeszcze. Tymczasem łzy zalewały jej oczy, tak, że musiała głowę zadzierać, żeby coś widzieć; bieg konia odurzył ją: spiętrzone szeregi ławek i ściany i arena poczęły wirować naokół niej. Zachwiała się raz, drugi i wreszcie spadła w ramiona Orsa.

—O, Orso! biedny Orso!—wołało, szlochając, dziecko.

—Co ci jest, Dży?—szeptał chłopiec.—Czego płaczesz? Nie płacz, Dży! Mnie nie bardzo boli, wcale nie bardzo.

Jenny rzuciła mu obie ręce na szyję i poczeła całować jego policzki. Całe jej ciało trzęsło się od uniesienia, a płacz przechodził prawie w spazmy.

—Orso, o, Orso!—powtarzała, nie mogąc więcej przemówić, i ręce jej zaciskały się gwałtownie koło jego szyi. Gdyby sama została wybita, nie mogłaby płakać więcej; jakoż w końcu on zaczął ją utulać i pocieszać . . . Zapomniawszy o bólu, chwycił ją na ręce i przyciskał z kolei do serca, a rozkołysane biciem jego nerwy sprawiły, że pierwszy raz uczuł, iż kocha ją nietylko tak, jak brytan swą panią. Oddychał szybko, a wargi jego poczęły szeptać przerywanem tchnieniem:

—Nic mnie już nie boli . . . Gdy ty jesteś przy mnie, bardzo mi jest dobrze . . .Jenny! Jenny!

Tymczasem dyrektor chodził po stajniach i pienił się ze złości. W sercu jego nurtowała zazdrość. Widział on dziewczynę na kolanach przed Orsem, a od pewnego już czasu cudne dziecko poczęło w nim wzbudzać jakby brzask niskich uczuć, niedość jeszcze rozwiniętych. Ale posądził już ją i Orsa o romans, więc pragnął się zemścić. Znalazłby dziką rozkosz, gdyby ją wybił, bardzo mocno wybił, i tej chęci nie mógł się oprzeć. Po chwili zawołał na nią.

Wyrwała się natychmiast z rąk atlety i w mgnieniu oka znikła w ciemnem wejściu do stajen. Orso był jakby odurzony, bo zamiast iść za nią, poszedł chwiejnym krokiem do ławki, i siadłszy na niej, począł ciężko robić piersiami.

Tymczasem dziewczynka, wbiegłszy do stajni, nie spostrzegła zrazu nikogo, albowiem ciemniej tam było jeszcze, niż na arenie. Bojąc się jednak, aby nie posądzono jej, iż nie spełniła natychmiast rozkazu, wołała cichym i przestraszonym głosem:

—Już jestem tu, panie, już jestem!

W tej samej chwili ręka dyrektora chwyciła za małą jej rączkę, a chrapliwy głos wyrzekł:

—Come!

Gdyby był gniewał się na nią, lub krzyczał, mniejby ją to przerażało, niż owo milczenie, w jakiem prowadził ją w stronę garderoby cyrkowej. Przechyliła się więc w tył, i opierając się co siły, powtarzała, jak mogła najszybciej:

—Mister Hirsch! mój drogi, mój słodki! nigdy nie będę . . .

—Ale on prowadził ją przemocą do długiej zamkniętej komory, w której był skład kostjumów, i zamknął drzwi na klucz.

Jenny rzuciła się na kolana. Ze wzniesionemi oczyma ku górze, ze złożonemi rękoma, drżąca jak liść, zalana łzami, próbowała go przebłagać; on zaś, zdjąwszy szpicrutę ze ściany, rzekł w odpowiedzi:

—Połóż się! . . .

Uczepiła się wówczas rozpaczliwie jego nóg, bo prawie umierała ze strachu. Każdy

nerw dygotał w niej jak naciągnięta struna, ale napróżno swoje zbladłe usteczka przyciskała błagalnie do jego wyglansowanych cholew. Przeciwnie: strach jej i prośby zdawały się go jeszcze podniecać. Chwyciwszy ją za opaskę spódniczki, rzucił na stos sukien leżących na stole, potem przez chwilę jeszcze tłumił gwałtowne poruszenia jej nóg, i wreszcie uderzył.

—Orso! Orso!—zawołała dziewczynka.

W tej samej chwili drzwi zatrzęsły się w zawiasach, zatrzeszczały od góry do dołu, i cała ich połowa, wybita olbrzymią siłą, zwaliła się z łoskotem na ziemię.

W wyłomie stanął Orso.

Szpicruta wypadła z ręki dyrektora, a twarz pokryła się mu trupią bladością, bo też Orso wyglądał strasznie. Zamiast oczu, widać mu było tylko białka, szerokie wargi jego pokryte były pianą, głowa pochylona jak u byka, a całe ciało zebrane w sobie, niby do skoku.

—Precz!—krzyknął dyrektor, starając się krzykiem pokryć strach.

Ale tama była już zerwana. Orso, tak zwykle posłuszny na każde skinienie jak piec, nie cofnął się tym razem, tylko schyliwszy niżej jeszcze głowę, posuwał się złowrogo ku artyście na bacie, rozciągając jakby przemocą swoje żelazne muskuły.

—Help! Help!—zawrzeszczał artysta.

Dosłyszano go.

Czterech ogromnych murzynów wbiegło co sił ze stajen przez wyłamane drzwi i rzuciło się na Orsa. Zaczęła się straszna walka, której dyrektor przypatrywał się, szczękając zębami. Przez długi czas widać było tylko kupę poplątanych ciemnych ciał, pasujących się w konwulsyjnych skrętach, ruchliwą, kłębiącą się, zwichrzoną; w ciszy, jaka zapadła, rozległ się czasem jęk, czasem chrapnięcie lub świst nozdrzy. Ale po chwili jeden z murzynów, wyrzucony jakby nadludzką siłą z owej bezkształtnej masy, zakołysał się w powietrzu i padł obok dyrektora, uderzywszy z głuchym łoskotem czaszką o podłogę; wkrótce wyleciał drugi, a wreszcie ponad kłębem walczących podniósł się tylko Orso, straszniejszy niż przedtem, pokrwawiony i z włosem zjeżonym na głowie. Kolana jego gniotły jeszcze dwóch omdlałych negrów. Potem podniósł się i szedł znowu ku dyrektorowi.

Artysta zamknął oczy.

W tejże samej sekundzie uczuł, że nogi jego nie dosięgają już ziemi, potem uczuł, że leci w powietrzu, a jeszcze potem nic nie uczuł, bo uderzywszy całem ciałem w pozostałą połowę drzwi, padł bez czucia na ziemię.

Orso obtarł się i zbliżył do Jenny.

—Chodź!—rzekł krótko.

Wziął ją za rękę i wyszli. Całe miasto goniło właśnie za procesją wozów i za maszyną grającą "Yankee Doodle"—więc koło cyrku było zupełnie pusto. Papugi tylko, kołyszące się w obręczach, napełniały krzykiem powietrze. Dzieci szły ręka w rękę prosto przed siebie; tam, gdzieś na końcu ulicy, widać było z daleka niezmierzone pole kaktusowe. Milcząc, mijali domy ukryte w cieniu eukaliptusów, następnie minęli miejscową bydłobójnię, koło której kręciły się tysiące szpaków czarnych z czerwonemi skrzydłami, przeskoczyli wielki rów irygacyjny, weszli w lasek drzew pomarańczowych i, wydostawszy się z niego, znaleźli się między kaktusami.

To już była pustynia.

Jak okiem sięgnąć, piętrzyły się coraz wyżej kolczaste kępy; powikłane liście, wyrastające z innych liści, zagradzały drogę, chwytając haczykami za sukienkę Jenny. Czasem kaktusy wznosiły się tak wysoko, że dzieci były jakby w lesie jakim, ale też w tym lesie nikt już nie mógł ich znaleźć. Szli więc, skręcając to na prawo, to na lewo, byle dalej. W miejscach, gdzie piramidy kaktusów były mniejsze, widać było na samym krańcu widnokręgu błękitne góry Santa-Ana. Szli ku górom. Upał był wielki. Popielate szarańcze ksykały w kępach; promienie słoneczne zlewały się na ziemię potokami; wysuszona ziemia pstrzyła się siatką zapadlin, sztywne liście kaktusów zdawały się mięknąć od gorąca, a kwiaty były omdlałe i nawpół zwiędłe. Dzieci szły, milcząc i rozmyślając. Ale wszystko, co ich otaczało, było tak nowe, że wkrótce oboje oddali się zupełnie wrażeniom i zapomnieli nawet o zmęczeniu. Jenny biegała oczyma z jednej kępy na drugą, to znów zapuszczała badawczy wzrok w środek kaktusów, pytając od czasu do czasu cicho towarzysza.

Jednak pustynia nie zdawała się być pustą. Z dalszych kęp dochodziły nawoływania kogutów kuropatwich, a naokoło rozlegały się rozmaite dziwne klaskania, cmokania, mruczenia. słowem: najróżnorodniejsze głosy małych zwierzątek, zamieszkujących kaktusy. Czasem zrywało się całe stado kuropatw; czubate biegacze uciekały piechotą na długich swych nogach, czarne wiewiórki dawały za zbliżeniem się dzieci nurka pod ziemię, na wszystkie strony pierzchały zające i króliki; susły, siedzące na tylnych łapkach przed jamami, podobne były do tłustych niemieckich fermerów, stojących we drzwiach domów.

Wypocząwszy małą godzinkę. dzieci poszły dalej. Jenny wkrótce zachciało się pić, na co Orso, w którym widocznie budziła się przemyślność indyjska, poradził, nazrywawszy owoców kaktusowych. Było ich mnóstwo i wyrastały z jednych liści wraz z kwiatami. Wprawdzie obierając je, pokłóli się oboje o delikatne jak włosy kolce, ale za to owoce

smakowały im wyśmienicie. Słodkawy i kwaśny smak ich ugasił i pragnienie i głód zarazem. Pustynia nakarmiła dzieci jak matka; posiliwszy się, mogli iść dalej. Kaktusy piętrzyły się coraz wyżej, można rzec, że wyrastały jeden drugiemu na głowie. Grunt po którym szli, podnosił się zwolna, ale ciągle. Raz jeszcze ze wzgórza obejrzawszy się, ujrzeli Anaheim napoły rozpłynięte w oddali, podobne do wielkiej kępy drzew, rosnących na niskim stepie. Cyrku już nie było widać ani śladu. Szli jednak bardzo wytrwale całemi godzinami ku górom, które rysowały się coraz wyraźniej. Okolica zaczęła przybierać inną postać. Między kaktusami zjawiały się już różne krzaki, a nawet i drzewa. Zaczynała się lesista część podgórzy przy Santa-Ana. Orso złamał jedno z mniejszych drzew i, poobrywawszy gałęzie, uczynił z niego maczugę, która w jego ręku mogła być straszliwą bronią. Instynkt Indjanina szeptał mu, że w górach lepiej jest mieć choć pałkę, niż gołe ręce, tembardziej, że powoli i słońce zaczęło już zniżać się ku zachodowi. Jego wielka ognista tarcza stoczyła się już nawet daleko za Anaheim i zapadała w ocean. Po chwili znikła, ale na zachodzie świeciły zorze czerwone, złote i pomarańczowe, podobne do długich pasem i taśm, porozciąganych na całem niebie. Góry jeżyły się w tych blaskach, kaktusy przybierały różne fantastyczne kształty, podobne do ludzkich i zwierzęcych. Jenny czuła się zmęczona i śpiąca, ale zdążali oboje co sił do gór, choć sami nie wiedzieli dlaczego. Jakoż wkrótce ujrzeli skały ,a doszedłszy do nich, odkryli strumień. Napiwszy się wody, szli dalej wzdłuż łożysk. Tymczasem skały, z początku rozprószone i przerywane, zmieniły się na jednolite mury, potem na ściany coraz wyższe, i tak weszli w kanjon, czyli wąwóz.

Zorze gasły; mrok ogarniał ziemię coraz większy. Miejscami, gdzie liany przerzucały się z jednej strony ściany na drugą, tworząc jakoby sklepienia nad strumieniem, było zupełnie ciemno i wcale straszno. Na górze słychać było jakby szum drzew, których z dołu nie mogli dojrzeć. Orso dorozumiewał się, że to już puszcza, w której pełno było zapewne dzikich zwierząt. Od czasu do czasu dochodziły już nawet stamtąd rozmaite podejrzane głosy, a gdy noc zapadła, słychać było wyraźnie chrapliwe beczenie rysiów, ryki kuguarów i płaczliwe głosy kujotów.

—Boisz się, drżysz?—pytał Orso.

—Nie—odpowiedziała dziewczynka.

Ale była już bardzo zmęczona i nie mogła iść dalej, więc Orso wziął ją na ręce i niósł. Sam jednak szedł ciągle naprzód, w nadziei, że trafi na jakiego skwatera, lub na namioty meksykańskie. Raz lub dwa razy zdawało mu się, że widzi w oddali świecące oczy dzikiego zwierza. Przytulał wtedy jedną ręką do piersi Jenny, która już spała, drugą ściskał swoją pałkę. Sam był także strudzony bardzo. Mimo olbrzymiej jego siły, Jenny poczynała mu już ciężyć, tembardziej, że niósł ją na lewej ręce; prawą chciał mieć wolną do obrony. Chwilami stawał dla nabrania tchu, potem szedł dalej. Nagle zatrzymał się i nadstawił pilnie uszu. Zdawało mu się, że zdala dochodziły go odgłosy dzwonków, jakie skwaterowie przywiązują na noc krowom i kozom. Ruszywszy śpiesznie naprzód, wkrótce doszedł do skrętu strumienia. Głos dzwonków stawał się coraz wyraźniejszy, a nakoniec dołączyło się do nich szczekanie psa. Orso był już pewny, że zbliża się do jakiejś siedziby ludzkiej. Dla niego czas też był wielki: wyczerpał się przez dzień cały, i poczynało mu sił brakować.

Minął jeszcze jeden skręt i ujrzał światło; w miarę jak posuwał się naprzód, jego bystre oczy poczęły odróżniać ognisko, psa, który widocznie przywiązany do pnia szarpał się i szczekał, a wreszcie siedzącego koło płomienia człowieka.

—Boże daj, aby to był człowiek z "dobrej książki"—pomyślał.

Następnie postanowił obudzić Jenny.

—Dży!—zawołał:—obudź się, będziemy jedli.

—Co to?—pytała dziewczynka.—Gdzie my jesteśmy?

—W pustyni.

Rozbudziła się zupełnie.

—A tam co za światło?

—Tam mieszka jakiś człowiek.—Będziemy jedli.

Biedny Orso był bardzo głodny.

Tymczasem byli już blisko ogniska. Pies szczekał coraz gwałtowniej, a stary człowiek, siedzący przy ogniu, przysłonił oczy i patrzał w ciemność. Po chwili spytał:

—Kto tam?

—To my . . . —odpowiedziała cienkim głosikiem Jenny—i bardzo nam się jeść chce.

—Zbliżcie się—rzekł stary człowiek.

Wyszedłszy z za wielkiego głazu, za którym byli ukryci, stanęli oboje przed ogniem, trzymając się za ręce. Starzec spojrzał na nich zdumionemi oczyma; z ust jego wyrwał się mimowoli okrzyk:

—"What is that?"

Ujrzał bowiem zjawisko, które w bezludnych górach Santa-Ana mogło każdego zdziwić. Oto i Orso i Jenny mieli na sobie cyrkowe kostjumy. Śliczna dzieweczka, ubrana w różowe trykoty i krótką spódniczkę, zjawiwszy się nagle, wyglądała w blasku ognia jak jaki sylf fantastyczny. Za nią stał chłopak o niezwykłych kwadratowych kształtach, ubrany

także w cielisty trykot, z pod którego przebijały jego muskuły nakształt sęków na dębie. Stary skwater patrzał na nich szeroko otwartemi oczyma.

—Co wyście za jedni?—spytał.

Mała kobietka, licząc widocznie więcej na swoją niż towarzysza wymowę, poczęła szczebiotać:

—My z cyrku, kochany panie! Pan Hirsch wybił bardzo Orsa, a potem chciał bić mnie, więc Orso mnie nie dał i wybił pana Hirscha i czterech murzynów, i potem uciekliśmy na pustynię, i szliśmy długo przez kaktusy, i Orso mnie niósł, potem przyszliśmy tu, i bardzo nam się jeść chce.

Twarz starego samotnika rozjaśniła się powoli, a oczy jego spoczęły z dobrotliwym ojcowskim wyrazem na uroczem dziecku, które śpieszyło się,—jakby pragnąc wypowiedzieć wszystko jednym tchem.

—Jak ci na imię, mała?—spytał.

—Jenny.

—Więc welcome, Jenny! i ty, Orso! Ja rzadko widuję ludzi . . . Pójdź do mnie, Jenny.

Mała kobietka bez namysłu zarzuciła swoje nagie rączki na szyję starca i ucałowała go serdecznie. Wydawał jej się z "dobrej książki."

—A czy nas pan Hirsch tu nie znajdzie?—pytała, oderwawszy swą różową buzię od zwiędłej twarzy osadnika.

—Kulę znajdzie!—odparł starzec, a po chwili dodał:—Mówicie, że wam się jeść chce?

—O, bardzo!

Skwater pogrzebał chwilę w popiele i wydobył z niego wspaniały udziec jeleni, którego zapach rozszedł się naokoło. Potem siedli do jedzenia.

Noc była pyszna; na niebie wysoko nad wąwóz wytoczył się księżyc, w gęstwinie poczęły śpiewać słodkim głosem mauhawisy, ogień huczał wesoło, a Orso począł mruczeć z radości. Oboje z dziewczynką jedli, jak najęci; stary tylko samotnik jeść nie mógł—i niewiadomo dlaczego, spoglądając na małą Jenny, miał łzy w oczach.

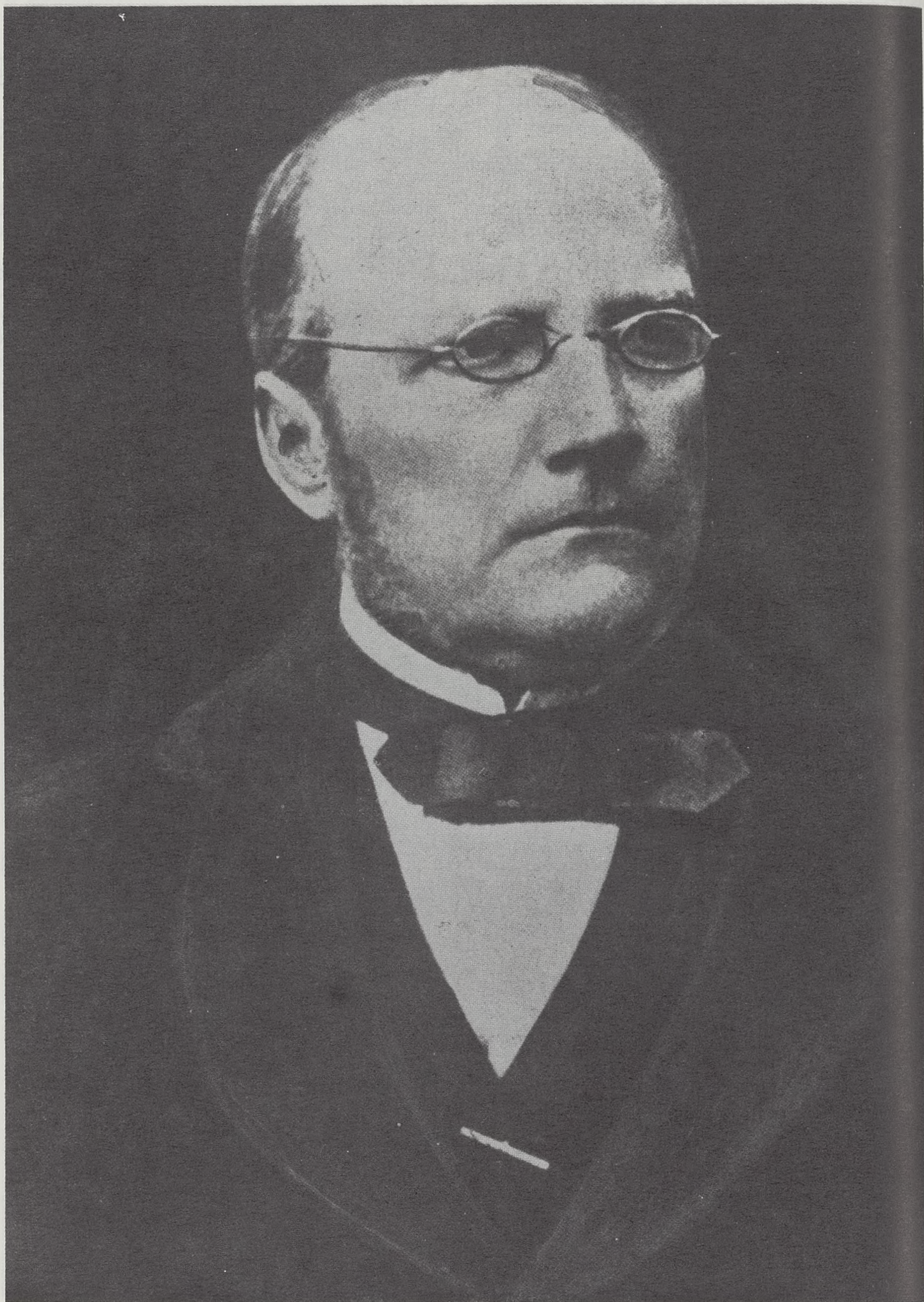
Może dawniej był ojcem, a może w pustych górach ludzi rzadko widywał . . .

. . . .

I odtąd troje tych ludzi pędziło życie razem.



Malowniczy widok wzgórz Szymborskich na Pomorzu.



STANISŁAW MONIUSZKO

STANISŁAW MONIUSZKO

W 100 Rocznicę Śmierci Wielkiego Polskiego Kompozytora

Wielki ten nasz kompozytor urodził się w Ubielu na Litwie 5-go maja, 1819 roku. — Wioska Ubiel była ostatnią już cząstką wielkiej posiadłości ziemskiej rodziców Stanisława Moniuszki, Czesława i Elżbiety z Madżarskich. Ubiel należał niegdyś do wielkiego klucza Smiłowickiego, miljonowego majątku dziada Moniuszki, który umierając podzielił cały majątek między pięciu synów.

Stanisław Moniuszko nie był cudownem dzieckiem. Zamiłowanie jego do muzyki objawiało się chętnem słuchaniem piosenek ludowych i muzyki wiejskiej lub gry na staroświeckim klawikordzie, na którym matka Stanisława grywała w chwilach wolnych od gospodarskich zajęć. Matka Moniuszki była osobą bardzo muzykalną i zamiłowaną w śpiewie i od wczesnego dzieciństwa uczyła małego Stasia śpiewów historycznych i pięknych ludowych piosenek. Jako ośmioletni chłopczyk przeszedł Moniuszko z pod rąk swej matki pod kierownictwo młodego organisty warszawskiego, Freyera, który zaznajomił go z ogólnemi zasadami muzyki.

Do gimnazjum uczęszczał Stanisław Moniuszko w Mińsku, ale wystąpiwszy z szóstej klasy z powodu choroby, do szkoły już nie wrócił. Tymczasem z każdym rokiem pogarszał się stan majątkowy rodziców Moniuszki i stało się jasnem, że Staś nie może liczyć na majątek po rodzicach. Postanowiono skierować go na drogę urzędniczą. Muzycznych zdolności Moniuszki nikt nie brał serjo w rachubę.

Moniuszko jednak nie okazał skłonności do karjery urzędnika i postanowił obrać drogę artystyczną. Jasno i wyraźnie przedstawił rodzicom i stryjom swoim, że pragnie całkowicie oddać się studjom muzycznym i uzyskał zgodę i pomoc na wyjazd zagranicę. Z całym zapałem i zaparciem się siebie zaczął pracować nad sobą pod kierunkiem kilku wybitnych muzyków i wkrótce w całej pełni zajaśniały wybitne jego zdolności. Po kilkoletnim pobycie zagranicą Moniuszko powrócił do kraju i w roku 1840ym poślubił pannę Aleksandrę Muller, którą znał i kochał od wczesnej młodości.

Wkrótce po ślubie pojawiły się w druku pierwsze utwory Moniuszki i opromieniły sławą i uznaniem nazwisko młodego kompozytora. Były to pieśni na tematy ludowe wydane pod tytułem "Śpiewnik Domowy." Ukazanie się w druku utworów Moniuszki zwróciło uwagę wszystkich na jego zdolności.

Około roku 1847go Moniuszko począł pracować nad wielkiem dziełem, które do dzisiejszych czasów znane jest wszędzie, gdzie tylko polski język posłyszeć można, nad operą "Halka." Do słów Włodzimierza Wolskiego napisał Moniuszko zrazu dwa akty, potem przerobił je na cztery, wspaniałych melodji i czysto polskich motywów. W dniu 1ym stycznia 1848go roku Moniuszko przedstawił "Halkę" publiczności wileńskiej, ale nie na scenie, przy odpowiednich dekoracjach, lecz na zwykłej estradzie koncertowej.

W dziesięć lat później opera Moniuszki "Halka" była wystawiona już w czteroaktowem opracowaniu na scenie Teatru Wielkiego w Warszawie. A od tego czasu, grano ją na wszystkich scenach polskich, w kraju i zagranicą nawet, gdzie tylko można zebrać odpowiedni zespół śpiewaków i śpiewaczek.

Łatwo sobie wyobrazić jaki entuzjazm wywołała nowa opera tak wśród publiczności warszawskiej, jak w kołach znawców muzyki i krytyków. Niesłychane powodzenie "Halki" miało poważne następstwa tak dla dalszej twórczości Moniuszki, jak i w kierunku utrwalenia materjalnego bytu kompozytora. Stosunki materjalne kompozytora zmieniły się odrazu, ofiarowano mu bowiem posadę dyrektora Opery Warszawskiej, na której do końca życia pozostał.

Pozbawiony trosk o kawałek chleba, Moniuszko oddał się dalszej twórczej pracy i w przeciągu lat czternastu stworzył kilka wspaniałych oper, z których na pierwszych miejscach stoją: "Straszny Dwór" i "Hrabina." Oprócz tych pereł polskiej muzyki, Moniuszko napisał "Rokiczanę," "Beatę," "Verbum Nobile" i inne mniej znane opery, oraz szereg pieśni i ballad do słów Mickiewicza, Kochanowskiego i innych polskich poetów.

Jako twórca nieśmiertelnej "Halki" i dyrektor Opery Waszawskiej Moniuszko stał się osobistością niezmiernie popularną nietylko w Warszawie, ale w całym kraju. Interesowano się najdrobniejszemi szczegółami jego życia, urządzano Moniuszce owacje przy każdej sposobności, oklaskiwano go przy wejściu do orkiestry, przy każdym publicznym jego występie.

Nie długo jednak cieszył się Moniuszko zasłużonem uznaniem i sławą. W kilka miesięcy po wystawieniu ostatniej jego opery "Parja" zachorował ciężko na serce i w dniu 4ym czerwca 1872go roku zakończył życie pełne twórczej pracy, miłości ojczyzny i cnót obywatelskich.



MONIUSZKO DYRYGUJE — RYSUNEK K. PILATIEGO



MIEJSCE URODZENIA MONIUSZKI

(Kwant.)

a teraz gra...

Bo – że mój melodja ta o jakiejż chwile przypomina,

jak rozżarza w piersi krew! mój Ojciec w kole rodzinném naszem, mnie, lub Zbigniewa starszego

REPRODUKCJA NUT Z ARII Z CZYNELAMI

KAROL SZERLĄG

Odszedł nie żegnany — wracał nie witany

Nie biblijny syn marnotrawny — to ostatni król Polski Stanisław August Poniatowski, miłośnik sztuki, człowiek światły, wiążący wzmocnienie władzy monarszej ze wzmocnieniem państwa, popierający kolejno reformy Czartoryskich, kodeks Zamoyskiego, stronnictwo patriotyczne na Sejmie Czteroletnim, współdziałający w przeprowadzaniu reform i przygotowaniu Konstytucji 3 Maja.

Człowiek niestety słabego charakteru, panujący w sytuacji niezwykle ciężkiej dla kraju, ulegający przemocy carskiej Rosji przez cały 31-letni okres swego panowania i z jej woli tracący koronę królewską, internowany w Grodnie, w końcu przesiedlony do Petersburga i tam kończący życie w roku 1798.

Polityczna ocena ostatniego z królów Polski należy do najbardziej spornych w literaturze historycznej. Rozbieżność poglądów na jego osobę, walory psychiczne, działalność i zasługi dla rozwoju polskiej sztuki i kultury, jego credo polityczne — najlepiej ujawniła się w okresie ostatnich 30 lat po powrocie do kraju jego doczesnych szczątków w roku 1938. Ten moment najtragiczniej przedstawia Emanuel Rostworowski w swej książce *Ostatni Król Rzeczypospolitej* pisząc: „W lipcu 1938 na boczny tor granicznej stacji Stołpce dyskretnie zatoczono zaplombowany wagon, przybyły ze Związku Radzieckiego. W wagonie celnicy otworzyli ołowianą trumnę. Zawierała kości, strzępy zbutwiałej purpury, koronę i berło. Tak powróciły do kraju prochy Stanisława Augusta. Bowiem kościół św. Katarzyny w Leningradzie, miejsce ich



„Wywiezienie króla Stanisława Augusta" — obraz W. Łuskiny

dotychczasowego spoczynku, został przeznaczony na rozbiórkę".

Ostatnie chwile jego pobytu na zamku w Warszawie przedstawia obraz Włodzimierza Łuskiny, ucznia Jana Matejki, zatytułowany ,,Wywiezienie króla Stanisława Augusta". Wyobraża on tragiczną chwilę otrzymania listu Katarzyny II (koperta leży na dywanie). Prawą ręką król podtrzymuje skołataną głowę nad pismem swej dawnej damy serca, spoczywającym na stole. Stojący za jego plecami oficer carski ponagla go gestem do opuszczenia zamku. W głębi widać cień żołnierza z karabinem w ręce i nadzianym nań bagnetem. Stanisław August na obrazie Łuskiny ma za tło portret najsilniejszego z królów polskich Stefana Batorego; zestawienie postaci obu królów pogłębia uczucie tragizmu chwili. Opuszczenie zamku przez króla Stanisława Augusta i wywiezienie do Grodna, równające się internowaniu, nastąpiło w styczniu 1795 r.

Wypadki biegną szybko. Katarzyna II umiera 17 listopada 1796 r. Jej syn i następca Paweł I sprowadza Stanisława Augusta z Grodna do Petersburga w marcu 1797 r. 12 lutego 1798 r. król umiera.

Rozważając nieszczęsne dzieje ostatniego króla Polski, warto bliżej przyjrzeć się jego osobie, sięgając do charakterystyki, jaką zamieścił w napisanym przez siebie *Wizerunku własnym*[1]. Napisał go w dwa lata po poznaniu Katarzyny Aleksiejewny, będącej wówczas żoną wielkiego księcia Piotra, następcy cesarzowej Elżbiety[2].

— *Naczytawszy się rozmaitych wizerunków, nabrałem ochoty do napisania własnej charakterystyki. Byłbym zadowolony ze swego wyglądu, gdybym był o jeden cal wyższy, miał nogę kształtniejszą, nos mniej orli, biodra niższe, wzrok bystrzejszy i wydatniejsze zęby. Nie znaczy to, abym myślał, że z takimi poprawkami stałbym się bardzo pięknym, lecz, że nie pragnąłbym niczego więcej, bo zdaniem moim mam twarz szlachetną i bardzo znaczącą, ruchy doborowego towarzystwa i całe ułożenie wyróżniające mnie dosyć od innych, abym zwracał na siebie uwagę. Z powodu krótkiego wzroku wydaję się jednak często ponurym i zakłopotanym; ale to nie trwa nad chwilę, a gdy raz minie, miewam raczej zbyt dumną i zadufaną w sobie postawę. Staranne wychowanie, jakie odebrałem, pomaga mi do osłonięcia niedostatków mojej powierzchowności i umysłu i do korzystania nawet z ich zalet i przymiotów w większym stopniu, niż na to zasługują. Mogę bez wysilenia należeć do każdej rozmowy, lecz nie zawsze i nie na długo starczy mi wątku, aby nią kierować, chyba, że ją głównie podsyca uczucie lub żywe we mnie z natury zamiłowanie do sztuki i w ogóle tematów, mających z nią związek.*

Z łatwością dostrzegam we wszystkim fałsz i śmieszność, równie jak wady ludzkie, i często zbyt skwapliwie daję to odczuć. Mam wstręt nieprzezwyciężony do złego towarzystwa. Wielki zasób lenistwa nie dozwolił mi rozwinąć tak, jakbym mógł, talentów moich i wiedzy. Kiedy pracuję, to jakby z natchnienia. Albo robię od razu wiele, albo nic zgoła: niełatwo się narażam i dlatego nieraz wydaję się zręczniejszym, niż jestem naprawdę. W tak zwanej polityce bieżącej przez zbyteczną szczerość, gorliwość i pośpiech często popełniam omyłki. Osądzę trafnie każdą sprawę, dostrzegę słabe strony w projekcie lub omyłki w jego wykonawcy, ale sam potrzebuję również rady i wędzidła, abym ich także nie popełnił. Nadzwyczaj wrażliwy, a bardziej dostępny uczuciu smutku niżeli radości, łatwo bym mógł się oddać zbytecznemu smutkowi, gdybym nie nosił w sercu przeczucia niezmiernego w przyszłości szczęścia. Od urodzenia obdarzony rozległą i palącą ambicją, w ideach reformy, chwały i pożytku ojczyzny znalazłem prawdziwą osnowę mojego życia i wszystkich zamiarów. Zdało mi się, że nie jestem stworzony dla kobiet; pierwsze zawiązane z niemi stosunki przypisywałem jakimś przypadkowym szczytnym względom towarzyskim. Nareszcie serdeczne uczucie poznałem i kocham z taką namiętnością, że gdybym miał doznać zawodu, byłbym najnieszczęśliwszym z ludzi, i czuję, że do wszystkiego bym się zniechęcił. Obowiązki przyjaźni są dla mnie święte i posuwam je bardzo daleko. Chociażby przyjaciel względem mnie zawinił, nie masz rzeczy, jakiej bym uczynić nie był gotów, byle z nim nie zerwać i długo po doznanej od niego obrazie pamiętam, żem mu wiele winien. Sądzę, że jestem bardzo dobrym przyjacielem. Prawda, że wewnętrznie czuję się przyjacielem bardzo niewielu osób, choć nieskończenie wdzięczen jestem za każdy rodzaj oddanej mi usługi. Skory w dostrzeżeniu wad bliźniego, uniewinniam je w swoich oczach łatwo, gdyż nieraz zrobiłem to spostrzeżenie, że mając się nawet za bardzo cnotliwych, przy bezstronnym obrachunku z samym sobą znajdujemy w sobie zawsze upokarzające powinowactwa z większymi zbrodniami, które rozwinęłyby się może w zetknięciu z silną pokusą, gdybyśmy nie mieli się bardzo na straży przeciwko nim. Lubię być hojnym, nienawidzę skąpstwa, ale też nie najlepiej umiem rządzić tym, co posiadam. Powierzonej mi tajemnicy dochowuję nierównie skrupulatniej niż swojej własnej. Jestem bardzo litościwy. Tak lubię być kochanym i chwalonym, że gdyby obawa śmieszności i znajomość świata nie nauczyły mnie powściągać się w tym względzie, stałbym się nadzwyczajnie próżnym. Zresztą nie kłamię z zasady i przez wstręt wrodzony do wszelkiego fałszu. Nie jestem wcale tak zwanym pobożnisiem, ale śmiem twierdzić, że miłuję Boga, zwracam się często do niego w tym błogim przekonaniu, że on lubi nam dobrze czynić, kiedy go o to poprosimy. Jestem tak szczęśliwy, że kocham też ojca i matkę nie tylko z obowiązku, ale i ze skłonności serca. Powziętego w pierwszym uniesieniu zamiaru zemsty nie byłbym w stanie wykonać w całości; zdaje mi się, że myśl taka ustąpiłaby we mnie zawsze przed uczuciem litości. Często się przebacza raczej przez leniwą słabość niż przez wspaniałomyślność, i lękam się, aby taż sama przyczyna nie stała się później powodem niewykonania wielu moich zamiarów. Rozmyślam chętnie i dosyć mam wyobraźni, aby się w samotności nie nudzić bez książek, zwłaszcza od czasu, gdy kocham.

---

[1]) *Wizerunek własny Stanisława Augusta* (z r. 1756) — *Pamiętniki*, 1915 r., tom I, str. 183—185.

[2]) Katarzyna II, ur. 2 V 1729 r. w Szczecinie, córka księcia Anhalt-Zerbst Chrystiana Augusta, zaślubiona została wielkiemu księciu Piotrowi. Przyjmując wyznanie prawosławne zmieniła imię Zofia na Katarzyna Aleksiejewna. Stanisław August zakochał się w Katarzynie w 1754 r. w Petersburgu, gdzie przebywał w charakterze sekretarza ambasady Wielkiej Brytanii.





Rzeźbiona plakieta głowy Stanisława Augusta i szkic profilu Katarzyny II, wykonany prawdopodobnie na przełomie lat 1755/56 przez samego Stanisława Augusta

A jak wyglądała wybranka jego serca? Gdy miała lat 25 (1754 r.) wygląd jej, kreślony ręką kochającego mężczyzny, który mimo wszystkie burze i zawody przez długie lata ten obraz zachował, był następujący[3]:

— *Przy włosach czarnych płeć miała olśniewającej białości, rumieńce żywe, oczy duże, niebieskie, wypukłe i pełne wyrazu, rzęsy czarne bardzo długie, nos cienki, usta, rzekłbyś, wołające o pocałunek, ręce i ramiona najprzedniejszych kształtów, kibić wysmukłą, wzrost raczej słuszny niż mały, chód leciutki, a przy tym nadzwyczaj dostojny. Dźwięk głosu miły, śmiech równie wesoły jak i jej humor, dzięki któremu z największą łatwością przechodziła od najpłochszych i najdziecinniejszych zabaw do tablic zapełnionych cyframi dyplomatycznymi, a trud fizyczny przy ich odczytywaniu nie trwożył jej bynajmniej, zarówno jak sama treść, chociażby jej przedmiot był jak napoważniejszy i najsurowszy.*

Czytywali razem Woltera i innych wolnomyślicieli. Zbliżenie tej pary kochanków było jednym z czynników, który przyniósł Stanisławowi Augustowi koronę królewską, a w snach młodego monarchy polskiego obdarzonego dużą wyobraźnią snuły się pewno marzenia o poślubieniu Katarzyny, gdy owdowiała[4] i objęła rządy jako cesarzowa Wszechrosji.

Zaślepiony w swej miłości Stanisław August darzył Katarzynę wielkim zaufaniem, liczył na jej pomoc w przeprowadzeniu reform ustrojowych. Zdawało mu się, że realizacja tych projektów przy jej pomocy złamie oligarchię magnacką w Polsce i pozwoli wzmocnić państwo polskie, które w sojuszu z Rosją utrzyma swą niezależność. Nie pojmował wówczas polityki caratu, nie zdawał sobie sprawy, że Rosji carskiej potrzebna była Polska, ale utrzymywana w zależności, w karbach jej politycznych machinacji.

Kto miałby wątpliwości co do narzuconych Stanisławowi Augustowi więzów, nich przysłucha się jego rozmowie z grudnia 1770 r., a więc w 6 lat po objęciu tronu polskiego z ambasadorami: rosyjskim — Wołkońskim i pruskim — Benoit.[5];

Wołkoński: *Czy Wasza Królewska Mość zechce pomagać nam i dworowi berlińskiemu do uspokojenia Polski?*

Król: *Muszę najpierw wiedzieć, na jakich warunkach ma nastąpić to uspokojenie?*

Wołkoński: *Warunki są następujące: 1-o zachowanie praw kardynalnych, 2—o gwarancja, którą także da król pruski; Rosja nie będzie miała nic przeciwko temu, jeżeli i dwór wiedeński przyłączy się do zaręczenia gotowego dzieła. 3-o jeżeli dysydenci w drodze układów z Rzplitą dobrowolnie zechcą czegoś ustąpić ze swych prerogatyw, to Rosja w tym nie przeszkodzi.*

Król: *To nie wystarcza, muszę zawczasu wejść w bliższe szczegóły.*

Wołkoński: *Rzecz dziwna, że kiedy chodzi o utrzymanie i umocnienie WKr. Mości na tronie i o uspokojenie całego państwa, WKr. Mość chce jeszcze przepisywać jakieś warunki. Jedno jest konieczne: abyś WKr.*

[3]) Cytat z książki A. Zahorskiego-*Stanisław August — polityk.* Warszawa 1966. Książka i Wiedza, s. 26.

[4]) Małżonek Katarzyny, Piotr III, odziedziczył w styczniu 1762 r. tron po cesarzowej Elżbiecie. Wskutek spisku został wkrótce pozbawiony władzy, rządy objęła Katarzyna; w lipcu 1762 r. Piotr III zginął w zainscenizowanej bójce.

[5]) Sołowjew — *Istoria Rossii*, ks. VI, str. 708—709.

Mość przed rozpoczęciem sprawy oddalił swych doradców[6]).

Król: *Wstyd by mi było odbierać zaufanie ludziom, na których polegać mam wiele racji.*

Wołkoński: *Jeżeli WKr. Mość od nich się nie odłączysz, to my i sami zaczniemy robotę, a WKr. Mość możesz się przyłączyć do niej potem.*

Król (z zapałem): *W jakimkolwiek jestem ucisku i nieszczęściu, niech lepiej sam przepadnę, niż pozwolę, by mi dyktowano, kogo mam darzyć zaufaniem!*

Wołkoński: *Ci ludzie są sprawcami wszystkich nieszczęść WKr. Mości...*

Król: *Chcieliśmy tylko prosić imperatorową o cofnięcie tego, co Repnin zrobił gwałtem*[7]).

Wołkoński: *Żadnego gwałtu nie było; zresztą czyż mógł on mieć miejsce, skoro wszystko się odbywało solennie wśród takiego mnóstwa ludzi, i poselstwo do imperatorowej wysłano z uroczystą prośbą.*

Król: *Poselstwo to wysłano wbrew mojej woli, a tymczasem naród mnie nienawidzi, myśląc, że ja we wszystkim, zwłaszcza w zaaresztowaniu Sołtyka działałem zgodnie z Repninem.*

Wołkoński: *Bez naszej zgody WKr. Mość nie byłbyś nawet królem. Póki tu Repnin był, skarg na niego nie było — te zaczęły się dopiero po jego odjeździe. Potem można będzie o wszystkich niemiłych umowach mówić, że zostały narzucone. Doradcy WKr. Mości mówią teraz tak dlatego, ponieważ dzieło ostatniego sejmu jest im niemiłe, ale jeżeli wkrótce nie zmienią postępowania, spotka ich coś gorszego od Sołtyka.*

Król (wzburzony): *A potem przyjdzie kolej i na mnie?*

Wołkoński: *Niepotrzebnie WKr. Mość plączesz z nimi siebie; moja najmiłościwsza Pani złożyła dość dowodów swej przyjaźni, wynosząc WKr. Mość na tron i na nim utrzymując, a gdyby cofnęła swą pomocną rękę, już by stąd dawno wynikły dla WKr. Mości następstwa przykre, jak o tym świadczą ostatnie uniwersały o bezkrólewiu.*

Benoit: *Czartoryscy dobrze by zrobili, gdyby złożyli urzędy i odjechali; tym oddaliby przysługę i WKr. Mości, i pomogliby ojczyźnie.*

Król: *Gdyby nawet zechcieli to zrobić, to na ich miejsce bez sejmu innych nie można naznaczyć. Zresztą nie wiem, o co są oskarżeni.*

Wołkoński: *Winy ich dowodzą wszystkie ich czyny przeciwko nam.*

Król: (z ogniem po niemiecku): *Jeżeli chciano się zemścić, to zemsta już jest!*

Wołkoński: *To nie zemsta, lecz kara.*

Król (popędliwie): *Jak można karać obcych poddanych?*

Wołkoński (wstając): *Nigdy nie myślałem, żebyś WKr. Mość mógł wymówić takie słowo. Doniosę o wszystkim memu dworowi.*

Król (też wstaje): *A ja ministrów moich żadną miarą odstąpić nie mogę.*

Wołkoński: *To nie są ministrowie WKr. Mości, lecz Rzplitej.*

Przytoczona rozmowa daje wyobrażnie o sytuacji, w jakiej ostatni król Polski rządził. Był koronowanym niewolnikiem caratu. Był bezsilny i nic na lepsze nie mógł zmienić. Czy dziwne, że tron jego był parawanem dla obcych potencji, że jako król „malowany" zajął się tak żywo sztukami, tworzeniem Komisji Edukacji Narodowej, że zmierzał do osobistego spotkania się z Katarzyną II w Kaniowie, co zresztą doszło do skutku w 1787 r. i niczego w jego sytuacji nie zmieniło?

Gdy zdrowe siły narodu chciały zerwać okowy tej niewoli, doszło przy czynnym współudziale króla do uchwalenia Konstytucji 3 Maja. Potem patrioci chwycili za broń w powstaniu kościuszkowskim, wreszcie przyszedł trzeci rozbiór Polski i abdykacja Stanisława Augusta (1795). Po wywiezieniu do Grodna, a potem do Petersburga eks-król Stanisław August dokonał żywota na obcej ziemi.

Jak odszedł z kraju ojczystego nie żegnany przez nikogo, tak wracał przez nikogo nie witany i spoczął w zapadłym Wołczynie, gdzie się urodził.

Tygodnik Ilustrowany nr 34 z dnia 21 VIII 1938 r. na str. 657 donosił z tej okazji:

... Sprawa miejsca pochowania szczątków króla Stanisława Augusta Poniatowskiego w Wołczynie nabrała wszelkich cech skandalu publicznego. Posypały się artykuły, korespondencje, reportaże i ankiety. Prasa polska zaczęła grzmieć ze wszystkich dział. Czynniki rządowe zostały pomówione o najgorsze rzeczy (...). Znakomita większość głosów żąda pochowania ostatniego króla Polski na Wawelu, mniejszość w Warszawie, Wołczyn wszyscy wyklinają, wykluczają, eliminują, anulują (...). Stanisław August jest osobistością politycznie skompromitowaną; figurant Rosji, kandydat Katarzyny, polityk bez charakteru, można powiedzieć — bez honoru nawet. Pod względem politycznym był doskonałym wyrazem korupcji wyższych sfer społecznych i ciemnoty mas szlacheckich. Ani jednemu, ani drugiemu nie umiał się przeciwstawić, chociaż na pewno rozumiał sytuację. W momentach pragnących naprawy Rzeczypospolitej szybko się załamywał zarówno ze swojej winy, jak i z braku oddźwięku w masach ogłupiałej szlachty. Był gorszym królem od cudzoziemców — Sasów, swoich poprzedników. W ostatecznej walce o wolność narodu umknął z kraju chyłkiem, jak manekin nieczuły na to, co z nim robią obce potencje. Czyż może nas dziwić, że i chyłkiem powrócił do ziemi ojczystej, którą — nie owijajmy w bawełnę — zdradził?!(...). Zbyt wiele politycznej nicości i prostej zdrady było w postępowaniu króla Stanisława Augusta, aby zasłużył sobie na miejsce na Wawelu, szczególnie teraz, gdy Zamek Krakowski stał się panteonem nie tylko królów polskich, ale i królów-duchów polskich (...). Sprowadzenie szczątków ostatniego króla Polski do Wołczyna jest wyrazem wielkodusznego wybaczenia mu jego win, chrześcijańskiego requiescat in pace.

Może autor tej wypowiedzi dożył do chwili obecnej; radzilibyśmy mu przeczytać znakomite książki: A. Zahorskiego *Stanisław August — polityk* i E. Rostworowskiego *Ostatni król Rzeczypospolitej — geneza i upadek konstytucji 3 maja*. Innymi oczami spojrzałby wówczas na panowanie ostatniego króla.

---

[6]) Chodziło o Czartoryskich, którzy od 1768 r. starali się odciągnąć króla od Moskwy.

[7]) Dotyczy wywiezienia do Kaługi biskupa krakowskiego, księcia siewierskiego Kajetana Ignacego Sołtyka, który opierał się na sejmie udzieleniu swobód dysydentom według ułożonego w roku 1768 traktatu między Rosją a Polską przez Mikołaja Repnina, posła rosyjskiego w Warszawie.



Diabeł rozdziela czarodziejską maść. Wierzono, że po nasmarowaniu maścią siebie i drąga albo zwierzęcia czarownica uzyskiwała zdolność lecenia do Blåkulla na sabat. Maść tę czarownice przechowywały w rogach. Malowidło ścienne w kościele w Yttergran, po restauracji w 1927 r.

ANITA THIERRY

Czarownikom żyć nie dopuścisz

Z dziejów XVII-wiecznych procesów o czary w Szwecji

PŁONĄCE w krajach Europy zachodniej XV—XVII wieku stosy, na których ginęły tysiące ofiar ponurego zabobonu, dotarły, jak wiadomo, i do Polski. Choć znacznie mniej rozpowszechnione niż w Niemczech, procesy domniemanych czarownic w Polsce pociągnęły za sobą wiele ofiar. Czarny zabobon dotarł również do leżącej nieco na uboczu Skandynawii.

Szwedzi, zajęci w XV wieku rozgrywkami politycznymi, a w wieku XVI i XVII planami wielkomocarstwowymi, nie mieli w tych czasach ani problemów kacerstwa, ani też wielkich procesów o czary. Fala ich wybuchła w Szwecji dopiero w drugiej połowie XVII wieku. Trzeba jednak oddać Szwedom sprawiedliwość — w centralnej i północnej części kraju nie palono skazańców żywcem, jak w innych krajach Europy. Zachowała się tylko jedna wzmianka o szczególnie „zatwardziałej" czarownicy spalonej żywcem w Sztokholmie w XVII w. Pozostałe ofiary przed spaleniem „humanitarnie" ścinano.

Wiara w czary oraz wiara w istnienie osób mogących je uprawiać rozpowszechniona była oczywiście w Skandynawii, jak i w innych krajach, na długo przed wprowadzeniem tam chrześcijaństwa. Słowa: *trolldom* (czary) i *trollpacka* lub *trollkäring* (czarownica) — pochodzą od nazwy *troll* oznaczającej istotę demoniczną ze skandynawskich ludowych wierzeń przedchrześcijańskich. Wizerunki trollów widnieją na rysunkach skalnych z okresu brązu w prowincji Bohuslän i w Skonii, (w pd.-zach. i pd. Szwecji), a wzmianki o trollach występują nie tylko w sagach islandzkich, ale także w eposie staroangielskim, dokąd zawędrowały ze Skandynawii w VI—VII wieku. Tym właśnie istotom wierzenia ludowe przypisywały nauczenie ludzi czarów i zaklęć.

Wyobrażenie czarownicy z rozwianymi włosami jadącej na wilku znajdujemy już w *Eddzie* Sämunda. Ten sam motyw wyryty został na jednym z kamieni słynnego Hunestadsmonument w Skonii (z końca X wieku); wiele kamieni runicznych ustawiono właśnie w obronie przed działaniem złych mocy i przed czarami rzucanymi przez czarowników.

W przedchrześcijańskim okresie znane były wypadki kamienowania czarownic; pierwszy proces przeciwko czarownicy znany jest ze wzmianki pochodzącej z *Eyrbyggjasagi* z końca XII w. W tym czasie walczono już z czarownicami ogniem.

Typ czarownicy jadącej na drągu występuje we wczesnośredniowiecznym zbiorze prawa zwyczajowego, tzw. starym zwodzie Västgötalagen. Natomiast dopiero w XV wieku dociera do Szwecji wyobrażenie o domniemanym wstępowaniu czarownic w związek z diabłem i o ich udziale w sabatach na Blåkulla — szwedzkiej Łysej Górze. Pierwsza wzmianka o tym, przywleczonym z kontynentu wyobrażeniu, datuje się z roku 1590, a związane z nim pojedyncze procesy czarownic notowano w Szwecji w końcu XVI i pierwszej połowie XVII wieku. Od drugiej połowy XVII wieku stają się one masowe. Schemat procesu był analogiczny jak w całej Europie; oskarżenie zawierało posądzenie o rzucanie czarów powodujących szkody na życiu i zdrowiu zarówno ludzi, jak i zwierząt, niszczenie plonów, dobytku itd. Podobne były też metody wstępnego badania: „pławienie" i „waże-

nie" oraz szukanie tzw. piętna diabelskiego (*stigma diaboli*) w celu ustalenia, czy podejrzana osoba rzeczywiście jest czarownicą; następnie wymuszano przyznanie się do winy drogą okrutnych tortur, m.in. „wyciągania" oraz „przypalania". W procesach tych szeroko występowały tzw. „powołania", obciążanie winą coraz większej liczby osób. Procesy w Bohuslän zostały obszernie zrelacjonowane przez znanego uczonego szwedzkiego Emanuela Linderholma, któremu śmierć nie pozwoliła zrealizować olbrzymiego planu zbadania wszystkich procesów o czary w Szwecji. Zdążył on wydać tylko pierwszy tom poświęcony właśnie procesom w Bohuslän. Przejrzane jednak i zebrane przez niego materiały — około 10 000 stron akt i protokołów — stanowią punkt wyjścia dla następców. W literaturze naukowej opisane zostały m.in. masowe procesy w prowincjach Hälsingland, Uppland, Gästrikland, Norrland i innych oraz w Sztokholmie. Natomiast na temat największego z nich — w Dalarne w latach 1668—1673 — istnieje tylko zbiór dokumentów, zebranych i wydanych przez C. G. Kröningsvärd jeszcze w latach 1845—1849. Nigdy jednak materiały te nie zostały bliżej opracowane.

Przyczyną tego jest prawdopodobnie fakt, że właśnie w prowincji Dalarne wystąpiła w najbardziej jaskrawej formie pewna okrutna cecha, która czyni masowe procesy czarownic w środkowej i północnej Szwecji ponurym unikatem nawet na tle okrucieństw procesów zachodniej Europy.

Wbrew bowiem wszelkim prawom i tradycyjnym zwyczajom w procesy te zostały wciągnięte dzieci, nawet kilkuletnie, nawet kilkumiesięczne. Były to nie pojedyncze wypadki, jak w innych krajach, ale masowe. Przerażające było już to, że dzieci powoływano na świadków i że świadczyły one przeciw własnemu rodzeństwu, a nawet matkom. Świadectwo zaledwie 4-letniego Maasa, syna Guuta Ericha Anderssona okazało się wystarczające, aby 14 sierpnia 1669 r. posłać na stos domniemaną czarownicę Annę, żonę Björna; za wiążące uznano też świadectwo złożone 15 grudnia 1669 r. na sądzie w Mohra przez 3-letnią (!) Margarethę córkę Adolfa Johana przeciwko Kirstin, żonie Bengta, córce Massa Peera z Nusenaas, jak również świadectwa kilkuset innych dzieci (w procesie w Leksand w lutym 1671 roku aż 105 dzieci świadczyło przeciwko Brijcie z Plingsberh). Zeznanie 2-letniego „świadka" w procesie w Mohra w grudniu 1669 r. nieco zachwiało pewność sędziów, ale nie powstrzymało dalszego biegu procesu. Najczarniejsza jednak karta w historii procesów o czary zaczyna się w momencie, gdy same dzieci postawione zostały w stan oskarżenia. Już w pierwszym masowym procesie w Dalarne w roku 1668 wśród oskarżonych znalazło się wiele dzieci, z których piętnaścioro w wieku od 8 do 16 lat zostało uznanych za winne udziału w sabatach na Blåkulla i skazanych na ciężkie kary.

Jedną z tych kar była tzw. *gatulopp*, co oznaczało, że paręset osób — dzieci i młodzieży z rózgami w ręku, ustawiono w podwójny szpaler, przez który kilkakrotnie, w zależności od „stopnia winy", przepędzano nieszczęsne dziecko. Protokoły i relacje świadków nie wspominają o stanie dziecka po odbytej karze. Wśród skazanych w tymże procesie na śmierć znalazły się dwie 17-letnie dziewczyny: Anna Gylich i Marit Andersdotter, „od dzieciństwa — jak stwierdził protokół — uprawiające zarzucany im proceder". Wyrok śmierci został w dniu 7 kwietnia 1669 r. zatwierdzony przez Sąd Królewski. W aktach procesów z tych lat wspomniano też o ścięciu w Elvdalen 16-letniej dziewczyny imieniem Marit, córki Larsa z Uthmedland.

O cóż oskarżano te dzieci? O co się same oskarżały?

Diabeł pomagający czarownicy ubijać masło z mleka odciągniętego czarami od krów sąsiadów. Malowidło ścienne z kościoła w Östersunda, Uppland





Czarownica na długim drągu udaje się w asyście diabła do Blåkulla. Malowidło ścienne z kościoła w Knutby, Uppland (foto Wolter Ehn, Uppsala 1965; publikuje się za zgodą autora)

Głównym zarzutem w procesach w Dalarne było rzekome udawanie się w asyście diabła na szwedzką Łysą Górę — Blåkulla, która według wierzeń ludowych znajdować się mogła wszędzie, choć raczej leżała gdzieś na północy, a równoznaczna była z piekłem. W Blåkulla odbywać się miały sataniczne orgie, podczas których oskarżone kobiety i dzieci oddawały się diabłu nie tylko duszą, ale i ciałem. Czarownice uprowadzały rzekomo ze sobą na sabaty dzieci, które następnie przez nie i szatana nauczone, udawały się do Blåkulla już same, ciągnąc za sobą coraz to inne dzieci. „Winowajcy" przyznawali się do zarzutów, tak silna była masowa psychoza i ogólnie panujący zabobon. Oto jak opisuje swoją podróż do Blåkulla i pobyt tam 9-letnia Britta, córka Guuta Larsa Andersa z parafii Oxeberg, na sądzie w Mohra, sprawowanym przez specjalną komisję królewską z członkiem rady państwa Lorentzem Creutzem na czele w dniu 14 sierpnia 1669 r.:

„... Czarownica, po nasmarowaniu (czarodziejską maścią — *AT*) czarnej łaciatej krowy, posadziła na nią Brittę, wypowiadając formułkę: — diable, weź mnie i wszyscy diabli odprowadźcie mnie do piekła. Za chwilę diabeł był już na miejscu. Tam diabeł ochrzcił Brittę: naciął mały palec lewej ręki i spływającą krwią wpisał jej imię do czarnej księgi; potem dał kamyczek z pięcioma magicznymi słowami, po których nauczeniu się mogła już samodzielnie odbywać loty do Blåkulla, brać udział w sabacie i sprowadzać tam inne dzieci...", co też i czyniła, stwierdza protokół.

Nie wszystkie dzieci zeznawały dobrowolnie. 11-letnia Kirstin, córka Mattsa z Bergkarlsås, dopiero po torturach zeznała, że w Blåkulla poślubiła diabła imieniem Gräfvil, po czym urodziła węża i inne gady. Zanotowane to zostało w protokole z procesu w Mohra w dniu 2 grudnia 1669 r.

Prowadzący procesy Wysoki Sąd Królewski domagał się od dzieci coraz dalszych szczegółów o pobycie w Blåkulla. I oto w zeznaniach 4-letniej (!) oskarżonej Karin z Bonääs w protokole z 4 grudnia 1660 r. zanotowano, jak na tych ucztach Karin dostawała schludny przyodziewek i do syta najadała się kaszą. Tylko że diabeł, jak twierdziła, oszukiwał ją, bo z rana budziła się znów głodna jak wieczorem. Jest to drastyczne, a wymowne świadectwo głodu i nędzy w wyniszczonym wojnami kraju, co też niemało przyczyniło się do podtrzymywania zabobonu. A sąd stawiał dziecku dalsze i dalsze pytania: A na czym się „tam" jechało? Odpowiedź i tu była prosta — przecież wszyscy o niczym innym nie mówili i wszyscy mówili to samo. Gdyby jednak o tym zapomniano, wystarczyło przypomnieć barwne malowidła ścienne w kościele parafialnym, gdzie widać było zarówno wizerunki diabła, jak i towarzyszącej mu czarownicy, którzy na drągu udawali się do Blåkulla.

Sąd oczywiście dawał wiarę zeznaniom rozhisteryzowanych dzieci, a w wymierzaniu ciężkich kar uczestniczył zarówno członek rady państwa, jak i liczni pastorzy. Szczególnie niechlubną rolę w procesach w Dalarne w tych latach odegrał pastor Elof Skragge z Mohra, mający czynne poparcie samego biskupa z Västerås.

Nikt nie wątpił w autentyczność wypowiedzi zastraszonych dzieci czy też dorosłych, nikt też nie wątpił w istnienie diabłów i czarownic. Sprawy „uprowadzania" dzieci na Blåkulla rozpatrywane były na najwyższym szczeblu państwowym — na posiedzeniach rady państwa. Za sankcją rady państwa odbywały się też masowe egzekucje; ich przymusowymi (choć i chętnymi) świadkami byli wszyscy mieszkańcy parafii skazańców, nie wyłączając dzieci. Nic też dziwnego, że masowa psychoza wzajemnego oskarżania o uprowadzenie do Blåkulla i samooskarżania szerzyła się coraz bardziej.

Po złożonych podczas tortur zeznaniach nieszczęsne „czarownice" kilkakrotnie swe zeznania odwoływały, a ścinać można było według obowiązującego prawa wyłącznie po „dobrowolnym" przyznaniu się do winy. Sam wyrok opierał się jednak w zasadzie nie na zwodach prawniczych, lecz powoływał się na *Drugą Księgę Mojżesza*, tzw. *Księgę Wyjścia*, 22:18, gdzie było powiedziane: „czarownikom żyć nie dopuścisz". Aby zmusić więc oskarżone do publicznego wyznania winy, stosowano bardzo wyrafinowaną torturę psychiczną. Orzekano wyrok skazujący na stos z tajną klauzulą — oczywiście skazanym nie znaną — ścięcia wyłącznie w razie przyznania się do winy na miejscu egzekucji. Pastorzy gorąco namawiali ofiary do przyznania się, obiecując „żywot wieczny"; w razie nieprzyznania się, oprócz kary doczesnej groziła jeszcze kara wieczna. Część os-

karżonych nie wytrzymywała takiej presji psychicznej, przyznawała się — tak odstraszającą była dobrze z kazań pastora znana wizja piekła i wiecznych mąk. Tylko nieliczne osoby zdecydowanie zaprzeczały udziału w sabatach.

Nie tylko ogarnięte psychozą kobiety i dzieci stawały się ofiarami zabobonu: procesy o czary wykorzystywano nieraz dla usunięcia osób niewygodnych. I nie tylko dla zemsty osobistej. Symptomatyczny jest przykład Knutsa Matsa Anderssona z miejscowości Rälta, jednego z głównych oskarżonych w procesie w gminie Lexand w lutym 1671 r. Odważny buntownik, przeciwstawiający się władzom i obowiązującym prawom, wypowiadający się przeciwko wojnie z Danią, negujący istnienie nieba i piekła, był władzom gminy zbyt niewygodny. Został uznany za winnego i jako *trollkarl* — czyli czarownik, skazany na stos ,,innym na ostrzeżenie'', jak brzmiała formułka. Mamy tu więc do czynienia z dodatkowym społeczno-politycznym aspektem procesów.

Koszty doraźnych sądów zaczęły w końcu obciążać skarb państwa. Z kolei koszty wielomiesięcznego nieraz utrzymywania więzionych czarownic ciążyły gminom, skąd podsądne pochodziły. Znaleźli się też wreszcie w Sztokholmie ludzie bardziej światli, np. teolog Martin Brunnerus, lekarz Urban Hjärne i inni, którzy — nie negując oczywiście faktu istnienia diabła — rozpoczęli walkę z zabobonem i autosugestią oskarżonych, szczególnie gdy zeznania dzieci i dorosłych zaczęły obciążać nie tylko żebraczki i inną biedotę, ale też osoby czcigodne, którym pastorzy wystawiali jak najlepsze świadectwa. Gdy w roku 1675 skazana została na śmierć żona pastora Petrusa Fonteliusa z miasta Gävle (oskarżenie zostało spowodowane osobistą zemstą burmistrza), pewne czynniki zaczęły energicznie działać i pastorową od stosu uratowano, mimo że pozostałych pięć jej współtowarzyszek z tego procesu zostało ściętych i spalonych. Od tego jednak czasu fala wielkich procesów zaczęła wygasać.

Energiczne dochodzenie w stolicy kraju objęło z kolei winnych tych wydarzeń; teraz powędrowali na stos oskarżyciele, ci co psychozę rozpowszechniali, m.in. kilkunastoletni chłopiec z miejscowości Gävle, Johan Johansson.

Mniejsze procesy o czary miały jednak miejsce jeszcze w wieku XVIII: kara śmierci za uprawianie czarów została zniesiona dopiero w roku 1779. Ogólna liczba ofiar jest bardzo trudna do ustalenia, raporty z poszczególnych procesów i egzekucji są niedokładne i sprzeczne. Przy masowości zjawiska protokoły były prowadzone bardzo niedbale, ,,brakowało na to czasu'', jak uskarżał się jeden z pisarczyków, a inny, imieniem Marens z procesu w Mohra w dniu 15 grudnia 1669 r. zanotował, że ,,od tego pisania oczy mi na wierzch wychodzą''. Przypuszcza się jednak, że liczba ofiar w Szwecji przekroczyła 2 000 osób, w tym wiele dzieci i młodzieży.

Choć procesy czarownic stopniowo ustały, oskarżenia o czary i o *Blåkullafärder*. czyli udział w sabatach, notowane były również w wieku XIX, a nawet na początku XX.

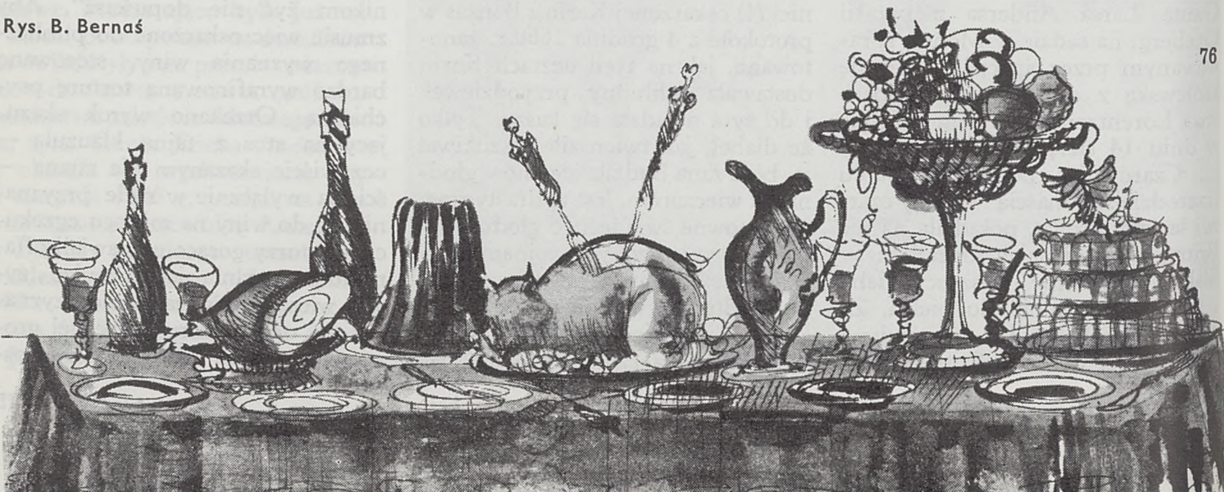
ŚWIĘCONE U PRABABCI

JEMY dużo i niezdrowo — twierdzą lekarze. Zwłaszcza święta są okazją do nieumiarkowania w tym względzie. Ale też świąteczne obżarstwo ma u nas bogatą tradycję. Sto lat temu stół wielkanocny w zamożnych domach zastawiony był niezwykle obficie, a świąteczny wypoczynek był w istocie ... ciężką pracą.

Posłuchajmy wspomnień z pierwszej połowy XIX w.: *,,3 kwietnia Wielka Niedziela. Byłyśmy na nabożeństwie bardzo solennym, po którym zjadło się święcone z wielkim smakiem. Szynka i kiełbasa po 40-dniowym poście od mięsa wydawała się lepsza niż zwykle. Po śniadaniu w domu pojechałyśmy na święcone do pp. Stanisławów Wodzickich. Zastałyśmy salony napełnione gośćmi. Gospodarze z wielką uprzejmością witali i częstowali wszystkich jajem święconym, szynką, doskonałymi plackami i różnymi specjałami, którymi stół dwusążniowy był zastawiony. 4 kwietnia. Poniedziałek... Kilkanaście osób bliskich znajomych przyszło do nas na święcone. Po skończeniu śniadania byłyśmy jeszcze w paru domach znajomych spożywać obfite i wyborne różne placki, szynki i różne przysmaki, którymi równie sążniste stoły były zastawione. W niektórych domach po 40 placków różnej formy i smaków można było naliczyć, wśród których prym trzymał staropolski placek serowy, na upieczenie i przyprawienie którego wszystkie gospodynie przesadzały się, aby był dobry. To tylko w Polsce tyle jedzą, tyle pieniędzy i czasu na to zużywają. Prawda, że w święconym jest tradycja narodowa, takie baby, placki serowe od nie wiem ilu pokoleń zawsze występują, i każdemu z nas byłoby bardzo przykro przepędzić te uroczyste święta bez jajka i placka. Ale to chodzenie po kilkunastu domach znajomych i jedzenie placków, bo każdy miałby sobie za uchybienie, żeby znajomi jego przynajmniej raz jego święconego nie jedli, jest męczące. Bo prócz tych dużych święconych jeszcze co dzień kilkanaście mniejszych święconych spożyć wypada''.*

Biedne prababcie i pradziadkowie!

Rys. B. Bernaś



WOJCIECH CHRZANOWSKI



Po upadku powstania listopadowego rozwinęła się w kręgach emigracji szeroka dyskusja i w jej następstwie publicystyka na temat przyczyn klęski z równoczesnym postulowaniem różnych koncepcji politycznych i doktryn wojennych w przyszłej walce narodu polskiego o niepodległość. Pierwszym, który wystąpił z konkretnymi propozycjami w sprawie „wybicia się na niepodległość", był uczestnik powstania Wojciech Chrzanowski.

Urodził się w 1793 r. w Biskupicach (woj. krakowskie). W 17 roku życia wstąpił do wojska Księstwa Warszawskiego, brał udział w kampanii 1812 r., w czasie której został ranny i dostał się do niewoli. Od 1815 r. służył w armii Królestwa Polskiego, w sztabie kwatermistrzostwa generalnego, biorąc m. in. udział w opracowaniu mapy Królestwa; w 1828 r. został wysłany na front rosyjsko-turecki w roli obserwatora.

Wybuch powstania zastał go w stopniu podpułkownika. W początkowym okresie nie wziął udziału, będąc rzecznikiem porozumienia z carem, później stał się jednym z najzdolniejszych oficerów sztabowych, autorem kilku planów operacyjnych. Pełnił funkcje szefa Sztabu Głównego, a w końcowym okresie powstania – gubernatora Warszawy, w stopniu generała dywizji. Po kapitulacji stolicy Chrzanowski pozostał w niej i złożył przysięgę carowi. Z końcem 1831 r. wyjechał do Galicji, a stamtąd do Paryża, gdzie życzliwie odniosło się do niego stronnictwo Czartoryskiego. Był dowódcą wojskowym w Turcji, w 1849 r. dowodził armią sardyńską; po przegranej bitwie z Austriakami powrócił do Paryża, gdzie zmarł w 1861 r. Pozostawił po sobie liczne rozprawy o tematyce wojskowej, m. in. *O wojnie partyzanckiej*, *O sztabach*, *Opisanie bitwy grochowskiej*.

W pracy *O wojnie partyzanckiej*, która ukazała się w Paryżu w 1835 r., Chrzanowski omówił jedynie ściśle wojskową stronę przyszłego powstania (organizacja, taktyka, uzbrojenie), pomijając całkowicie sprawy polityczne. Jest to istotny mankament jego pracy, zważywszy, że przecież oddziały partyzanckie mogły i, zgodnie z jego koncepcją, miały się rekrutować przede wszystkim z chłopów, których do walki trzeba było czymś porwać, czymś zainteresować. W zaborze rosyjskim mogło to być tylko uwolnienie z feudalnych powinności, uwłaszczenie. Przekształcało to jednak partyzantkę w wojnę ludową, groziło reperkusjami społeczno-politycznymi, nie do przyjęcia przez obóz Czartoryskich.

Chrzanowski starał się rozproszyć wątpliwości, czy w warunkach geograficznych Polski możliwa jest partyzantka. „Niezaprzeczoną jest prawda — pisał — że wojna partyzancka z wielką korzyścią może być prowadzona w kraju górzystym, ale nie idzie za tym, żeby jej prowadzić nie można było tam, gdzie nie ma gór dużych. Wojna taka wszędzie we własnym kraju może mieć miejsce, kiedy mieszkańcy mają odwagę bronić się i nie chcą poddać się zniewagom, rabunkom, a na koniec przyjąć jarzma. W częściach kraju zaszytych i poprzerzynanych, gdzie są lasy, błota, groble, wąwozy, rowy, robi się wojna oddziałami pieszymi zupełnie tak jak w krajach górzystych, w krajach zaś odkrytych i płaskich trzeba ją prowadzić podług tychże samych zasad oddziałami konnymi z jedyną różnicą, którą gatunek broni za sobą pociąga".

Organizację partyzantki proponował następującą: na czele każdej prowincji stoi naczelnik (mianowany przez rząd), który mianuje dowódców kompanii, a ci z kolei naznaczają podoficerów; ilość kompanii zależy od liczebności mieszkańców: na każdych 50 tys. jedna w składzie 110—130 partyzantów pieszych lub konnych, ogółem można więc sformować 400 kompanii.

Umundurowanie partyzantów nie powinno odróżniać się od stroju miejscowych chłopów z wyjątkiem kokardy przy czapce. Chrzanowski uzasadniał to przede wszystkim łatwością, w razie potrzeby, zmieszania się partyzantów z miejscową ludnością i uniknięcia pościgu. Uzbrojenie partyzantów miało składać się: pieszych — z karabinu z bagnetem; konnych — z lancy, szabli i w miarę możliwości z broni palnej (pistoletu lub krótkiego karabinu).

Tak zorganizowani, umundurowani i uzbrojeni partyzanci mieli początkowo dezorganizować działania wojsk nieprzyjaciela poprzez niszczenie dróg i mostów oraz wychwytywanie kurierów, później, w miarę zdobywania doświadczenia, niszczyć „jego fabryki broni, prochu lub inne wojskowe zapasy" oraz nękać jego oddziały, wreszcie „gdy liczba kompanii będzie znaczna, a żołnierze i dowódcy wprawieni do boju nabiorą doświadczenia, mogą działać i przeciwko kilkutysięcznym nieprzyjacielskim korpusom". Chrzanowski przestrzegał jednak, że właściwa taktyka partyzancka polega na niszczeniu wroga częściami, że w decydujące bitwy partyzanci nie powinni się wdawać, „niespodziewane bowiem napadnięcia i zasadzki są to dwa jedyne rodzaje bicia się partyzantów".

Chrzanowski nie widział jednak w partyzantce rozstrzygnięcia walki o niepodległość. Uważając system partyzancki za bardzo pożyteczny, a w początkowym okresie walki za decydujący, główną rolę w pobiciu wroga przypisywał armii regularnej. „Tylko w połączeniu z wojną przez regularne wojsko robioną można z niej obiecywać sobie korzyści prowadząc ją na bokach i w tyle nieprzyjaciela". Po pewnym więc czasie oddziały partyzanckie powinny się scalić w duże regularne jednostki, których zadaniem jest rozgromić całkowicie nieprzyjaciela.

Koncepcja wojny partyzanckiej Chrzanowskiego choć nie wolna od braków (sprawy społeczno-polityczne) i pewnych uproszczeń, jest jednak wkładem w rozwój polskiej myśli wojskowej, którą uzupełnili i rozszerzyli inni teoretycy wojskowi XIX w.

Wacław Lang

ANDRZEJ MAKSYMILIAN FREDRO



Urodził się około 1620 r. Piastował różne i ważne godności: kasztelana lwowskiego, wojewody podolskiego, był posłem, a nawet w 1652 r. marszałkiem sejmu. Odegrał znaczną rolę w dziejach parlamentaryzmu polskiego, bynajmniej jednak nie postępową. Był typowym przedstawicielem stanu szlacheckiego i mimo stopniowego upadku znaczenia i siły Rzeczypospolitej, wynikającego z egoistycznej polityki możnowładców, uparcie bronił zasad „złotej wolności" szlacheckiej. Uznawał zasadę *liberum veto*, zwalczał wszelkie próby umocnienia władzy królewskiej. Zmarł w 1679 r.

Chociaż w latach jego życia Polska niemal bez przerwy uwikłana była w wojny, Fredro nie brał bezpośredniego udziału w żadnej kampanii. Z racji zajmowanych stanowisk państwowych stykał się jednak ze sprawami wojska, co dało mu materiał do napisania kilku prac, przede wszystkim z dziedziny organizacji sił zbrojnych; jego poglądy w sprawach taktycznych ze względu na brak doświadczenia nie miały większej wartości. Mimo to Fredro jest uważany za jedynego poważnego przedstawiciela polskiego piśmiennictwa wojskowego w drugiej połowie XVII wieku.

W pracach swych postulował on przede wszystkim polonizację wojsk cudzoziemskiego autoramentu. Był przeciwny oddawaniu dowództwa nad żołnierzami polskimi cudzoziemskim oficerom, którzy morząc żołnierzy głodem dorabiali się majątków, a następnie bezkarnie wyjeżdżali z Polski.

Fredro był gorącym zwolennikiem rozwoju spolszczonej piechoty i dragonii, a więc tych rodzajów wojsk, które były na ogół niedoceniane. Od oficerów wymagał doświadczenia i konkretnej wiedzy wojskowej, uważając, że samo tylko pochodzenie szlacheckie nie może być podstawą do objęcia stanowiska w wojsku.

Z innych propozycji Fredry wymienić można tworzenie w chorągwiach jazdy sztabów złożonych z zastępcy dowódcy, oboźnego, strażnika, prowiantowego i pisarza; określił on szczegółowo obowiązki tych oficerów, którzy, zgodnie ze swą specjalnością, mieli podlegać oboźnemu, strażnikowi, prowiantowemu i pisarzowi generalnemu całego wojska.

Co do uzbrojenia Fredro uważał, że jazda powinna być uzbrojona w pistolety i dzidy, piechota zaś w szable lub krótkie berdysze i siekiery potrzebne do prac obozowych.

Ciekawy jest projekt Fredry, aby jednostkom piechoty przydzielić organiczną artylerię i pododdział dragonów, tych ostatnich w celu utrzymania łączności oraz szybkiego opanowywania ważnych terenowych punktów taktycznych. Interesował go również stan dyscypliny wojska. Za częste wówczas samowolne oddalenia z jednostki proponował wprowadzenie kar pieniężnych — potrącenia z żołdu.

W celu usprawnienia dowodzenia wojskami i poznania panujących nastrojów postulował Fredro zwoływanie przez hetmana co tydzień rady wojennej, w skład której mieli wchodzić oficerowie i doświadczeni towarzysze z każdej chorągwi.

Był on zwolennikiem ograniczenia sił zaciężnych i dużo uwagi poświęcał poborowi do wojska, jednak nie jak dotychczas w zależności od liczby łanów, ale od wysokości intraty z dóbr. Opracowany przez niego projekt wyliczał, ilu i jak uzbrojonych żołnierzy powinno znaleźć się w wojsku. Rzecz szczególna: tak nazwane przez Fredrę „małe pospolite ruszenie" miało być podporządkowane komisarzom niezależnym od króla i hetmanów; była to gwarancja dla szlachty, że siły te nie będą użyte w celu umocnienia władzy królewskiej.

W swoich traktatach pisał Fredro również o artylerii, fortyfikacjach, taborach i szkoleniu wojsk. Dużo jego pomysłów było rzeczywiście nowatorskich, wybiegających daleko naprzód poza stosunki panujące wówczas w wojsku. Niektóre jego postulaty zostały zresztą zrealizowane, szczególnie przez Jana Sobieskiego, który odnosił się do Fredry z dużym uznaniem.

PYTANIE

Hania (lat 6) po wysłuchaniu historii Adama i Ewy pyta: „Mamusiu, a czy Adam i Ewa po wypędzeniu z raju mogli sobie chociaż wziąć to jabłko na drogę?"

ANDRZEJ WYRZYKOWSKI

WARSZAWSKIE WYŻSZE UCZELNIE W LATACH 1939—1944



W okresie międzywojennym Warszawa była głównym ośrodkiem akademickim kraju. Już w 1935 r. uczelnie warszawskie skupiały prawie 20 tys. młodzieży. W roku 1936 miały tu swoje siedziby 143 instytucje naukowe (w Krakowie tylko 33). W 1939 r. środowisko warszawskie skupiało 40% wszystkich sił naukowych kraju. Działania wojenne przyczyniły się jeszcze do wzmocnienia liczebnego tego środowiska, znalazło tu bowiem schronienie wielu profesorów z innych ośrodków akademickich. Szczególnie liczna była grupa profesorów Uniwersytetu Poznańskiego.

Jesienią 1939 r. po zakończeniu działań wojennych miano jeszcze nadzieję na wznowienie zajęć. Rozpoczęto prace przy porządkowaniu ocalałych zbiorów, zamierzano kontynuować prace badawcze. Bardzo szybko okazało się, że zamierzenia te są nierealne. Gubernator okręgu warszawskiego Ludwik Fischer oficjalnie zawiadomił rektorów, że „uczelnie nie będą czynne, a działalność naukowa jest wzbroniona". Całkowity kres wszelkim złudzeniom położyło zarządzenie Komisji Likwidacyjnej z dnia 14 września 1940 r., głoszące że wszystkie wyższe uczelnie są oficjalnie zamknięte począwszy od końca września 1939 r. Jednak już wcześniej wielu studentów, zwłaszcza słuchacze starszych semestrów, nawiązało kontakt ze swoimi profesorami i pod ich kierunkiem wznowiło studia. Chodziło tu przeważnie o zakończenie już zaczętych pracy dyplomowych. Wiosną roku 1940 władze niemieckie wyraziły zgodę na kończenie zaawansowanych prac dyplomowych na Politechnice Warszawskiej. Zezwolenie to zostało wprawdzie po dwóch miesiącach cofnięte, ale w ten sposób ułatwiono licznej rzeszy studentów ponowny kontakt z uczelnią.

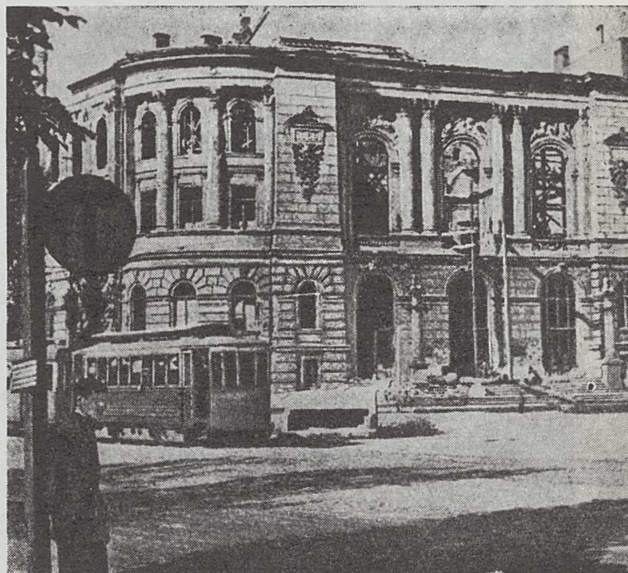
Właściwe początki tajnego nauczania sięgają jesieni 1940 r. Inicjatywa wyszła zarówno od wykładowców, jak i studentów. Jak wspomina Tadeusz Manteuffel w *Kronice Uniwersytetu Warszawskiego*, również grono kierownicze szkół średnich przyczyniło się walnie do organizacji tajnych kompletów dla nowo wstępujących. Władze Uniwersytetu Warszawskiego, na czele z urzędującym od dnia 1 września 1939 r. nowym rektorem prof. Jerzym Modrakowskim, aktywnie włączyły się do tej akcji.

Zorganizowano kilka wydziałów, opartych w większości o dawną kadrę profesorską. Już w lutym 1940 r. powstał Wydział Teologii Katolickiej, na którego czele stanął ks. prof. Piotr Chojnacki. Wykładowcami byli m.in. prof. UJ ks. Józef Archutowski, ks. prof. Jan Czuj, prof. Wiktor Grzywo-Dąbrowski, ks. prof. Wł. Rosłan, ks. prof. Jan Stawarczyk i prof. Władysław Tatarkiewicz.

W latach 1940—1944 wydział ten liczył około 100 studentów. Odbyło się na nim w tym czasie 10 egzaminów magisterskich i 6 doktorskich.

Wydział Prawa zorganizował się w grudniu 1940 r. Jego dziekanem został prof. Roman Rybarski. Po aresztowaniu prof. Rybarskiego w maju 1941 r. funkcję dziekana objął prof. Józef Rafacz. Wydział ten pozostawał w ścisłym związku organizacyjnym z Uniwersytetem Ziem Zachodnich i dopiero w roku akademickim 1943/44 powrócił do UW. Zorganizowany był on na zasadzie tajnych kompletów, których na samym tylko 1 roku studiów było 13. Ogółem w roku 1943/44 na Wydziale Prawa studiowało 600 studentów. Wykładali na nim profesorowie: Cezary Berezowski, Stanisław Borowski, Stanisław Kasznica, Władysław Kosieradzki, Włodzimierz Kozubski, Józef Rafacz, Roman Rybarski, Stefan Szulc, Stanisław Śliwiński, Stefan Zaleski.

Zniszczona Politechnika Warszawska



Tymczasowe konspiracyjne świadectwo dyplomowe z czasów okupacji, podpisane przez prof. Stefana Bryłę, dziekana Wydziału Architektury

CHNIKA WARSZAWSKA
BADAWCZY BUDOWNICTWA
RSZAWA 1, KOSZYKOWA 55
TEL. 8-77-20

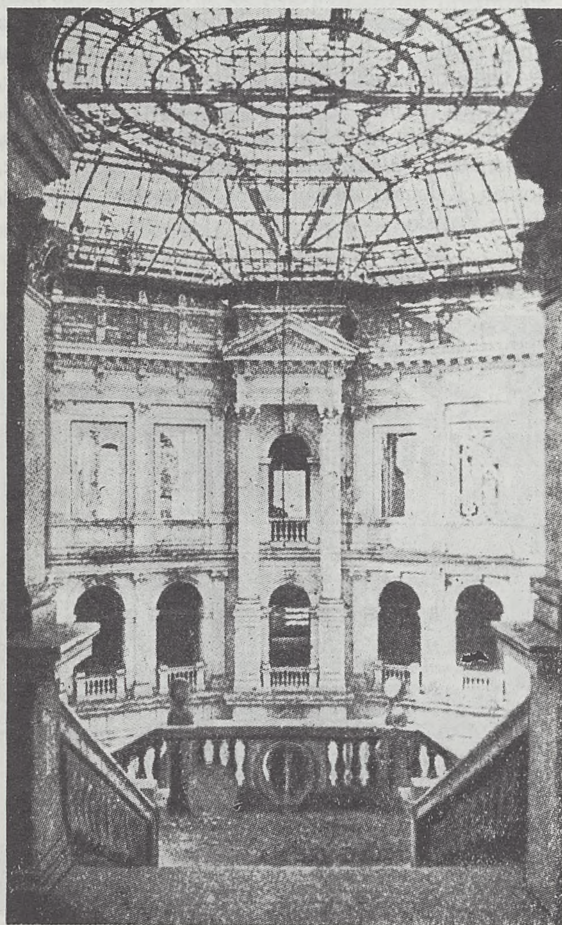
Warszawa, dn. 28 pa

JWielmożny Pan Inżynier-Architekt
Bohdan Iliński
w/m
ul. 6-go Sierpnia 7

Donoszę Szanownemu Panu Inżynierowi, że [illegible]
przesłana nadaje się bardzo dobrze do budowy.

Łączę wyrazy poważania

Hall główny Politechniki po powstaniu warszawskim

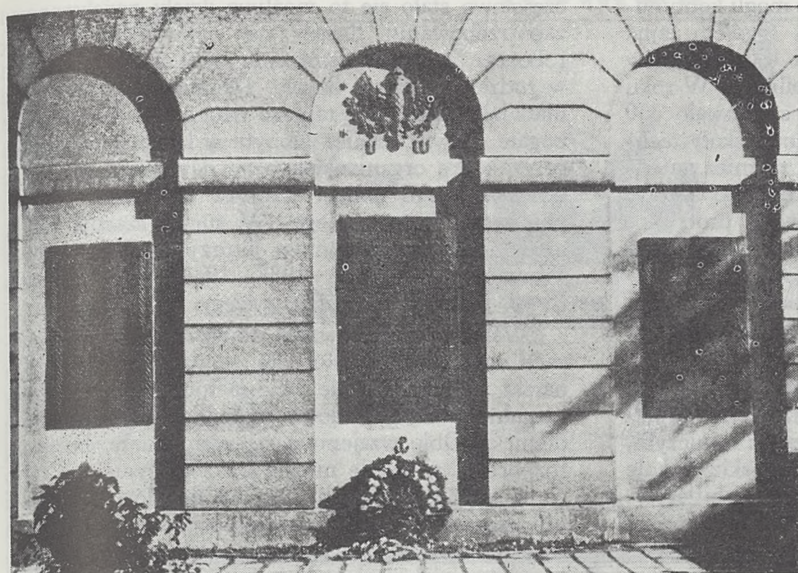


Trzecim wydziałem UW był Wydział Lekarski. Miał on znacznie łatwiejszy start niż pozostałe wydziały Uniwersytetu Warszawskiego, gdyż do 6 maja 1940 r. Izba Lekarska posiadała prawo oficjalnego wydawania dyplomów. Później kandydaci do zawodu lekarskiego odbywali potajemne studia w oparciu o działające szpitale. Niezwykle ważne było tu otwarcie legalnej „Szkoły dla Pomocniczego Personelu", na której czele stał doc. Jan Zaorski. Pozwalała ona na prawie jawne przerobienie materiału pierwszych semestrów studiów medycznych. Nauka w zakresie programu wyższych lat prowadzona była na tajnych kompletach. Przez szkołę docenta Zaorskiego przeszło w czasie okupacji 1900 uczniów. Wydział Lekarski należał do najliczniejszych wydziałów UW. W 1943/44 roku ukończyło na nim I rok studiów 15 studentów, II rok — 100, III — 30, a IV — 20 studentów.

Dawny Wydział Humanistyczny rozpadł się na samodzielne sekcje. Najliczniejsza była sekcja polonistyczna, kierowana przez prof. Juliana Krzyżanowskiego. W 1943/1944 r. studiowało na niej 200 osób. Wykładowcami byli m.in. profesorowie: Wacław Borowy, Jan Bystroń, Witold Doroszewski, Stanisław Słoński, Bogdan Suchodolski i Władysław Tatarkiewicz.

Druga co do liczebności była sekcja historyczna, na czele której stał doc. Tadeusz Manteuffel. Rozpoczęła ona swoją działalność jesienią roku 1940 od 3 wykładowców i 6 słuchaczy. W roku 1943/44 liczyła już 12 wykładowców i 90 słuchaczy zorganizowanych w 15-osobowe komplety. Wykładowcami byli: prof. Włodzimierz Antoniewicz, doc. Łucja Charewiczowa, prof. UJ Józef Feldman, prof. Marceli Handelsman, dr. Jadwiga Karwasińska, prof. Stanisław Kętrzyński, prof. Tadeusz Kotarbiński, dr Jerzy Kreczmar, doc. Stefan Kuczyński, doc. Tadeusz Manteuffel, doc. Maria Ossowska, doc. Stanisław Ossowski, doc. Władysław Tomkiewicz, prof. Kazimierz Tymieniecki, doc. Michał Walicki, doc. Ludwik Widerszal, doc. Stanisław Więckowski i doc. Janusz Woliński. W 1943/1944 r. wyodrębniło się z tej sekcji Studium Historii Sztuki. Ponadto działały jeszcze sekcje: pedagogiczna, filologii klasycznej, filologii romańskiej i sekcja dla kandydatów na studia filozoficzne. Wiosną 1944 r. wymienione sekcje połączyły się tworząc Wydział Humanistyczny, na którego czele stanął prof. Bogdan Nawroczyński. Pozostałe dwa wydziały: Matematyczno-Przyrodniczy i Farmaceutyczny związane były z UW szczególnie od roku 1943, wchodząc uprzednio w skład Uniwersytetu Ziem Zachodnich.

W okresie okupacji Uniwersytet Warszawski był największą uczelnią w kraju i swojego rodzaju fenomenem w dziejach tajnego nauczania. W roku akademickim 1943/1944 studiowało na nim 1500 osób. Zajęcia prowadzono w 300 lokalach rozrzuconych po całej Warszawie. Znakomita organizacja uczelni pozwoliła na kontynuowanie nauki aż do wybuchu powstania, praktycznie rzecz biorąc bez większych wpadek.



Tablice pamiątkowe ku czci poległych pracowników UW na murze Instytutu Historycznego



Prof. dr Tadeusz Manteuffel, w okresie okupacji organizator i kierownik sekcji historycznej UW

Drugą co do wielkości i znaczenia czy nawet, jak sugerują niektórzy, pierwszą uczelnią Warszawy, był tzw. Tajny Uniwersytet Ziem Zachodnich. Powstał on jesienią 1940 r. głównie w oparciu o kadry byłego Uniwersytetu Poznańskiego. Jego organizatorami byli prof. Ludwik Jaxa-Bykowski i ks. dr Maksymilian Rode. W październiku 1940 r. zawiązali oni tzw. Komitet Czterech, w którego skład wchodzili jeszcze prof. Roman Pollak i doc. Władysław Kowalenko. Oficjalna inauguracja nauczania nastąpiła 24 XI 1940 r.

11 stycznia 1941 r. wybrano władze uczelni. Rektorem został prof. Ludwik Jaxa-Bykowski, dziekanem Wydziału Humanistycznego: prof. R. Pollak, Prawnego prof. J. Rafacz. W maju 1944 r. nowym rektorem TUZZ został prof. R. Pollak. Według danych przytoczonych przez Władysława Kowalenkę UZZ zatrudniał 296 profesorów, a studiowało na nim 2181 studentów.

Na innych zasadach oparła swoje prace tajna Politechnika Warszawska. W większym stopniu można było tu wykorzystać legalnie działające miejskie szkoły zawodowe. Działo się to zresztą za wiedzą Polaków zatrudnionych w Zarządzie Miejskim Warszawy. Również zakłady naukowe, pracujące oficjalnie dla przemysłu niemieckiego, stanowiły mocne punkty oparcia przy organizowaniu tajnego nauczania. Jednym z takich zakładów był Zakład Badawczy Budownictwa pracujący pod kierunkiem dziekana Wydziału Architektury, prof. Stefana Bryły. Tajne nauczanie zapoczątkowane tu przez prof. Bryłę kontynuowali, po jego aresztowaniu i rozstrzelaniu w grudniu 1943, jego następcy. Umożliwiło to wydanie w czasie okupacji pokaźnej liczby 25 dyplomów ukończenia studiów.

W 1942 r. Niemcy powołali do życia tzw. Państwową Wyższą Szkołę Techniczną, na której czele stanął Niemiec, ale jego zastępcą był rektor Kazimierz Drewnowski, zresztą wkrótce aresztowany i wywieziony do Dachau. Istnienie legalnej szkoły technicznej umożliwiło masowe studiowanie przynajmniej w zakresie programu pierwszych lat studiów politechnicz-

Tablica pamiątkowa poświęcona studentom UW poległym w walce z okupantem



nych. Po ukończeniu szkoły uczniowie mogli kontynuować naukę na tajnych kompletach. Ogółem tajna Politechnika wydała w czasie okupacji 186 dyplomów inżynierskich, 18 doktoratów i 14 habilitacji. W roku akademickim 1943/44 na tajnej PW studiowało 350 studentów, nie licząc oczywiście legalnej szkoły technicznej. Tajne nauczanie odbywało się również na bazie o średnich szkół technicznych. Były to szkoły: 1) elektrotechniczna pod kierownictwem prof. Romana Trechcińskiego; 2) metaloznawczo-zdobnicza kierowana przez Kazimierza Gierdziejewskiego; 3) budownictwa lądowego i wodnego — pod kierunkiem Edwarda Warchałowskiego. Szkoły te działały od roku szkolnego 1940/1941.

Podobnie zorganizowana została działalność SGGW i Szkoły Głównej Handlowej. SGGW opierała swoją działalność na legalnych liceach: rolniczym, rybackim i ogrodniczym, a SGH na Miejskiej Szkole Handlowej. W ciągu całego okresu okupacji hitlerowskiej na SGGW studiowało tajnie 160 studentów, z których 27 złożyło egzamin dyplomowy.

Ostatnia z tajnych uczelni Warszawy, tzw. Wolna Wszechnica, rozpoczęła swoją działalność w 1942 r., opierając swoją organizację na systemie kompletów. W roku 1943/1944 studiowało na niej około 170 osób. Trzeba tu jeszcze wspomnieć o tajnych studiach medycznych organizowanych od grudnia 1940 r. w getcie przez prof. J. Zweibauma. Brak jest jednak bliższych danych na ten temat.

W działalności warszawskich wyższych uczelni można zaobserwować trzy fazy. Pierwsza zamyka się w czasie od początku okupacji do jesieni roku 1940, konkretnie do momentu opublikowania zarządzenia Komisji Likwidacyjnej z dnia 14 września 1940 r. Charakteryzuje ją dosyć ograniczona działalność konspiracyjna na polu tajnego nauczania. Wynikało to częściowo ze wspomnianych już nadziei na legalne przywrócenie normalnej pracy uczelni. Również polityka niemiecka wobec wyższych uczelni wydaje się w tym okresie jeszcze nie w pełni ustalona. Świadczą o tym m.in. zezwolenie na wydawanie dyplomów przez Izbę Lekarską, cofnięte dopiero w maju 1940 r., czy nieprzemyślana, z punktu widzenia interesów niemieckich — decyzja zezwalająca na kontynuowanie prac dyplomowych rozpoczętych przed wojną na Politechnice Warszawskiej. Tadeusz Manteuffel nazywa ten okres „okresem półtolerancji". Wydaje się, że przed połową roku 1940 lokalne władze nie otrzymały jeszcze dyrektyw co do dalszego losu szkolnictwa wyższego w Warszawie.

Okres drugi rozpoczyna się jesienią 1940 r., gdy tworzą się zręby organizacyjne większości uczelni, i trwa do roku akademickiego 1942/1943. Charakteryzuje go powolny, ale systematyczny wzrost liczby studiujących. Jest to okres wypracowywania konspiracyjnych metod nauczania.

Wreszcie okres trzeci, rozpoczynający się od roku akademickiego 1942/1943 i kończący w momencie wybuchu powstania. Charakteryzuje go gwałtowny wzrost liczby studiujących. Jak stwierdza Czesław Wycech, rok akademicki 1942/1943 był pod tym względem przełomowy. Liczba studentów wzrosła prawie w dwójnasób. Może się to wydawać paradoksem, ale częściowo stało się to możliwe dzięki zwiększonemu zapotrzebowaniu Rzeszy na wykwalifikowaną siłę roboczą. Zgoda na otworzenie szkół specjalistycznych w rodzaju Wyższej Szkoły Technicznej, znakomicie ułatwiała organizację tajnego nauczania. Jednocześnie bogate doświadczenie, zdobyte w latach poprzednich przez kadrę organizującą tajne nauczanie, pozwoliło zwiększyć jego zasięg. Zamyka ten okres wybuch powstania warszawskiego. W sumie szacuje się, iż globalna liczba studentów, którzy podjęli naukę w Warszawie w latach 1939—1944, wynosiła kilka (8—9, jak chcą niektórzy) tysięcy.

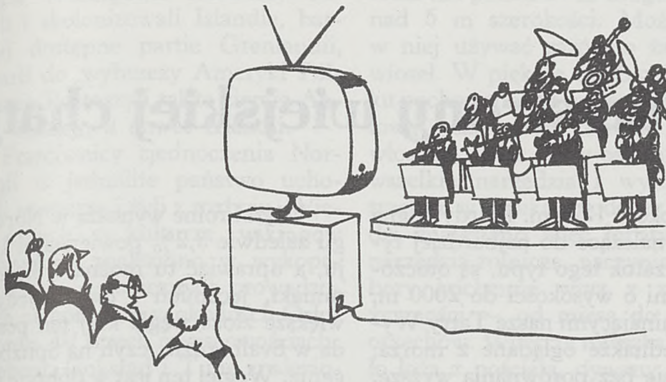
Warto zwrócić również uwagę na metody organizacji nauczania. Jak słusznie zauważył Stanisław Konarski, były to głównie dwie metody: tajne komplety i legalne szkoły zawodowe przerabiające program akademicki. Obie wzajemnie się uzupełniały, bo naukę rozpoczętą w szkole można było kontynuować tylko na tajnych kompletach. Oczywiście główne kierunki uniwersyteckie z braku odpowiednich legalnych szkół pracowały wyłącznie w oparciu o tajne komplety. O tym, jak doskonała była organizacja nauczania, świadczy fakt, że właściwie nie było większych strat na skutek nauczania. Nawet głośne uwięzienie i rozstrzelanie w styczniu 1944 r. kompletu socjologicznego pracującego pod kierunkiem dr. Władysława Oleińskiego, było dziełem przypadku, aresztowania osoby, u której zbierali się studenci. Samo aresztowanie tej studentki miało inne podłoże polityczne i nie było związane z tajnym nauczaniem.

Oczywiście naukowe środowisko warszawskie poniosło olbrzymie straty, ale wynikały one raczej z ogólnej polityki okupanta w stosunku do inteligencji polskiej i z wyjątkowego, nawet w skali Polski, zagrożenia życia ludzkiego w tym okresie w Warszawie. Szczególnie powstanie przyniosło olbrzymie straty zarówno wśród personelu nauczającego, jak i studentów.

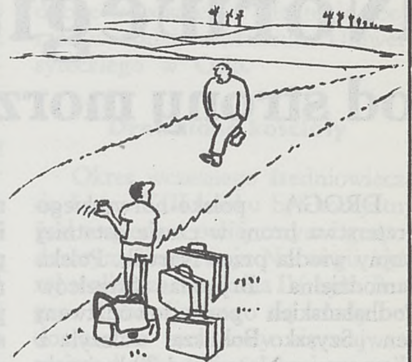
Uniwersytet Warszawski stracił w czasie wojny i okupacji, nie licząc strat wśród personelu administracyjnego i bibliotecznego, 152 osoby. Z tego 48 zmarło śmiercią naturalną, przeważnie z powodu wycieńczenia i trudnych warunków życia w okupowanej stolicy. TUZZ stracił w czasie powstania 32 wykładowców. Politechnika w czasie całej okupacji 41 profesorów i docentów, co stanowiło ponad trzecią część stanu z 1939 r. W czasie powstania poległo również 15% ogółu studentów UW. Znanych jest 85 nazwisk studentów TUZZ, którzy nie doczekali wyzwolenia. Ogólna liczba jest zapewne znacznie wyższa, ale nazwisk pozostałych nie zdołano ustalić. Bardzo poważne były również straty materialne. Uniwersytet Warszawski uległ poważnemu zniszczeniu, i tak: budynki w 60%, instalacje specjalne — 70%, meble — 90%, przyrządy naukowe — 95%, księgozbiory zakładowe — 70% zbiory — 85%, pomoce naukowe — 85%, wydane prace naukowe — 90%, wyposażenie warsztatów — 95%. Jak obliczono, na UW przypada 25% strat materialnych całego szkolnictwa w Polsce.

Poważne straty poniosła również Politechnika. Z budynków ocalały jedynie: mały budynek przy ul. Nowowiejskiej 4, fragmenty budynków mechaniki i gmach kreślarni.

HUMOR

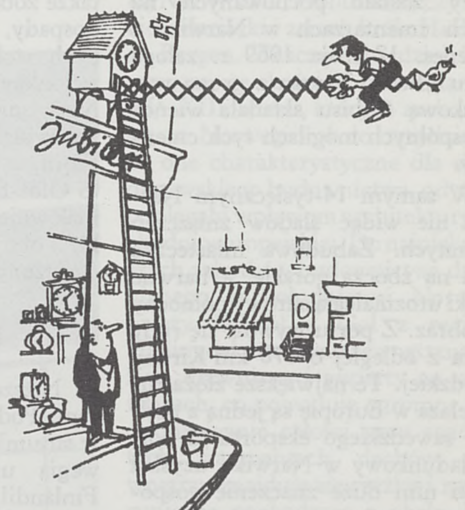


– Dyrygent złamał nogę dziś rano i dyryguje z kliniki chirurgicznej...

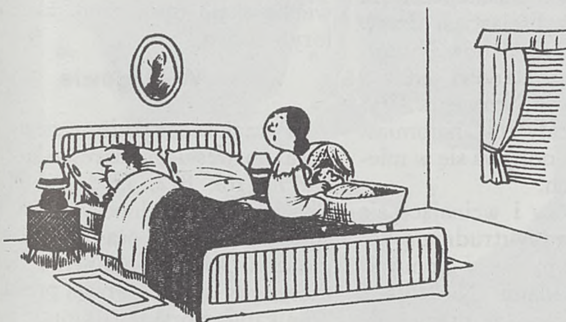




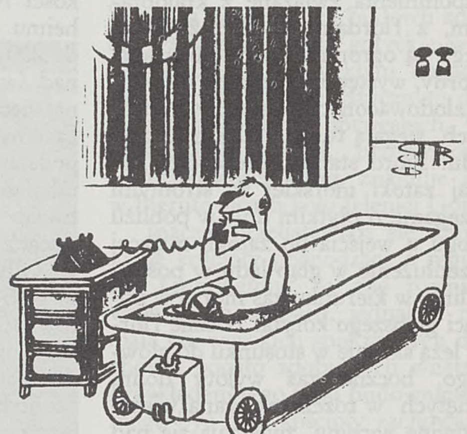
Twoje szczęście, brutalu, że nie miałeś ze mną do czynienia!



– Trzeba mnie było uprzedzić, że to zegar z kukułką!...



Władeczku, to straszne! Nasz mały na pewno jest chory: nie płacze!...



– Nie, wcale mi pan w niczym nie przeszkodził...

IRENA TURNAU

Norwegia
od strony morza i od strony wiejskiej chaty

DROGA polsko-norweskiego braterstwa broni w czasie ostatniej wojny wiodła przez Narwik. Polska Samodzielna Brygada Strzelców Podhalańskich pod dowództwem gen. Szyszko-Bohusza walczyła z Niemcami o Narwik od 29 kwietnia do 12 czerwca 1940 r. w górach koło miejscowości Haakwik i Ankenes. Prawie stu polskich oficerów i żołnierzy zostało pochowanych na dwóch cmentarzach w Narwiku i Ankenes. 12 maja 1969 r. załoga statku „Batory" wraz z grupą wycieczkową Orbisu składała wieńce na wspólnych mogiłach tych cmentarzy.

W samym 14-tysięcznym Narwiku nie widać śladów zniszczeń wojennych. Zabudowa miasteczka sięga na zbocza górskie, a barwne domki urozmaicają surowy północny krajobraz. Z portu wywozi się rudy żelaza z odległej o 170 km Kiruny szwedzkiej. Te największe złoża rudy żelaza w Europie są jedną z podstaw szwedzkiego eksportu, a port przeładunkowy w Narwiku uzyskał dzięki nim duże znaczenie gospodarcze.

Wśród wrażeń z Norwegii na pierwsze miejsce wysuwają się wspomnienia związane z krajobrazem, z fiordami. Wybrzeża Norwegii są ogromnie rozczłonkowane. Fiordy, występujące zawsze na skraju zlodowaconych obszarów wyżynnych, sięgają tu do 180 km w głąb lądu. Fiord stanowi szczególny rodzaj zatoki morskiej ze stromymi brzegami, o płytkim dnie w pobliżu progu u wejścia do zatoki, mającej przedłużenie w głąb lądu w postaci doliny, w kierunku zaś morza w postaci głębszego koryta. Boczne fiordy leżą skośnie w stosunku do głównego, boczne zaś wyloty dolin, wciętych w rozczłonkowaną wierzchowinę wyżyny, zwieszają się nad wodą. Wiele fiordów jest głębszych aniżeli otaczające je morze, np. Sogne, najdłuższy z fiordów Norwegii, ma głębokość 1220 m. Fiordy Sogne i Nord, należące do najbardziej typowych zatok tego typu, są otoczone górami o wysokości do 2000 m, przypominającymi nasze Tatry Wysokie. Jednakże oglądane z morza, wydają się bez porównania wyższe. W miejscach, gdzie opadają zupełnie stromo, małe potoczki zmieniają się w strużki wodospadów. Można także zobaczyć bardziej okazałe wodospady, a w dolinach na północnych stokach przez cały rok leżą zielonkawe lodowce. W północnej Norwegii język lodowca Svartisen zbliża się nawet do poziomu morza. Fiord, w którego głębi leży Narwik, to Ofot-fiord, jeden z najbardziej malowniczych, miejscami dość wąski, z obu stron otoczony stromymi, ośnieżonymi skałami.

Lasy i kopalnie

Niższe partie gór pokryte są lasem. Pod względem obszaru lasów w stosunku do liczby ludności Norwegia ustępuje jedynie Szwecji, Finlandii i Kanadzie. Górna granica lasów leży na rozmaitej wysokości zależnie od strefy klimatycznej: w południowej części kraju na wysokości 1000 m, w okolicach Trondheimu — 700 m, na północy spada do 250 m. Ilościowo sosna przeważa nad świerkiem, z liściastych drzew najwięcej spotyka się dębów i brzóz. Przemysł drzewny stanowi jedną z podstaw gospodarki Norwegii. Wyrąb lasów trwa cały rok, natomiast transport drewna odbywa się w miesiącach zimowych.

Olbrzymie góry i wcinające się w głąb lądu fiordy utrudniają zarówno osadnictwo, jak i komunikację między osadami. Niektóre z dolin są tak głębokie, że prawie nie dochodzą do nich promienie słońca. Strome zbocza dolin sprzyjają powstawaniu skalnych i śnieżnych lawin, które zniszczyły już wiele osiedli.

Użytki rolne wynoszą w Norwegii zaledwie 3,2% powierzchni kraju, a uprawiać tu można tylko ziemniaki, jęczmień i owies. Jedyne większe złoża węgla kraj ten posiada w Svalbardzie, czyli na Spitzbergenie. Węgiel ten jest w dobrym gatunku i łatwo go wydobywać. Przemarznięcie gruntu do znacznej głębokości zapobiega przesiąkaniu wody do kopalni, a przez to ogranicza tworzenie się gazów, łamanie się stempli i tąpnięcia stropów. Prace górnicze można prowadzić cały rok, natomiast okres komunikacji osadników z krajem i wywozu węgla trwa tylko od czerwca do października, kiedy lody topnieją w porcie. Praca cały rok tak blisko bieguna północnego i podczas długich miesięcy nocy polarnej wymaga ogromnej wytrwałości.

Norwegia ma 2720 km granicy morskiej, dlatego też znaczenie morza w tym kraju zawsze było ogromne. Kraj ten posiada poważną flotę handlową. Np. flota miasta Oslo nie tylko przewyższa floty innych portów skandynawskich, ale jej tonaż jest większy od łącznego tonażu flot duńskiej i szwedzkiej. Ryby i przetwory rybne od wielu wieków są podstawowym artykułem handlu norweskiego. Najwięcej poławia się dorszy i śledzi, od wielu stuleci na wielką skalę uprawiano także wielorybnictwo.

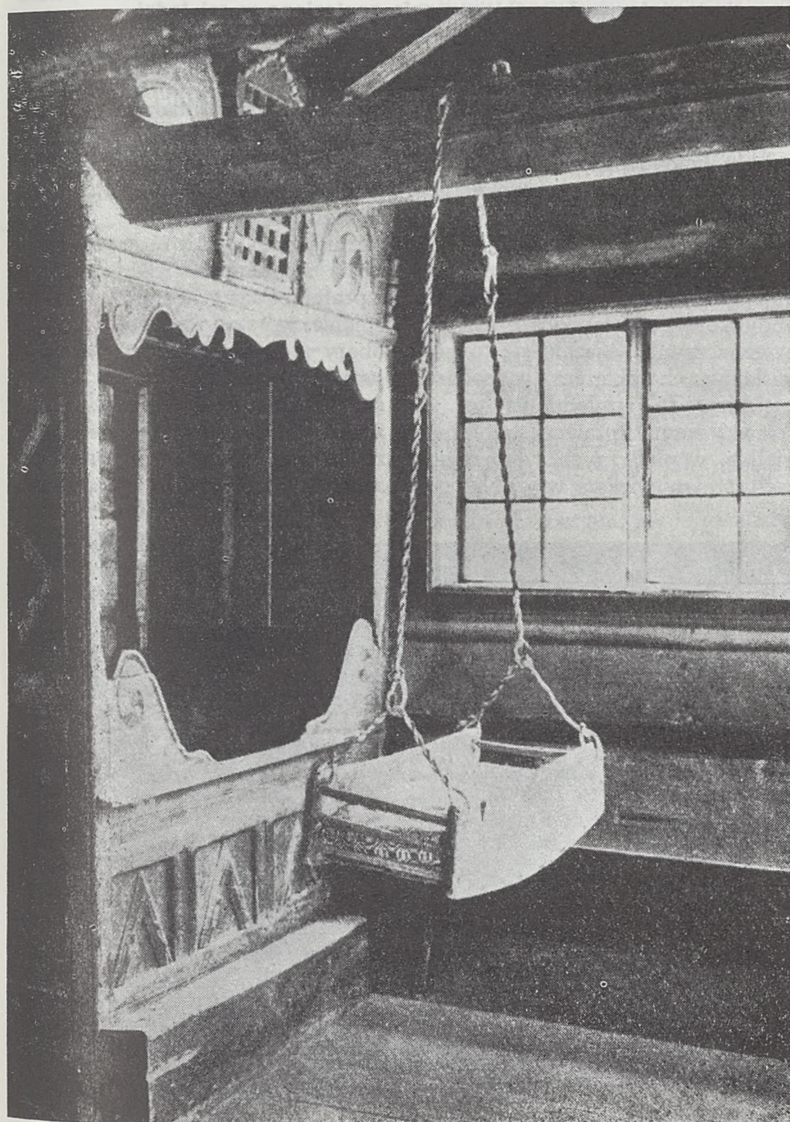
Wikingowie

Początek zorganizowanego państwa norweskiego określa się zwykle na rok 872, kiedy to Harald Pięknowłosy zjednoczył dwa podstawowe ośrodki osadnictwa w regionach Oslo i Trondheim. Były to czasy, gdy Europa drżała przed rozbójnikami morskimi, którzy z krajów skandynawskich zapuszczali się na zbrojne wyprawy wzdłuż brzegów zachodniej Europy. Pierwsze wyprawy wyszły z Norwegii, później Duńczycy przeważali w wypra-

wach na zachód, a Szwedzi na wschodnie wybrzeża Morza Bałtyckiego. Wikingowie norwescy odkryli i skolonizowali Islandię, bardziej dostępne partie Grenlandii, dotarli do wybrzeży Ameryki Północnej. Pustoszyli także ziemie Anglii, Szkocji, a nawet Irlandii.

Przeciwnicy zjednoczenia Norwegii w jednolite państwo uchodzili na morza i żyli z rozboju. Wiele danych o kulturze wikingów norweskich znaleziono w wykopaliskach archeologicznych prowadzonych na południu w okolicach Oslo-fiordu. W trzech miejscowościach: Oseberg, Gokstad i Tune znaleziono słynne łodzie wikingów pochodzące z IX w. a służące jako rodzaj grobowców członków rodzin królewskich. Najlepiej zachowana z tych łodzi ma ponad 21 m długości i ponad 5 m szerokości. Można było w niej używać zarówno żagla, jak wioseł. W pięknie rzeźbionym statku pochowano prawdopodobnie królową Åsa, babkę Haralda Pięknowłosego, dając jej w ostatnią drogę wszelkie narzędzia i wyroby potrzebne w dalekiej podróży. W łodzi znaleziono więc łopaty i inne narzędzia rolnicze, naczynia i przybory kuchenne wraz z zapasami żywności — od mięsa do jabłek i orzechów. Wnętrze mieszkalne miało łoża z pościelą, dywany, ubiory, narzędzia tkackie i klejnoty. Zachowały się także rzeźbione sanie i wózek. Całe serie rzeźbionych ilustracji informują o życiu wikingów. W innych łodziach znaleziono podobne wyposażenie. Można je obejrzeć w oddziale Muzeum Uniwersyteckiego w Oslo.

Wnętrze chaty chłopskiej z połowy XVII wieku



Drewniane kościoły

Okres wczesnego średniowiecza do końca XIII wieku był korzystny pod względem politycznym i gospodarczym dla rozwoju Norwegii, której stolicą za Haakona IV było Bergen. Z rozwijającego się wtedy budownictwa zachowały się najważniejsze budowle kościelne wznoszone w stylu romańskim i gotyckim, jak olbrzymia katedra w Nidaros (dawna nazwa miasta położonego nad rzeką Nid — dziś Trondheim) czy kościół Mariacki i zamek króla Haakona w Bergen. Znacznie bardziej interesujące są kościoły drewniane z XI—XIII wieku, których zachowało się w Norwegii około trzydziestu. Są one charakterystyczne dla skandynawskiego budownictwa, gdyż nie podlegały wpływom architektury zachodnioeuropejskiej. Do najpiękniejszych zabytków budownictwa drewnianego w południowej Norwegii należy kościół z Gol z regionu Hallingdal, otoczony zewnętrzną galerią drewnianą i wsparty na wielu filarach, co powoduje ogromne rozczłonkowanie całości przy spadzistych fragmentach dachów. We wnętrzu znajdują się rzeźby i napisy runiczne pochodzące z około 1250 roku. Inne zabytki tego typu to m.in. kościół w Borgund z około 1150 r. i kościół z Heddal z około 1250 r. Wnętrza wielu z tych budowli zdobią wspaniałe obrazy gotyckie wyróżniające się niezwykłym bogactwem barw, charakterystycznym dla twórczości malarzy norweskich. W Polsce taki kościół, przeniesiony z miejscowości Vang, znajduje się w Bierutowicach koło Jeleniej Góry.

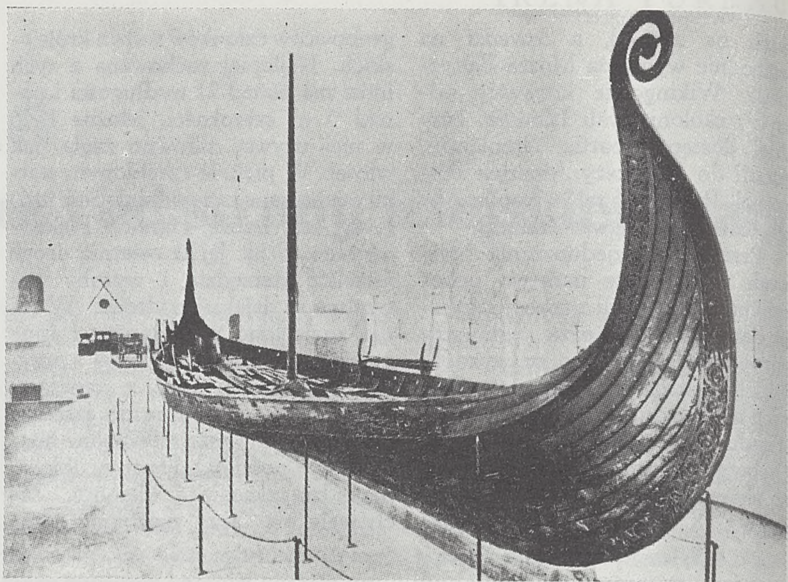
Inaczej przedstawiają się drewniane kościoły pochodzące z regionu Trondheimu. Są one również wsparte na słupach, jednakże nie mają tak wysokich spiętrzonych dachów i bogato zdobionych wnętrz. Przykładem tego typu budownictwa mogą być dwa kościoły zachowane w skansenie w Trondheim. Jeden maleńki kościółek pochodzi z 1050—1100 r., drugi, bardziej okazały z Lo w Asen został zbudowany w 1434 r.

Chaty i spichlerze

Zabytki budownictwa ludowego Norwegii pochodzące z końca XIII wieku są unikatem na skalę europejską. Przechowuje je wspaniały skansen etnograficzny w Oslo. Napis i rzeźby na drzwiach domu mieszkalnego z Rauland w południowej Norwegii pochodzą z około 1250 r. Napis runiczny podaje: „Torgaut Fivil mnie zrobił". Wnętrze domu składa się z sieni, alkowy i większej izby. Nie ma on komina, tylko otwór w dachu do odprowadzania dymu. Przez galerię drewnianą, otwartą na parterze, a zabudowaną w części strychowej, wchodziło się do małej izby sypialnej położonej obok strychu, ponad sienią i alkową. Zarówno w niej, jak w dużej izbie stały pod ścianami łoża i ławy do spania.

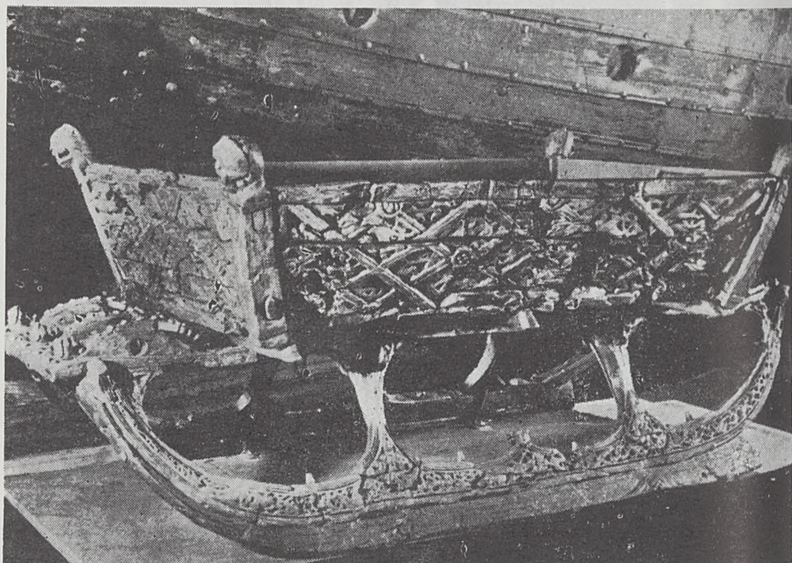
Z około 1300 r. pochodzą także trzy budynki gospodarcze. Budowla na filarach z doliny Setesdal pierwotnie służyła jako młyn, później jako spichlerz. Podobnie jak pozostałe, datowano ją na podstawie napisów runicznych. Drugi spichlerz pochodzi z miejscowości Tveito Hovin w rejonie Telemark. Jego ściany otacza otwarta na parterze, a zabudowana na piętrze wewnętrzna galeria. Dekoracja drzwi naśladuje formy filarów z kapitelami zdobionymi stylizowanymi lwami. Nad drzwiami w kabłąku wyrzeźbionego koszyka widać wyobrażenie ludzkiej twarzy. Trzeci spichlerz pochodzi z Rolstad w dolinie Grudbrandsdal, znanej jako miejsce siedziby rodzinnej Krystyny, córki Lawransa z powieści Sygrydy Undset. Parter budynku służył jako magazyn, na piętrze znajdowała się izba otoczona wewnętrzną galerią. Przy ścianach widać jeszcze ślady łóż, w których sypiali goście albo kobiety pracujące na fermie. Okna mają kształt łuków rzymskich, a pewne szczegóły architektoniczne przypominają zamki średniowieczne.

Najważniejsze cechy wiejskiego budownictwa przetrwały w Norwegii od średniowiecza do XIX wieku: kurne chaty i dachy pokryte zieloną darnią spotyka się jeszcze w XVIII i XIX w. Budownictwo to było zresztą wyraźnie powiązane z warunkami klimatycznymi. Tak więc fundamenty musiały być osadzone głębiej, niż sięga niebezpieczeństwo mrozowego ich wypychania, domy mają na ogół



Łódź wikingów z początku IX wieku odkryta w miejscowości Oseberg – na zdjęciu dolnym – rzeźbione sanie znalezione w tej łodzi

piwnice zabezpieczone od mrozów. W okolicach podmokłych konieczne stawało się budowanie domów na palach. Tradycyjne pokrycie dachów darnią bądź też specjalnym gatunkiem torfu dawało dobre zabezpieczenie przed pożarem i mrozem. W całej Norwegii istniał zwyczaj budowania dużej liczby oddzielnych budynków gospodarskich o różnym przeznaczeniu. Wiązało się to najściślej z charakterem gospodarki wiejskiej. Ze względu na to, że skrawki ziemi uprawnej były niewielkie, w nielicznych tylko regionach istniały większe wsie. Na ogół poszczególne większe gospodarstwa chłopskie były oddalone od siebie, składały się zaś z kilku, a nawet niekiedy powyżej dziesięciu różnych budynków. Obok jednego czy dwóch domów mieszkalnych w wypadku liczniejszych rodzin dawna kurna chata zamieniana była na kuchnię z pralnią. Poza tym stawiano osobne spichlerze, stodoły, szopy, stajnie, obory z owczarniami, chlewnie ze strychami przeznaczonymi na suszenie siana. Dawne łaźnie parowe zamieniano stopniowo na suszarnie ziarna czy lnu. W niektórych zespołach budynków gospodarczych



znaleźć można było także kuźnię, młyn, folusz, garncarnię bądź tartak. Duże gospodarstwa chłopskie, oddalone od innych osiedli mieszkalnych, były nieraz prawie całkowicie samowystarczalne.

Po okresie pomyślnego rozwoju gospodarczego we wczesnym średniowieczu nastąpiły okresy wojen, zarazy. W latach 1397—1523 Norwegia była związana wspólnym władcą z Danią i Szwecją. Stale powtarzały się bunty przeciwko panowaniu duńskiemu, jednakże i później Norwegii nie udało się odzyskać samodzielności. Panowanie duńskie nie sprzyjało rozwojowi kraju. Miasta rozwijały się słabo, nie było prawie rzemiosła cechowego, pierwsze próby zakładania manufaktur w Oslo zwanym po duńsku Krystianią, pochodzą dopiero z połowy XVIII wieku.

Rozwój kulturalny i gospodarczy w tym okresie można dostrzec przede wszystkim w kilku miastach portowych i w zamożniejszych gospodarstwach chłopskich. W muzeach etnograficznych przechowano zabytki budownictwa chłopskiego z XVII i XVIII wieku. W tych nowszych domach poza sienią, alkową i izbą z paleniskiem budowano także drugą izbę, zwaną „nową salą", przeznaczoną do przechowywania cenniejszych sprzętów. Znajdowały się w niej zwykle rzeźbione łoża przy ścianach bocznych i ogromny stół z ławami i rzeźbionymi krzesłami pod oknami. Coraz staranniej przyozdabiano szafki i kredensy, a także skrzynie na odzież. Oparcia ław, krzeseł i foteli, kołyski dziecinne, a także naczynia drewniane, gliniane i metalowe cechuje wyszukane zdobnictwo. Wnętrza mieszkalne przyozdabiają wzorzyste tkaniny dekoracyjne, kobierce o wzorach geometrycznych i dywany przedstawiające postacie zwierząt i całe sceny z Biblii. Na przyjęcie gości rzeźbione stoły nakrywano pięknymi obrusami z adamaszku lnianego bądź haftowanego płótna. W długie zimowe wieczory kobiety tkały cienkie płótna lniane, ciepłe tkaniny gładkie i wzorzyste z barwionej wełny starą techniką znaną jeszcze w średniowieczu. Nie chciały ich sprzedawać i zdecydowały się na to po długich oporach dopiero w ubiegłym stuleciu.

W skansenach norweskich można znaleźć nie tylko stare domy i całe gospodarstwa chłopskie. I w Oslo, i zwłaszcza w Bergen można zobaczyć w nich całe uliczki domów mieszczańskich z XVIII i XIX wieku. Widzimy więc, jak mieszkali zamożni kupcy w dużym mieście portowym Bergen, jak był urządzony dom marynarza, dom piekarza z osobną piekarnią, aptekarza, powroźnika, szewca i ubogiej krawcowej. Niektóre z tych domków składają się tylko z sieni, kuchni i małego pokoju będącego jednocześnie warsztatem rzemieślniczym. Można także zobaczyć, jak wyglądały kantory handlowe, ubogie pomieszczenia czeladników i służby. W muzeum w Trondheim zachowano dawne urządzenie rzeźni, warsztatu rymarskiego, złotniczego, zegarmistrzowskiego, piwiarni, skromnej restauracji i wreszcie kilku większych i mniejszych kuchni.

Norweskie parki etnograficzne mają dawną tradycję. Największy z nich, położony na przedmieściach Oslo, został założony już w 1867 r. i jest najstarszym muzeum tego typu. Muzea te to rozległe parki, w których stoją chłopskie zabudowania gospodarskie, kościoły, uliczki miejskie. Wnętrza są urządzone meblami i mnóstwem drobiazgów pochodzących z odpowiedniego okresu.

Norweska sztuka ludowa odgrywa dużą rolę w dzisiejszym życiu, W odciętych od świata regionach, wsiach i małych gospodarstwach zachowały się dawne wzory tkactwa i haftu zdobiącego oryginalne i barwne stroje ludowe, technika wyrobu barwnej ceramiki czy rzeźby w drzewie. Ogromne zasługi w ocaleniu tradycji dawnej sztuki ludowej mieli działacze polityczni i kulturalni z ubiegłego stulecia. Jeszcze w czasie wojen napoleońskich obudził się w Norwegii silny ruch niepodległościowy, który domagał się wyzwolenia kraju, oderwania od Danii i wybrania królem bratanka króla duńskiego Chrystiana Fryderyka. Jednakże kraj był zbyt słaby, aby utrzymać pełną niezależność. Pomimo wyboru Stortingu — parlamentu, i uchwalenia konstytucji 17 maja 1814 r. Norwegia była zmuszona do unii ze Szwecją, która trwała aż do 1905 r., kiedy to kraj odzyskał wreszcie niepodległość.

Oslo

Rozwój gospodarczy Norwegii przejawia się między innymi w ogromnym rozwoju i rozbudowie stolicy. Ze względu na swobodną zabudowę przy znacznej przewadze domków jednorodzinnych — Oslo, liczące około pół miliona mieszkańców, należy do największych pod względem obszaru miast na świecie. Jest ono ośrodkiem politycznym, finansowym i najważniejszym węzłem komunikacyjnym. Największą gałęzią przemysłu jest przemysł metalowy zatrudniający obecnie co trzeciego robotnika tego miasta. Ogromny pęd do stolicy przyciąga ludność nie tylko z najbogatszego południa, lecz także z surowej północy. Przeciętnie trzech mieszkańców miasta na pięciu urodziło się na prowincji. Duży procent dochodu narodowego Norwegii pochodzi z turystyki. Do tego pięknego kraju przyciąga turystów surowa przyroda północy, urwiste skały nad wodami fiordów, barwne nowoczesne budownictwo i wspaniałe zabytki kultury ludowej umieszczone w parkach etnograficznych i po części zachowane w malowniczych górach.

HUMOR I SATYRA

● Hasło tygodnia: "Nie trzeba przesadzać w umiarkowaniu".

● Pierwszy dzień wiosny jest przełomowym dniem dla urzędników: kończy się sen zimowy i rozpoczyna się wiosenna nuda.

●— Jaka jest różnica pomiędzy drzewem i urzędnikiem?

— Drzewo pracuje.

● Definicje ekonomiczne:

— Recesja jest to okres, w którym musisz zaciskać pasa. W okresie depresji nie masz już pasa, a kiedy nie masz spodni, aby je podtrzymywać, to już jest panika.

●— Kto wynalazł komunizm?

— Politycy.

— Tak i ja myślałem, bo naukowcy najpierw zrobiliby próbę na zwierzętach.

● W amerykańskim domu towarowym:

● Strzelec melduje się u szefa kompanii:

— Melduję posłusznie, panie szefie, że ja nie czuję się dobrze.

— Gdzie nie czujecie się dobrze?

— W wojsku, panie szefie.

● Depesza do przyjaciela: "Wczoraj o 5 rano moja babka i ja przeszliśmy w lepsze światy".



Królestwo „długowiecznych Etiopów"

WŁADYSŁAW DZIEWULSKI

MIESZKAŃCÓW istniejącego niegdyś w dzisiejszym Sudanie państwa Kuszytów Herodot określał mianem „długowiecznych Etiopów", gdyż rzekomo żyli oni po 120 lat i dłużej. Chciał on w ten sposób odróżnić ich od występujących już od czasów Homera pod tą samą nazwą (która w języku greckim oznacza „spalone twarze") wszystkich mieszkańców południowego krańca znanej podówczas ekumeny.

Państwo Kuszytów istniało z górą tysiąc lat, miało siedemdziesięciu kilku panujących, obszar zaś jego rozciągał się od południowej granicy Egiptu (która w starożytności przebiegała koło dzisiejszego Assuanu) daleko w głąb Sudanu.

Pod względem kulturalnym państwo Kuszytów było początkowo w zasadzie kopią współczesnego mu Egiptu, aczkolwiek wpływy egipskie z biegiem czasu słabły, ustępując miejsca kulturze rodzimej, promieniującej na okoliczne ludy afrykańskie.

Główną arterię starożytnej „Etiopii" stanowił Nil, wzdłuż którego ciągnie się po obu stronach dość wąski pas ziemi urodzajnej. Tylko na południu kraju, w rejonie starożytnej jego stolicy Meroe i w sąsiednich okręgach, ziemie urodzajne zajmują szerszą przestrzeń. Dolina Nilu od Assuanu do Meroe występuje pod mianem Nubii. Trzeba pamiętać, że Nil jako droga komunikacyjna zawodził z uwagi na istnienie w jego łożysku aż 6 katarakt (porohów), które uniemożliwiając żeglugę utrudniały zjednoczenie Nubii w jeden organizm polityczny.

Znaczną część powierzchni kraju zajmowały pustynie, półpustynie, stepy i lasy. W tej sytuacji szlaki karawanowe również były trudne do przebycia.

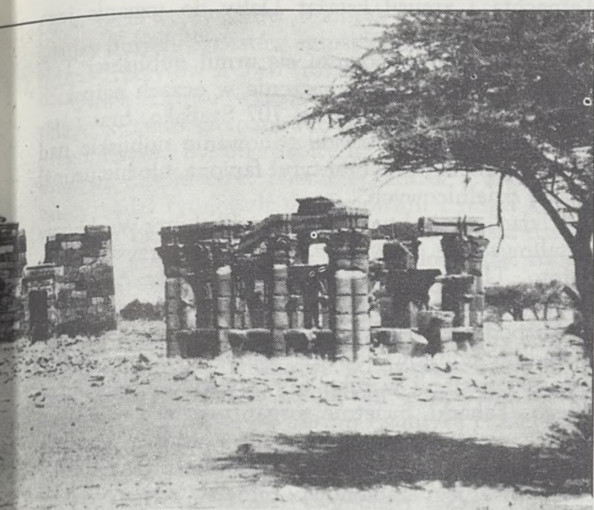
Głównymi czynnikami, które zadecydowały o powstaniu państwowości nubijskiej, były — z jednej strony — rozwój polityczny plemion tubylczych, z drugiej — podbój Nubii przez Egipt i jego kolonizatorska działalność połączona z wprowadzeniem bardziej postępowych sposobów produkcji.

Najstarsze wiadomości dotyczące tego kraju podają źródła egipskie poczynając od napisu trzeciego króla I dynastii, Dżera, który mówi o podboju Nubii aż do drugiej katarakty. W rzeczywistości jednak Egipcjanie w dalszym ciągu urządzali na Nubię wyprawy w celu zdobycia niewolników i bydła. Dopiero po upływie kilku stuleci plemiona nubijskie, m. in. Medżu (dzisiejsi Bedża) uznały się za hołdowników Egiptu.

Zwierzchnictwo egipskie upadło wskutek zamętu, który zapanował po wygaśnięciu VI dynastii. Jednocześnie w Nubii ukazuje się jakiś nowy lud białej rasy, który, być może, przybył z południowego zachodu. Posługiwał się językiem należącym do grupy chamickiej. Byli to ludzie o usposobieniu wojowniczym. Zdołali przeniknąć do południowego Egiptu, ale napór ich powstrzymali książęta tebańscy. Pochodząca od tych książąt XI dynastia niebawem zjednoczyła cały Egipt; nie wykluczone, że zdołała ona narzucić swe zwierzchnictwo Dolnej Nubii aż do drugiej katarakty. Panowanie na tym regionem umocniła XII dynastia. Posuwając się stopniowo w górę rzeki Egipcjanie budowali forty, które miały utrzymać w posłuszeństwie podbitą ludność. Obok fortów powstawały osiedla egipskie, ale podstawową masę ludności stanowili tubylcy, na których kultura egipska wywarła tylko nieznaczny wpływ.

Drugi król XII dynastii, Senusret I, wspomina o pokonaniu ludu Kusz. Jest to pierwsza wzmianka o plemieniu, które w przyszłości miało stać się twórcą państwa.

Na zdjęciu u góry — piramidy północnego cmentarza w Meroe



Świątynia Lwa i „rzymski kiosk" w Naga

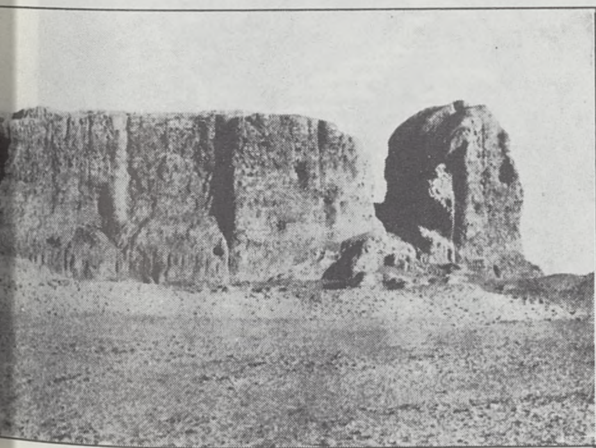
Niebawem uformowało się tu dość potężne państwo tubylcze założone przez plemię Kusz ze stolicą w dzisiejszej Kerma. Egipcjanie mieli tutaj swoją faktorię.

Panowaniu egipskiemu w Nubii położył kres ponowny upadek Egiptu spowodowany walkami wewnętrznymi oraz najazdem Azjatów, tzw. Hyksosów, którzy około roku 1700 p.n.e. podbili ten kraj. Forty egipskie oraz faktoria w Kerma padły pastwą ognia po zdobyciu ich przez tubylców, państwo kuszyckie zaś prawdopodobnie rozszerzyło swe granice aż do Assuanu.

Jako organizatorzy egipskiego ruchu narodowowyzwoleńczego wystąpili książęta tebańscy (XVII dynastia). Charakterystyczne, że gdy jeden z tych książąt, Kames, odniósł walne zwycięstwo nad Hyksosami, władca ich wysłał poselstwo do księcia kuszyckiego wzywając go do wspólnego uderzenia na Tebańczyków.

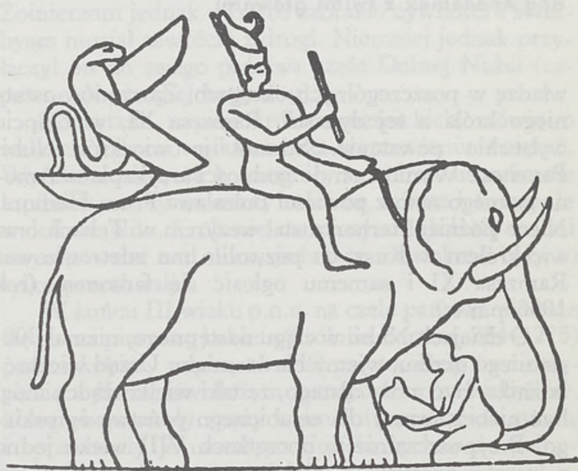
Władcy egipscy z XVIII dynastii rozpoczęli systematyczny podbój północnego Sudanu. Trzeci z kolei król tej dynastii, Tutmosis I, zadał Kuszytom decydującą klęskę, biorąc do niewoli ich władcę; podczas tryumfalnego wjazdu floty faraona do Teb mieszkańcy stolicy Egiptu mogli podziwiać pokonanego wodza wiszącego głową w dół na dziobie okrętu.

Ruiny rezydencji w Kerma



Zdobywca jednak wolał nie dokonywać gwałtownego przewrotu w miejscowych stosunkach. Pozostawił on u władzy książąt tubylczych, którzy mieli wykonywać rozkazy faraona i odpowiadali za regularne płacenie daniny przez swych poddanych. Ale Egipcjanie musieli nieraz tłumić powstania Nubijczyków; trzeba też było urządzać wyprawy karne przeciwko napastującym dolinę Nilu koczownikom oraz łowy na niewolników, gdyż granica posiadłości egipskich zbliżyła się do obszarów zamieszkanych przez ludność negroidalną.

Wśród tego czyniła postępy kolonizacja doliny Nilu. Powyżej czwartej katarakty u podnóża „Czystej Góry" (dzisiaj Dżeb el-Barkal) na prawym brzegu Nilu powstaje ufortyfikowane miasto Napata (dziś Merawi), które miało strzec granicy państwa. Zbudowano też kilka innych miast. Umocnieniu panowania egipskiego służyło wznoszenie świątyń, w których czczono bogów egipskich lub faraonów będących ich bu-

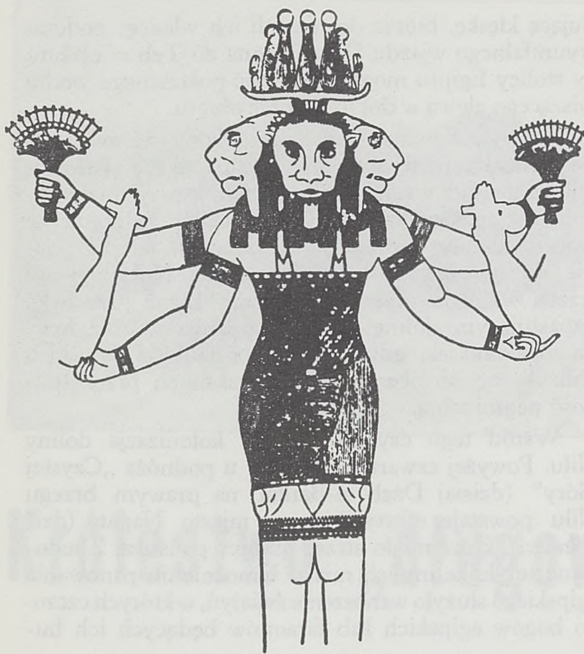


Król etiopski w koronie faraonów jadący na słoniu

downiczymi. Tutmosis III rozkazał, aby faraon Semsret III, pogromca Nubijczyków za XII dynastii, otrzymywał cześć boską jako patron zdobytego kraju. Nie zapominano i o kulcie tubylczego boga Dedwena.

Zarząd kraju powierzono specjalnej administracji. Na czele jej stał wicekról zwany „synem królewskim w kraju Kusz". Urzędnicy byli po większej części rodowitymi Egipcjanami, ale nie brakło i zegipcjanizowanych krajowców. Kolonie egipskie złożone z żołnierzy, urzędników i kapłanów istniały tylko w miastach; wsie zaludniali tubylcy.

Za XX dynastii Egipt ponownie wkracza w okres rozprzężenia. Obok rosnącego w bogactwo i znaczenie stanu kapłańskiego wielką rolę w wewnętrznej polityce kraju zaczynają odgrywać cudzoziemcy. W delcie Nilu osiedlają się masowo Libijczycy jako osadnicy wojskowi, których dowódcy niebawem zagarniają



Bóg Apedemak z lwimi głowami

władzę w poszczególnych okręgach. Za rządów ostatniego króla z tej dynastii, Ramzesa XI, w Egipcie wybuchło powstanie. Stłumił je wicekról Nubii Panehesi. Wyniósł on do godności arcykapłana Amona znanego nam z powieści Bolesława Prusa Herhora. Nieco później Herhor został wezyrem w Tebach oraz wicekrólem w Kusz, co pozwoliło mu zdetronizować Ramzesa XI i samemu ogłosić się faraonem (rok 1086 p.n.e.).

O dziejach Nubii w ciągu następnego, niemal 300-letniego okresu, wiemy bardzo mało. Urząd wicekróla znika, być może dlatego, że taki wielkorządca mógł być niebezpieczny dla osłabionego państwa egipskiego. Przypuszczalnie w początkach VIII wieku jedno z księstw kuszyckich zdołało opanować cały kraj od pierwszej do szóstej katarakty. Dzieła tego dokonali władcy panujący mniej więcej od roku 860 w Napacie.

Pierwszym znanym nam z imienia królem Napaty był niejaki Alara, który zapewne zjednoczył pod swą władzą cały niegdyś egipski Sudan. Jego brat i następca Kaszta podporządkował sobie Tebaidę. Poślubił on niechybnie jakąś księżniczkę egipską z rodu Herhora, gdyż jego syn Pianchi otrzymał egipskie imię, jakie nadano jednemu z synów Herhora. Takie małżeństwo dawało zgodnie ze zwyczajem egipskim prawo do tronu faraonów.

Tymczasem w IX i VIII wieku Egipt Dolny i północna część Egiptu Górnego rozpadły się na drobne państewka rządzone przez książąt libijskich. Tak się przedstawiała sytuacja, gdy ruchliwy władca miasta Sais w zachodniej części Delty, Tefnacht, rozpoczął realizację ambitnego planu zjednoczenia całego Egiptu. Odniósł on liczne sukcesy, ale gdy wkroczył do Górnego Egiptu, spotkał się z energiczną kontrakcją nubijskich Kuszytów. Król Pianchi (751—716) przybył osobiście do Egiptu, pokonał po ciężkich walkach Tefnachta i zmusił książąt Delty do uznania jego zwierzchnictwa.

Jednakże po wycofaniu się armii nubijskiej Tefnacht odzyskał dawne znaczenie w oczach egipskich książąt. Dopiero około roku 707 Szabako, brat i następca Pianchiego, utrwalił panowanie nubijskie nad całym Egiptem i przybrał tytuł faraona, ale nie usunął książąt dzielnicowych.

Układ sił politycznych na Bliskim Wschodzie kształtował się wówczas bardzo niekorzystnie dla Egiptu. U szczytu potęgi stanęła wtedy Asyria — wielkie mocarstwo militarne. W drugiej połowie VIII wieku podbiła ona Syrię i Palestynę i zagroziła bezpośrednio Egiptowi. Spodziewany od dawna najazd asyryjski nastąpił w roku 671 za rządów syna Pianchiego, Taharki. Świetnie zorganizowana i uzbrojona w oręż zrobiony z żelaza, armia asyryjska górowała zdecydowanie nad wojskami nubijskimi. Toteż walki miały przebieg szablonowy: główne siły asyryjskie biły Kuszytów w otwartym polu i wypędzały ich z Egiptu (671, 666, 663), ale po wycofaniu się najeźdźców wojska nubijskie zwyciężały pozostawione w kraju załogi asyryjskie, książęta egipscy z reguły zaś opowiadali się każdorazowo po tej stronie, która brała górę. Kulminacyjnym punktem tych zmagań było zdobycie i złupienie Teb w roku 663 przez Asyryjczyków. Czyn ten wywołał olbrzymie wrażenie na całym Bliskim Wschodzie, ale nie utrwalił władztwa asyryjskiego nad Egiptem. Następca Taharki, Tanwetamani, odzyskał Teby, dynasta zaś z Sais, Psamtyk I, zrzucił jarzmo asyryjskie przy pomocy najemników greckich i karyjskich z Azji Mniejszej. W opar-

Portret króla Taharki



ciu o tych wojowników Psamtyk najpierw pozbawił władzy innych dynastów egipskich, następnie zaś wypędził Kuszytów z Teb (rok 655 lub 654).

Utrata Egiptu wykazała słabość państwa nubijskiego, które mogło panować nad tym krajem tylko tak długo, dopóki był on rozbity na rywalizujące ze sobą księstwa dzielnicowe. Niemniej jednak królowie nubijscy nadal tytułowali się faraonami i nosili koronę Górnego i Dolnego Egiptu. W międzyczasie rozszerzyli oni granice królestwa Napaty docierając na południu mniej więcej do linii: Kosti nad Białym Nilem – Sennar nad Błękitnym Nilem, na południowym zachodzie zaś podporządkowali sobie północny Kordofan. Pogranicze południowe od Białego Nilu aż do Atbary skolonizowano żołnierzami egipskimi, którzy zdezerterowali masowo z armii Psamtyka I; zachowali oni swą odrębność przez szereg stuleci.

Za rządów pierwszych następców Tanwetamaniego utrzymywały się pozory świetności (okazałe miejsca pochowku królów w kształcie piramid, pokaźne budownictwo sakralne). Zarazem wzrasta powaga kapłanów Amona w Napacie; gdy bowiem poprzednio król sam wybierał sobie następcę, panujący w latach 593–568 Aspelta został powołany na tron przez wyrocznię Amona i ten tryb obsadzania tronu utrwalił się na szereg stuleci.

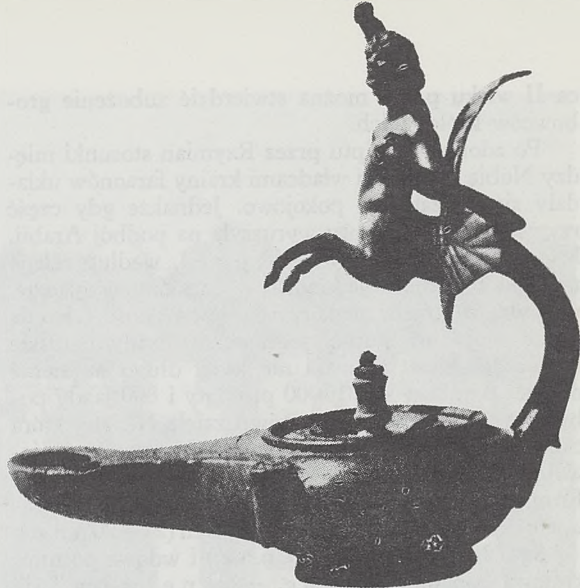
Za rządów Aspelty Nubia doznała głębokiego upokorzenia. Poprzednik tego króla, Anlamani, chciał wykorzystać zagrożenie Egiptu przez państwo nowobabilońskie i skoncentrował wojska w pobliżu granicy Egiptu. W tej sytuacji faraon Psamtyk II postanowił zapobiec walce na dwa fronty przez wyeliminowanie Nubii. Żołnierze faraona pobili Kuszytów i splądrowali Napatę (591).

Pod wpływem tej klęski Aspelta przeniósł stolicę państwa do bardziej odległego od Egiptu Meroe (zhellenizowana forma tubylczej nazwy Narua). Miasto posiadało pałace królewskie i dużą świątynię Amona, było rozległe i rozwinęło się później jako poważny ośrodek hutnictwa żelaza.

Przeniesienie stolicy do Meroe pociągnęło za sobą osłabienie egipskich wpływów kulturalnych, a także ogólne obniżenie poziomu kultury i sztuki. Zaczyna niebawem szwankować znajomość egipskiego pisma hieroglificznego (w zakresie ortografii i leksyki). Pogarsza się jakość ceramiki i wyrobów złotniczych. Nawet naczynia kamienne sprowadza się teraz zza granicy.

Źródła pisane do dziejów królestwa meroickiego są jeszcze uboższe niż w okresie, gdy stolicą była Napata. Hieroglify egipskie od II wieku p.n.e. wychodzą z użycia. Zastępują je dwa alfabety pochodzenia rodzimego liczące po 23 znaki każdy. Jeden (pomnikowy) jest wzorowany na hieroglifach egipskich, drugi (wcześniej powstały) — na egipskim piśmie demotyckim (kursywa ludowa). Pismo meroickie zostało odcyfrowane, ale treść tekstów przeważnie pozostaje dla nas niezrozumiała, gdyż nie znamy języka kuszyckiego. Z drugiej strony, poczynając od V wieku p.n.e., informacje o „Etiopii", niezbyt zresztą obfite i nie zawsze wiarygodne, podają zachowane źródła greckie, a od I wieku n.e. — źródła rzymskie.

I tak Herodot relacjonuje o wyprawie króla perskiego Kambysesa, który po dokonaniu podboju Egiptu chciał zdobyć również „Etiopię" (rok 524/3). Armia perska posuwała się początkowo wzdłuż Nilu, od dzisiejszej miejscowości Korosko zaś ruszyła na Meroe szlakiem karawanowym do Abu-Hamed. Żołnierzom jednak wkrótce zabrakło żywności i Kambyses musiał zawrócić z drogi. Niemniej jednak przyłączył on do swego państwa część Dolnej Nubii (zapewne do drugiej katarakty).



Brązowa lampa z Meroe w stylu hellenistycznym

Odczytane napisy królów meroickich mówią o walkach z koczownikami oraz wyposażaniu świątyń. Wynika z nich, że koczownicy urządzali ustawicznie łupieskie naloty na osady rolnicze, miasta i świątynie w dolinie Nilu. Królowie meroiccy chlubili się swymi zwycięstwami nad nimi, jednakże częstokroć były to tylko przechwałki.

W końcu III wieku p.n.e. na czele państwa ukazuje się po raz pierwszy kobieta (królowa Bartare, 284–275) potem kobiety rządzą tu dość często. Były to cieszące się u Kuszytów dużym autorytetem matki królów, które obejmowały rządy w imieniu nieletnich synów i sprawowały je nawet po dojściu tychże do pełnoletności.

Dziełem króla Arkamaniego (po grecku Ergamenes, 248–220) było wzmocnienie władzy królewskiej przez złamanie potęgi kapłanów, która wzrosła do takiego stopnia, że mogli oni nakazać królowi popełnienie samobójstwa powołując się na wolę bogów. Arkamani wychowany został podobno w duchu hellenistycznym, zapewne przez filozofów i uczonych greckich, którzy od czasów Ptolemeusza II Filadelfa (285–247) zaczęli odwiedzać Meroe, a nawet mieszkać tam przez czas dłuższy. Król wkroczył do „złotej świątyni Etiopów" na czele swych żołnierzy, którzy wymordowali wszystkich kapłanów. Odtąd o wyborze króla decydowało wojsko, ściślej jego dowódcy spośród arystokracji plemiennej.

Stosunki Nubii z rządzonym przez Ptolemeuszów Egiptem, przyjazne za Arkamaniego, później się pogorszyły i dochodziło nieraz do walk na pograniczu.

Za rządów Arkamaniego i jego bezpośrednich następców obserwuje się pewien wzrost dobrobytu oraz częściowy renesans kultury egipskiej w Nubii. Te pomyślne objawy nie były długotrwałe, gdyż od koń-

ca II wieku p.n.e. można stwierdzić zubożenie grobowców królewskich.

Po zdobyciu Egiptu przez Rzymian stosunki między Nubią a nowymi władcami krainy faraonów układały się początkowo pokojowo. Jednakże gdy część rzymskiej załogi Egiptu wyruszyła na podbój Arabii, królowa Amanirenas (30—18 p.n.e.), według relacji rzymskiej kobieta jednooka o męskim wyglądzie, uważała, że trzeba wykorzystać sposobność i kazała swym wojskom złupić pograniczne osady egipskie (rok 23). Odwet rzymski nie kazał długo na siebie czekać. Armia w sile 10000 piechoty i 800 jazdy pobiła źle uzbrojonych Kuszytów i zajęła Napatę, którą całkowicie zburzono. Mieszkańców uczyniono niewolnikami; większość ich wyginęła podczas transportu. Kontrofensywa ,,Etiopów" załamała się, po czym zawarto pokój na honorowych warunkach (21—20 p.n.e.).

Król Natakamani (12—2 p.n.e.) i wdowa po nim, królowa Amanitere (2 p.n.e. — 23 n.e.) wsławili się jako budowniczowie, co świadczyłoby o dźwignięciu się Nubii po klęsce zadanej jej przez Rzymian. Natakamani odbudował wielką świątynię Amona w Napacie, jego zaś małżonka restaurowała przybytek tegoż boga w Meroe oraz tzw. świątynię Lwa w Naga (około 130 km na południowy wschód od Meroe), gdzie czczono tubylczego boga Apedemaka. Przy tych pracach posługiwano się sprowadzonymi z Egiptu rzemieślnikami i pisarzami. W ówczesnej kulturze nubijskiej zaznaczają się wpływy rzymskie, a nawet indyjskie.

Cesarz Neron (54—68 n.e.) myśląc o podboju ,,Etiopii" wysłał na zwiady dwóch centurionów z gwardii pretoriańskiej pod pretekstem szukania źródeł Nilu. Wysłańcy stwierdzili, że ,,mnóstwo starych miast na drodze do Meroe zniknęło, a na ich miejscu wiele jest pustyń bezludnych". Samo miasto Meroe było bardzo małe. Rządziła tu królowa (zapewne Amanichataszan, 62—85 n.e.). Poza Meroe



Ceramika meroicka

nie było więcej miasta na obydwu brzegach Nilu.

Po Natakamanim panowało jeszcze 21 lub 22 władców. Grobowce ich były coraz skromniejsze. Państwo słabło coraz bardziej mimo rozległych granic, zaznaczał się upadek gospodarczy. Wreszcie kraj rozpadł się na wiele faktycznie samodzielnych państewek (za Nerona władczyni Meroe podlegać miało 45 ,,królów"). Rosła w potęgę arystokracja plemienna wykorzystująca pracę niewolników i uzależnionych chłopów. Ruina chłopów wywłaszczanych przez arystokrację i łupionych przez koczowników pociągała za sobą spadek zaludnienia i osłabienie siły militarnej.

Graniczące z Nubią na południu (nad rzeką Takazze) państwo aksumskie stało się groźnym rywalem państwa meroickiego. Napis króla Aksumu, Ezany, informuje, że ciągłe najazdy ,,ludów Noba", czyli Meroitów, spowodowały odwetową wyprawę króla, która doprowadziła do podboju kraju Kasu (Kusz). Upadek Meroe poszczególni uczeni datują niezgodnie — bądź na rok 320, bądź na 339, bądź wreszcie na 350.

Baraniogłowy bóg Amon w otoczeniu meroickich bogów Sebiumekera i Arensnuphisa



Fot. A. Czarnowski

PALMIRY

BOŻENA KRZYWOBŁOCKA

PÓŁNOCNA trasa wyjazdowa z Warszawy w kierunku Modlina prowadzi przez nowoczesne osiedla, ukryte w zieleni. Wyjeżdżający mijają po prawej stronie Lasek Bielański, ulubione miejsce wypoczynku warszawiaków od kilkunastu pokoleń, dalej na lewo wznoszą się potężne kominy Huty „Warszawa". Szosa biegnie wśród kolorowych ogródków, niewielkich domków, zagajników i pól uprawnych. Sielski, idylliczny krajobraz równiny mazowieckiej... I nagle ciemne, żałobne drogowskazy informujące o cmentarzu-mauzoleum w Palmirach, wskazujące kierunek zjazdu od głównej szosy w lewo, tam gdzie rysuje się skraj Puszczy Kampinoskiej.

Palmiry... Słowo to nabrało groźnego znaczenia z początkiem roku 1940, gdy do Warszawy dotarły wiadomości o losie więźniów, wywożonych ze stolicy w nieznanym kierunku. Ludność podwarszawskiej wsi Palmiry i służba leśna z Puszczy Kampinoskiej odkryła tajemnicę nocnych transportów w nieznane.

Od pierwszych chwil po wkroczeniu do Warszawy hitlerowcy podjęli szeroko zakrojone akcje terrorystyczne wobec jej mieszkańców. Działali zresztą zgodnie z założeniami eksterminacyjnymi Hitlera, które osobiście wyłożył generałom Wehrmachtu już w dniu 12 IX 1939 r. Sprowadzały się one do wyniszczenia potencjalnego przeciwnika, który mógłby organizować opór przeciwko Niemcom, a którego upatrywano przede wszystkim w środowisku inteligencji polskiej. Aresztowania w Warszawie dokonane w pierwszych dniach października 1939 r. były pierwszą akcją gestapo podjętą w tym właśnie kierunku. Aresztowanych wymordowano lub wysłano po paru miesiącach więzienia do obozów koncentracyjnych. Pierwszych egzekucji zbiorowych dokonywano ukradkiem w Ogrodzie Sejmowym, ale ponieważ działo się to w środku miasta — tajemnica egzekucji nie dała się utrzymać. Zaczęto więc poszukiwać miejsca bardziej oddalonego od oczu ludzkich. Wybór padł na Palmiry — wieś leżącą o 7 km od szosy Warszawa-Modlin, na skraju Puszczy Kampinoskiej, a ściślej rzecz biorąc — nie tyle na samą wieś, ile na polanę leżącą poza wsią. Przed wojną na tym miejscu mieściły się składy amunicji, ukryte w sosnowym lesie. Niemcy rozebrali budynki i bocznicę kolejową, tworząc na owej polanie miejsce śmierci. W grudniu 1939 r. wykonano pierwsze egzekucje. Ciała grzebano w dołach długości 30 m, wcześniej przygotowanych przez młodzież z Hitler jugend. Obozowisko młodzieży hitlerowskiej znajdowało się w pobliżu stałego miejsca egzekucji.

Do wiosny 1940 r. w Palmirach przeprowadzono około 20 egzekucji. Do tej pory nie zostały odkryte ślady wszystkich mogił zbiorowych z tego okresu. Dane o nich zachowała pamięć ludzka. Mieszkańcy wsi Palmiry oraz członkowie służby leśnej, narażając się na śmierć, rejestrowali zbrodnie, oznaczali świeże mogiły pomordowanych. Zbrodniarze maskowali groby mchem, igliwiem, obsadzali polanę młodymi drzewkami. Nie zdawali sobie sprawy, że miejsce straceń jest znane polskiemu społeczeństwu. Okoliczna ludność zbierała wyrzucane przez skazańców kartki z nazwiskami, fotografie i inne drobiazgi, i przechowała je w ukryciu. Po wojnie przyczyniło się to do odkrycia 24 mogił zbiorowych oraz do identyfikacji ofiar zbrodni, podobnie jak znalezione przy zwłokach kwity bądź fotografie. Polska służba więzienna, a następnie komórki ruchu oporu istniejące wśród więźniów Pawiaka przekazały podziemiu listy transportów odchodzących „w nieznane". Zbrodnia nie dała się ukryć.

Zamordowani w Palmirach ludzie pochodzili z różnych środowisk zawodowych i politycznych. I tak np. w kolejnych egzekucjach wiosną 1940 r. rozstrzelano więźniów aresztowanych w związku z wykryciem tajnej młodzieżowej organizacji PLAN (Polska Ludowa Akcja Niepodległościowa). Gestapo wpadło na ślad PLAN-u dzięki denuncjacji nasłanego do podziemia prowokatora. W wyniku akcji likwidacyjnej PLAN-u wymordowano nie tylko członków organizacji, ale również rodziny i znajomych młodych konspiratorów, mszcząc się szczególnie w tych przypadkach, gdy głównym obwinionym udało się ujść cało z rąk gestapo. W zamian za harcmistrza Juliusza Dąbrowskiego aresztowano jego rodziców, rodzeństwo i żonę. Zrozpaczony Juliusz Dąbrowski oddał się dobrowolnie w ręce gestapo, sądząc, że uratuje tym swoich najbliższych. Jego poświęcenie było daremne. Prawie wszyscy aresztowani w związku ze sprawą PLAN-u zostali straceni. Szef wydziału bojowego PLAN-u Kazimierz Kotl uratował się wówczas dzięki brawurowej ucieczce z gmachu gestapo w Alei Szucha.

Ofensywa niemiecka na Zachodzie odwróciła uwagę opinii świata od wydarzeń w Polsce. Hitlerowcy postanowili wykorzystać ten dogodny dla siebie moment do przeprowadzenia „nadzwyczajnej akcji pacyfikacyjnej", która przeszła do historii terroru okupacyjnego w Polsce jako akcja AB [1]. W rękach władz hitlerowskich w Generalnym Gubernatorstwie z początkiem tej akcji znajdowało się już około 2 000 osób, kartoteki osób przewidzianych do aresztowań zawierały drugie tyle nazwisk ludzi traktowanych przez gestapo jako ewentualnych przywódców ruchu oporu.

Szczególnie dramatycznie w pamięci więźniów Pawiaka zapisał się czerwiec 1940 r. 14 czerwca rozstrzelano w Palmirach 20 osób, 20 i 21 czerwca 378 osób. Z pierwszej egzekucji udało się zidentyfikować 12 osób — większość z nich związana była ze sprawą PLAN-u. W następnych egzekucjach stracono ludzi pochodzących z różnych ugrupowań politycznych, pełniących różne funkcje społeczne i zawodowe. Zginął wówczas Mieczysław Niedziałkowski, przywódca PPS, redaktor naczelny dziennika *Robotnik*. W okresie obrony Warszawy we wrześniu 1939 r. Niedziałkowski pisał artykuły, wygłaszał przez radio pogadanki, organizował robotnicze bataliony obrony miasta.

Po kapitulacji stolicy Niedziałkowski stał się jednym z przywódców konspiracji i twórców politycznego porozumienia ugrupowań i partii. Aresztowano go 23 grudnia 1939 r. Razem z Niedziałkowskim wywieziono na śmierć jego towarzysza niedoli z Pawiaka oraz kolegę z ławy parlamentarnej b. marszałka Sejmu Macieja Rataja. Rataj — przywódca ruchu ludowego — stykał się przed wojną z Niedziałkowskim na gruncie legalnej opozycji antysanacyjnej. W pierwszych tygodniach okupacji obaj działali razem w tzw. Politycznym Komitecie Porozumiewawczym, współpracującym ze Służbą Zwycięstwa Polski. Aresztowano go 30 marca 1940 r.; ukrywający się Rataj przyjechał spoza Warszawy do stolicy na jeden dzień w celu spotkania się z działaczem SL przybyłym z Krakowa.

Wśród straconych w pamiętnej egzekucji czerwcowej znaleźli się ponadto wiceprezydent Warszawy inż. Jan Pohoski, znani adwokaci T. Fabiani i Wł. Gintowt-Dziewałtowski, sportowcy: Janusz Kusociński i Tomasz Stankiewicz (zdobywca drużynowego srebrnego medalu za wyścig kolarski na VIII Olimpiadzie w Paryżu), dziennikarze i nauczyciele, oficerowie i lekarze.

Transporty śmierci na Palmiry odchodziły z Pawiaka w sierpniu i grudniu 1940 r. oraz przez pierwsze półrocze 1941 r. Ostatnia egzekucja odbyła się 17 lipca 1941 r. W następnych latach rozstrzeliwano ludzi w niedalekich od Palmir miejscowościach, jak Laski, Szwedzkie Góry, Wólka Węglowa, Wydmy Łuże i Stefanów. Zamordowani w tych miejscowościach zostali po wojnie ekshumowani i złożeni na cmentarzu-mauzoleum w Palmirach. Ekshumacja ofiar zbrodni hitlerowskich została podjęta w ramach akcji poszukiwań masowych grobów. Ludzie, którzy w latach wojny z narażeniem życia oznaczali świeże ślady zbrodni, pomagali ekipie PCK i Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce w odszukiwaniu mogił. Prace ekshumacyjne trwały od 25 listopada 1945 r. do lata 1946 r. z przerwą w okresie zimowym. Inne miejsca straceń objęte były ekshumacjami w późniejszych miesiącach.

W 1948 r. powstał w Palmirach cmentarz-mauzoleum. Stał się on miejscem spoczynku ponad 2 tysięcy ludzi (2 204). Przy odkopywaniu ofiar i budowie cmentarza ofiarnie pomagała okoliczna ludność. Nad rozległą polaną cmentarza widnieją trzy wielkie krzyże będące niejako symbolem mogił tych wszystkich straconych, których ciał nie udało się odszukać. Oddzielną mogiłę symboliczną ma na cmentarzu Jędrzej Cierniak — zasłużony działacz teatrów ludowych, rozstrzelany w nieznanym miejscu 2 marca 1942 r.

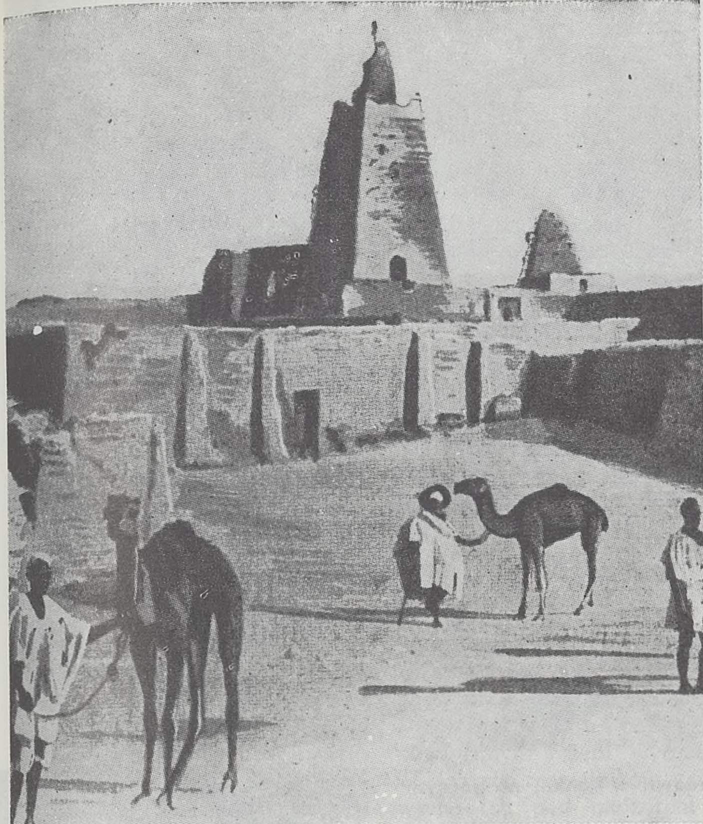
Cmentarz w Palmirach zapełnia się tłumami odwiedzających w Święto Zmarłych, w tragiczne rocznice męczeństwa straconych. Przyjeżdżają tu nie tylko rodziny i przyjaciele zmarłych. Oddają hołd ich walce tysiące ludzi z całego kraju, rodacy z zagranicy, a także oficjalni goście naszego państwa.

Zginęli trzydzieści lat temu, ale pamięć ich będzie wiecznie żywa w naszym narodzie.

[1]) Ausserordentliche Befriedungsaktion

MICHAŁ TYMOWSKI

MECZETY z banko

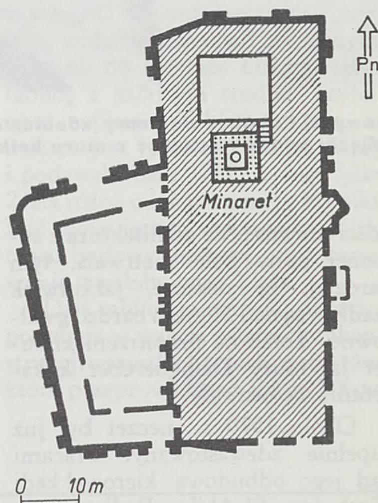


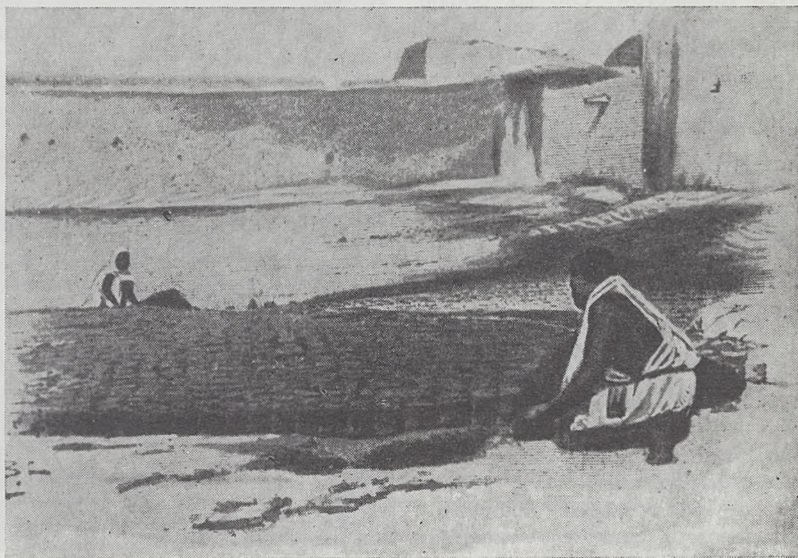
Wielki meczet Dżinguereber w XIX w.

Od XIII w. monumentalna architektura polska wznoszona była z cegły. Nie dziwi nas więc użycie gliny jako podstawowego materiału budowlanego. Ale cegła to glina wypalana. Natomiast w Sudanie Zachodnim co najmniej od XIV stulecia stosowano przy wznoszeniu większych obiektów tzw. banko. Były to kawałki gliny toczone w kształt walca, lecz nie wypalane w ogniu, tylko suszone na słońcu.

W wielkich miastach głównymi budynkami były meczety. Jak podaje jedna z zachodniosudańskich kronik – Tarich el Fettasz – „władca Mali, Mansa Musa, podczas swej pielgrzymki do Mekki rozkazał zbudować Dżinguereber – wielki meczet w Timbuktu". Był to rok 1325. Jest bardzo prawdopodobne, że i przed pielgrzymką Mansa Musy stała na miejscu Dżinguereber wcześniejsza budowla, miasto rozwijało się bowiem od XII w., a jego ludność była w dużej części muzułmańska. Niemniej z fundacją wybitnego władcy Mali, z którego rozkazu przebudowano lub może odbudowano ten meczet, związana jest pierwsza pewna historycznie data dotycząca świątyni Dżinguereber.

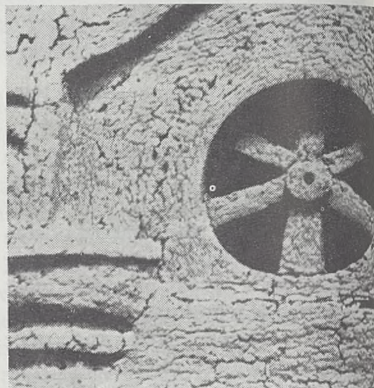
Meczet został zbudowany z banko podobnie jak inne większe budowle w mieście — domy zamożnych kupców, mury, które otaczały Timbuktu, bramy miejskie oraz królewski pałac zwany Ma-dugu. W sudańskich warunkach banko było najłatwiej dostępnym i stosunkowo tanim materiałem budowlanym, brak tam bowiem zarówno odpowiedniego kamienia, jak dużych





Wyrób banko, rycina XIX-wieczna. Powyżej plan Dżinguereber wg Mauny

Powyżej i obok — elementy zdobienia ścian budowli z banko, na górnym zdjęciu widać wystające z muru belki stropu



ilości drewna. Ale architektura z suszonej gliny była nietrwała, tym bardziej, że deszcze, jakkolwiek rzadkie, są nad Nigrem bardzo gwałtowne. Toteż na przestrzeni kilkuset lat mury Dżinguereber kilkakrotnie się osuwały.

Około 1570 r. meczet był już zupełnie zdewastowany. Pracami nad jego odbudową kierował kadi Timbuktu El-Akib. Podjęcie takich kosztownych zamierzeń wiązało się ze wzmożeniem uczuć religijnych fundatorów. Oto jak podaje kronika: „El-Akib rozpoczął odbudowę wielkiego meczetu zaraz po powrocie z pielgrzymki do Mekki". Czyli podobnie jak Mansa Musa. Nie była to zresztą jedyna fundacja El-Akiba. Wziął się on do prac z zapałem i planowo: „Opowiadał mi pewien uczony człowiek — pisał autor kroniki — że kadi, kiedy miał już wracać do Timbuktu ze swej pielgrzymki, poprosił ludzi pilnujących świętego kamienia Kaaba, aby odmierzyli liczbę stóp wzdłuż i wszerz Kaaby. Prośbę jego spełniono, a uzyskane pomiary długości i szerokości zaznaczono na sznurze. Kadi przywiózł potem ów sznur ze sobą, a gdy (po odbudowie Dżinguereber — MT) rozpoczął rekonstrukcję meczetu Sankore, wyznaczył tam sznurem miejsce, na którym chciał wznieść budowlę tak, aby miała dokładnie rozmiary Kaaby, ani mniej, ani więcej". Po ukończeniu tych prac El-Akib przebudował jeszcze trzeci miejski meczet, zwany Sidi Yahia.

Dom mieszkalny z banko, którego główną ozdobą jest wysoka attyka



Wszystkie trzy meczety były więc w stanie tak złym, że wymagały znacznych prac, często całkowitej przebudowy. Ponieważ i meczet Sankore, i Sidi Yahia wzniesione zostały później. niż Dżinguereber, w końcu XIV i w XV w., wiadomości o pracach El-Akiba wskazują na stopień trwałości budowli z banko. Wymagały one po 100—200 latach uzupełnień fragmentów zniszczonych lub gruntownej odnowy.

W XVI w. nadal były to inwestycje drogie, podobnie jak w wieku XIV. Być może z tego właśnie powodu między gorliwym muzułmaninem El-Akibem a władcą państwa Askią Daudem wybuchł konflikt. Zakończył się on zresztą sukcesem kadiego, który oparł się niezadowoleniu władcy, a nawet zdołał go przekonać, że kosztowne przedsięwzięcia opłacają się ze względów religijnych i propagandowych. Wielki meczet służył przecież Askii Daudowi, gdy „przyjmował w nim hołdy i pozdrowienia od najwybitniejszych osób w mieście". Dlatego władca postanowił w końcu uczestniczyć w fundacji, „poprosił o pozostawienie mu części działki i tam wznieść rozkazał fragment budowli. Przybył osobiście do meczetu znajdującego się w trakcie budowy, wszedł do środka i oglądał wszystko dokładnie (...) a prace zatrzymały się wtedy przy tym wielkim placu, na którym ludzie odbywają dwie wieczorne modlitwy, dalej zaś rozciągał się cmentarz. — Ależ — powiedział władca do kadiego — nie zatrzymałeś dla mnie miejsca. — Jeśli chcesz — odparł kadi — wyznacz miejsce na ziemi, cmentarz temu nie przeszkadza (...) Uradowany władca zakreślił więc nogą dwa podłużne place przylegające do cmentarza". Tam też wzniesiono tę część meczetu, którą ufundował Daud. Gdy zdecydował się on udzielić pomocy w budowie, okazał się władcą szczodrym i chyba tylko dzięki jego poparciu mógł kadi El-Akib tak bardzo rozwinąć swe plany. W trakcie prac Daud kazał wysłać do Timbuktu 4 tysiące belek drewnianych, gdyż brak drewna utrudniał wykończenie meczetu i położenie stropów. Innym razem wybrać kazał 27 dobrych niewolników, „po czym wysłał ich pod nadzorem swego sługi, z poleceniem, aby użyci byli do służby w meczecie: kobiety do plecenia mat i tkania dywanów, mężczyźni zaś do przynoszenia gliny niezbędnej do przebudowy i do prac ciesielskich".

W latach 1570—1585 architektura Timbuktu wzbogaciła się o trzy całkiem zrekonstruowane meczety. Już jednak w niecałe sto lat później, w 1678 r. „w niedzielę, 7 sierpnia runął minaret meczetu Sankore, a jedna z bocznych ścian Dżinguereber uległa zniszczeniu". Było to w porze deszczowej i zapewne strugi wody naruszyły nadwątlone czasem mury. W 1709 r. zebrano raz jeszcze odpowiednie ilości gliny i odbudowano meczety, fragmenty Dżinguereber umacniano też w 1736 r.

W połowie XVIII w. urywają się wiadomości pochodzące z kronik miejscowych. Ale gdy w XIX w. dotarli do Timbuktu pierwsi odkrywcy europejscy, trzy meczety nadal górowały nad miastem, być może w międzyczasie raz jeszcze odnawiane.

Henryk Barth, który w 1861 r. przebywał w nadnigeryjskim mieście, widział nawet nad północnymi wrotami do meczetu Dżinguereber tablicę z zatartym trudno czytelnym napisem. Tablica głosiła, że meczet jest fundacją Mansa Musy i podawała datę 1327, a więc tylko 2 lata różną od daty znanej z kroniki. Być może jest to wskazówka co do czasu budowy meczetu, jego wznoszenie trwałoby więc 2 lata.

Dziś tablica ta zginęła, prawdopodobnie w trakcie ostatnich rekonstrukcji wszystkich trzech meczetów, które przeprowadzano już w XX w.

Nihil novi sub sole

KIESZONKOWY FILTR

Wiadomo, jakie to kłopoty mamy obecnie z wodą: zasoby jej maleją, jest bardzo zanieczyszczona i bez odpowiedniego przefiltrowania niezdatna do picia. Buduje się coraz to nowe stacje filtrów, specjalne ujęcia odkażające ścieki przemysłowe itd. W czasie II wojny światowej na pustynnych obszarach Afryki wojska aliantów używały specjalnych pastylek odkażających wodę.

Oczyszczanie wody za pomocą specjalnego filtru z tzw. węgla plastycznego było już znane w połowie XIX wieku. Cały filtr był niewielką kulą węgla specjalnie spreparowanego, która znakomicie oczyszczała brudną wodę. Używano go w wojsku, na wycieczkach itp. Wystarczyło filtr z przymocowaną gumową rurką wrzucić do wody, jak to widać na załączonej rycinie, i podobno woda, którą wciągano przez ustnik „była czystą i do picia sposobną".



Mówiąc między nami i dziś przydałby się niejednokrotnie taki kieszonkowy filtr — zwłaszcza w czasie letnich wycieczek, gdy skazani jesteśmy na picie wody z rzek czy studzien, nie zawsze czystej i „sposobnej do picia".

Krzysztof Sęliga

CHAMALE
WYMIERAJĄCA KASTA TURECKICH TRAGARZY

Do rzędu osobliwości, w które obfitują miasta Turcji, a szczególnie Konstantynopol, należy niezaprzeczenie wymierająca już kasta tragarzy publicznych, zwanych "chamalami", co w języku tamtejszym oznacza człowieka do dźwigania ciężarów.

Chamal w dawniejszych czasach był koniecznością miast tureckich, gdyż na jego to grzbiecie przenosiły się z miejsca na miejsce wszelkiego rodzaju towary, owoce, ciężary i nawet meble. Obecnie samochody ciężarowe i inne nowoczesne środki transportacji wypierają z ulic Konstantynopola malowniczą postać tragarza-chamala, chociaż jeszcze i teraz można widzieć tam całe szeregi tych biedaków, uginających się pod ciężarami.

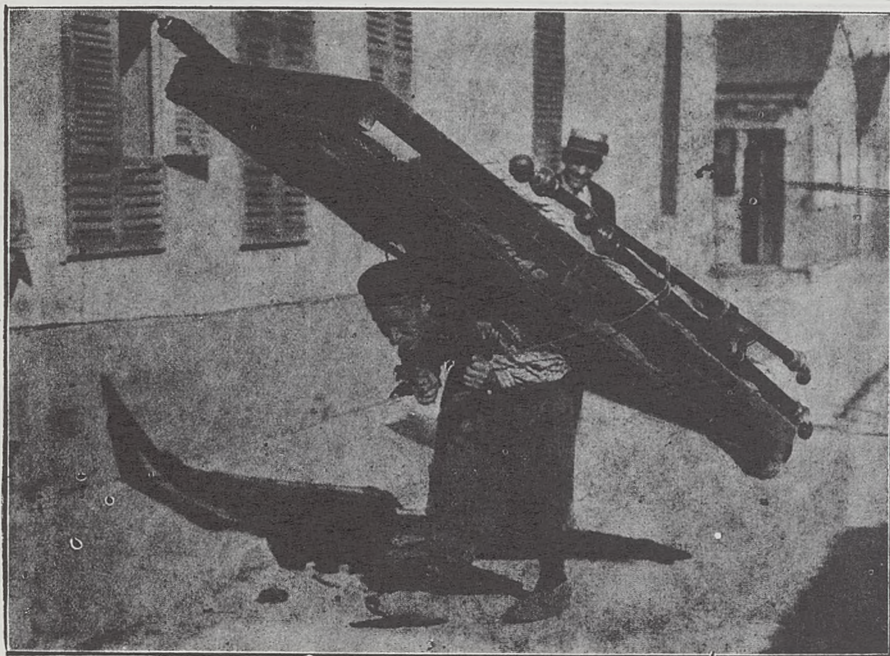
Zamożni mieszkańcy miasta, przeprowadzając się z domu do domu, wzywają firmę przewozową i ta przysyła swoich ludzi, którzy wynoszą meble do wozu krytego lub wielkiego wagonu samochodowego i przewożą je gdzie potrzeba. Wielkie firmy kupieckie także posługują się nowoczesnemi środkami przewozowemi, ale ludność uboższa, mniejsi kupcy i kramarze, zawsze jeszcze uważają chamali za najlepszy, bo najtańszy sposób przenoszenia towarów czy mebli.

Widać tedy na ulicach Konstantynopola chamali dźwigających wszystko co da przenosić się z miejsca na miejsce, więc ogromne kosze pełne melonów, pomidorów, arbuzów czy innych owoców, żywe owce i barany, stosy ryb morskich o najdziwaczniejszych kształtach, paki, skrzynie z towarami łokciowemi, bale wełny lub bawełny, kamienie, wapno, cegły, drzewo i inne materjały budowlane, wszelkiego rodzaju meble domowe, nie wyłączając nawet fortepianów. Wszystko na grzbiecie ludzkim.

Nie można powiedzieć, żeby chamal był człowiekiem pracowitym. Przeciwnie, lenistwo wrodzone ludziom wschodnich krajów występuje u niego w całej rozciągłości. Całemi dniami chamale wylegują się po zaułkach lub wysiadują przed najniższego rzędu kawiarniami i bezwątpienia proszą Allaha, żeby nikt ich nie wezwał do roboty. Dopiero ostatecznie zmuszony potrzebą, chamal bierze się do pracy.

Chamale ubierają się w sposób wielce oryginalny. Ogromnie szerokie spodnie, marszczone w niezliczone fałdy po tylnej stronie, wąziutkie u dołu, przepasane szerokim pasem, który zastępując kieszenie mieści w swych przepaścistych fałdach wszystkie niezbędne przedmioty aż do kindżała, brudna koszula, krótki serdaczek i przydeptane pantofle na bosych nogach — oto zwykły strój chamala. Dawniej chamale nosili na głowach fezy, ale po zniesieniu tego nakrycia głowy przez Kemala Paszę, używają europejskich kapeluszy, po uprzedniem obcięciu ronda.

Gdy pan Ibrahim, Achmet-effendi czy Riza-effendi, mieszkający w jednej z ubogich uliczek Konstantynopola, postanowił przeprowadzić się do innej dzielnicy, wychodzi z domu i szuka chamala. Ujrzawszy go leżącego pod ścianą, kiwa palcem na znak, że ma dla niego robotę. Następuje długa, hałaśliwa rozmowa i targowanie się o cenę. Wreszcie chamal zarzuca na plecy pewien rodzaj siodła, z którem nigdy się nie rozstaje, i rusza przed drzwi domu, z którego ma się odbyć przeprowadzka. Cierpliwie stoi i czeka, aż załadują na jego grzbiet stos najrozmaitszych sprzętów, i towarzystwie



Przenoszenie mebli.



Chamal niosący żywego barana.

gdy walka odbywa się na noże, kończy się zazwyczaj nieznacznemi zadraśnięciami, gdyż noże te, a raczej kindżały, są krótkie i bardzo tępe.

Istnieje wprawdzie w Turcji zakaz noszenia przy sobie kindżałów, ale zakaz ten tyle jest przestrzegany co niedzielna prohibicja w Polsce lub suche prawo w Ameryce. Policja wie dobrze, że każdy robotnik portowy, każdy chamal i wogóle cała męska ludność niższej sfery stale jest uzbrojona w kindżały. To też choć policjant turecki widzi chamali bijących się kindżałami, odwróca się i udaje, że nie zauważył przekroczenia.



Olbrzymi wór wełny transportowany na grzbiecie chmala.

właściciela rzeczy wytrwale rusza na miejsce przeznaczenia, uginając się pod ciężarem sterty gratów.

Chamal jest człowiekiem uczciwym. Nie zdarzają się wypadki, żeby powierzone jego pieczy towary lub meble zginęły. Jeżeli niesie owoce, rzecz prosta, że pozwoli sobie zjeść kilka pomidorów lub arbuza, ale pozatem nie zrobi uszczerbku właścicielom.

Zdarza się, że ktoś mający fortepian nie chce płacić za przewóz więcej niż pobiera chamal, i zamiast powierzyć ciężar firmie przewozowej, woła chamali. Wtedy jeden z nich, najsilniejszy i najwytrwalszy, bierze na plecy instrument, a dwaj towarzysze podtrzymują obydwie strony. Stękając i podpierając się kijem, krok po kroku idzie chamal z fortepianem na grzbiecie, odpoczywa co chwilę, zasapie się, spoci, ale na miejsce doniesie.

Pomimo wrodzonego lenistwa i ospalstwa, chamal jest kłótliwy i nad wyraz skory do bójki z towarzyszami. Gdy kilku albo kilkunastu ich się zejdzie, przy najmniejszej okazji kłócą się zapamiętale, a z kłótni zwykle wytwarza się walna bitwa na kije, siodełka i noże. W czasie bójki między dwoma chamalami reszta towarzystwa zachowuje się zupełnie neutralnie. Rzadko się jednak zdarza, żeby walczący z sobą towarzysze po fachu zrobili sobie znaczniejszą krzywdę. Nawet

Każda dzielnica Konstantynopola ma swoich chamali, którzy razem się trzymają i niedopuszczają przybyszów z innych dzielnic.

Pomimo nędznego życia i jakkolwiek dorywczej, ale bardzo ciężkiej pracy, chamale trzymają się krzepko i długo żyją. Nie



"Koszyczek" owoców na plecach chamala. Karykatura wybitnego warszawskiego rysownika M. Walentynowicza.

brak wśród nich starców mających po 80 i więcej lat, a patrjarcha chamalskiego rodu, zmarły kilka lat temu chamal Zurnagą, dożył 150 lat i umarł, jako najstarszy człowiek na świecie.

Ów Zurnaga był niejako dyrektorem chamalskiej rzeszy Konstantynopola, ale wysoki ten urząd nie przeszkadzał mu do wykonywania zwykłych robót prostego chamala. Stuletni starzec, otoczony szacunkiem podwładnych, przyjaciół i znajomych mógł spocząć i wydawać tylko rozkazy młodszym. Tymczasem nie korzystał z możliwości słodkiego wypoczynku i, wbrew zasadom lenistwa chamali, jeszcze blisko pół wieku dźwigał przeróżne ciężary, po uliczkach miasta. Wiele sporów między chamalami załagodził Zurnaga, niejednemu przelewowi krwi zapobiegł, gdyż szanowali go nietylko miejscowi chamale, ale i ci, którzy w innych, dalekich miastach i portach przebywali.

Zapytany przez korespondenta jednego z wielkich pism francuksich, czemu przypisuje swój długi wiek, Zurnaga odpowiedział, że tylko przeznaczeniu. "Tak być miało", rzekł z uśmiechem "głodny często bywałem, nieraz zdawało mi się, że nie pociągnę dłużej, niż kilka dni i już nawet ze dwadzieścia razy oznajmiłem moją ostatnią wolę, ale Allach i jego Prorok inaczej postanowili. Kiszmet!"

4 lipca w Stanach Zjednoczonych

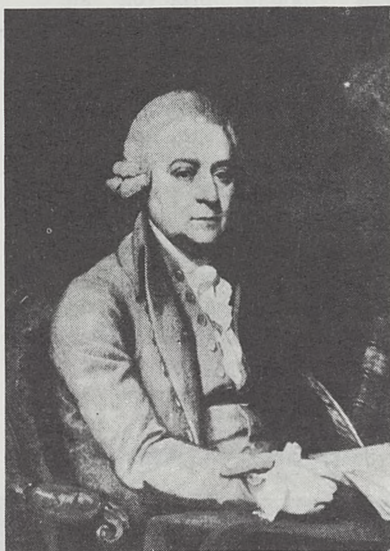


Obraz Archibalda Willarda „Duch 1776 r." namalowany w stulecie uchwalenia Deklaracji Niepodległości

GODŁO, barwy państwowe, hymn i święto narodowe w życiu każdego narodu i państwa są symbolami zdarzeń trwale związanych z ich historią. I właśnie największy walor tych symboli, jakże lapidarnych, tkwi w ich roli integrującej naród i państwo. W historii Stanów Zjednoczonych najstarszym i najtrwalszym symbolem jedności narodowej i państwowej stało się święto 4 lipca. Geneza tego święta związana jest z dniem 4 lipca 1776 roku, kiedy to przedstawiciele trzynastu kolonii położyli swoje podpisy pod słowami:

... Uważamy za niezbite i oczywiste następujące prawdy: że wszyscy ludzie stworzeni zostali równymi sobie, że Stwórca udzielił im pewnych praw niepozbywalnych, w rzędzie których na pierwszym miejscu postawić należy prawo do życia, do wolności i do poszukiwania szczęścia... Zjednoczone Kolonie są i mają prawo być państwami wolnymi i niepodległymi...

Badania nad wojną o niepodległość i zarazem rewolucją amerykańską rozszerzają i pogłębiają pogląd na jej genezę, wciąż jednak pewne jest, że uchwalenie Deklaracji Niepodległości stanowiło moment przełomowy.



John Adams, współtwórca Deklaracji Niepodległości, a później prezydent Stanów Zjednoczonych w latach 1796—1800. W liście do swej żony Albigail pisał 3 lipca 1776 r.: „Jest to dzień (...) najważniejszy (...) w historii Ameryki. Skłonny jestem mniemać, że potomni czcić będą jego rocznicę uroczyście. Powinno się go święcić jako dzień Wyzwolenia solennymi modłami (...). Powinno się ten dzień obchodzić po wszystkie czasy..."

Kiedy zaś traktat paryski z roku 1783 obwieścił światu, że trzynaście kolonii Jerzego III stało się „wolnymi, suwerennymi i niepodległymi", nikt nie miał wątpliwości, że idea świętowania tego dnia, który obwieścił Stanom Deklarację, jest słuszna.

W roku 1799 tak opisał to święto Julian U. Niemcewicz w swym *Dzienniku podróży po Ameryce*:

Dzień ten (...) po całych Zjednoczonych Stanach obchodzony jest z uroczystą wszędzie radością. Jak tylko słońce wzeszło, uderzono z armat 16 razy na pamiątkę 16 zjednoczonych stanów. Lud natychmiast, ubrany w świąteczne suknie, wysypał się na ulice, wolontariusze zbierać się zaczęli kompaniami, odgłos dzwonów we wszystkich kościołach, strzelania z pistoletów i puszczanie rakietów hukiem i radosną wrzawą napełniały powietrze. Po dziesiątej zaczęła się procesja... przemaszerowawszy przez pryncypalne ulice miasta stanęła (...) na polu, gdzie czytano Akt Independencji, gubernator potem odprawił nad nimi rewię, czyniono ewolucje militarne, o drugiej feu de joie... (ognie sztuczne). *Wybrani oratorowie mieli mowy stosowne do uroczystości dnia.*

(...) Wieczorem, idąc po ulicach, można było słyszeć stokrotne wykrzykiwania hurra obiadujących publicznie obywateli (...). Tak się zakończył dzień ten uroczysty, dzień Independencji, dzień, który jedni Amerykanie na świecie podobno mają prawo obchodzić...

Pamiętać należy, że autor niniejszej relacji, choć państwo jego było wówczas wykreślone z mapy Europy, należał do narodu, który jako drugi po Stanach Zjednoczonych uchwalił Konstytucję, a dzień jej ogłoszenia uważał za wyraz dążeń prowadzących ku nowej Rzeczypospolitej.

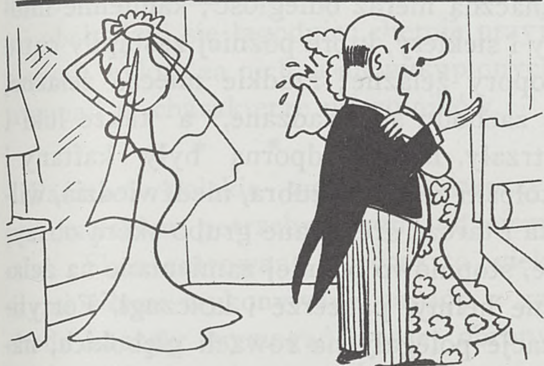
Bogdan Grzeloński



HUMOR



– Lada chwila powinien być w biurze. Wyszedł, jak zwykle, do autobusu na 7,20.



– Nie rozpaczaj, moja droga. Wprawdzie tracimy córkę, ale nareszcie odzyskujemy możność korzystania z domowego telefonu...



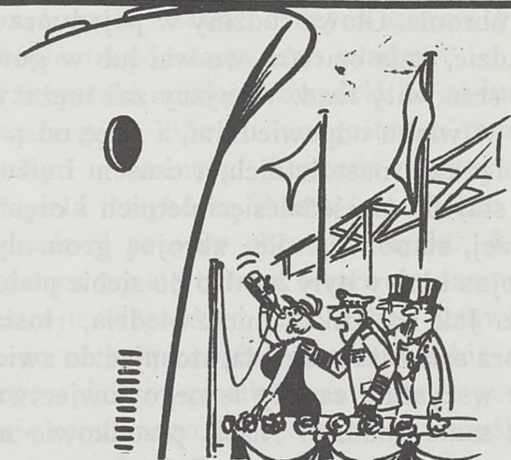
– Chcemy kupić maszynę do mycia naczyń...



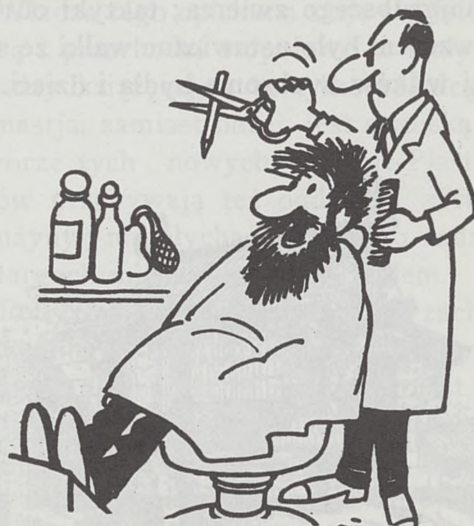
– Mógłbyś wreszcie zrezygnować z przyzwyczajeń dzieciństwa...



– Panie doktorze, błagam, niech pan wyśle ją do sanatorium. Ja doprawdy jestem już krańcowo wyczerpany...



– Pani zapewne po raz pierwszy w życiu jest chrzestną matką statku...



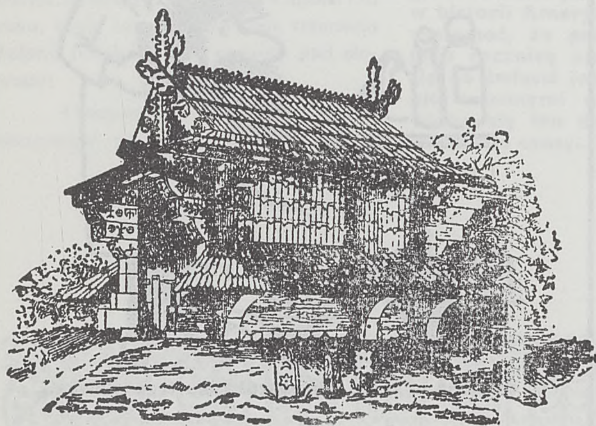
O, do licha, a ja się tyle naszukałem tego ołówka...

Historja Rycerstwa Polskiego

SKREŚLIŁ T. SIEMIRADZKI

OKRES BAJECZNY.

W OKRESIE przedhistorycznym, gdy jeszcze nie było państwa polskiego, każda gmina, wieś, a nawet każde oddzielne gospodarstwo stanowiły coś w rodzaju jednostki państwowej, która rządziła się sama i sama musiała myśleć o swojej obronie. Głowa rodziny w pojedyńczej osadzie, rada starców we wsi lub w gminie stanowiły rząd. Wszyscy zaś mężczyźni w wieku odpowiednim, a więc od pacholąt czternastoletnich, a czasem i niżej, do starców sześćdziesięcioletnich i często wyżej, stanowili siłę zbrojną gromady. Wojna i łowy były bardzo do siebie podobne. Jak na dzika, niedźwiedzia, łosia, żubra szła cała gromada, stosując do zwierza wszystkie zasady leśnego łowiectwa, tak samo chadzali nasi przodkowie na niemca, albo na litwina. Taktyka zaczepna wzorowała się na praktyce polowania na najgrubszego zwierza; taktyki obronnej wzorem były ustawiczne walki ze stadami wilków w obronie bydła i dzieci.



GONTYNA STAROS... ...ŃSKA

Bronią zaczepną były długie dzidy, z ostrzem kamiennym, a później żelaznym; krótsze, zwane oszczepami, które z wielką zręcznością i celnością ciskano na znaczną nieraz odległość; kamienne młoty i siekiery, które później zastąpiły ostre topory żelazne; rzadkie miecze żelazne, z zachodu sprowadzane, a także łuki i strzały. Bronią odporną były kaftany i kołpaki ze skóry żubra, niedźwiedzia, wilka i tarcze drewniane grubo skórą obszyte, stopniowo później zamieniane na żelazne hełmy, pancerze i kolczugi. Fortyfikacje polegały na rowach głębokich, nasypach ziemnych, płotach z pali zaostrzonych u góry, tak zwanych ostrokołach, oraz zasiekach, to jest barykadach ze zrąbanych i wzdłuż drogi zwalonych drzew olbrzymich.

Gdy stawała do walki jedna rodzina, dowodził nią ojciec, a w razie niedołęstwa jego brat najstarszy; wsie i gminy wybierały sobie na czas wojny z pomiędzy starszych gospodarzy najdoświadczeńszego, znanego z siły i męstwa i jemu oddawały władzę naczelną. Takiego wodza zwano wojewodą, to jest mężem, który wodził wojów, czyli wojowników. Z zakończeniem bitwy, czy całej kampanji kończyła się sama przez się władza wojewody.

Wojsko składało się prawie wyłącznie z piechoty; kraj cały pokryty był lasami, i walki w lasach wyłącznie się odbywały. Później starszyzna zaczyna się ukazywać konno, na małych, lecz silnych koniach, a jeszcze później dokoła przywódców zaczynają powstawać całe oddziały kon-

nych. Piechota miała jednak przewagę przez długie wieki. Dopiero w okresie historycznym jazda staje się coraz liczniejszą i w końcu odsuwa pieszych wojów całkiem na plan ostatni.

Polacy, jak i inni słowianie, według opisów starych kronik, odznaczali się wielkim męstwem w boju, siłą i wytrzymałością. Wojen zaczepnych nie prowadzili, nie kusząc się o cudze dobro. Napadnięci bronili się dzielnie i z obrony chętnie przechodzili do ataku, pędząc daleko przed sobą nieprzyjaciela, aby odebrać mu ochotę do nowych zaczepek. Z jeńcami obchodzili się łagodnie; chętnie przyjmowali wykup za nich, a niewykupionych trzymali w charakterze niewolników.

* * *

Państwo polskie zaczęło się tworzyć pod naciskiem potrzeby obrony od niemców. Skoncentrowane, z coraz to większymi siłami wykonywane napady z zachodu zaczęły wymagać lepszej obrony. Luźno żyjące gminy zaczęły się łączyć w związki. Ustrój takiego pierwotnego państwa był republikański. Władza spoczywała w ręku rady starszych, którzy raz do roku odbywali zjazdy-wiece, na których sprawowali sądy, stanowili prawa i uchwalali podatki. Ponieważ jednak nigdy nie można było przewidzieć z góry, kiedy wpadnie nieprzyjaciel, stała się potrzebną lepsza organizacja wojskowa. Zamiast dawnych przygodnych wojewodów musiano się zgodzić na stałych wodzów, którzyby mogli w każdej chwili powołać lud do broni, poprowadzić go na miejsce zboru i oddać pod dowództwo również stałego głównego wojewody. Wojska stałego nie było: każdy był żołnierzem; lecz utworzyło się coś w rodzaju stałego sztabu. Z biegiem czasu szczęśliwsi w boju i sprytniejsi wojewodowie zaczęli zabierać w swe ręce coraz więcej władzy. Powstała stopniowo z republiki ludowej monarchja; miejsce głównego wojewody zajął książę dziedziczny. Na przewrót ten, jak się zdaje, wskazuje legenda o Lechu, który miał przyjść z za morza ze zbrojną drużyną i państwo polskie założyć. Był to zapewne najazd normanów, którzy wiele państw w Europie pozakładali. Przywódca najazdu potrafił usadowić się na stałe i pochwycić władzę w swe ręce.

Już za wojewodów zamożniejsi gospodarze trzymali zapewne zbrojne małe oddziały w stałym pogotowiu. Większe oddziały bywały na dworach wojewodów. Gdy książe dziedziczny usadowił się na stałe, było rzeczą naturalną, że kosztem ludu trzymał na swym grodzie dostateczną siłę zbrojną, aby wszelki opór swej władzy na poczekaniu poskromić. Na wojnę z najeźdzcą szedł lud zmobilizowany pod wodzą księcia; lecz w zatargach wewnętrznych stała drużyna księcia była źródłem i podstawą jego władzy.

Stan taki musiał prowadzić do nadużyć i zatargów, których następstwem musiała być rewolucja. Legenda o zrzuceniu Popiela i wyborze Piasta jest śladem tej rewolucji przeciw obcemu księciu. Lud, pozbywszy się tyrana, wraca do dawnego ustroju wiecowego, lecz wobec ustawicznego niebezpieczeństwa obiera sobie stałego opiekuna-piastuna, na którego powołuje zamożnego, skrzętnego i przemyślnego gospodarza, rzemieślnika i kupca w jednej osobie.

Władza tego opiekuna staje się dziedziczną i przechodzi stopniowo w stały typ władzy książęcej, z tą tylko różnicą, że dynastja, zamiast obcej, jest swojską. Na dworze tych nowych książąt-Piastowiczów przebywają też oddziały zbrojne-drużyny; nie słychać jednak o żadnych zatargach między księciem i ludem.

Potrzeba ciągłej czujności od zachodu powołuje do życia tak zwane grody-fortece graniczne. Są to zaczątki miast. Budują je na pagórkach, nad rzekami, w miejscach obronnych od natury. Z początku siedzi w nich tylko straż zbrojna, zapewne z rodzinami. W razie napadu chronią się do tych grodów kobiety i dzieci z dobytkiem, gdyż mężczyźni wyciągają w



WJAZD BOLESŁAWA CHROBREGO DO KIJOWA

pole przeciw nieprzyjacielowi. Zwolna powstają dokoła grodów luźne osady kupców i rzemieślników, do których udają się z interesami ludzie z okolicznych wsi.

Książę sprawujący dowództwo nad całą siłą zbrojną narodu, ma naturalnie pieczę nad grodami. Mianuje więc swoich ludzi na dowódców straży i załóg; tą drogą powstają pierwsi urzędnicy książęcy, późniejsi kasztelanowie.

W ustroju samego wojska zachodzą w tym okresie poważne zmiany. Miejsce broni kamiennej zajmuje broń żelazna, sprowadzana z Niemiec, a później wyrabiana na miejscu przez kowali-płatnerzy. Później znacznie zbroja żelazna ukazuje się u zamożniejszych na skórzanym kaftanie. Liczniejszą też staje się jazda; z początku dla prędszego rozwożenia rozkazów, dla łatwiejszego porozumiewania się w razie mobilizacji. Później jednak, w miarę coraz większej przewagi jeźdźca nad piechurem, powiększają się oddziały jezdnych na dworach książęcych, w grodach i nawet w osadach poszczególnych zamożniejszych gospodarzy.

* * *

PIERWSI PIASTOWIE.

W takim stanie zastaje Polskę historja. Pod rokiem 963 notują kronikarze niemieccy, że hrabia Wichman pobił "króla" Polan Mieszka. Jest to pierwsza wzmianka w historji o polskim państwie. Ale już w 967 Mieszko bije tegoż Wichmana i bierze go do niewoli, a w 972 zwycięża pod Cydynem w wielkiej bitwie margrabiego Udona. Oczywiście Mieszko w ciągu tych kilku lat wprowadził jakieś ulepszenia w swoim wojsku. Musiały one polegać na zwiększeniu jazdy i rozszerzeniu używania broni żelaznej.

Pisarz arabski, który w tym okresie podróżował po Polsce, podaje, że Mieszko utrzymywał na swoim dworze liczne i dobrze uzbrojone rycerstwo. Nietylko żywił je, lecz i opiekował się ich rodzinami. Było to więc coś w rodzaju wojska stałego. Bywając na dworze cesarza niemieckiego, Mieszko stawał ze swoimi rycerzami do popisów turniejowych, co dowodzi, że uzbrojenie i wyćwiczenie jego ludzi było już nie gorsze od rycerzy niemieckich. Musiały to już być zbroje twarde i lekkie, miecze i włócznie stalowe, a konie rosłe, silne i do obrotów przyzwyczajone.

Olbrzymia akcja wojenna, jaką rozwinął wielki następca Mieszka, Bolesław Chrobry, wskazuje na bardzo daleko posuniętą wojskową organizację. Kronikarze niemieccy podają, że w Gnieźnie trzymał król polski stale półtora tysiąca pancernej jazdy i pięć tysięcy piechoty. Mniejsze załogi stały w Poznaniu, Włocławku, Gdeczu. Obok więc armji ludowej, którą zawsze można było zmobilizować w razie potrzeby, jest już wojsko stałe na odparcie nagłego napadu i dla wojny zaczepnej.

Taktyka Bolesława jest dwojaka, stosownie do okoliczności. Najazdy swoje na Miśnie, Kraków, Pragę i Kijów wykonywał wielki król z nieliczną, lecz doskonale uzbrojoną i wyćwiczoną jazdą. Lecz, gdy wojna zaczynała przybierać większe i bardziej niebezpieczne rozmiary, wracał do starej polskiej wojny leśnej, w której piechota ludowa i strzelcy-łucznicy główną grali rolę. Tak było w krytycznym roku 1015, podczas wielkiej wojny z niemcami. Zanosiło się wtedy na rozbiór Polski. Z trzech stron ruszyli wrogowie na państwo bolesławowe. Z zachodu, w kierunku Krosna nad Odrą ciągnął cesarz niemiecki Henryk z całą potęgą; z boku zachodzili czesi, a z południa miał uderzyć kijowski Jarosław. Król polski wobec tej nawały stosuje obydwie taktyki naraz. Zastawia się przeciw niemcom nad Odrą niewielkim stosunkowo oddziałem i pozwala cesarzowi przeprawić się przez rzekę i utonąć w pierwotnych lasach Polski. Sam zaś z najlepszą jazdą odcina czechów i pędzi ich do domu. Wraca potym w lasy, okala zewsząd ciężkie wojsko cesarskie, trapi je nocnymi napadami, wybija mniejsze oddziały, oddalające się od głó-



KAZIMIERZ ODNOWICIEL 1040 — 1058

wnej armji za żywnością, obsadza ścieżki i drzewa łucznikami, szerzy wszędzie postrach, a nigdzie nie daje się wciągnąć do walnej rozprawy. Nareszcie, wprowadziwszy cesarza w upatrzone z góry miejsce w głębi boru, spada nań ze wszystkich stron z piechotą i strzelcami i czyni straszną rzeź między niemieckim rycerstwem. Tysiące knechtów, dwustu przednich rycerzy i kilkunastu wielkich panów niemieckich ginie na polu walki; cesarz z trudem ratuje się ucieczką. Reszta armji cesarskiej ucieka, a goni ją teraz wyborowa jazda polska pod dowództwem syna królewskiego, Mieczysława, który dociera w pogoni aż do Miśni pod Dreznem. Ta piękna, czysto polska kampanja rozstrzyga o przyszłości Polski. Cesarz zawiera pokój, a Bolesław zwraca się wtedy przeciw Rusi.

Widzimy w wojnach Bolesława Chrobrego umiejętną kombinację dwuch taktyk i dwuch rodzajów broni: starej polskiej, leśnej, przypominającej żywo łowy na dzika albo na niedźwiedzia i nowej zachodnio - europejskiej, walki ciężkiej, pancernej jazdy w otwartym polu. W obydwuch celuje wielki polski bohater. Posiada w dostatecznej ilości obydwa gatunki broni — ludową piechotę od pługa na czas wojny powołaną z dodatkiem łuczników, a więc piechoty stałej, siedzącej po grodach i jazdę zorganizowaną na wzór zachodnio-europejskiego rycerstwa. Środki takie w ręku gienjusza wojennego i politycznego, jakim był niezaprzeczenie Bolesław Wielki, wystarczają dla położenia wiecznych podwalin pod polskie państwo.

* * *

Chwilowe zaburzenia wewnętrzne po śmierci Chrobrego, walka Kazimierza Odnowiciela z Masławem i wojny Bolesława Śmiałego nie wnoszą żadnych widocznych zmian do ustroju wojskowego Polski. Liczniejszym tylko staje się stan zamożniejszych rolników, którzy stale konno w zbroi występują. Piechota jednak ludowa nie traci swego znaczenia. Wojny poważniejszej nie można jeszcze prowadzić jazdą pancerną. W każdej większej potrzebie kmiecie, zbrojne we wszystko, co który ma w domu, pod dowództwem konnych sołtysów albo zamożniejszych gospodarzy, stanowią podstawę wojska i państwa. Za Bolesława Śmiałego zaczyna się już zarysowywać różnica społeczna między kmieciami i bogatszą klasą rolników, którzy konno służą; sam król bierze udział w tej walce klas, jeżeli się tak można wyrazić, i staje po stronie kmieci, podczas gdy biskup krakowski Stanisław Szczepanowski reprezentuje zaczynającą się rodzić klasę "panów", co leży w podstawie zatargu między królem i biskupem. Lecz na ogół ustrój państwa mało się zmienia.

Dopiero za Bolesława III-go Krzywoustego zaczyna silnie rość stan tak zwany rycerski. O wychowaniu młodego Bolesława czytamy, że kształcono go według zachodniego obyczaju. Jest mowa o obrzędach rycerskich, o pasowaniu, o ćwiczeniach specjalnych, przez regulamin rycerstwa zachodniego przepisanych. Zmienia się też i taktyka bojowa. Bolesław Krzywousty walczy nie dawnym obyczajem, łącząc męstwo z chytrością, lecz rzuca się na oślep na czele doborowej garści rycerzy na kupy nieprzyjacielskie, nie licząc się ani z liczbą wroga, ani z położeniem, a ufając jedynie swej dłoni, mieczowi i zbroi. Wrębuje się sam w środek nieprzyjaciela i co chwila naraża swe życie i wolność, czego nigdy np. nie czynił Bolesław Chrobry. Wygrywa tam, gdzie impet uderzenia i sztuka robienia mieczem wystarczają; przegrywa jednak czasami i musi uciekać, gdy liczba bierze górę nad sztuką. Na dworze króla przesiaduje mnóstwo rycerzy, już nie dawnych żołnierzy królewskich, lecz panów możnych, którzy w otoczeniu króla swe wywczasy odprawiają. Mnożą się dwory zamożne, potężne, zorganizowane na wzór dworu królewskiego, z licznymi orszaka-



BOLESŁAW ŚMIAŁY 1057 — 1081

mi zbrojnymi. Zaczyna się tworzyć stały stan rycerski, późniejsza szlachta; powstają zaczątki przyszłego możnowładztwa.

W chwili jednak bardzo wielkiego niebezpieczeństwa, raz jeden budzi się w potomku duch wielkiego przodka. W roku 1109 wybucha wielka wojna między Polską i cesarstwem. Cesarz Henryk V ciągnie z całą potęgą Sasów, Bawarów, Turyngów, zbieraniną z całych Niemiec, na zagładę Polski. Bolesław Krzywousty okazuje się w tej potrzebie na wysokości swego zadania. Nie rzuca się ślepo na masy wrogów obyczajem rycerskim, lecz prowadzi wojnę regularną trybem Chrobrego. Wstrzymuje niemców pod zamkami i miastami; mobilizuje nietylko możne rycerstwo, lecz i cały naród kmieci; nie gardzi środkami ostrożności, ani podstępem. Korzysta z pewności siebie i zarozumiałości niemców; podchodzi ich, urywa po kawałku, odrzuca proponowane układy. Zagania stopniowo niemców pod Wrocław i tam, osaczywszy ich dobrze, zadaje im straszliwą klęskę na równinie podmiejskiej, Psiem Polem na wieczne czasy na pamiątkę tej bitwy przezwanym.

Prawdziwy rozwój rycerstwa, z którego powstała późniejsza szlachta, w połączeniu z upadkiem politycznym stanu kmiecego, przypada na smutny okres podziałów. Znika władza centralna. Kraj rozpada się na kilka, a później na kilkanaście księstw, które wciąż walczą między sobą. W małym państewku mniejszą jest osobą książę, a większą lada rycerz, co ma na zamku jaką setkę zbrojnych. W ciągłych najazdach jednego księstwa na drugie prawo wojny stosuje się w całym swym rygorze. Rycerstwo bierze do niewoli lud wolny z jednego księstwa i uwozi go do drugiego, gdzie prawem wojny stają się porwani kmiecie niewolnikami, własnością rycerzy. Obok więc starego wolnego włościaństwa powstają liczne wsie i osady niewolnych. Jedni mieszają się z drugimi i w tym zamieszaniu wolni też tracą swą wolność. A na tle tego chaosu wyrasta panowanie siły nad prawem, miecza nad pługiem.

Rycerstwo polskie przejmuje się coraz bardziej wzorami z zachodu, szczególnie z Niemiec. Szlachta śląska niemczy się zupełnie. Rody rycerskie do swych starych zawołań przybierają wzorem niemców znaki rodowe — herby. Najazdy tatarskie, niszcząc wsie i miasta, a omijając zamki i dwory obronne, przyczyniają się jeszcze bardziej do pogłębienia tego zróżniczkowania się prastarego jednolitego narodu. A jednocześnie upada w tych walkach domowych i sprawność bojowa dawnych polaków. Najlepszym przykładem tego upadku jest klęska pod Chmielnikiem w 1241 r., gdzie przeciw chmarze lekkiej jazdy tatarskiej, rycerstwo polskie, gardząc chłopską piechotą, wyciąga wyłącznie w swej ciężkiej okazałości i ponosi straszliwą porażkę.

ROZKWIT RYCERSTWA ZA ŁOKIETKA, WOJNY Z NIEMCAMI, PŁOWCE I GRUNWALD.

Poprawia się sytuacja z przywróceniem całości państwa polskiego przez Władysława Łokietka. Z władzą centralną wraca państwu siła i odporność. Zmiany jednak społeczne, zaszłe w poprzednim okresie już pozostają na stałe. Następuje okres rozkwitu rycerstwa polskiego na modłę zachodnio-europejską. Cała siła zbrojna państwa i narodu koncentruje się w jednym tylko stanie zamożnych rolników, właścicieli ziemi i ludzi, zajętych przez całe życie ćwiczeniem się w sztuce robienia bronią i toczenia koniem. Lud wiejski przestaje być podstawą obrony państwa od najazdu. Wojska stają się mniejszymi liczebnie; rozstrzyga już nie liczba, lecz wyćwiczenie i uzbrojenie. Taktyka bojowa staje się prostą do ostatniego stopnia. Dwa konne wojska stają naprzeciw siebie i na znak dany trąbą uderzają na siebie w całym impecie. Na-



BOLESŁAW KRZYWOUSTY

stępuje zmaganie się pojedyńczych rycerzy. Rozstrzyga siła ręki i umiejętność osobista robienia kopją i mieczem. Zbroje są ciężkie; nawet konie zaczęto pokrywać blachami. Jedyny udział w wojnie stanu nierycerskiego polega na tym, że za rycerzami ciągną ich sługi, pachołkowie z luźnymi końmi na zmianę, woźnice, prowadzący wozy z żywnością i bronią zapasową. Takiemu słudze nie wolno siąść na koń i stanąć obok pana przed obliczem wroga; byłoby to uchybieniem dla pana. W boju plączą się wprawdzie giermkowie i pachołkowie u boku pana, aby podać mu w czas świeżego konia, podsunąć nową kopję, unieść rannego, przyczym nieraz udaje się prostemu chłopkowi ocalić życie rycerza i na nagrodę zarobić. Nie jest to jednak służba wojskowa; jest to służba osobista, połączona z poniżeniem.

Wojskowa jednak wartość narodu polskiego sprawia, że i w tym okresie ry-



WŁADYSŁAW ŁOKIETEK

cerz polski wysuwa się na czoło całego swego stanu w Europie. Polscy rycerze zdobywają sobie sławę na wszystkich turniejach, we wszystkich wojnach. Typową dla wykazania wysokiej wartości bojowej polskiego rycerstwa jest wielka bitwa z krzyżakami, wygrana przez Łokietka pod Płowcami w roku 1331-ym. Krzyżacy byli doskonałymi wojownikami pod względem doboru ludzi, uzbrojenia, dowództwa i organizacji. Zakon zasilało najprzedniejsze rycerstwo z całych Niemiec. Nie zaniedbywali przytym wodzowie zakonni posiłkowania się piechotą, do której werbowali lud rosły i silny z niemieckich wsi i miasteczek. Pod Płowcami niemcy znacznie przewyższali liczbą polaków. Nie było w wojsku Łokietka wcale piechoty. Nie znać też żadnych skomplikowanych manewrów. Linja uderzyła na linję. Rozstrzygała tu wyłącznie dzielność osobista, siła i wyrobienie pojedyńczych rycerzy. Król, acz bardzo już stary, obyczajem rycerskim walczył osobiście; hełm tylko zbyt ciężki czapką z aksamitu czerwonego zastąpił. Klęska niemców była komple-



PŁOWCE — 27 WRZEŚNIA 1331 R.



GEDYMIN W. KSIĄŻĘ LITEWSKI

tna. Dwadzieścia tysięcy przedniego rycerstwa niemieckiego zaległo pole, co dowodzi, że się niemcy dzielnie bronili. Cztery tylko tysiące dostało się do niewoli. Tryumf rycerstwa polskiego był stanowczy. A jednak i w tej wojnie dawny obrońca Polski, kmieć, odegrał też swoją rolę. Na drodze armji krzyżackiej między Głuszynem i jeziorem zaniemyślskim chłopi zrobili długi zasiek i przy pomocy garści starych rycerzy, którym nie snadno już było w pole wyciągnąć, wycięli cały oddział kilkuset krzyżaków, wysłany na sforsowanie przejścia. Zastosowana samorzutnie stara taktyka bolesławowska odniosła tu tryumf, dowodząc, że pomimo poniżenia społecznego nie wygasł w kmieciu polskim dawny duch bohaterski. Objawi się ten duch i później nie jeden raz, od Grunwaldu przez Racławice do Rokitny i reduty Piłsudskiego.

* * *

U szczytu stanęło polskie rycerstwo typu średniowiecznego na początku XV-go stulecia za Jagiełły. Największy tryumf wojenny połączonych państw Polski i Litwy — bitwa pod Grunwaldem, był też największym tryumfem polskiego rycerstwa. Organizacja wojskowa Polski w owych czasach polegała na tym, że każdy właściciel ziemski stanu rycerskiego — każdy szlachcic był obowiązany na wezwanie królewskię stawać "konno, ludno i orężno". Znaczyło to, że, gdy król zawoła, każdy rycerz z własnym koniem i zbroją miał śpieszyć do głównego miasta swego województwa i oddawać się tam pod komendę królewskiego wojewody. Z tak zebranego kontygensu tworzyła się chorągiew danego województwa. Przez chorągiew rozumiano całą liczbę zmobilizowanych rycerzy pod znakiem województwa. W pierwszej części tego okresu nie używano jeszcze terminu województwo; jednostkę geograficzno-polityczną państwa



WITOLD WIELKI KSIĄŻĘ LITEWSKI

nazywano — ziemią. Każdy rycerz mógł przyprowadzić ze sobą ile chciał ludzi i koni; ludzie ci jednak stanowili jego służbę osobistą i nie zaliczali się do chorągwi. Od stawania zwalniał tylko wiek podeszły lub kalectwo. Za nieposłuszeństwo groziła infamja i pozbawienie własności ziemskiej. Obok chorągwi ziemskich stawały chorągwie prywatne — składające się ze szlachty wyekwipowanej kosztem poszczególnego magnata. Do tych chorągwi szła drobna, uboga szlachta zaściankowa, którą nie stać było na własną zbroję, konia lub utrzymanie. O żywność dla siebie i dla swoich ludzi i koni każdy rycerz sam się starał. Stąd całe tabory wozów naładowanych wędzonym mięsem, sucharami, winem, miodem i owsem ciągnęły za wojskiem. Gdy wojsko stawało obozem, pachołkowie każdego rycerza rozbijali dla niego namiot i sami lokowali się w pobliżu z końmi i wozami; całe jednak województwo stawało razem.

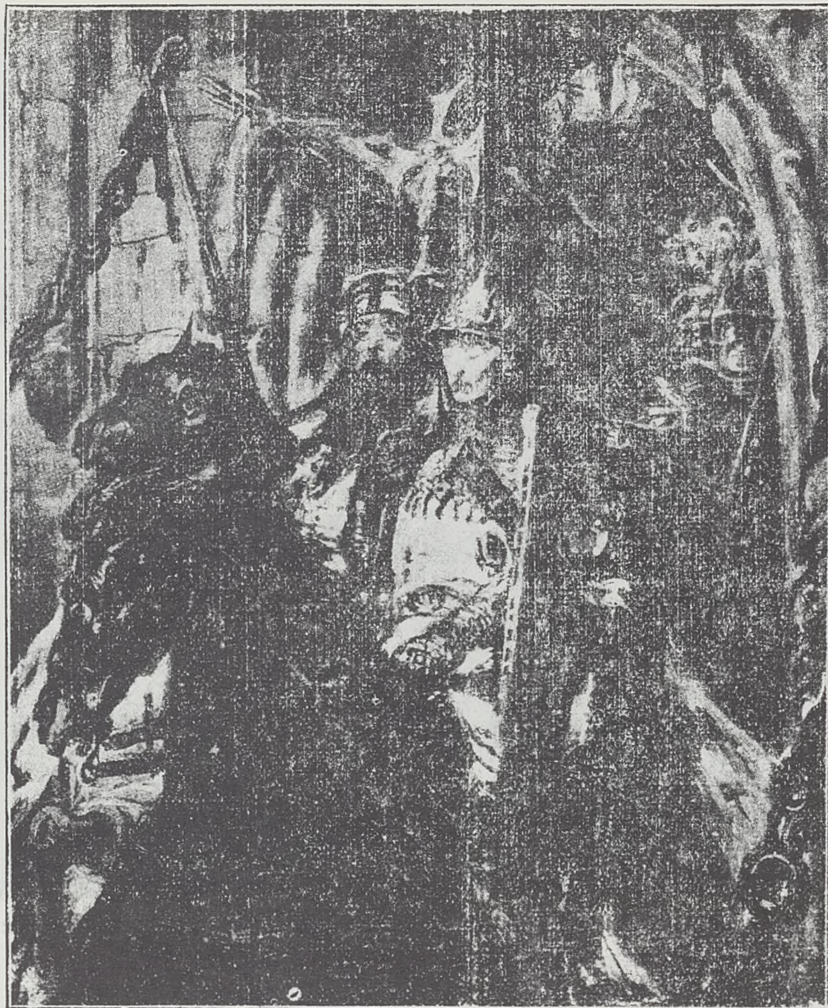
Gdy wybuchła wielka wojna z zakonem krzyżackim, król Władysław Jagiełło wysłał tak zwane wici, czyli nakaz mobilizacyjny dla całego rycerstwa Polski i Litwy. Wielkość jednak niebezpieczeństwa, a zapewne też i utrzymana jeszcze na Litwie stara tradycja, sprawiły, że obok rycerstwa zmobilizowano także i wolnych kmieciów. A że w tym okresie jedynie tylko włościanie królewscy byli jeszcze całkiem wolni, mobilizacja dotyczyła prawdopodobnie tylko chłopów królewskich, którzy stawili się gromadnie



KRÓLOWA JADWIGA



116 WŁADYSŁAW JAGIEŁŁO 1386 — 1434



WYJAZD HENRYKA POBOŻNEGO Z LIGNICY

pod dowództwem sołtysów na koniach. Świadczy o tym i liczba ogólna wojska, gdyż, gdyby całe włościaństwo zostało powołane, armja polsko - litewska musiałaby wynosić nie sto tysięcy z okładem, lecz najmniej dwa razy tyle.

Do bitwy pod Grunwaldem 15 lipca 1410 roku stanęły następujące chorągwie: Ziemi Krakowskiej (Zyndram z Maszkowic, Zawisza Czarny, Paszko Złodziej, Jaxa z Targowiska i t. d.) chorągwie: Gończa, Nadworna, Św. Jerzego (zaciężni czesi i morawianie), ziemi Poznańskiej, Kujawskiej, Lwowskiej, Wieluńskiej, Przemyskiej, Dobrzańskiej, Chełmskiej, Podolskiej (trzy chorągwie dla zbyt wielkiej liczby rycerstwa), Halickiej, dwie księcia mazowieckiego Ziemowita, chorągwie Janusza Mazowieckiego, arcybiskupa gnieźnieńskiego, biskupa poznańskiego, Krystyna z Ostrowa, kasztelana krakowskiego, Jana Tarnowskiego, wojewody krakowskiego, Sędziwoja Ostroroga, wojewody poznańskiego, Mikołaja z Michałowa, wojewody sandomierskiego, Jakuba z Koniecpola, wojewody sieradzkiego, Jana z Obiechowa, Jana Ligęzy z Bobrka, Jędrzeja z Tęczyna, Zbigniewa z Brzezia, Piotra Szafrańca, Klemensa z Moskorzewa, Wincentego z Granowa, Dobiesława z Oleśnicy, Spytka z Jarosława, Marcina ze Sławska, Dobrogosta z Szamotuł, Krystyna z Koziegłów, Jana Wężyka z Dąbrowy, Mikołaja podkanclerzego królestwa, Mikołaja Kmity z Wiśnicza, braci Gryfów, szlachcica Zakliki,



STRÓJ KSIĘCIA POLSKIEGO Z XIV WIEKU

braci Koźlerogi, Jana Jenczykowicza, Gniewosza z Dalewic, Zygmunta Korybuta. Widzimy więc, że liczba chorągwi wystawionych przez poszczególnych książąt i magnatów znacznie przewyższała liczbę chorągwi ziemskich. Znaczy to, że państwo w tym śmiertelnym kryzysie już wtedy było skazane na dobrą wolę i gorliwość osób prywatnych, bo, gdyby te wszystkie chorągwie nie istniały, samymi tylko ziemskimi chorągwiami nie było najmniejszej możności pobić krzyżaków. Ze czterdziestu chorągwi litewskich także mniej niż połowa były ziemskie: Trocka, Wileńska, Grodzieńska, Kowieńska, Lidzka, Miednicka, Smoleńska, Połocka, Witebska, Kijowska, Pińska, Nowogródzka, Brzeska, Wołkowyska, Drohicka, Mielnicka, Krzemieniecka, Starodubowska. Reszta, jak i w polskiej armji, była wystawiona przez pojedyńczych książąt i panów. Kilka ziemskich polskich chorągwi nie brało udziału w bitwie, bo król zostawił je na granicy węgierskiej, skąd obawiał się napaści cesarza Zygmunta.

Siłę chorągwi polskich, których było 52, obliczają historycy przeciętnie na 300 rycerzy, litewskich zaś na 200. Chorągwie krzyżackie, których było 51, liczyły po 320 rycerzy. Piechoty było w armji polsko-litewskiej dwa razy tyle co jazdy, co razem z pachołkami i ciurami dawało liczbę ogólną przeszło stu tysięcy ludzi. Niemcy mieli 40,000 doskonałej piechoty zawodowej, knechtów ciężko zbrojnych i wyćwiczonych. Mieli też i artylerję, która zresztą dwa razy tylko na początku strzeliła, żadnej szkody przeciwnikowi nie wyrządzając. Liczba ogólna niemców dochodziła 90 tysięcy ludzi.

Rycerze polscy posiadali wszyscy zbroje żelazne, albo stalowe, u bogatszych suto srebrem albo złotem nabijane. Konie były też okryte blachami. Broń stanowiły: kopja rycerska długa, miecz prosty długi, u pasa mieczyk krótki, do sztyletu podobny, zwany mizerykordją; często w dodatku topór, albo czekan-kij długi z toporkiem na końcu. Do tego tarcza drewniana, żelazem okryta. Litwini byli



BOLESŁAW ROGATKA

słabiej uzbrojeni, często zamiast zbroi żelaznej w kaftany ze skór odziani. Kopje mieli krótsze; zamiast mieczów wielu nosiło lekkie zakrzywione szable. Piechoty polskie i litewskie były zbrojne we wszystko, co chłop w domu dla własnej obrony posiadał. Były tam dzidy krótkie i ciężkie, dobre na niedźwiedzia; oszczepy z ostrzami żelaznymi, albo li tylko ostro zastrugane i w ogniu osmalone; młoty, siekiery, kosy na sztorc nasadzone, cepy ćwiekami nabijane, pałki grube, nabijane ostrymi kolcami. Za ubranie służyły zwykłe siermięgi; z rzadka kto miał kaftan skórzany. Rycerstwo niemieckie było uzbrojone tak samo jak i polskie; tylko więcej było zbroi kosztownych, a i miecze w wielu razach były lepsze. Piechota zaś niemiecka była doskonale i jednostajnie ubrana i zbrojna w długie, ciężkie dzidy, halebardy i krótkie dobre miecze.

Jak wiadomo powszechnie w bitwie pod Grunwadlem polskie dowództwo naczelne odznaczyło się wielką znajomością rzeczy i pierwszorzędnym talentem. — Wódz naleczny polski Zyndram z Maszkowic okazał się pierwszorzędnym strategikiem i taktykiem. Dowództwo litewskie też spoczywało w ręku wielkiego wojownika, jakim był w. książę Witold. Niemcy natomiast wykazali dużo niezdarności, a jeszcze więcej zarozumiałości, chociaż męstwa im nikt nie odmawia. — Bitwa składała się z trzech wyraźnie odrębnych części. Część pierwsza: atak linji litewskiej, złamanie Litwy, jej ucieczka pociągająca za sobą oddalenie się znacznej części armji niemieckiej, z czego skorzystała linja polska i silnie uderzyła na niemców. Część druga: powrót niemców z pościgu za Litwą i powrót litwinów; wejście w bój drugiej linji pol-

Z BITWY POD GRUNWALDEM

ZAKON KRZYŻACKI U NÓG JAGIEŁŁY



SĄD BOŻY

skiej. Chwila krytyczna. Część trzecia: atak rezerwy niemieckiej i jednocześnie wprowadzenie w bój trzeciej linji polsko-litewskiej, piechoty chłopskiej. O mur tej piechoty rozbija się cały impet niemieckiej rezerwy; następuje zgon wielkiego mistrza z rąk dwuch litewskich piechurów, rozsypka niemców, pogrom i pogoń. Piechota niemiecka, stojąca zbyt daleko, nie wzięła wcale udziału w bitwie i prawie cała zginęła w ucieczce.

Pogrom niemców był tak kompletny, że mało bardzo wielkich bitew w historji można porównać z grunwaldzką potrzebą. Najbliższą pod względem pogromu była chyba bitwa pod Cannami.

Przednie polskie rycerstwo w tej bitwie wykazało przewagę osobistą nad najlepszym rycerstwem środkowej i zachodniej Europy. Druga linja polska stawała równie dzielnie, lecz z mniejszym skutkiem z powodu gorszego uzbrojenia. Niezrównaną zaś w męstwie, zaciekłości bojowej i karności okazała się rozmaicie odziana i uzbrojona chłopska piechota. Jej właściwie należą się laury dnia 15 lipca, 1410 roku.

Cała ówczesna organizacja wojskowa Polski i Litwy wykazała wielką dokładność. Wszystkie ruchy tak w okresie mobilizacyjnym, jak w późniejszym manewrowaniu były dokładnie skoordynowane i znakomicie wykonane. Sławną przez długie lata była przeprawa armji przez Wisłę dokonana po moście rzuconym przez rzekę dla tej tylko okoliczności i zaraz potym ściągniętym. Na wielką też pochwałę zasługuje dokładne porozumienie się polaków z litwinami, skutkiem czego armja litewska, dążąc z o wiele większej odległości, niektóre chorągwie aż z pod Smoleńska, spotkała się z armją polską nad Wisłą w miejscu i czasie wskazanym, bez żadnego zamieszania, ani szkodliwej zwłoki.

Dzień grunwaldzki był szczytem nie tylko doskonałości samego rycerstwa polskiego, lecz i całej wojskowej organizacji średniowiecznej Polski.

Farinelli

Napisał:

K. Stromenger

Śpiewak w swej męskości okaleczony, śpiewający sopranem, — to zjawisko dziś wydaje nam się potworne! Co za osobliwe „poprawienie natury"! Długo jednak uważano, że ukapłoniony śpiewak, to „ofiara na ołtarzu sztuki". Dziś sztuka zrezygnowała z takich ofiar... Coprawda praktykę przyrządzania śpiewaka na sopranistę zawsze uważano za zbrodnię. We Włoszech w czasach baroku, mówiono o jakiejś rzekomej „fabryce kastratów", ale bliższe o niej wiadomości pokryte były tajemnicą. W Medjolanie utrzymywano, że to specjalność wenecka, w Wenecji wskazywano na Bolonję, tam na Rzym, Neapol. Konsul brytyjski w Neapolu wymieniał pewną miejscowość w Apulji, gdzie rzekomo naprzód badano głosy adeptów, ich muzykalność, a potem przystępowano do zbrodniczego zabiegu, który bywał jednak karany śmiercią. Perwersja operowa żądała swych ofiar. Kandydatów na te ofiary nęciły widoki karjery. Zrobili ją niektórzy kastraci — Farinelli, Senesino, Caffarelli. Szalały na nimi stolice europejskie XVIII-go wieku. Kiedy wielka karjera udała się, rzezańcy mogli zastanawiać się nad tem, czy sławy i majątku nie okupili... zbyt drogo.

Dwieście lat temu wschodziła gwiazda najszczególniejszego śpiewaka, świt najdziwniejszej karjery, początek najdziwaczniejszego życia artysty. W r. 1727, dwóch młodych śpiewaków operowych walczy w operze bolońskiej o szczególne pierwszeństwo: o palmę pierwszego włoskiego kastrata. Carlo Broschi — zwany Farinelli — roztoczył skarby swego „męskiego sopranu" i czar swego śpiewu koloraturowego. Współzawodnik jego, Antonjo Bernacchi, nietylko powtórzył najdokładniej wszystkie warjanty, zakrętasy i łamańce, które zaśpiewał Farinelli, ale starczyło mu jeszcze oddechu na dodawanie nowych sztuk i sztuczek. Farinelli uznał się za pokonanego i śpiewacy-rywale zawarli odtąd przyjaźń dozgonną (dalszy dowód ich ekscentryczności!). Przez dłuższy czas śpiewali i wy-



Carlo Broschi zwany Farinelli według współczesnego sztychu

stępowali wspólnie. Farinellemu los nagrodził jego lojalność wobec Bernacchiego, bo w niedalekim czasie zyskał sławę już niezaprzeczoną, sławę największego sopranisty swego wieku, wogóle największego śpiewaka. Pobierał gaże fantastycznie wysokie, żył w przepychu, miał wpływy, władzę, kierował polityką wielkiego państwa, o przyjaźń jego ubiegali się królowie i dyplomaci całej Europy...

Oryginalną biografję Farinellego napisał, przed kilku laty zmarły wiedeńczyk Fr. Haböck, lekarz i równocześnie nauczyciel śpiewu. Jest to „biografja głosu" i polega na zbiorze aryj, które śpiewał Farinelli w różnych okresach swej karjery. Z tych aryj widzimy, że Farinelli miał głos-fenomen, sięgający od niskiej granicy barytonu do wyżyn sopranu, czyli przez przeszło trzy oktawy — fenomen, jakiego nie zna historja śpiewu! Wyszkolenie tego głosu dochodziło do precyzji sprawnej gry na trąbce lub klarnecie. Tryle, biegniki,

rulady, fioritury, staccatowe repetycje — cała wystawa sztuk! Dziś ta popisowość wydaje nam się trochę cyrkowa, ale — współcześni zaręczają — że Farinelli miał gust wytworny, w interpretacji elegancję, smak i — niezwykły (?) sentyment! Był to człowiek wielkiego świata, wykształcony, władający kilkoma językami, wielkopański w obejściu. Przez kilka dziesiątków lat utrzymywał korespondencję ze sławnymi poetami, głównie z Metastasiem. Był również doskonałym muzykiem, grał na kilku instrumentach, komponował opery, w których sam śpiewał główne partje. Była to więc osobistość nietylko wielostronna, ale wręcz wybitna.

Carlo Broschi, zwany *Farinelli*, pochodził z drobnej szlachty włoskiej. Urodził się w Neapolu w r. 1708. Głos jego był już w młodym wieku tak szczególnie piękny i giętki, że rodzice chłopca postanowili „zachować mu głos sopranowy" sztucznym zabiegiem. Operowany w podobnych wypadkach był zgóry poświęcony karjerze śpiewaczej. Gwałt, dla pozorów, usprawiedliwiano jakąś „koniecznością". Stwierdzały to świadectwa lekarskie... Nauczycielem ośmioletniego chłopca był sławny pedagog śpiewu i kompozytor Mikołaj Porpora.



Farinelli w stroju podróżnym

W kilka lat później Farinelli debiutuje w operze bolońskiej w kobiecej partji opery „Eomene" (Porpory). Po kilku latach śpiewania na scenach włoskich, dochodzi Farinelli do nieznanych dotychczas wyników sprawności śpiewaczej. W r. 1730, jest już „królem śpiewaków". Cała parada jego sztuk, rekordowość popisów, to zapewne artyzm wynaturzony, a na dzisiejsze pojęcia, barokowy dziwoląg, dokument opacznych poszukiwań, sztuczności w sztuce.

Śpiew kastratów był ciekawem zjawiskiem operowych obyczajów baroku. Coprawda poznanie granic sprawności gardła — to dla fizjologa śpiewu wiedza niezmiernie cenna. A zresztą — sztuczność naszych czasów jest tylko inna. Nie zakładamy strzyżonych w szpalery ogrodów, udajemy pogardę dla „czarodziejskich" oper, nie uprawiamy hiszpańskiej tresury koni — nasza sztuczność przybrała tylko inne formy i często kryje się pod innemi tylko — pozorami naturalności!

Po największych triumfach we Włoszech, udał się Farinelli do Anglji. Kiedy pierwszy raz śpiewa w Londynie, wywołuje w operze wrażenie tak piorunujące, że nawet orkiestra, zamiast grać, słucha go tylko, jakby pierwszy raz słyszała śpiew. Publiczność ogarnął obłędny zachwyt. Farinelli przedstawia się u dworu, arystokracja uwielbia go, obsypuje darami, ubiega się o zaszczyt goszczenia go na swych zamkach. 5.000 funtów rocznej gaży pobiera Farinelli, co nie mniej drugie tyle wynoszą składane mu kosztowne dary. Przed nim, tylko sławna Faustyna Bordoni pobierała równie wysokie honorarja. Konkurencyjna opera, przez występy Farinellego zbankrutowała, jej dyrektor Händel, po ataku apoplektycznym, porzuca operę. Po kilku latach Farinelli opuszcza Londyn i po krótkim pobycie na dworze francuskim udaje się do Madrytu.

Król hiszpański, Filip V-ty popadł był w melancholję. Od lat już spędzał cały dzień w łóżku, nie golił brody, zapuszczał upiornie długie paznokcie, żył w zupełnej apatji. Rządy sprawowała królowa, bo króla nie można było skłonić do podpisania jednego bodaj dokumentu. Ale na obojętność króla był sposób — śpiew. Wpadła więc królowa na pomysł angażowania Farinellego. Kiedy Filip V-ty usłyszał po raz pierwszy głos śpiewaka, na koncercie urządzonym obok swej sypialni, nagle ożywił się. Powiedział artyście naprzód

kilka komplementów, potem prosił i powtórzenie jednej arji, zachwycał się jego śpiewem. A wreszcie poczuł się królem i zapytał Farinellego czy ma jakie życzenie. Przygotowany na to pytanie śpiewak prosił, aby król raczył się ogolić, ubrać i zjawił się na radzie koronnej. I, o dziwo, król spełnił prośbę śpiewaka. Farinelli (zbawca kraju!) otrzymał wysoką gażę, miał pałac, konie, powozy, włości. Nie wolno mu było tylko śpiewać poza dworem królewskim. I Farinelli nie śpiewał publicznie — już nigdy!...

Pałac królewski był złotą klatką, wspaniałym grobowcem jego sztuki. Ani dnia nie mógł się obejść król hiszpański bez Farinellego, który stał się powiernikiem królewskim, przyjacielem. A że śpiewak miał doskonałe maniery dworskie, spryt i takt, że był pewny w wystąpieniu i gładki w obejściu, stał się nieoficjalnym kanclerzem. Codziennie oznajmiano Farinellemu, że król oczekuje go o zwykłej porze, tj. na krótko przed północą. Audjencja polityczna, przeplatana śpiewem, trwała co noc cztery godziny. Poza tem Farinelli pełnił przy królu służbę codzień, z wyjątkiem dni, w których król przyjmował sakramenty.

Co noc śpiewał Farinelli królowi cztery arje, zawsze te same cztery arje. Według obliczeń koncert taki powtórzył się 3600 razy, w ciągu lat — dwudziestu trzech! Bo następca Filipa V-go, Ferdynand VII-my, taksamo, jak i jego poprzednik, chorował na melancholję, taksamo robił z nocy dzień i w swej apatji reagował tylko na śpiew Farinellego. Ostatnie wreszcie lata spędził Ferdynand w zupełnem obłąkaniu.

Przez dwadzieścia trzy lata Farinelli „ratował sytuację" na dworze śpiewem i dyplomacją. Prowadził politykę przyjaźni z Anglją i Włochami. Ale Karol III-ci, trzeci chlebodawca Farinellego, już nie był królem smętnym, tylko rubasznym sangwinikiem. Wstępując na tron, przyznał, że Farinelli jest człowiekiem wielkiej uczciwości, nie skreślił mu dożywotniej pensji. Ale król sam prowadził politykę Hiszpanji, i do tego nie trzeba mu było śpiewaka-rzezańca. „Kapłony są dobre, ale tylko do jedzenia!" „Oto cynizm, którym ludzie płacą za ich własne zbrodnie" — dodaje litościwy biograf Farinellego.


Farinelli w stroju galowym

Wrócił więc Farinelli do Włoch, swej ojczyzny. Zamieszkał w pałacu w Bolonji, nigdy już nie śpiewał publicznie. I żył jeszcze 21 lat (do r. 1782-go), jako prywatny ***grand-seigneur***, w przepychu książęcym. Hodował kwiaty, modlił się, grał i śpiewał. Zbierał stare obrazy, instrumenty muzyczne, drogie kamienie. Ani zaszczyty, ani bogactwa nie rozwiały smutku, w który — z braku zajęcia — popadł samotnik. Ten, który leczył królów hiszpańskich z melancholji, sam w nią popadł — nieuleczalnie.

Może miał uczucie, że wygrał życie, ale stawka była cokolwiek za wysoka.



Lady Hamilton

„Doctor" Graham otworzył właśnie w Londynie „Świątynię Esculapa", gdzie za odpowiednią opłatą pacjenci mieli odzyskiwać siły, młodość i piękno. Zabiegi polegały przed wszystkim na zastosowaniu sił magnetycznych przy użyciu specjalnego „łoża Apollina". U wezgłowia tego łoża stała postać godna bogini: ciało greckiej statuy, nos i owal w zarysie doskonałym, oczy — jak morze, włosy, które chciałoby się choćby dotknąć, tak były puszyste i jedwabne.

Chyba rzeczywiście jej widok pomagał w zabiegach terapeutycznych doktora Grahama, bo pacjenci szturmowali tłumnie zakład.

A bogini — w oczekiwaniu na dzień, gdy miała zostać słynną Lady Hamilton — nazywała się po prostu Emma Lyon i chwytała się różnych prac mniej lub więcej popłatnych. Córka kowala zaczynała od roznoszenia worków węgla, potem była sprzedawczynią, pokojówką i w końcu asystentką wspomnianego cudotwórcy.

Gdy w roku 1781, opuszczona przez aktualnego protektora, sir Henry Fetherstonehangha, Emma znalazła się w trudnej sytuacji, pomógł jej w „osuszeniu łez" syn ósmego barona Brooksa i Lady Jane Hamilton — Charles Greville.

Prócz niezwykłej urody nowy opiekun odkrył w uroczej osóbce wiele innych darów natury: nieopisany wdzięk, żywą inteligencję, zamiłowania artystyczne, takt i wrażliwość. Pod kierunkiem specjalistów Emma uczyła się ortografii, literatury, śpiewu i muzyki. Sławny, ówczesny malarz Romney zrobił 24 portrety „boskiej Emmy" podczas 300 godzin pozowania. Wszechstronna edukacja trwała.

Lecz oto do Londynu zjechał właśnie bogaty wuj Charlesa — sir William Hamilton, ambasador Anglii w Neapolu.

Widok pięknej „kuzynki" zaparł 55-letniemu, eleganckiemu wujowi dosłownie dech w piersiach. Zadziwiony nadto jej zdolnościami i zainteresowaniami ofiarował się udzielać Emmie lekcji historii sztuki. Przez wiele miesięcy rozmawiali tylko o rzeźbach, malarstwie i architekturze — starszy pan nie ośmielił się na nic więcej ponad westchnienia i gorące, pełne adoracji spojrzenia. Gdy Emma opuściła Londyn na kilka dni, namiętny kolekcjoner — sir William był bliski łez:

— Nie spotkałem w życiu obiektu sztuki tak doskonałej piękności — zwierzał się swemu siostrzeńcowi. Być może w tym właśnie momencie cyniczna decyzja zaświtała w głowie młodzieńca. Dlaczegóż by nie oddać swej przyjaciółki w ramiona wuja? Ale jak tu przeprowadzić tę niełatwą operację, przecież Emma jest tak do niego przywiązana... Właśnie wróciła do Londynu, zakochana i stęskniona.

Zakochany nieprzytomnie był również stary lord. Ale na razie otrzymał od siostrzeńca tylko jeden z portretów malowanych przez Romneya. Spędzał przy nim wiele godzin, śniąc o... oryginale.

Młody Greville ułożył tymczasem sprytny plan. Postanowił wysłać swą boginię do Neapolu, do wuja, któremu równocześnie doniósł o swym projektowanym małżeństwie z córką lorda Middleton.

W Neapolu Emma została przyjęta przez sir Williama jak księżna. Obsypywana prezentami, biżuterią, nie przestawała jednak tęsknić za Charlesem, do którego słała listy pełne najczulszych słów:

„Rozłąka mnie zabija. Życie bez ciebie nie jest życiem. Nikt nie zajmie twego miejsca w mym sercu...”

Gdy zrozpaczona przedłużającą się rozłąką wróciła do Londynu, zniechęcony Greville bez większych skrupułów poradził jej, by uległa pragnieniom zakochanego ambasadora. Młoda kobieta nie mogła darować byłemu kochankowi tych cynicznych i zimnych rad.

Później, gdy minął pierwszy ból, napisała do Greville'a list, w którego postscriptum zapewnia go, że nie uda mu się zrobić z niej metresy swego własnego wuja. Jeśli już pcha ją w jego ramiona, to będą to ramiona jej przyszłego małżonka. Wiedziała bowiem dobrze, że droga do jej alkowy poprowadzi szanownego lorda tylko przez ołtarz.

Przerażony siostrzeniec ostrzegł wuja przed możliwością skandalu, lecz wuj okazał więcej odwagi, nie uląkł się aluzji i złośliwości na temat „łoża Apollina” i poprosił byłą pannę sklepową i pokojówkę o zaszczyt oddania mu swej ręki. Emma mogła więc już oznajmić nowinę swemu... nowemu kuzynowi, Greville'owi.

„Zrobię wszystko, by dać szczęście lordowi Hamilton — pisała do Charlesa, dorzucając nie bez ironii: *— Jestem panu głęboko zobowiązana za umożliwienie mi tej znajomości i za rolę... pośrednika, jaką pan odegrał w kojarzeniu mego małżeństwa”.*



— Oczywiście, że wierzę w pańską niewinność. Przecież mi za to płacą.

Tymczasem ambasador, ciągle nieprzytomnie zakochany, meblował luksusowe apartamenty swej młodziutkiej żony, która jednak pragnęła raczej błyszczeć w Londynie jako Lady Hamilton. Ale towarzystwo londyńskie niezbyt przychylnie potraktowało „tę awanturnicę”. Po ceremonii ślubnej w małym kościółku Mary-Le-Bow (w roku 1791) nastąpił powrót do Neapolu. Maria Karolina, królowa Neapolu (siostra Marii Antoniny) serdecznie zaprzyjaźniła się z nową ambasadorową.

Pewnego wieczoru lord Hamilton oznajmił żonie:

— Dziś poznasz admirała Horatia Nelsona. Nie uchodzi za pięknego, ale sądzę, że pewnego dnia zadziwi świat. Stracił on w bitwie pod Teneriffe prawą rękę...

Admirał Nelson nie wiedział jeszcze, że tego wieczoru skłonił głowę przed kobietą swego przeznaczenia...

W 1798 roku flota francuska, zaatakowana przez Anglików pod dowództwem Nelsona, została zniszczona w tak zwanej „bitwie Nilu”.

Gdy nowina dotarła do Neapolu, Emma, której serce coraz mocniej uderzało podczas każdej wizyty Nelsona, szalała z radości i w wielkiej egzaltacji pisała:

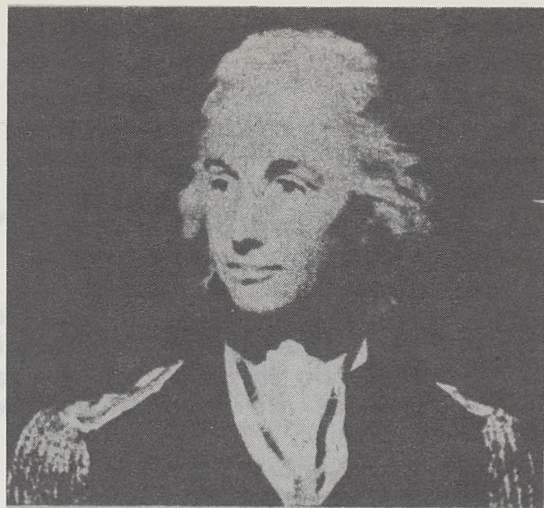
„Omdlałam ze wzruszenia, gdy doszła do mnie wieść o jego męstwie i sławie... Ale nie mogę umrzeć nim nie uścisnę zwycięzcy Nilu”.

Neapol również szalał. Admirał został przyjęty z ogromnym entuzjazmem. Sam Nelson tak pisał do swej żony:

„Lord i Lady Hamilton powitali mnie na pokładzie przed przybyciem króla. Lady Hamilton, nie ukrywając wzruszenia, padła w moje ramiona pół żywa, płacząc i śmiejąc się na przemian. Mam nadzieję, że pewnego dnia poznasz tę uroczą damę...”

Ostatnie zdanie listu do żony nie było zbyt fortunne w swej marynarskiej naiwności. Ale i tak nie doszło do prezentacji, bo pani Nelson — wyczuwająca więcej w swej kobiecej intuicji, niż mówiły słowa zachwytu małżonka i plotki przyjaciół — postawiła go przed faktem dokonanym: musisz wybierać — ja lub ona!





Ona była najpiękniejszą kobietą swej epoki

On był najsławniejszym marynarzem imperium

Ich miłości towarzyszyła atmosfera skandalu

Próżno Horatio zapewniał, że jego uczucia to tylko admiracja i wdzięczność za uznanie jego zasług. Nastąpiło zerwanie.

Teraz pozostała mu już tylko Emma.

Lady Hamilton ucieszyła go wkrótce wielką nowiną: spodziewa się dziecka. Nelson był szczęśliwy. Dziewczynce dano imię Horatia.

Sir William, o którym mówiono z uśmiechem, że jest starym mężem, który pozwala młodej żonie na takie jawne okazywanie uczuć sławnemu admirałowi — okazywał w dalszym ciągu wiele taktu i wielkoduszności. Udawał nawet, że nie słyszy kwilenia niemowlęcia pod swoim dachem. Zresztą obydwaj panowie darzyli się wzajemnie szczerą przyjaźnią.

Tymczasem Emma zainstalowała całą trójkę w pięknym dworku w Merton. Wkrótce sir William zmarł w ramionach „swego najlepszego przyjaciela" — Nelsona.

„Mój drogi William — pisał admirał — zmarł tego ranka. Świat stracił dżentelmena o pięknym charakterze".

Ale dżentelmen sprawił wszystkim niezłą niespodziankę: Testament zobowiązywał siostrzeńca do wypłacania rocznie tylko 800 livrów swojej... ciotce.

I oto Lady Hamilton miała miłość wielkiego człowieka, ale nie miała... pieniędzy.

Pod koniec roku 1805 Nelson, przed bitwą pod Trafalgarem napisał list-testament do swej ukochanej Emmy z najczulszymi wyrazami miłości i uwielbienia.

„Ty i Horatia — to dwie istoty, które kocham ponad życie. Niech wam niebo błogosławi".

Śmiertelnie ranny Nelson powtarza jeszcze ciągle te słowa: „Powierzam wam Lady Hamilton i Horatię... opiekujcie się nimi..."

Ból Emmy był ogromny. Przyszły też kłopoty materialne. Wytworne towarzystwo londyńskie odwróciło się od „konkubiny" Nelsona. Spadkobiercy również nie uszanowali woli zmarłego admirała i dopiero długi proces jako tako zabezpieczył egzystencję Emmy, która zresztą nie umiała żyć na skromnej stopie i nawet została skazana za długi na więzienie. Córka sławnego Nelsona i kobieta, którą kochał, żyły w nędzy.

15 stycznia 1815 roku Lady Hamilton oddała ostatnie tchnienie, spozierając gasnącym wzrokiem na duży portret ukochanego, wiszący nad łożem.

Najpiękniejsza kobieta epoki spoczęła na małym cmentarzu w Calais.

Z CZEGO ŚMIEJĄ SIĘ FRANCUZI

Z ZAKOCHANYCH ZŁODZIEI

Sędzia zapytuje oskarżonego:

— Dlaczego obrabowaliście trzykrotnie ten sam sklep?

— Bo to było tak, proszę sądu: za pierwszym razem wziąłem suknię dla żony, a przez dwie następne noce chodziłem je zamieniać.

Z LITOŚCIWYCH PAŃ

Starsza pani przechadza się brzegiem Sekwany i napotyka rybaka, który właśnie zdejmuje z haczyka trzepocącą się rybkę.

— Oh, biedna rybka — wzdycha dama...

— Proszę pani — gdyby nie otwierała ust, nie byłoby się jej to przydarzyło.

Z ZAGRANICZNYCH TURYSTÓW

Na zakręcie jednej z górskich miejscowości podróżni mogą przeczytać następujący napis na tablicy:

„Jedź wolno, a zobaczysz jeziora. Jedź szybko, a zobaczysz... policję."

Z METEOROLOGII

Mama-chmurka zjawiła się na horyzoncie w towarzystwie chmurki-dziecka. W pewnym momencie dziecko pobiegło szybko w bok. Zaniepokojona macierz woła:

— Wracaj zaraz do mnie.

Gdy jednak niesforne dziecię dalej uciekało, zapytała:

— Co ty sobie myślisz, gdzie ty pędzisz?

— Bo ja chcę zrobić... siusiu, mamo.

Z PAR MAŁŻEŃSKICH

Mąż i żona siedzą razem w pokoju. Żona pogrążona w milczeniu już tak długo, że zaniepokojony mąż zapytuje:

— O czym ty myślisz kochanie?

— O niczym.

— Przecież to niemożliwe — myśleć o niczym.

— Ależ zapewniam cię, że możliwe — odpowiada żona. — Jeśli chcesz wiedzieć, to myślę o prezencie urodzinowym, który mi ofiarujesz za chwilę.

ZE SPRYTNYCH HOTELARZY

Hotelowy wóz ciężarowy zniszczył ogrodzenie willi Kiplinga. Ten natychmiast napisał do właściciela hotelu, ale nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Napisał drugi list — i znów żadnego skutku.

Zirytowany udał się do hotelarza, by mu wygarnąć co o tym myśli.

Hotelarz wysłuchał go spokojnie i odpowiedział:

Szanowny panie! Sprzedałem pański pierwszy list za dwa funty szterlingi, a drugi za siedem funtów. Jeśli pan napisze do mnie jeszcze jeden list, to akurat wystarczy na pokrycie kosztów ogrodzenia.

Wiklinowe koszyczki

Nieczęsto zjawia się lokaj w moim domu. Jeszcze rzadziej przychodzi z wiklinowym koszyczkiem. Byłem więc nieco zdumiony widokiem Higginsa, który jest lokajem u mego przyjaciela Williama Shawa. Higgins był niezwykle uprzejmy, choć jak zwykle sztywny, przekazał mi wyrazy szacunku od swojego chlebodawcy.

— Co słychać u pana Shawa? — zapytałem. — Nie widziałem go od dawna. Właściwie od czasu jego...

— Od jego ślubu — dokończył za mnie Higgins.

— No właśnie. Pani Grace Shaw odizolowała niestety męża od jego starych przyjaciół.

— Pan Shaw miał niewiele słabości — oświadczył Higgins. — Jedną z nich była niewątpliwie jego małżonka. Starszy mężczyzna... młoda kobieta. Ostatnio miał pewne trudności.

Lokaj przesunął szpicem buta stojący na podłodze koszyczek.

— Pan Shaw zawsze pomagał ludziom — ciągnął dalej — i znalazł się przez to w kłopotliwej sytuacji. Mało już pozostało z jego wielkiego niegdyś majątku. Rozwód był wykluczony, ponieważ pani Shaw zażądała jako rekompensaty prawie wszystkiego, co posiadał. Wypadki są również trudne do wyjaśnienia...

Bezwiednie skierowałem wzrok na stojący pod ścianą wilklinowy koszyczek. Higgins rozejrzał się po pokoju.

— Ładnie pan tu mieszka — zauważył. — Pan Shaw ucieszy się, kiedy mu opowiem, że się panu powiodło.

— Tak, wreszcie mi się powiodło. A kiedyś bliski już byłem samobójstwa.

— I wtedy właśnie spotkał pan pana Williama Shawa...

— To był zwrotny punkt w moim życiu. Obcy człowiek, bez żadnych zobowiązań wobec mnie, a jednak poświęcił mi tyle czasu i tyle pieniędzy, żeby postawić mnie znów na nogi. Nigdy tego nie zapomnę.

— Oczywiście, nie może pan — zgodził się Higgins. — Pan Shaw ma co najmniej dwudziestu takich przyjaciół, jak pan. Ludzi, którzy byli w rozpaczliwych warunkach, gdy on na nich natrafił.

Lokaj popatrzył na stojący pod ścianą koszyczek i uśmiechnął się do mnie.

— Zawsze czekałem na okazję rewanżu — oświadczyłem.

— Pan Shaw nie robi niczego dla rewanżu — stwierdził Higgins. — Choć w pewnej drobnej sprawie mógłby mu pan teraz pomóc...

— W każdej sprawie jestem gotów... — nie dokończyłem bo uśmiech zniknął już z twarzy Higginsa, a jego wzrok, ponury teraz, znów skierował się na wiklinowy koszyczek.

— Niestety, ten człowiek, który był zawsze uosobieniem dobroci — mówił lokaj — narażony jest na śmierć... Może zresztą zniknięcie pani Grace Shaw nie wywoła przykrych komentarzy. Znikała już dawniej. Kiedyś przez dwa tygodnie była z jakimś marynarzem w San Diego. Innym razem przepadła na jakiś czas z szoferem ciężarówki.

— Słyszałem o jej wadach — zauważyłem.

— Tym razem... kto wie? — Higgins wzruszył doskonale skrojonymi ramionami. — Jakiś rzeźnik, piekarz czy wytwórca świec? W każdym razie przepadła, a pan Shaw jak gdyby odmłodniał o dwadzieścia lat, jakby straszny ciężar spadł mu z pleców. Został wprawdzie ten jej nieznośny braciszek, zawsze skłonny do rozróby. Dlatego właśnie najbliżsi przyjaciele pana Shawa zdecydowani są mu pomóc. Jest ich ze dwudziestu. Nie wątpię, że i pana zaliczyć mogę do tego grona.

— Ja... ja...

Higgins skłonił się i ruszył do drzwi.

— Nie zwlekałbym na pańskim miejscu — powiedział jeszcze. — Jest gorąco i suchy lód nie będzie się długo trzymał. Do widzenia, panie Benson. Pan

Shaw zamierza urządzić wkrótce spotkanie z przyjaciółmi. Jak za dawnych czasów.

Odprowadziłem go aż do samochodu.

— Nie mam doświadczenia w tych sprawach — zaprotestowałem nieśmiało.

— Pan Goodlace wybrał się motorówką na połów ryb morskich — powiedział Higgins. — Pan Al Drayton zamierza wyłożyć cegłami wirydarz. Pani Eileen Wilson uznała, że warto zasadzić w ogrodzie kilka nowych krzewów różanych, takich z głęboko rosnącymi korzeniami. Można wymyśleć wiele sposobów. — Higgins uścisnął mi rękę. — Proszę uważać na siebie, panie Benson. Pan jest taki blady...



Nie należę do tych, którzy wiele pracują w ogrodzie. Może dlatego już wkrótce po rozpoczęciu kopania, zatrzymał się w pobliżu chłopiec sąsiadów.

— Co pan robi? — zapytał.

— Kopię — odpowiedziałem najprościej, choć gotów już byłem wybrać inny wariant wyjaśnienia.

— Po co?

— Chcę zasadzić nowy krzak róży.

— Moja mama nigdy nie kopie tak głęboko, kiedy sadzi róże — powiedział chłopiec, a jego głos zabrzmiał podejrzliwie.

— Może masz rację... — stwierdziłem, odrzucając łopatę. Zrezygnowałem z zasadzenia róży. W sąsiedztwie wałęsało się kilkadziesiąt takich wścibskich dzieciaków. Trzeba było zdecydować się na coś innego i to szybko, bo moja żona miała wrócić o piątej, a mój syn Timmy o szóstej.

Ludzie nie orientują się często w zaletach miejskich wysypisk śmieci. Wysypisko w mojej dzielnicy prowadzone jest przez firmę budowlaną, która po wypełnieniu rozległej kotliny zamierza wystawić tam nową kolonię domków jednorodzinnych. Cały teren otoczony jest wysokim parkanem z siatki drucianej. Przy bramie urzęduje uprzejmy dozorca, który kieruje zajeżdżające samochody którąś z licznych krętych dróżek w miejsce, gdzie wielki buldożer, kaszląc, kichając i pojękując, rozbija wyrzucone graty i miesza je z bogatą, czarną ziemią.

Pod jego stalowym ostrzem miesza się cocktail sprężyn z materaców, skrzynek, kartonów, makulatury, butelek, starych ubrań i mebli. Kiedy przejedzie po tym wszystkim, śmieci i starzyzna grzęzną w ziemi, przygotowując miejsce na kolejną warstwę wielkomiejskich odpadów.

Załadowałem samochód odpadkami, jakie zebrały się w garażu, i które już od miesięcy obiecywałem sobie wywieźć na wysypisko. Były to rzeczy, których śmieciarze miejscy nie zabierają. Wiklinowy koszyczek Higginsa wyglądał dość niewinnie pośród skrzynek ze starymi oponami, bańkami po oleju i zardzewiałym żelastwem.

W kolejce samochodów przed wysypiskiem zwróciłem uwagę na wóz oddzielony od mojego jedną tylko ciężarówką. Wydał mi się dziwnie znajomy. Nie widywałem wprawdzie Ben Jacksona od paru lat, ale nie wątpiłem, że poplamiony farbami samochód należy właśnie do niego i służy zazwyczaj przewożeniu jego malarskiego sprzętu. Po chwili zauważyłem zresztą samego Ben Jacksona, starego poczciwca, jednego z najlepszych przyjaciół Williama Shawa, manewrującego maszyną do odpowiedniej pozycji nad wysypiskiem.

Zaparkowałem mój wóz poza kolejką i podszedłem do przyjaciela. Nie ucieszył się na mój widok, a kiedy zlustrowałem jego przyczepę pełną śmieci, zorientowałem się dlaczego. Higgins odwiedził i jego...

— Ja pierwszy pomyślałem o tym! — zawołał.

— To wielkie wysypisko — powiedziałem. — Bardzo rozległe wysypisko.

Ben Jackson był tęgim, łysiejącym mężczyzną o błędnym wyrazie piwnych oczu. Wskazał na pracowników wysypiska podrzucających na tor buldożera rozsypane po bokach materiały.

— Jeden jeszcze przejdzie — stwierdził. — Dwa identyczne będą wyglądały podejrzanie.

— A co ja na to poradzę...

Wtedy właśnie zdarzył się ten wypadek. Nie wiem czy się pośliznąłem, czy Ben mnie pchnął. Przejeżdżała obok ciężarówka i potrąciła mnie. Zawiro-

wało mi w głowie. Słyszałem jakieś głosy i wielka, dobra twarz Williama Shawa pochyliła się z nieba nade mną, uśmiechnęła się i wyraziła wdzięczność za udzieloną pomoc. Próbowałem zaprotestować i wskazać na moją niezaradność, niemożliwą do opanowania, gdy poczułem mocne ręce pracownika wysypiska, wpychające mnie za kierownicę mojego wozu.

— Już panu lepiej? Nieostrożny pan... Niech pan lepiej wraca do domu. Pański przyjaciel pomógł wyrzucić śmieci, które pan przywiózł i odjechał już...

Poczułem się rzeczywiście lepiej. Zawróciłem i ruszyłem w stronę domu. Na szosie zerknąłem jeszcze na tylne siedzenie, żeby się przekonać jak Ben załatwił wyładunek. Skrzynek z bańkami, starym żelastwem i oponami nie było. Natomiast w kącie tylnego siedzenia znajdowały się teraz dwa wiklinowe koszyczki zamiast jednego, z którym przyjechałem na wysypisko.

Próbowałem zebrać myśli, ale niewiele osiągnąłem. Byłem jeszcze nieco oszołomiony wypadkiem, chociaż nie doznałem żadnych obrażeń. Postanowiłem wrócić do domu, zapisać sobie adres Bena Jacksona i odwiedzić go z żelaznym łomem.

Gniew mój utrzymywał się przez całą drogę do domu. Zajechałem wreszcie przed frontowy ganek i przed drzwiami dostrzegłem nazbyt już znajomy wiklinowy koszyczek. Na doczepionej do niego kartce przeczytałem:

„Pamięta pan zapewne Sarę King, dobrą przyjaciółkę Williama Shawa. Nie widziałam pana od dłuższego czasu, panie Benson, ale przekonana jestem, że mi pan pomoże. Żyję teraz samotnie w dużym bloku mieszkalnym i prawie nie wychodzę z domu. Wiem, że pan jest dżentelmenem i rad będzie pomóc starej damie, która nie posiada odpowiednich możliwości. Proszę zaopiekować się w moim imieniu krzewem róż, który pan zasadzi. Pan mieszka najbliżej mnie spośród wszystkich przyjaciół pana Shawa i ma pan piękny, duży ogród..."

List podpisany był „Sarah King". Pospieszyłem do domu. Byłem już przerażony. To prawda, że William Shaw ocalił mnie i pomógł rozpocząć nowe życie. Ale nawet wdzięczność miała swoje granice.

Zadzwonił telefon. Mówił Charles Moriseau, brat Grace Shaw. Rozpoznałem jego wojowniczy ton, zanim zdążył wypowiedzieć trzy słowa.

— Widział pan może Grace Shaw? — zapytał.

— Nie — odrzekłem, usiłując nadać sobie brzmienie naturalne, mimo strachu zaciskającego mi gardło. Nie widziałem jej przecież. Widziałem tylko jakieś trzy białe pakuneczki, starannie zawinięte i przewiązane, umieszczone w trzech identycznych wiklinowych koszyczkach. Nie kłamałem więc.

— Mój wyśmienity szwagier twierdzi, że ona zniknęła — powiedział Moriseau. — Podejrzewam przestępstwo dokonane przez któregoś z jego prymitywnych przyjaciół.

Przypomniałem sobie Moriseau. Starannie modulowany głos, wilgotne ręce, łysiejąca głowa, rybie oczy świdrujące wszystkich podejrzliwie. Nie wytrzymywał porównania z kochającym życie i ludzi Williamem Shaw. Zacząłem się trochę irytować.

— Pana siostra nie wyróżniała się przywiązaniem do swojego domu — zauważyłem.

— Wydaje mi się, że dzieje się coś nienormalnego — powiedział. — Nie jest wykluczone, że odwiedzę pana i niektórych spośród jego tak zwanych przyjaciół... wraz z policją.

— Proszę bardzo, mój stary, w każdej chwili — odpaliłem i zakończyłem rozmowę. To zadecydowało. Nie będę narzędziem, jakim Moriseau zamierza posłużyć się dla zniszczenia mojego przyjaciela Williama Shawa.

Minął tydzień. Byłem przygotowany na oczekiwaną wizytę Moriseau w asyście policjanta. Byłem całkowicie przygotowany i nawet miałem alibi na odpowiedni dzień. Ale nikt się nie zjawił. Niczego nie było również w gazetach. Kiedyś przejechałem obok posiadłości Shawa w Bel Air. Miał tam jeden z największych domów. Dostrzegłem tylko tajnego detektywa patrolującego teren. Usiłowałem dodzwonić się do Higginsa, ale telefon przy-

jął jakiś wynajęty strażnik, który odpowiedział, że w domu nie ma nikogo.

Napięcie trwało, lecz nie wydarzyło się nic niepokojącego. Moja żona uskarżała się jednak na moją opryskliwość, a któregoś wieczora rzuciłem w syna starym butem.

Wreszcie nastąpiła ulga. Otrzymałem liścik skreślony ręką Higginsa, który komunikował, że pan Shaw wybiera się w podróż do Europy. Zapowiadał, że po powrocie, jesienią zaprosi wszystkich starych przyjaciół.

A więc wszystko kończyło się pomyślnie. William Shaw nie będzie miał żadnych kłopotów, a ja i cała reszta nie mieliśmy się już czym martwić.



— Dlaczego zbaczasz z drogi, kiedy ukazuje się samochód policyjny? — spytała moja żona. — Czy znów oszukiwałeś w zeznaniach podatkowych?

Rzeczywiście, dlaczego? Do diabła z oczekiwaniem do jesieni! Musiałem wcześniej upewnić się, że policja nie zapuka do moich drzwi.

Kupiłem butelkę szampana i zmusiłem się do odwiedzenia rezydencji Shawa. Przyjął mnie niewzruszony Higgins. Powiedziałem mu o telefonie Moriseau.

Lokaj odpowiedział swoim spokojnym uśmiechem.

— Nie mamy się czego obawiać, panie Benson. Prawdę mówiąc, ta podróż do Europy została zaplanowana specjalnie, aby zakończyć pobyt pana Moriseau w naszym domu, teraz gdy jego siostra... hm... oddaliła się z kimś niegodnym wspomnienia. Mieszkaliśmy tu we czworo; pan i pani Shaw, pan Moriseau i ja. Pani Shaw odeszła. Możemy zamknąć dom i on będzie musiał nas opuścić. Ale na jesieni znów wrócą dla nas wszystkich dobre czasy!

Wskazałem na bagaż ustawiony pod ścianą hallu — dwa wielkie kufry i kilka damskich walizek.

— Wygląda na to, że przyszedłem w ostatniej chwili — zauważyłem. — Ofiaruję Williamowi tę butelkę szampana na drogę i pójdę sobie.

Higgins potrząsnął głową.

— Nie radzę... Udało nam się przekonać Moriseau, że jego siostra uciekła z domu. Gdyby teraz zobaczył znajomą twarz i to właśnie z dawnej paczki pana Shawa, mógłby znów powrócić do swoich podejrzeń.

— Rozumiem wasze obawy — oświadczyłem stawiając butelkę szampana obok okrągłego pudła na kapelusze. — Proszę przekazać moje wyrazy szacunku panu Williamowi.



Stałem na nabrzeżu portu w Los Angeles, obserwując wielki statek pasażerski, który odpłynąć miał na Hawaje. Bez trudu ustaliłem, że wśród jego pasażerów znajdują się „Pan i Pani Higgins". Zauważyłem ich zresztą również na pokładzie, ale postarałem się, żeby mnie nie zobaczyli.

Charles Moriseau stał także na nabrzeżu, uśmiechając się i wymachując chusteczką swojej siostrze i nowemu szwagrowi. Pozbyli się Williama, którego poćwiartowane zwłoki przekazali do pochowania dwudziestu najlepszym przyjaciołom. Grace mogła z łatwością utrzymać zarówno Higginsa, jak i brata, ponieważ żaden z nich nie był tak szczodry dla biednych jak Shaw przez całe swoje życie. Jej naszyjnik iskrzył się na gładkiej szyi, białe zęby Higginsa błyszczały w słońcu, gdy tulił ją i śmiał się radosnym, już nie lokajskim śmiechem.

Odszedłem z nabrzeża i wysłałem telegram do policji portowej, informując anonimowo co znajdą w trzech małych wiklinowych koszyczkach w kabinie Higginsa, gdzie udało mi się je umieścić, zanim jeszcze on przybył na statek.

Higgins świetnie zaplanował to morderstwo, sprytnie zorganizował usunięcie zwłok — do samego końca okazał się być praktycznym lokajem. Popełnił tylko jeden błąd. Lokajski błąd. Zbyt często pakował rzeczy Grace do jej damskich walizek i jej kapelusze do wielkiego pudła, żeby teraz pamiętać iż upozorowanie jej nieobecności wymaga zmiany tego bagażu na męski. A może nie spodziewał się mojej wizyty tuż przed odjazdem?...

R. E. Banks „Mike Shayne Mystery Magazine" — przeł. Marian Kozłowski

UŚMIECH W SZKOCKĄ KRATKĘ

Idący nocą John i George słyszą nagle okrzyk: „Ręce do góry!" John prosi napastnika, by chwilę poczekał, wyjmuje 10 funtów i mówi do kolegi:
— Masz George, byłem ci je winien.

*

Szkot do żony leżącej na łożu śmierci:
— Idę po lekarza. Gdybyś jednak poczuła, że zbliża się koniec, nie zapomnij zgasić światła.

*

Szkot do Szkota o sąsiedzie:
— Ten to ma głowę. Zaczął się uczyć czytać systemem Braille'a.
— Po co?
— Żeby wieczorem nie palić światła.

*

Wzbogacony Szkot kupił piękny pałac i z dumą oprowadza przyjaciół po komnatach.
— A tu jest sala jadalna, w której mogłoby, nie daj Boże, ucztować sześćdziesiąt osób.

*

Pewien Szkot przyjechał do Londynu. Wszedł do zakładu fryzjerskiego, siadł w fotelu i pyta:
— Ile kosztuje strzyżenie?
— Dziesięć szylingów,
— A golenie?
— Pięć szylingów.
— W takim razie proszę mi ogolić głowę...

*

Szkot jedzie pociągiem z Londynu do Edynburga. W drodze śnieżyca uniemożliwia podróż i pociąg utyka w szczerym polu.
Po wielu godzinach przybywa ekipa ratownicza. Ratownik wchodzi do przedziału i zwraca się do zlodowaciałego Szkota:
— Jesteśmy z Czerwonego Krzyża...
— Co takiego? Przecież wczoraj na ulicy złożyłem już datek!

*

W Szkocji ogłoszono upadek prywatnego banku. Przed jego budynkiem zebrał się tłum zdenerwowanych klientów. Wśród nich znalazł się mężczyzna najgłośniej lamentujący i pomstujący:
— Prezesa tego banku powinni skazać na dożywocie za obrabowanie biednych ludzi z oszczędności ich całego życia! Członków zarządu zamknąć w więzieniu!
— Czy stracił pan dużo pieniędzy w tym banku?
— Pieniędzy?! Czy gdybym stracił tu pieniądze, to zniósłbym to tak lekko?!

*

Pewien Szkot postanowił kupić sobie auto. Wybrał oczywiście najtańsze. Dręczy go jednak jeszcze jedna wątpliwość i pyta eksperta:
— Panie, a czy to auto zużywa dużo benzyny?
— Skądże! Bardzo mało. Łyżeczkę niemal...
— A czy do herbaty?...

Wodny strzał

W

ysoki mężczyzna stał przy oknie komisariatu policji i patrzył na ulicę.

Bez specjalnego zniecierpliwienia czekał już dwadzieścia minut, kiedy dostrzegł śpieszącego ulicą człowieka, który umówił go tutaj na spotkanie: inspektora Farra. Odszedł od okna, gdy tamten wszedł do pokoju. Uścisnęli sobie ręce.

Inspektor poprowadził gościa do małego gabinetu, przyciągając dla niego fotel, a sam podszedł do szafy i zatrzymał się przed nią, grzebiąc w kieszeniach, w poszukiwaniu kluczy.

— To nie potrwa długo, panie Clarke — zwrócił się jeszcze do przybysza. — Powiedziano mi, że właśnie pan jest tym, z którym należy rozmawiać. Znam się sam na tym trochę, ale uważam, że zawsze lepiej zasięgnąć opinii eksperta. A że mieszka pan w pobliżu...

Wyjął z szafy karabin i położył go na stole przed gościem.

W

illard Clarke był rzeczywiście ekspertem. Napisał kilka książek o broni palnej, z których jedną — „Lot pocisku" — uważano za podstawową pracę z dziedziny balistyki. Był szczupłym mężczyzną, liczącym już lat prawie czterdzieści, jak ocenił Farr, kiedy tamten z widoczną swobodą ujął w ręce karabin. W jego wielkich dłoniach broń wydała się mniejsza niż w rzeczywistości.

— Lee-Enfield z krótkim magazynkiem. Trzy-zero-trzy. Najpopularniejszy karabin w Wielkiej Brytanii... a może i na świecie. W obu wojnach światowych używany w milionach sztuk. Zaopatrzony w japoński teleskop... marnie zamocowany... amatorska robota.

— Mimo to niezwykle precyzyjny.

Clarke otworzył zamek, wsunął kciuk do środka, wreszcie obejrzał lufę.

— Strzelano z niego niedawno — powąchał wylot lufy i odwrócił się do inspektora, jakby oczekiwał potwierdzenia.

— Owszem... Co więcej?

— Nic... nic specjalnego.

— To może zamknie pan zamek i pociągnie za spust. Coś mi się tam nie podoba.

Willard Clarke uczynił to dwukrotnie i zrozumiał, o co Farrowi idzie.

— Sprężyna spustowa jest znacznie lżejsza niż normalnie — zauważył. — Te karabiny mają podwójną sprężynę, druga odciąga się zawsze raczej ciężko. Coś tu przy tym majstrowano.

Uśmiechnięty Farr oparł się wygodnie w fotelu.

— No więc właśnie — stwierdził. — Zluzowano ją. Ale dlaczego? Zaraz... napije się pan kawy?

C

larke skinął głową. Inspektor nacisnął guzik wewnętrznego telefonu i polecił jakiemuś Smithsonowi zorganizowanie dwóch filiżanek kawy.

— Luzuje się zwykle sprężyny spustowe w karabinach używanych w meczach strzeleckich — zauważył znawca broni. — Zmniejsza to możliwość podrywania broni przy naciśnięciu spustu. Niektóre pistolety sportowe mają tak luźne sprężyny, że lada dotknięcie zwalnia iglicę.

— Z tego karabinu zabito człowieka, panie Clarke — powiedział inspektor Farr. — Oddano tylko jeden strzał z odległości dwustu pięćdziesięciu jardów.

Zjawił się Smithson z kawą. Farr zapalił jeszcze papierosa, zanim przystąpił do bardziej szczegółowej relacji.

— Ten człowiek nazywał się Bullard. Adam Bullard... tutejszy obywatel... siedemdziesiąt parę lat, emeryt oczywiście, całkiem zamożny; posiada — czy raczej posiadał — spory dom w mieście. W każdy wtorek grywał w wista, zaczynając około ósmej i kończąc gdzieś po dziesiątej wieczorem. Taki miał zwyczaj już od wielu lat. W czwórce, która zwykle grywała, bywał także jego syn. Pozostałych dwoje zmieniało się, ale tego wieczora byli to państwo Keefe, przebywający akurat

w mieście za interesami. I tego wieczora, było to w ostatni wtorek, syn zabitego zachowywał się przez cały czas dziwnie. Sprawiał wrażenie bardzo zdenerwowanego. Przyszedł przez ogród i oświadczył, że widział kogoś ukrytego w krzakach. W każdym razie grał słabo i ojciec, który był jego partnerem, irytował się bardzo z tego powodu. Około dziewiątej przerwali grę, żeby coś wypić i przekąsić. Gospodyni wniosła kanapki — starsza pani Bullard zmarła przed kilku laty. Pili i jedli zazwyczaj przy stoliku karcianym, ale tym razem syn pana Bullarda, Michał, kręcił się ze szklanką w ręku po całym pokoju, nie wykazując chęci ponownego rozpoczęcia gry. Ojciec zwrócił mu ostro uwagę, tamten usprawiedliwił się jakoś.

Mogło to się rozwinąć w kłótnię, ale pięć minut po dziewiątej rozległ się brzęk rozbitej szyby okiennej, starszy pan wstał, powiedział coś bez związku i padł przed siebie na stół. Natychmiast syn jego wyskoczył do ogrodu w pogoni za mordercą, a pani Keefe zatelefonował po policję. Żona jego usiłowała udzielić pierwszej pomocy. Zawieźli Bullarda oboje do szpitala, ale ten wkrótce zmarł. Ja znalazłem się na miejscu w dziesięć minut po strzale. Michał Bullard był już wtedy z powrotem. Przeszukał ogród, wyjrzał na ulicę, ale nie dostrzegł nikogo...

Zadzwonił telefon. Farr podjął słuchawkę. Clarke wykorzystał tę przerwę dla rozejrzenia się po gabinecie. Na ścianach wisiały fotografie. Uśmiechnięta kobieta o miłej twarzy, klęcząca obok dwojga dzieci na trawie. Samolot szykujący się do lądowania na pokładzie lotniskowca.

— To dzwonił jeden z moich ludzi, który szukał źródła pochodzenia teleskopu. Myśleliśmy, że może nabyty został w mieście. Niestety, nie mieliśmy szczęścia... Tak, na czym to ja stanąłem?... No więc stwierdziłem na miejscu, że kula przebiła tylne oparcie fotela i trafiła w Bullarda. Linia przechodząca przez ten otwór i rozbitą szybę w oknie wskazywała, że strzał pochodzić musiał z piętra nad sklepem po przeciwnej stronie ulicy. Nie mogłem niestety ustalić od razu, z którego okna, ponieważ — jak mówiłem — pocisk rozbił szybę, a nie pozostawił w niej czystego otworu.

— Czy zasłony nie były tego wieczoru zaciągnięte? — spytał Clarke.

— Nie. Rzadko je tam zaciągano. Pokoju i tak nie widać z ulicy. Żywopłot jest dość wysoki. Tylko z górnych pięter domów stojących na przeciw można zobaczyć ten pokój. Ustaliliśmy jednak, że strzał pochodził z pomieszczenia nad sklepem z antykami, należącym do Michała Bullarda. I to jest główny dowód przemawiający przeciw niemu. Jeśli pan zechce, możemy obejrzeć to pomieszczenie. Weźmiemy jeszcze ten karabin, tylko go porządnie opakuję.

Wyłowił z kosza starą gazetę i owinął karabin. Następnie poprowadził Clarke'a na ulicę, trzymając paczkę z bronią w opuszczonej ręce, niby na musztrze piechoty. I ciągnął dalej swoją relację.

— Następne, co go obciąża, to motyw zbrodni. Jest wyłącznym spadkobiercą, a ostatnio brak mu było pieniędzy na prowadzenie interesów. Zwrócił się do starego o pożyczkę — prawdopodobnie miało to miejsce już nie po raz pierwszy — i otrzymał jednoznacznie negatywną odpowiedź. Na tym tle doszło do awantury. Nie rozmawiali ze sobą przez miesiąc i Michał nie przychodził do ojca w wistowe wieczory. Chodziła wtedy jego żona. W ubiegły wtorek zjawił się po raz pierwszy po tej miesięcznej przerwie; i stary został zabity. Naturalnie nie on strzelał. W momencie zabójstwa znajdował się przecież w pokoju z ojcem i dwoma świadkami. Ale zaplanował tę zbrodnię, a strzelał jego wspólnik. Michał zmyślił historyjkę o jakimś intruzie w ogrodzie, żeby odwrócić uwagę od swego sklepu i wytłumaczyć swoje zdenerwowanie. Strzał miał paść według planu o dziewiątej, kiedy zwykle podawano trunki i kanapki. To dało Michałowi możliwość usunięcia się z linii ognia. Ale wspólnik strzelił nieco później i przez kilka minut miała miejsce przykra scena wywołana dziwacznym zachowaniem syna. Później Michał wybiega za mordercą, a w istocie chce tylko uprzedzić ewentualny pościg ze strony Keefe'ów, którzy mogliby po wyjściu na ulicę zobaczyć coś albo kogoś, kogo widzieć nie powinni.

— Na przykład kogo?

— Choćby żonę Michała Bullarda. To wyjaśniałoby ten obluzowany spust, ułatwiający kobiecie celniejszy strzał. Przypuszczam, że miała przekazać mu karabin w celu ukrycia w ogrodzie. W ten sposób upozorowaliby wszystko jeszcze lepiej. Coś jednak przeszkodziło im w zrealizowaniu tego planu i chyba dlatego karabin znaleźliśmy wśród krzaków na terenie sąsiedniej posesji. Tej właśnie, tutaj.

Zbliżali się do małego domku, cofniętego nieco od linii ulicy, do której przylegał kwadrat małego, kiepsko utrzymanego ogrodu. W sąsiednim domu znajdował się sklep z antykami. Wewnątrz, w wygodnym fotelu, siedział zaczytany mundurowy policjant. Wstał na widok inspektora. Nie zatrzymali się jednak w sklepie. Farr poprowadził Clarke'a na piętro.

Panował tam zaduch, przesycony zapachem kurzu i starzyzny. Pomieszczenie używane było oczywiście jako skład. Jedno z dwóch okien wychodzących na ulicę zastawiono piramidą mebli. Do drugiego dostęp był łatwy. Naprzeciw stał wyraźnie widoczny ładny wiktoriański dom w dużym ogrodzie. Trzecie okno wychodziło na zaniedbany sąsiedzki ogród.

Inspektor rozpakował karabin i podał go Clarke'owi. Wskazał jednocześnie na wiktoriański dom.

— Trzecie okno od lewa na parterze. Można zobaczyć stłuczoną szybę.

Clarke nałożył okulary. Następnie mierząc z karabinu, dopasował ostrożnie ostrość teleskopu, wycelowanego na wskazane okno.

— W dzień nie zobaczy pan dobrze wnętrza pokoju — zauważył inspektor — ale przy sztucznym świetle wszystko jest wyraźnie widoczne... Sam sprawdzałem.

— Przez tę dziurę w szybie widzę oparcie fotela.

— Świetnie... No, więc po strzale morderca wyrzuca karabin tym bocznym okienkiem do ogrodu, w którym znaleźliśmy go nazajutrz. Odsuwa również od okna ten ciężki stół. Jeden z sąsiadów słyszał odgłosy przesuwania mebli zaraz po strzale... I są tu te słabe ślady na podłodze. Prawdopodobnie morderca korzystał ze stołu jako oparcia.

— Ale dlaczego on... czy też ona — poprawił się Clarke — miałaby potem zadawać sobie trud odsuwania tego stołu, w sytuacji, kiedy cenna była każda sekunda?

— Wiem, że to nielogiczne. Ale to się zdarza.

— Żadnych odcisków palców? — spytał Clarke wskazując na okna pokryte grubo kurzem.

— Mnóstwo odcisków Michała Bullarda. Żadnych odcisków jego żony. Ale przecież noszenie rękawiczek, to druga natura kobiet.

Clarke przyjrzał się śladom nóg stołu na gołych deskach podłogi. Tam gdzie się kończyły dostrzegł ciemną plamę.

— Po wodzie — stwierdził inspektor — Z tej konewki.

Zielona konewka stała w kącie pokoju.

— On ma tam na dole trochę kwiatów w doniczkach — mówił dalej inspektor. — Podlewał je w ubiegły wtorek. Pozostała po tym spora kałuża wody.

— Jeszcze jedna nielogiczność. Po co przynosić tutaj doniczki do podlewania?

— Ale ta nielogiczność nie ma już związku ze zbrodnią, panie Clarke. A mnie w tej chwili interesuje tylko to, co łączy się z dokonanym zabójstwem. Chciałbym, aby rozebrał pan karabin i przygotował mi swoje orzeczenie o mechanizmie spustowym. Jeżeli podpiłowywano go w jakiś sposób, to może uda nam się odnaleźć opiłki w garażu Bullarda.

Clarke skinął głową, wyrażając zgodę na propozycję inspektora, ale sprawiał wrażenie jakby myśli jego skoncentrowane były na czymś innym. Naraz podszedł do drzwi i Farr usłyszał jego szybkie kroki na schodach wiodących do sklepu. Wrócił zanim jeszcze inspektor ochłonął po tej nagłej wycieczce swego gościa.

— Owszem, są tam na dole kwiaty w doniczkach — zauważył Clarke — ale moim zdaniem nie podlewano ich od tygodni.

Farra zirytowało trochę, że tamten idzie własnym tropem, lekceważąc konkretne zadania, dla których go poproszono. Wyczuł również jakąś zmianę w postawie eksperta. Wydał mu się niespokojny, jak gdyby starał się ukryć swoje podniecenie. Farr opanował się jednak, aby nie urazić tamtego jakimś niestosownym gestem.

Tymczasem Clarke znów nałożył swoje okulary i zabrał się do dokładniejszego studiowania śladów po kałuży. Następnie obejrzał konewkę, do połowy jeszcze wypełnioną wodą. Później poświęcił uwagę orzechowej kolbie starego karabinu. Wreszcie opuścił się na kolana i zaczął dokładniej, od spodu oglądać stół odsunięty od okna. Po jakimś czasie podniósł się i oczyścił zakurzone kolana.

— Inspektorze — zwrócił się do zniecierpliwionego Farra — czy Bullard był tutaj od wtorku?

— Nie, jeszcze nie był. Zbieraliśmy tu odciski placów, przeszukiwaliśmy dokładnie cały lokal. Chce przyjść tutaj jutro i, niestety, nie będziemy mogli mu w tym przeszkodzić. Nie mogę go aresztować, zanim nie zdobędę więcej dowodów, albo nie ujawnię jego wspólnika. Jak dotąd, nie potrafimy nawet wykazać pochodzenia karabinu.

— A jak zachowuje się Bullard?

— Bardzo pewny siebie. Niemal wyzywający. To typowe dla człowieka, który dokonał czegoś bardzo chytrego i przekonany jest, że go nie przyłapią. Ale zdenerwował się jednak, kiedy dałem mu do zrozumienia, że jego żona podejrzewana jest przez nas jako wspólniczka tej zbrodni.

— Sądzi pan rzeczywiście, że mogła to zrobić?

— Nie można nawet przewidzieć, co zrobiliby niektórzy ludzie dla takiej forsy... — oświadczył Farr, ale jednocześnie poczuł jeszcze większe wątpliwości, niż wtedy kiedy przesłuchiwał żonę Bullarda. Doszedł przecież do wniosku, że kochała ona teścia i żałowała go szczerze. Zachowywała się zupełnie odmiennie od męża. Ale teraz wszystko przemawiało za tym, że to ona była właśnie jego wspólniczką. Nie miała żadnego alibi.

Przez chwilę panowało milczenie. Przerwał je Clarke, pytając nieśmiałym głosem, czy może coś zaproponować.

— Wal pan!

— Proszę nie dopuszczać Bullarda tutaj samego... tymczasem jeszcze nie. Obawiam się, że mógłby zniszczyć dowody... Coś, co by go obciążało. Dowody, których nie możemy jeszcze znaleźć. Mam pewną teorię, tymczasem tylko teorię, ale wyjaśnia ona niektóre dziwne elementy tej sprawy. Zanim Bullard tu wróci, trzeba cały sklep przeszukać raz jeszcze.

— Ale czego szukać? Nie ma tu już niczego, co mogłoby nam pomóc.

Clarke wyjął z kieszeni notesik i wypisał krótką listę.

— Oto przedmioty, których należałoby szukać — powiedział. — Przedtem nie zwracano może na nie uwagi. Same w sobie są one bardzo niewinne; sądzę, że nietrudno je będzie tu znaleźć. Nie było dotąd czasu na dokładniejsze ich ukrycie. A sam sprawdzę karabin i przyniosę go panu jutro rano. Jeśli do tego czasu znajdzie pan wskazane przeze mnie przedmioty, będziemy mieli wszystkie niezbędne dowody.

Wyrwał zapisaną kartkę z notesika i wręczył ją inspektorowi. Następnie zabrał się do opakowywania karabinu.

— Używano go w okopach, podczas pierwszej wojny światowej — powiedział jeszcze. — Ciekawe skąd się o tym dowiedział. Prawdopodobnie właśnie od ojca. O ironio losu!

Po tym enigmatycznym oświadczeniu skierował się do drzwi.

*

Następnego dnia obaj czekali już w pokoju nad sklepem, kiedy policjant wprowadził Bullarda. Clarke, który widział go po raz pierwszy, zwrócił uwagę na jego spokój.

Krzesła przyniesiono z dołu. Clarke usiadł w kącie, stosownie do swojej roli człowieka, który ani nie był funkcjonariuszem policji, ani oskarżonym, tylko obserwatorem. Policjant usiadł przy drzwiach. Farr oparł się niedbale o krawędź stołu, na którym leżało coś zakrytego resztką wyblakłej, niebieskiej zasłony.

Pierwszy odezwał się właśnie inspektor.

— Chciałbym zaznaczyć zaraz na wstępie — zwrócił się do Bullarda — że od początku traktowałem pana jako winnego. Jeśli nie bezpośrednio samego mordercę, to w każdym razie organizatora tej zbrodni. Jeszcze do wczoraj sądziłem, że to pańska żona strzelała z pana namowy. Później zwrócono jednak moją uwagę na pewne okoliczności, które dowiodły, że nie miała ona z tym nic wspólnego.

— To było jasne nawet dla dziecka — warknął Bullard. Wydał się oburzony sugestią inspektora, obciążającą nawet przez chwilę jego małżonkę.

— Pozwoli pan, że odtworzę pańskie czynności w ubiegły wieczór wtorkowy — mówił dalej inspektor. — Wyszedł pan o siódmej ze sklepu, to znaczy później niż czyni pan to zazwyczaj. Poszedł pan do domu, zjadł pan kolację i przebrał się pan. Poszedł pan następnie do domu swego ojca, gdzie miał pan w ten wieczór grać w wista. Przez trzy tygodnie nie grał pan z powodu kłótni. Dlaczego poszedł pan tam tego wieczoru?

— Ponieważ chciałem się z nim pogodzić.

— Nie. Ponieważ przez te trzy tygodnie opracował pan plan zamordowania ojca. W ten wtorek potrzebne panu było alibi... Chciał pan być z nim razem, kiedy zostanie zastrzelony strzałem z zewnątrz. Jako właściciel sklepu antyków, zakupuje pan często inwentarz starych domów. Wydaje mi się, że właśnie w ten sposób zdobył pan ten karabin, prawdopodobnie już dość dawno. Lunetę teleskopową dokupił pan gdzieś, gdzie pana nie znają, w każdym razie nie w naszej okolicy. Wyglądając przez to okno wieczorami, widział pan wyraźnie pokój w domu ojca. A ojciec pański zawsze siadywał do kart na tym samym miejscu. Rzadko kiedy przesuwany bywał jego fotel z wysokim oparciem. A także on sam nie zmieniał swego miejsca w toku gry. Zamocował pan więc ten karabin na stole, który przysunął pan do okna.

Inspektor Farr przyciągnął stół do okna, a następnie, odrzucając zasłonę, odsłonił kilka przedmiotów, leżących obok broni.

— Karabin musiał być zamocowany dokładnie. Do tego potrzebne panu były dwa imadła stolarskie, które pan kupił, oraz te dwa bloki drewniane z wy-

krojem w kształcie litery V, który to wykrój wykonał pan sam.

Przez chwilę zajmował się ustawianiem karabinu na blokach i zamocowywaniem imadeł do krawędzi stołu.

— Proszę zauważyć, że pod śrubami imadeł umieściłem kawałki tektury, ażeby nie pozostawić śladów pod spodem blatu — objaśniał przy tym Farr. — Pan tego nie zrobił i mamy dwa doskonałe odciski śrub jako dowody. Teraz zamocujemy karabin. Nie będę się starał umieszczać go pod właściwym kątem, ażeby linia strzału znalazła się na oparciu fotela, tak jak pan to uczynił. Naturalnie musiało to zabrać trochę czasu.

Clarke obserwował teraz twarz Bullarda. Rysy tamtego zaostrzyły się nieco, ale kiedy się odezwał, brzmienie głosu wciąż jeszcze było normalne.

— A potem — powiedział — tak jak to przewidują zasady obowiązujące w opowiadaniach kryminalnych, wystrzeliłem z tego karabinu zapewne przy pomocy zdalnie kierowanych fal radiowych...

— Nawet to nie byłoby dzisiaj tak trudne — odpowiedział inspektor na tę próbę drwiny. — Ale pan użył czegoś znacznie prostszego i w jakiejś mierze nawet lepszego. Wykorzystał pan urządzenie, które jak mówił mi obecny tu pan Clarke, znane było żołnierzom jeszcze zanim pan i ja przyszliśmy na świat.

Wziął ze stołu dwie duże puszki, które kiedyś stanowiły opakowanie mleka w proszku. Zamocowane były do nich sznurki. Na tylnym bloku znajdował się gwóźdź i na nim powiesił inspektor jedną z puszek. Zwisała nieco poniżej krawędzi stołu. Druga puszka miała dłuższy sznurek zakończony pętelką, którą Farr zahaczył o spust. Stamtąd sznurek przebiegał przez gwóźdź służący jako bloczek, a następnie w dół, podtrzymując drugą puszkę o około ćwierci metra poniżej pierwszej. Dotykała ona niemal podłogi.

— Iglica jest naciągnięta — oświadczył Farr — a teraz proszę o konewkę, Smithson...

Policjant podał ją inspektorowi i Farr napełnił górną puszkę. Woda zaczęła kapać przez dziurę w dnie i spływała do dolnej puszki. Krople opadały regularnie, odmierzając czas niby tykanie zegara. Przez dłuższą chwilę ich miarowy odgłos rozlegał się w pokoju.

— Kiedy dolna puszka jest prawie pełna — odezwał się znów inspektor — jej waga staje się dostateczna do pociągnięcia spustu. Odpowiednie wypełnienie tej puszki trwa w ten sposób dwie godziny i kilka minut. Przy twardej sprężynie spustowej trzeba by było więcej wody, trwałoby to znacznie dłużej i strzał byłby znacznie mniej dokładny. W związku z tym obluzował pan mechanizm spustowy. Przed wyjściem ze sklepu w ten fatalny wtorek naładował pan karabin, napełnił pan wodą górną puszkę i otworzył pan okno. Woda kapała, tak jak kapie i teraz. O godzinie dziewiątej, według pańskiego wyliczenia, karabin miał wystrzelić. Opóźniło się coś jednak w działaniu tego mechanizmu. Nie chciał pan powrócić do stołu gry, ponieważ siedział pan niebezpiecznie blisko linii ognia. Spacerował pan więc po pokoju i zdenerwował pan tym ojca.

W końcu następuje strzał, śmiertelnie celny. Pan biegnie do ogrodu, tłumacząc się pogonią za mordercą, ale w rzeczywistości śpieszy pan właśnie tutaj, aby rozebrać całe to urządzenie. Pracuje pan szybko w ciemnościach i rozlewa pan trochę wody. Boi się pan zapalić światło. Puszki i imadła rzuca pan pod zlew. To zwykłe rzeczy, które nie powinny przyciągnąć niczyjej uwagi. Karabin wyrzuca pan przez okno, żeby zabrać go później i podrzucić w ogrodzie ojca, dostarczając w ten sposób dowodów dla tej bajki o kimś obcym widzianym w krzakach. Coś tu panu nie wyszło... Być może, sąsiad wyjrzał nie w porę, i musiał pan zostawić karabin tam, gdzie go znaleźliśmy... Następnie powrócił pan do domu ojca. Wystarczyło na to wszystko tych pięć minut pańskiej nieobecności.

Inspektor popatrzył na równomiernie kapiące krople.

— Dwie godziny to dużo czasu — zauważył. — Trochę pomożemy.

Wziął znów konewkę i dolał sporo wody do dolnej puszki. Sznur zamocowany do spustu naciągnął się jak drut.

— Na jednym z tych imadeł znaleźliśmy doskonałe odciski pańskich palców. Ono ma politurowaną powierzchnię. A poza tym powinien pan był podlewać kwiaty...

Szczęki Bullarda zacisnęły się mocno. Wyczuł, że jeśli miałoby się coś stać, to właśnie w tej chwili. Wyczuł to chyba także policjant Smithson, bo poprawił się na krześle, demonstrując w ten sposób, że czuwa. Stałe tykanie kropel dopełniających dolną puszkę, stawało się coraz bardziej denerwujące.

I nagle ciężar wody zwolnił spust. Klasnęła w zamku iglica, rozładowując napięcie. Bullard poprawił się na krześle, zwalniając ściągnięte mięśnie. Sprawiał teraz wrażenie człowieka, który podjął już decyzję. I tym razem głos jego był spokojny, choć zabrzmiała w nim wyraźnie nuta rezygnacji:

— Wygląda na to, że trafił pan w dziesiątkę, inspektorze.

„The London Mystery Selection"
przełożył Marian Kozłowski

HUMOR

W AUTOBUSIE

Autobus przepełniony. Starszy mężczyzna zwraca się do dwunastoletniego chłopca, który rozsiadł się wygodnie przy oknie:

— Dam ci dwa franki, jeśli ustąpisz miejsca.

Chłopiec zrywa się, pasażer daje mu dwa franki i zwraca się do stojącej obok kobiety:

— Proszę, madąme.

Kobieta przez moment się waha, potem siada i mówi do chłopca:

— Jean, podziękuj panu za te dwa franki.

W SĄDZIE

Sędzia: — Czy oskarżony nie pomyślał o swojej żonie i dzieciach, kiedy włamywał się do sklepu?

Oskarżony: — Jakim cudem, wysoki sądzie? Przecież to był sklep z męską konfekcją...

W SKLEPIE

W antykwariacie klient zwraca się do sprzedawczyni:

— Ile kosztuje ten potwornie brzydki Budda z kwaśną gębą stojący tam w kącie?

— Rany boskie, co pan mówi? Przecież to szef!

W PORADNI

Ojciec, zaniepokojony słabymi postępami syna w nauce, zaprowadził go do psychiatry. Pan doktor stosuje testy psychologiczne, zadaje dziecku pytania w rodzaju: „ile uszu ma kotek?", „ile ma łap?", „jaki dźwięk wydaje?" itp. Chłopiec odpowiada i wreszcie zniecierpliwiony zwraca się do ojca z pytaniem:

— Tatusiu, czy ten pan nigdy nie widział kota?

W RESTAURACJI

Alfons Allais siedział raz w restauracji z przyjacielem. Gdy przyniesiono zupę żółwiową, satyryk rzekł:

— Nie widzę tu ani kawałka żółwia!

— Tak — odparł przyjaciel. — Ale w torcie królewskim, który zamówiliśmy na deser, też nie znajdziesz ani kawałka króla.

W KABINIE

Żona wbiega do kabiny i woła od progu do cierpiącego na morską chorobę męża:

— Wyjdź, kochanie, na pokład. Zobaczysz piękny okręt.

— Daj mi spokój! Nie chcę widzieć żadnego okrętu. Wywołaj mnie, kiedy zobaczysz autobus...

W SZPITALU

W szpitalu odwiedzający pyta chorego:

— Jakie miałeś uczucie, kiedy byłeś tak chory, że nie wiedziałeś, co się dokoła ciebie dzieje?

— Wiedziałem, że nie umarłem, bo byłem głodny i było mi zimno.

— Co to ma do rzeczy?

— Gdybym był w niebie — nie byłbym głodny, a gdybym był w piekle, nie byłoby mi zimno.

Przeklęty skarb

Jest w stanie Missisipi miejsce najbardziej chyba nieprawdopodobne, jako skrytka z legendarnym złotem. A jednak właśnie w tym kraju bawełny...

Farmerzy i dzierżawcy w okolicy miasta Matchistown są biedni, mieszkają w domach-ruderach. Z trudem zdobywają skromne środki egzystencji, uprawiając wyeksploatowaną rabunkowo ziemię. Gdy tylko mogą — idą pracować do małych okolicznych tartaków. Życie ich jest ciężkie i twarde. A przecież wśród tej biedy, a właściwie w głębi półtorahektarowego dawnego pola bawełny w pobliżu Piste de Natchez, leżą zakopane sztaby hiszpańskiego złota.

Ile milionów dolarów wart jest ten skarb, tego nikt nie wie. Wiadomo tylko, że jest to część łupu pirata Jeana Lafitte i że jest to skarb... przeklęty: siedem osób, które miały jakąkolwiek styczność z owym złotem, zginęło śmiercią nagłą i straszną.

Historia skarbu — opowiedziana tu po raz pierwszy — jest jednocześnie dziwna i fascynująca. Było to w roku 1806, w okresie wielkiej wędrówki na zachód. Nowy Orlean był wówczas jednym z najbardziej ożywionych portów handlowych. Po sprzedaniu w tym mieście swych towarów kupcy kierowali się na północ, dawną drogą Indian; drogą niebezpieczną, na której czyhali awanturnicy i rabusie.

Wśród tych, którzy tego roku wyruszyli drogą, zwaną Piste de Natchez, znajdował się siłacz i awanturnik nazwiskiem John Dawid Bradley. Jechał w poszukiwaniu tzw. homestead, to znaczy dobrej działki, na którą otrzymywało się koncesję, przyznawaną „pierwszemu"; upoważniała ona bowiem tego pierwszego, który na niej osiadł, do korzystania z wszystkiego, co zawierała. Bradley nie jechał sam. Zabrał młodego krewniaka, który w przyszłości miał się stać legendarnym Jimem Bowie, mistrzem w walkach na noże.

Pewnego wieczoru Bradley zauważył wśród szałasów indiańskiej osady piękną, młodą dziewczynę. W dalszą drogę wyruszyli już w trójkę, z młodą Indianką, która należała do szczepu Choctaw; Bradley nazwał ją Mary Choctaw.

W Nowym Orleanie Bradley spotkał Jeana Lafitte, wodza piratów. Po pewnym czasie zostawił Mary i zawrócił do Nashwille, z zamiarem szybkiego powrotu. W Ohio wdał się w bójkę, został uwięziony i zjawił się u Mary dopiero po sześciu latach.

Ale wtedy już w Nowym Orleanie zastał sytuację inną niż przy wyjeździe. Jean Lafitte królował nad okolicą, podczas gdy jego adiutant i powiernik, metys Juan Cabrera panował nad... Mary Choctaw. Nie było to jednak nowe porwanie. Dawna kochanka Bradleya naprawdę i z wzajemnością kochała pięknego Cabrerę. Mieli już chłopczyka, do którego tata Cabrera był ogromnie przywiązany.

Zawiedziony Bradley zaczął pić na umór i powtarzał w kółko: zabiję Cabrerę! Nim urzeczywistnił groźbę — wybuchła wojna 1812 r. Wojna — jak polityka — bywa źródłem dziwnych przyjaźni. W czasie wojny Lafitte i jego banda „zawiesili" działalność piracką i z entuzjazmem stanęli pod amerykańskim sztandarem. Cabrera, Bradley i młody Jim Bowie walczyli ramię w ramię razem z nimi. Gdy jednak wojna skończyła się i prezydent Madison oficjalnie udzielił amnestii Jeanowi Lafitte i jego załodze, Bradleya znowu

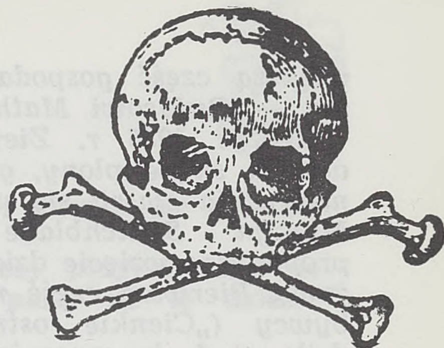
ogarnęła myśl o zemście. Znowu pił i przysięgał, że zabije tego „łotra-metysa, który ukradł mu żonę".

Cabrera nie przejmował się tym zbytnio. Miał już dosyć tak wojowania, jak korsarstwa. Pragnął tylko osiąść w głębi kraju ze swą indiańską żoną, najchętniej w pobliżu szczepu Choctawów i wieść spokojny żywot ojca rodziny. Lafitte dał Cabrerze swe błogosławieństwo, a ponadto coś bardziej realnego: znaczną część złotych hiszpańskich dublonów, pochodzących ze wspólnych rabunków. I to jest właśnie ów skarb z Piste de Natchez!

Rodzina Cabrerów opuściła Nowy Orlean, kierując się do kraju Choctaw. W Natchez Cabrera kupił kilka wozów, narzędzia rolnicze, prezenty dla Indian, muły i parę pięknych koni do własnego powozu. Zabrał również dwóch półniewolników murzyńskich: Willie Hinkla i Jezusa Crawforda. Nie troszczył się bynajmniej o Bradleya. Ale ten, opanowany manią zazdrości, jechał za nim trop w trop aż do Matchistown, gdzie Cabrera zdążył się już wraz z rodziną urządzić.

Po przybyciu w te okolice Bradley dobrał sobie dwóch pijaków, którzy przyrzekli mu pomoc i asystę w zbrodni. Pewnego jesiennego wieczoru 1818 wszyscy trzej niespodziewanie napadli na Cabrerę i jego czarnych niewolników. Walka była bezpardonowa. Cabrera bronił się dzielnie, udało mu się zabić obu pomocników Bradleya, ale sam padł pod jego ciosami. Mary i jej syn zapadli w lasach.

Teraz Bradley zaczął szukać złota Lafitte'a. Bez skutku. Schował się więc i czekał na Mary. Przed świtem powróciła z niewolnikami. Wówczas Bradley wyskoczył ze swego ukrycia, obezwładnił niewolników i rzucił się na Mary. Indianka broniąc się zdołała wyciągnąć nóż Bradleya i wbiła go sobie w serce. Umierając — przeklęła swego prześladowcę. Jej przekleństwo — według legendy — zaciążyło na Bradleyu i na skarbie. Sprowadzeni przez syna Cabrery przesądni Indianie, lękając się rzeczy należących do Cabrery, zakopali cały jego dobytek na terenie działki. Niewolnikom władze pozwoliły pozostać i uprawiać ziemię, zroszoną krwią czterech ofiar i ukrywającą złoty, „przeklęty" skarb.



Nie jest to jednak koniec historii. Bradley powrócił! Terroryzując Murzynów, usiłował z nich wycisnąć tajemnicę kryjówki skarbu. Sami niewiele wiedzieli, zdradzili jednak, że Cabrera naszkicował jakiś plan, sporządzony na kawałku skóry. Zamknięty on został w pudełku, a pudełko Indianie zakopali wraz z innymi należącymi do Cabrerów przedmiotami. Bradley kopał więc gorączkowo, ale bezskutecznie. I znowu przepędzili go Indianie, poprzysiągł jednak, że wróci. Zamieszkał w odległości 80 km, ożenił się i założył małą cegielnię. Myśl o złocie nie dawała mu jednak spokoju.

Przeszłość zjawiła się pod postacią urodziwego młodego człowieka hiszpańsko-indyjskiego pochodzenia. Stanąwszy twarzą w twarz z Bradleyem młody człowiek wyjął nóż i ugodził nim fabrykanta cegły, po czym znikł w ciemności. Był to syn Cabrery i Mary Choctaw; przybył, by pomścić śmierć rodziców.

Minęły lata. Murzyni Crawford i Hinkel spokojnie uprawiali ziemię. W końcu cała posiadłość przeszła na Hinkla. Wybuchły i przeminęły: wojna secesyjna, potem pierwsza wojna światowa. Historia pirackiego złota zacierała się w miarę upływu czasu, by wreszcie zostać całkowicie zapomnianą. Nie było już mowy o skarbie, gdy ostatnie pokolenie Hinklów odprzedawało

większą część gospodarstwa białemu — Rufusowi Mathisowi.

Kryzys 1936 r. Ziemia Mathisa dawała skąpe plony, gdy oto pewnego dnia zjawił się u niego rosły Murzyn Switchblade Crawford, proponując wzięcie działki w dzierżawę. Pierwsza część nazwiska nabywcy („Cienkie ostrze") pochodziła stąd, że zręcznie władał nożem. Był to w prostej linii potomek Jezusa Crawforda, który zresztą sam nic o skarbie nie wiedział. Rozpoczął uprawę swej półtorahektarowej dzierżawy od wzgórka, porosłego już sośniną, gdzie swego czasu Indianie zakopali rzeczy należące do zamordowanego Cabrery i jego żony. Naraz w czasie orania coś dziwnie zazgrzytało; Crawford sądził, że pług zawadził o korzenie. Było to jednak pudełko z przegniłego drzewa z zamkami z miedzi. Obok leżało kilka okrągłych metalowych monet. Wewnątrz pudełka znajdował się dziwnie poznaczony kawałek skóry. Switchblade zrozumiał wówczas, że odkrył coś ważnego, jakkolwiek nie zdawał sobie sprawy, że chodzi o dokładny plan skarbu. Ponieważ wykorzystanie odkrycia bez właściciela nie byłoby możliwe, Crawford ogólnikowo poinformował Mathisa o znalezisku, pokazując kilka monet. Mathis obejrzał je, udając, że znalezisko jest bez wartości.

W kilka dni później Mathis udał się do Crawforda i wręczył mu pięciodolarowy banknot. „To za monety, które znalazłeś" — powiedział na pozór obojętnym tonem. Miały to być rzekomo stare, niewiele warte monety, które bankier nabył do swej kolekcji numizmatycznej. Mathis zaofiarował Murzynowi dalszych 5 dolarów, jeśli wskaże miejsce, gdzie monety znalazł. Ten wyjaśnił jednak, że zapomniał, chociaż w rzeczy samej zabezpieczył się, wkopując z powrotem wyrwane poprzednio pniaki, dla zatarcia wszelkich śladów. Kawałek skóry z tajemniczymi znakami powierzył czternastoletniemu synowi z poleceniem, żeby o nim nie mówił nikomu ani słowa. Mathis nie dał się jednak nabrać. Złapał siekierę i zagroził nią Crawfordowi.

Murzyn był sprytny. „Dobrze szefie — powiedział do Mathisa. — Pokażę panu, gdzie znalazłem monety". Wziął latarkę i wyszli na pole. Mathis postępował za nim. W pewnym momencie Crawford umyślnie potknął się, latarnia się stłukła. Mathis uprzedzając Murzyna — rzucił w niego siekierą, lecz chybił i Switchblade uderzył go nożem. Następnego dnia odkryto zakopane zwłoki Mathisa, a miejscowi ludzie szybko domyślili się, kto jest mordercą. Wywlekli Crawforda na podwórze i dokonali samosądu, paląc go żywcem. Nikt nie wiedział dlaczego Murzyn zabił Mathisa, nikt się o to nie troszczył.

Istniał przecież jeszcze ktoś, kto był z tym skarbem związany tajemnicą — syn Crawforda. Skrzętnie ukrywał kawałek skóry, posłuszny ojcowskiemu poleceniu. Gdy w 1941 r. powołano go do wojska, zabrał tajemniczy skórzany skrawek ze sobą. Miał go i wówczas, gdy w dziesięć lat później — już jako sierżant, zabity został na wojnie w Korei. Przed śmiercią zwierzył swój sekret jednemu z kolegów. Rzeczy osobiste poległego zostały przesłane jego rodzinie. Gdy wojna się skończyła, przyjaciel Crawforda odwiedził fermę w Missisipi. Pozwolono mu obejrzeć plan i wówczas zdał sobie sprawę, że chodziło o tę właśnie posiadłość. Ale Crawfordowie bali się. Zbyt wielu ludzi już zginęło z powodu tego złota. Wdowa po młodym Crawfordzie spaliła stary skórzany plan i opuściła swą posiadłość.

W następnych latach znikły z tych terenów wszystkie znaki orientacyjne. Nawet stary kopczyk, gdzie odnalezione zostały monety i pudełko z planem, już nie istnieje. Nie sposób odnaleźć zakopanego skarbu na półtorahektarowej działce, całej porosłej sosną. Nikt już nie pamięta, że w tej ziemi tkwi legendarny skarb korsarza Lafitte'a. „Lectures pour tous"

HUMOR



W KAWIARNI

Dwie szkolne koleżanki spotkały się wiele lat później:
— Wyszłaś za mąż?
— Nie.
— Dlaczego?
— Niestety, jestem idealistką. Kilkakrotnie chciałam wyjść za mąż z miłości, ale za każdym razem okazywało się, że on nie miał grosza przy duszy.

W SZKOCJI

Szkot kupuje po dwudziestu pięciu latach nowy kapelusz w tym samym magazynie:
„...I znowu tu jestem".

W AUTOBUSIE

Na krańcowym przystanku do zatłoczonego autobusu usiłuje wedrzeć się jakiś mężczyzna. Pasażerowie protestują: — Niech się pan nie pcha, widzi pan, że nie ma miejsca! Panu się zdaje, że kim pan jest?!...
— Kierowcą...

W TRAMWAJU

Jakaś pani stoi między ławkami w przepełnionym tramwaju. Stojący obok niej starszy mężczyzna zwraca się do siedzącego wyrostka:
— Dostaniesz dziesięć złotych, jeśli ustąpisz mi miejsca.
Wyrostek wstaje, a pan zwraca się do pani:
— Proszę, niech pani usiądzie.
— Ależ nie mogę przyjąć miejsca, za które pan tyle zapłacił!
— To ma być lekcja wychowawcza dla tego wyrostka.
— Dziękuję panu.
Pani siada i zwraca się do chłopaka:
— Tadziu, czy przynajmniej podziękowałeś panu za te dziesięć złotych?

W MEKSYKU

— Przy barze w Meksyku stoją dwaj kowboje. Jeden rozbija butelkę whisky o głowę kolegi. Kolega oburzony: — Znowu nie masz korkociągu?

W INDII

Fakir kupuje w sklepie żyletki.
— Jakiej marki pan sobie życzy? — pyta sprzedawca.
— Nie ma znaczenia. To do połykania.

W DOMU

Małżonkowie uzgodnili, że żona będzie zapisywać wszystkie wydatki. W końcu miesiąca przedstawiła budżet:

Siemię dla kanarka	**3 zł**
Kości dla psa	**8 zł**
Różne	**2 300 zł.**

W SZPITALU

— Panie profesorze — zwraca się zaniepokojona asystentka do profesora — przygotowaliśmy wszystko do operacji, a pacjenta jeszcze nie ma...
— Nie szkodzi — odpowiada profesor — zaczniemy bez niego...

W SZKOLE

— Jasiu, co ty rysujesz?
— Pieska.
— A gdzie jego ogonek?
— Jeszcze w kałamarzu.

W DOMU

Pewien dżentelmen tak się skarżył przyjacielowi:
— Moja Stefa byłaby wspaniałą żoną, gdyby nie żądała ode mnie, abym był idealnym mężem...

Po prostu pech

Zazwyczaj Eugene Montooth nie zabierał autostopowiczów. I tym razem automatycznie dodał gazu, gdy tylko z daleka dojrzał na skraju drogi jakąś postać z podniesionym ramieniem. Mijany autostopowicz opuścił ramię i nagle zrobił trzy szybkie kroki do przodu. Montooth gwałtownie skręcił kierownicę w lewo. Samochód przeleciał tuż obok autostopowicza. Montooth przycisnął pedał hamulca aż do deski. Wóz zarzucił trochę i stanął. Jego kierowca włączył wsteczny bieg i cofnął wóz.

Przyjrzał się mężczyźnie. Był nieogolony, musiał już od tygodni nie oglądać fryzjera. Miał wygląd człowieka, który przespał się w areszcie i zjadł śniadanie na koszt państwa. Rękawy jego drelichowej kurtki były na łokciach przetarte i świeciły dziurami.

— Jakoś piekielnie panu zależy na tym, żeby pana zabrać — powiedział Montooth. — Jeżeli ktoś wyskakuje przed zderzak tylko po to, żeby mógł się zabrać, zasługuje na to Dalej, do środka!

Montooth odczekał aż pasażer usiądzie i zaryglował drzwi.

— Okay... Mógł pan się zabić. A i mnie także.

— Przepraszam. Nazywam się Bob Smith.

— Gene Montooth.

— Stałem tam już od pięciu godzin, mr Montooth — skarżył się Smith — zwątpiłem już zupełnie. Niech pan powie, mr Montooth, ilu pan już spotkał Bobów Smithów w swoim życiu?

— No, cóż... Nie jest to rzadkie nazwisko. Bob Smith, którego znałem najlepiej, był pułkownikiem w Barras. Pułkownik miał awarię samolotu i wylądował prosto na cmentarzu. Wystarczyło go tylko pogrzebać.

— O, widzi pan. To jest prawdziwy koniec Boba Smitha — autostopowicz podrapał się w plecy i ziewnął. — Każdy pułkownik z jakimś innym nazwiskiem jeszcze poderwałby maszynę i wylądował gdzieś gładko; nawet otrzymałby jakieś wysokie odznaczenie.

— Tak, tak, przekleństwo Bobów Smithów — żartował Montooth.

— To dla mnie sprawa śmiertelnie poważna. Mój ojciec także nazywał się Bob Smith i spotkał go koniec najżałośniejszy, jaki tylko można sobie wyobrazić.

— Zdaje się, że pan jest mocno przekonany o absolutnej władzy pecha — mówił Montooth. — Ale to nieprawda. Pech, podobnie jak ludzkie szczęście jest zjawiskiem przejściowym. Niech pan spojrzy na mnie. Mam żonę, dwójkę wspaniałych dzieci, własny wóz i dom bez żadnych obciążeń hipotecznych. Nieźle, prawda?

— Głowę dam, że nie spadło to panu z nieba, mr Montooth.

— Pewnie, że musiałem się natyrać. Kiedy po zakończeniu działań wojennych zwolniono mnie ze służby w lotnictwie, miałem wszystkiego 600 dolarów. Kazałem sobie jeszcze wypłacić moją premię ubezpieczeniową i to było wszystko. Z moim starym kumplem z eskadry złączyliśmy to co mieliśmy do kupy i otworzyliśmy sklep. Po pewnym czasie wzięliśmy na kredyt różne mechaniczne urządzenia i rozszerzyliśmy nasz sklep w tak zwane „Zakłady Kiwi".

— Widziałem wasz sklep — wtrącił Smith.

— Dziś istnieje już dziesięć sklepów „Kiwi". Xavier — to mój wspólnik — i ja, mamy teraz rocznie milion dolarów obrotu. To się nazywa mieć szczęście, prawda?

— Niech pan je trzyma mocno w zaciśniętych rękach, mr Montooth.

— Trzymać! Kiedy już jest po nim. Niech pan sobie wyobrazi, panie Smith. Ma pan wspólnika, ma pan interes, który jest właściwie strumieniem złota. I nagle przekonuje się pan, że pański partner zabrał całą śmietankę, nic panu o tym nie mówiąc.

— Fatalnie. Zwłaszcza, jeżeli się weźmie pod uwagę, że ten Xavier jest pańskim kumplem z eskadry.

— Pięćdziesiąt tysięcy dolarów — mówił Montooth — mamy pięćdziesiąt tysięcy dolarów deficytu. Wystarczy, żeby to stwierdziła pierwsza lepsza kontrola i cały nasz system sklepów „Kiwi" rozpada się, jak domek z kart. I nie chodzi tu wyłącznie o pieniądze. Również nasze żony są przyjaciółkami, a mój syn Mike — służy obecnie w marynarce — jest po słowie z Mary Xavier.

— Sam nie wiem — Smith podrapał się za uchem — co jest gorsze. Mieć takie szczęście i nagle stracić grunt pod nogami, czy też, jak to jest u mnie, mieć po prostu pecha, od samego początku i nieprzerwanie.

— Pański pech skończy się pewnego dnia — głos Montootha brzmiał pewnie i wzbudzał zaufanie.

— Nieee, mr Montooth, ja już wypadłem z gry, ja się nie liczę. Mnie już nic nie pomoże.

— Nawet pięćsetka?...

— Co? Za to można by sobie kupić masę pieczonych kurczaków — przyznał Smith.

— Niech pan zajrzy do tego pudełka z rękawiczkami.

Bob Smith zdjął nakrycie kasety. W środku leżało kilka map samochodowych, przyciśniętych małym, zgrabnym rewolwerem.

— Niech go pan wyjmie — nakazał Montooth, zapatrzony wciąż prosto przed siebie.

— Naładowany — zauważył Smith.

— Pięćset dolarów — Montooth wrócił do swoich planów. — Nikt nie zna Boba Smitha. Nikt się o niego nie troszczy. Pięć setek, Smith. Ja oczywiście nie pisnę nikomu, że panu dałem zlecenie.

— Nie, nie mogę. To byłoby morderstwo.

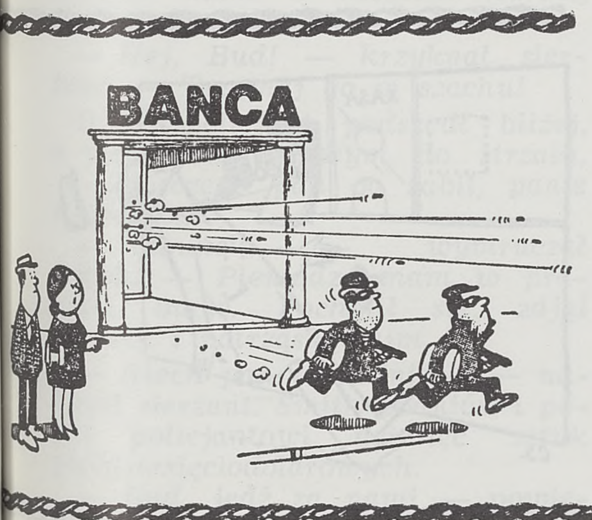
— Morderstwem byłoby dziesięć lat więzienia dla ojca rodziny — mruczał Montooth. — Mam lepszy pomysł. Bardziej ludzki. Jeżeli morderstwo zostało popełnione przez nieznanego sprawcę, wówczas rodzina otrzymuje premię ubezpieczeniową. Dzięki takiej sumie ubezpieczeniowej dałoby się może uratować sklepy „Kiwi". I szczęście dwóch rodzin. Byłoby to więc szczęście dla wszystkich. Również i dla pana, Smith.

Nagle w lusterku odbiło się jaskrawe światło reflektora. Zaryczała syrena. Smith obejrzał się do tyłu i zobaczył zbliżające się, rozbłyskujące rytmicznie niebieskie światełko.

— To gliny — powiedział do sąsiada.

— Niech pan schowa rewolwer — nakazał Montooth.

←— — — — — — —



— Wszyscy jakoś kombinują, a ty nic!

Montooth przyhamował i zjechał na prawą stronę. Wóz patrolowy wyprzedził ich, skręcił i stanął. Montooth zakręcił korbką i otworzył okno. Do samochodu zbliżył się policjant z trzema paskami na rękawie. Drugi przystanął przy wozie patrolowym i stał, oparłszy ręce na pasie.

— Proszę wysiąść — nakazał sierżant. — Pokazać papiery. Prawo jazdy. Kartę wozu i tak dalej.

Montooth podał papiery, odpiął pas bezpieczeństwa i otworzył drzwi. Przez chwilę w wozie rozbłysło światło i oświetliło twarz Smitha. Sierżant przeglądał papiery w świetle swojej ręcznej latarki. Potem spojrzał w stronę Smitha.

— A kto to jest, ten pana pasażer? — zapytał.

— Nazywa się Stanley Kowalski, panie sierżancie. Pracuje u mnie.

— U nas tutaj obowiązuje ograniczenie szybkości do dziewięćdziesięciu pięciu kilometrów. Czy pan nie widział napisów? Na przyszłość proszę uważać. Dobranoc mister Kowalski.

Montooth usiadł znowu za kierownicą, założył pas i podkręcił szybę.

— No, a teraz z powrotem do rzeczy! — powiedział do Smitha.

— Okay, mister Montooth. Ja to zrobię....

— Świetnie. — Montooth wyjął portfel i podał go Smithowi.

— Niech pan sobie wyjmie pięćset.

Smith zdjął swój prawy trzewik, złożył dziesięć pięćdziesięciodolarówek w jedno pasmo i ułożył je płasko na dnie. Wciągnął but z powrotem i przycisnął nogę do podłogi wozu.

— Trochę wysoko — uśmiechnął się ironicznie. — Kiedy będziemy na miejscu?

— Lada moment — odpowiedział Montooth.

— A jak wygląda ten Xavier?

— Xavier? Oh, to taki łysy facet, łysy i gruby.

— Dzieci?

— Tylko dziewczyna, Mary. Ta, z którą chodzi mój syn.

— A co będzie z wdową?

— Co będzie z wdową? — Montooth powtórzył pytanie. — Nie mogę sobie Winnie wyobrazić jako wdowy. Ale mimo to, jestem przekonany, że ona to jakoś przetrzyma.

Auto zatoczyło łuk w prawo i zaczęło podskakiwać na leśnej ścieżce.

Wóz stanął. Obaj mężczyźni zdjęli pasy bezpieczeństwa i wysiedli. Motor szumiał cicho w dalszym ciągu.

— Gdzie jest ten dom — zapytał zdenerwowany Smith — gdzie mieszka Xavier?

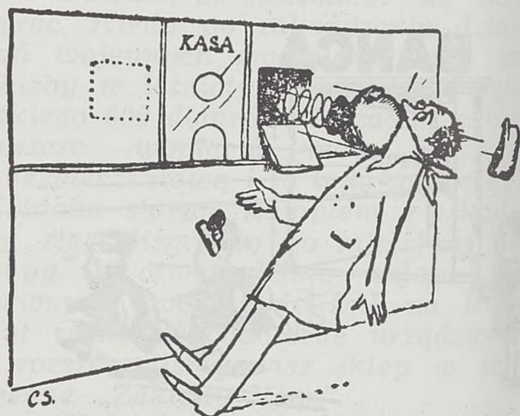
— W Chicago — odpowiedział Montooth. — Bo co?

— Pan ma na myśli... to wszystko to był głupi żart?

— Żaden żart. — Montooth mówił spokojnie i poważnie. — I niech pan teraz nie chwyta się żadnych forteli. Przysięgam, zatłukę pana na śmierć, jeżeli pan się wystraszy i będzie usiłował się wycofać.

— Forteli? Jak to? Przecież przyrzekłem, że zabiję Xaviera. Gdzie on jest.

— Nie Xaviera, Smith. Opłaciłem pana, żeby pan zabił człowieka, który oszukał swego przyjaciela i wpędził w nieszczęście dwie rodziny. Zapłaciłem panu za to, żeby pan zabił złodzieja, Smith — a tym złodziejem jestem ja!



Rys. Czesław Studziński *Mies. „Polska"*

Smith drżał i spoglądał na Montootha, jak na widziadło.

— Ja jestem gotów, Smith — powiedział Montooth cicho. — Proszę niech pan działa szybko.

— A co ja zrobię z wozem?...

— Niech pan stąd szybko odjeżdża. Zostawi go pan w najbliższym mieście. Szybko, Smith. Niech pan mi nie każe tak długo...

Bob Smith uniósł rewolwer do góry i strzelił. Potem podszedł bliżej do leżącego i wypalił jeszcze raz, a potem — pięć razy. Włożył rewolwer do kieszeni drelichowej marynarki i powlókł się do samochodu.

Ledwie wyjechał na szosę, w lusterku ukazały się dwa jasne punkty. Po chwili Smith dosłyszał odgłos syreny i dojrzał mrugające niebieskie światełko. Roześmiał się głośno i przełożył nogę z gazu na hamulec. Wóz stanął.

Smith wyciągnął kluczyk ze stacyjki, odpiął pas i wysiadł z wozu z podniesionymi rękoma. Sierżant błyskawicznie wyskoczył z auta patrolowego, trzymając w jednej ręce latarkę, w drugiej służbowy rewolwer. Oświetlił na chwilę twarz Smitha i krzyknął zdziwiony: „Kowalski!"

— Nazywam się Smith. Bob Smith.

— A gdzie jest mister Montooth, panie Kowalski?

— Tam, z tyłu, w tym lasku. Przed chwilą go zastrzeliłem. Rewolwer mam w kieszeni kurtki, może pan sprawdzić.

— Hej, Bud! — krzyknął sierżant. — Trzymaj go w szachu!

Drugi policjant podszedł bliżej, z pistoletem gotowym do strzału.

— Dlaczego pan go zabił, panie Kowalski?

— Rabunek. — wymruczał Smith. — Pieniądze mam w prawym bucie. Pochylił się, zdjął trzewik i potrząsnął nim.

— Niech pan to podniesie — nakazał sierżant. Smith podniósł i podał policjantowi dziesięć sztuk pięćdziesięciodolarowych.

— Bud, jedź za nami — powiedział sierżant. — A pan, panie Kowalski, niech nam pan pokaże, gdzie leży Montooth.

— Ja chciałbym umrzeć, panie sierżancie — wyszeptał Smith. — Nie boję się śmierci, bylebym tylko nie umierał, jak mój ojciec. Strasznie cierpiał i powoli umierał.

— Pan chciałby, żeby kat uwolnił pana od cierpień.

— Zaraz za zakrętem musimy skręcić w lewo — objaśnił Smith. — Ma pan rację, sierżancie. Niczego innego nie pragnę tylko zwiać z życia. Cierpię na tę samą chorobę, co i ojciec. Zjawiły się już pierwsze symptomy. A ja nie jestem na tyle odważny, aby to znieść. Nie mam także tyle siły, żeby popełnić samobójstwo. Niektórzy ludzie potrzebują do tego pomocy innego człowieka. Podobnie jak...

— Jak kto?

— ...człowiek, którego kiedyś poznałem — odpowiedział Smith.

Przy zwłokach Montootha wysiedli wszyscy trzej. Sierżant oświetlił trupa.

— Martwy. — stwierdził sierżant. — Kowalski, pan go zamordował, bo pan sam chciał umrzeć. Umyślnie jechał pan zbyt szybko, żebyśmy pana zatrzymali i aresztowali. Czy tak?

— Nazywam się Bob Smith — powiedział włóczęga. — Niech mi pan pozwoli umrzeć pod moim nazwiskiem — uśmiechnął się. — Będzie to szybka śmierć. Błyskawiczna.

— Pan się myli, panie Kowalski — powiedział sierżant. — Pan zajechał za daleko na północ. Jeżeli chciał pan usiąść na elektrycznym krześle, powinien pan był — jeżeli tak można powiedzieć — zamordować Montootha o jakieś sto kilometrów na południe, gdzieś w stanie Indiana. A tak jest pan już od dobrej godziny w stanie Michigan, panie Kowalski. A w stanie Michigan kara śmierci została zniesiona. U nas mordercy skazywani są na dożywotnie więzienie.

„Alfred Hitchcock's Mystery Magazine" **Przeł. M. Ziemski**

DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW

P a w e ł e k z zapałem asystował robotnikom, którzy robili coś na podwórku i przy okazji trochę im przeszkadzał. Wreszcie przychodzi do babci i mówi:

„Wiesz, ten pan na podwórku powiedział mi — przyjacielu". „Bardzo ładnie ci powiedział" — komentuje babcia. Pawełek zachwycony: „Właśnie! Zjeżdżaj już stąd, przyjacielu — powiedział".

●

J a ś do matki:

— Nie pójdę więcej do szkoły.

— Dlaczego?

— Bo nie umiem czytać i pisać, a pan nauczyciel zabrania także rozmawiać. Więc co mam robić?

●

D w a j u c z n i o w i e rozmawiają na przerwie:

— Na biologii była klasówka z anatomii i Kowalski dostał dwóję.

— Dlaczego?

— Bo ściągał. Nauczycielka złapała go, jak liczył sobie żebra.

●

M a ł y c h ł o p i e c, przyglądając się nowo narodzonemu płaczącemu bratu, pyta babcię:

— Czy to prawda, że dostaliśmy go z nieba?

— Tak.

— No to nic dziwnego, że go zrzucili.

●

D z i e w c z y n k a przychodzi podniecona do przedszkola i mówi do wychowawczyni:

— Mamy w domu malutkiego nowego dzidziusia. Proszę przyjść zobaczyć go.

— Bardzo chętnie, ale poczekam aż twoja mamusia całkiem wyzdrowieje.

— Niech się pani nie boi, to nie jest zaraźliwe.

●

M a t k a robi córce wymówki. W pewnej chwili córka mówi rozgoryczona:

— Dobrze, mamo, ale przypomnij sobie czasy, gdy ty miałaś 20 lat i chodziłaś na spacery z chłopcem. Czy nie zdarzało ci się robić jakichś głupstw? Matka po dłuższym zastanowieniu;

— Mnie się nie zdarzało. Ale memu chłopcu — tak!

„Szpilki", „Kobieta i Życie"

WIELKI SKOK

CLERKY PRZEMKNĄŁ skulony pod drzewami i wyszedł na ciemną, cichą ulicę. Whisky rozgrzała go i dodawała fałszywej odwagi.

— Ja im pokażę — oświadczył krzakom, obok których właśnie przechodził. — Litują się nade mną... nie jestem wcale gorszy od nich — dodał jeszcze z goryczą.

Najgorszy był Stary Larson. Oparł się o kontuar baru i chichotał, rżąc przez swój długi nos. Zawsze napuszczał pozostałych. To przecież on pierwszy przezwał go „urzędasem". I tak go od tego czasu nazywali.

— Popatrzcie na niego — naigrawał się. — Wystrojony w granatowy garniturek i sztywny biały kołnierzyk... wygląda w tym, jak magistracki poborca. Urzędas... — zakaszlał się aż ze śmiechu. — Clerky „Urzędas".

— Nic łatwiejszego — chełpił się Clerky — włamanie... Każdy to potrafi!

Natychmiast uświadomił sobie, że to whisky mówi przez niego, a nie on sam. Ale stało się: podjął zobowiązanie. Uciekł więc od atakujących go drwin, późnym autobusem dojechał do końcowego przystanku, nie zdając sobie nawet sprawy z celu tej wyprawy. Chciał tylko dostać się na jakieś dalekie, ciemne przedmieście. Zszedł z jasno oświetlonej dzielnicowej ulicy handlowej i skuszony sylwetkami wysokich kominów i spadzistych dachów skręcił w tę aleję wysadzaną drzewami. Wybrał największy z domów i ukrył się wśród krzewów żywopłotu, wyznaczającego linię ulicy.

Zegar wybił kwadrans.

CLERKY WYPROSTOWAŁ SIĘ, przecisnął przez krzaki i dotarł do murku ogrodzenia. Podciągnął się, przerzucił i zeskoczył na łagodzącą upadek poduchę suchych liści. Znów się skulił, nadsłuchując i rozglądając się wkoło. Przez chwilę wydało mu się, że w jednym z parterowych okien zamigotało jakieś światełko, ale uznał, że to po prostu złudzenie.

Pochylony przebiegł przez trawnik, a następnie — przez żużlową dróżkę. Przywarł do chropowatej, kamiennej ściany, mając teraz okna i z prawa, i z lewa. Wysokie, długie okna sięgające podłogi. Jak to nazywają takie okna? Francuskie? Pomacał wzdłuż futrynę, szukając rygla. Okno ustąpiło już pod lekkim naciskiem szukającej dłoni. Nie było zamknięte. Otworzyło się cicho na naoliwionych dobrze zawiasach.

Pokój pogrążony był w ciemnościach, zagęszczonych zapachem starych mebli i stęchłego, tytoniowego dymu. Clerky stał w oknie i odchyliwszy zasłonę usiłował przebić wzrokiem welwetowy mrok. Wstrzymał oddech, nasłuchiwał i wreszcie wszedł ostrożnie do pokoju, puszczając za sobą ciężką zasłonę.

Nagle, w pół kroku zatrzymał go jakiś szmer. Puls zaczął mu galopować... A zaraz potem zapaliło się światełko: mała ścienna lampka, tuż obok jego głowy. Oblała go potokiem przymato-

wiałej jasności, słabo tylko oświetlając resztę pokoju. Mroczne kształty mebli majaczyły na ciemnym tle.

W dalekim kącie olbrzymi, przykurczony potwór biurka, a obok niego jakaś postać z ramieniem wzniesionym ku ścianie i palcami wciąż zapewne spoczywającymi na przełączniku. Potem rozległ się głos; głos kobiecy, spokojny, ale zdradzający napięcie.

— Stać na miejscu, nie ruszać się...

CLERKY WIDZIAŁ JUŻ teraz dokładniej. Była wysoka i smukła. Tylko jej twarz pozostała bladym owalem bez żadnych rysów.

— Niewielki z ciebie mężczyzna... Stop! — ostrzegła, kiedy cofnął się o krok. — Mówiłam, żeby stać spokojnie. Nie jestem bezbronna, ale nie chcę uczynić panu krzywdy.

To był sposób mówienia kobiety wykształconej, a jednocześnie — pozbawionej strachu i pewnej siebie. Ale wciąż dawało się w jej głosie wyczuć tonację napięcia.

Clerky zdawał sobie sprawę ze swojej niepomyślnej sytuacji. On w blasku światła, ona bezpieczna, nie zagrożona — w mroku.

— A tego... — odezwał się wreszcie — o co idzie?

— To już trochę lepiej — zauważyła kobieta. — Przez chwilę myślałam już, że gotów pan popełnić jakieś szaleństwo. A to nie miałoby sensu. Jest pan chyba włamywaczem, co?

Ten jej głos.... Uprzejmość pomieszana z zainteresowaniem. Clerky stwierdził, że drży. Sytuacja stawała się zbyt skomplikowana. Nie podobało mu się jej zachowanie. Coś w nim było nienaturalnego. Ludzie zaskakujący w swoim domu włamywacza nie zachowują się w ten sposób. Z takim spokojem... Chyba że...

Tak, to możliwe. Bawiła się jego kosztem, a pewno już zaalarmowała policję. Po prostu przetrzymuje go tutaj, aż tamci...

— Pani tu tak specjalnie... — zarzucił jej. — Widziałaś pani, jak tu szłem...

— Widziałam, jak pan wchodził — przyznała. — Stałam przy oknie i widziałam, jak przechodził pan przez murek. Wyglądał pan tak, jakby nie miał pan w tym wielki' praktyki. Żal mi pana było. Dlatego otworzyłam okna.

— Otworzyłaś pani okna, żebym ja mógł wejść?

— Naturalnie — teraz w jej głosie zabrzmiała nuta drwiny. — Ale pan tego nie zrozumie. Nie sądzę, żeby spodziewał się pan pomocy?

CLERKY MRUKNĄŁ — O co idzie? — Czego pani chce?

Coś nierealnego było w tym wszystkim, coś, co mogłoby się tylko przyśnić. Żałował już, że ona nie zachowuje się inaczej, że nie wzywa policji, nie wrzeszczy o pomoc. Wszystko, byle nie to jej spokojne gadanie.

— Niczego nie chcę — odpowiedziała. — Włamał się pan tutaj, żeby kraść. Proszę bardzo, zabieraj się pan do roboty — śmiała się — kradnij pan!

— Nie kapuję — przyznał niemrawo.

— Mówiłam, że pan tego nie zrozumie — stwierdziła już ze zniecierpliwieniem. — Powiedzmy, że gotowa jestem pomóc panu w przywłaszczeniu części skarbów mego męża. Ja nie mogę już znieść jego widoku, kiedy bawi się tymi swoimi zegarkami. Codziennie przychodzi do tego pokoju i kręci się przy nich jak sęp.

— Przy zegarkach? — zdziwił się Clerky.

— A pan nie po to przyszedł? Nie po jego zegarki? Nic pan o nich nie wie? Tak na ślepo trafił pan akurat do tego domu?

— Jeszcze nigdy nie byłem na takiej robocie — przyznał się zaskoczony Clerky. — Nie wiedziałem, że w tym domu jest coś specjalnego.

— Pierwszy występ i od razu tyle szczęścia... — znów to drwiące brzmienie w jej głosie. — Nie widzi pan tej gabloty przy ścianie... Na lewo od pana. Tam są te najcenniejsze. Duma jego kolekcji: złote i wysadzane kamieniami.

— Złote — jęknął Clerky.

— Tak, stara złotnicza robota. A niektóre wysadzane brylantami i rubinami. Zabierz je sobie — powiedziała rozkazująco. — Napełnij sobie nimi kieszenie.

CLERKY DOTKNĄŁ drżącą ręką zimnego szkła. Nie chciał tych zegarków, nawet jeśli były ze złota i wysadzane brylantami. Nie chciał nic brać z tego domu. Żeby

tylko mógł wydostać się stąd, wyjść na ulicę i zwiać...

— Gablota jest zamknięta — odezwała się znów kobieta swoim złowrogim szeptem. — Nie spodziewał się pan chyba, że będzie otwarta. Rozbijże to szkło... No...

Cicho zbliżyła się do niego. Poczuł zapach jej perfum. Wepchnęła mu coś twardego do ręki.

— To pogrzebacz — wraz z jej szeptem, gorący oddech dotarł do jego ucha. Po chwili znów oddaliła się do tego samego kąta pokoju, w którym stała przedtem.

Zacisnął palce na rękojeści ciężkiego metalowego pręta. Żelazo było ciepłe i lepkie. Ogarnęła go nagle panika i prawie nieświadomie podniósł pogrzebacz nad głowę i następnie opuścił go na najwyższą szybę gabloty. Szkło prysnęło.

— Napełnij sobie kieszenie — powtórzyła swój rozkaz ostrym głosem.

Sięgnął ręką poprzez otwór w popękanej szybie, wyczuł chłodne, grube kształty, wydobywał je i wpuszczał do kieszeni.

Ponownie znalazła się obok niego.

— To za twoją pomoc... — objęła go ramionami, ręce opierając mu na karku i na moment przywarła do niego.

Ze zdziwieniem spoglądał, jak oddalała się w stronę biurka. A zaraz potem wszystkie światła rozbłysły nagłą jaskrawością i pokój ożył jakby zalany blaskiem reflektorów.

Kobieta stała obok biurka, przymrużając oczy porażone jasnością. Miała na sobie czerwony, jedwabny szlafrok przewiązany ciasno paskiem. Ciemne, faliste włosy otaczały delikatny owal twarzy. Jedna ręka spoczywała na słuchawce telefonu, w drugiej trzymała rewolwer: krótki iskrzący się kawałek metalu wycelowany w niego. I nie odwracała wzroku od Clerky'ego, nakręcając numer tarczą aparatu.

— Policję! — wołała w tubkę mikrofonu. — Połączcie mnie szybko z policją!

— Ej! — zaprotestował przerażony Clerky.

Ona uniosła tylko nieco lufę rewolweru.

— Nie ruszać się — ostrzegła, a po chwili z pośpiechem mówiła do telefonu — Policja? Szybko... jak najszybciej... — głos jej łamał się, ale oczy pozostały zimne i pewne siebie. — Mój mąż... zamordowano go... Nazwisko Willoughby, dom „Pod Gołębiem"... Tak, ten. I pośpieszcie się, proszę! Odłożyła słuchawkę.

CLERKY ZACISNĄŁ RĘKĘ jeszcze mocniej na rękojeści pogrzebacza. Próbował uporządkować myśli, usiłował pojąć co się dzieje. Ogarniały go jedna po drugiej fale trwogi.

— Jak dotąd wszystko w porządku — stwierdziła spokojnie kobieta i wyciągnęła rękę, żeby nacisnąć guzik dzwonka. — Żal mi nawet pana — uśmiechnęła się lekko. — Wygląda pan dość sympatycznie...

Clerky odzyskał głos.

— Ej! — zawołał. — Co się dzieje? Co pani szykuje?

— Krew ma pan na marynarce — oświadczyła takim tonem, jakby zwracała mu uwagę, że pobrudził się wapnem muru. — Wiem, że to ja poplamiłam tę marynarkę... A pogrzebacz, którym go pan zabił, wciąż trzyma pan w ręce. I kieszenie ma pan pełne zrabowanych zegarków. Moje ręce też są umazane krwią... Ale to dlatego, że brałam w nie jego głowę, którą pan...

— Pani go zabiła! — zrozumiał wreszcie Clerky „Urzędas".

— Oczywiście — westchnęła. — Zasłużył sobie na to ten stary głupiec. Ale kto ci uwierzy człowieku, po tym, jak ja przedstawię moją wersję tego, co tu zaszło?

Otworzyły się za nią drzwi. Ukazał się w nich siwowłosy mężczyzna w palcie narzuconym na pidżamę w paski.

— Wilson — wykrztusiła histerycznie kobieta, dostosowując się natychmiast do nowej sytuacji — dzięki Bogu żeście przyszli. — Zachwiała się i rękę uniosła do czoła. — Słabo mi... Boję się, że zemdleję... Telefonowałam już po policję... To on, on zamordował go...

Oderwała się od biurka, zrobiła parę chwiejnych kroków i opadła na fotel. Wtedy przerażony wzrok Clerky'ego padł na skurczoną postać leżącą przy drzwiach. Krwią poplamiona pidżama, pozlepiane skrzepem włosy, rozrzucone ramiona, nogi podkulone bezkształtnie pod zwalistą masą ciała. I ciemna plama zmatowiałej krwi na podłodze tuż przy głowie zabitego.

Clerky popatrzył na pogrzebacz, który dzierżył tak mocno w dłoni. Na nim też była krew... Krew i włosy.

* * *

Inspektor potarł energicznie podbródek.

— A więc... — powiedział, jakby zapowiadał z estrady — Clerky „Urzędas". Kto by pomyślał?

Stał w samym środku pokoju, potężny mężczyzna, wyglądający teraz jesz-

cze barczyściej w granatowym płaszczu narzuconym na szerokie ramiona.

Kobieta łkała cicho, przygarbiona w fotelu, z chusteczką przyciśniętą do ust. Za nią stał mundurowy sierżant, na którego twarzy rysowała się mieszanina współczucia i grozy.

Z okna zdjęto zasłonę i zakryto nią ciało.

CLERKY WYCHILIŁ SIĘ do przodu z rękami zwisającymi luźno między kolanami.

— Ja tego nie zrobiłem — powiedział tępo.

— A ta twoja historia — ciągnął dalej inspektor, nie zwracając uwagi na słowa kieszonkowca. — W całej mojej karierze policyjnej...

Przerwał i wzruszył ramionami.

— Nie tknąłem nawet tego starego piernika — mówił Clerky opuściwszy głowę i kierując swe słowa ku dywanowi. — Wszystko było, jak powiedziałem. Był już załatwiony, kiedy tu przyszłem.

— A ten pogrzebacz, który trzymałeś w ręku? — przypomniał bez gniewu inspektor. — Nie mówiąc już o krwi na marynarce. A na tę gablotę to wpadłeś przypadkowo i zegarki same spłynęły ci do kieszeni, co?

— Ona wpakowała mi pogrzebacz do ręki — stwierdził Clerky. — Ona powiedziała, żebym wziął zegarki.

Klepał słowa, jak gdyby zrezygnowany już i pozbawiony wiary w możliwość ratunku. Podniósł głowę i spojrzał na pochlipującą kobietę.

— Ona to zrobiła — wskazał nosem w jej stronę. — Sama powiedziała, że to zrobiła. Zapytaj się pan jej. Zrób pan coś, żeby powiedziała prawdę.

Kobieta spojrzała na inspektora, jakby błagała go bez słów o zakończenie tej tragifarsy. „Zostawcie mnie z moim smutkiem" — zdawały się prosić jej oczy.

— A krew na twojej marynarce? — nie ustępował inspektor.

— To wtedy, kiedy mnie objęła... specjalnie mnie objęła...

Inspektor obserwował badawczo udręczoną, bladą twarz i krwawe plamy na przodzie marynarki. Potem podszedł do niego na kilka metrów, zatrzymał się za krzesłem, na którym siedział złodziejaszek i oparłszy dł[illegible]e na połyskującym oparciu wpatrywał się w granatową cyklistówkę, przekrzywioną na głowie „Urzędasa".

— Znam cię już sporo czasu — mówił — i niejeden raz cię już przyłapywałem. Wydawało mi się, że potrafię oceniać ludzi, a nigdy bym przecież nie uwierzył, że mógłbyś...

Odwrócił się do kobiety.

— Pani zaprzecza tym jego zeznaniom? — zapytał.

— Usłyszeliśmy jakieś odgłosy z dołu — odpowiedziała niemal szeptem, ocierając łzy spływające po twarzy — i mój mąż zszedł tutaj, a ja udałam się za nim, kiedy tylko nałożyłam szlafrok. Gdy przechodziłam przez hall usłyszałam hałas szamotania się i głos mego męża wykrzykującego jakieś słowa, których nie zrozumiałam... Kiedy weszłam do tego pokoju, leżał już tutaj, a ten człowiek wychodził właśnie przez okno. Wciąż trzymał jeszcze w ręku pogrzebacz.

Przerwała, pocierając dłońmi czoło.

— Wszystko co nastąpiło potem było jak senna mara. Wiem, że wyjęłam rewolwer z ręki męża i wycelowałam w tamtego... Następnie uklękłam przy nim... przy moim mężu... Ale on już nie żył. I wszędzie była krew, mnóstwo krwi. Zamazałam sobie nią ręce...

Urwała, wstrząsana dreszczami; sierżant usiłował pocieszyć ją, składając dłoń na jej ramieniu.

— To musiało być straszne — stwierdził inspektor, jakby przepraszał za wnikanie w szczegóły. — Przykro mi, że musimy w takiej chwili męczyć panią tymi wszystkimi pytaniami... Sądzę jednak, że sprawa jest już jasna. Jeszcze tylko dla porządku... Twierdzi pani, że nigdy nie dotykała pani tego człowieka?

— Mordercę? Splamionego krwią mego męża? — oburzyła się, a oczy znów napełniły się łzami. — Nawet się do niego nie zbliżałam.

— A te odciski palców z tyłu jego sztywnego kołnierzyka? — zastanawiał się jakby głośno inspektor. — Bardzo wyraźne odciski dwóch zakrwawionych palców?...

Odchylił głowę i z zawodowym zainteresowaniem przyglądał się dwum brudnym plamom na białym, sztywnym kołnierzyku „Urzędasa".

— Ciekawe co się okaże: czyje to są odciski... — wciąż patrzył z zadumą na brunatne, krwawe plamy.

„London Mystery Magazine"

Tłum. Marian Kozłowski

10 bestialskich intelektualistów

Zaszczuta przez gończego psa, wyczerpana ucieczką, piękna łania potknęła się o ścięty pień drzewa. W tym właśnie momencie ujrzała stado świń, pędzonych na ściernisko w pobliżu lasu. Przez chwilę stała nieruchoma, jakby się zastanawiając, po czym nagłym skokiem znalazła się w jego środku. Teraz posuwała się razem z całą gromadą zwierząt, zerkając przez cały czas na zbliżający się las. Wreszcie, gdy znalazła się już bardzo blisko drzew, wyskoczyła nagle i znikła w zaroślach. Zdezorientowany pies zgubił jej ślad i zaczął bez sensu atakować stado świń.

Obserwując tego rodzaju przypadek, uczeni zadają sobie pytanie: czy u łani zadziałała jej inteligencja? Problemami tego rodzaju zajmuje się jedna z nauk biologicznych — etologia, nazywana również zoopsychologią; stara się ona wyjaśnić zachowanie się zwierząt w różnych sytuacjach życiowych.

Współcześni naukowcy są zbyt ostrożni na to, aby wysnuwać pochopne wnioski. Dlatego też raczej unikają określenia „inteligencja" i starają się zastąpić je pojęciem „instynkt", żeby nie stawiać znaku równania między człowiekiem a zwierzęciem. Z drugiej jednak strony pojęcie instynktu jest w dzisiejszym stanie wiedzy jeszcze dość mgliste. Mówi się więc o zwierzęcej zdolności przystosowania się do nowych warunków, przeciwstawiając ją biologicznemu zaprogramowaniu.

Uważało się np. powszechnie, że zwierzę obdarzone niesłychanym wdziękiem — szympans należy do najinteligentniejszych stworzeń, zaraz po człowieku. Okazuje się, że wychowywany w domu od „niemowlęcia", zdradza większe zdolności do uczenia się niż jego ludzki rówieśnik. Z chwilą jednak, gdy ludzkie dziecko zaczyna mówić, następuje nagły przełom i szympans jest w „wyścigu umysłowym" coraz bardziej dystansowany. Z drugiej strony, eksperymenty przeprowadzone wskazują na większą niekiedy spostrzegawczość szympansa niż dorosłego człowieka.

Jeszcze większe rewelacje opowiada się o pawianach. Te bardzo zgrabne i zwinne małpy znane są z „bystrości umysłu". Wielu uczonych afrykańskich sądzi, że potrafią one nawet... mówić. Obserwowano niedawno pewnego pawiana, który porwał Buszmenom dziecko, unosząc je ze sobą na wierzchołek drzewa. Zniósł je jednak posłusznie na ziemię, kiedy rodzice zaczęli go o to prosić w „jego języku".

Największym konkurentem szympansa — o ile chodzi o poziom inteligencji wśród zwierząt — jest delfin. Legendy na temat ich wyczynów umysłowych sięgają 2 tys. lat wstecz.

Porównywanie inteligencji zwierząt jest zadaniem bardzo trudnym. Prawie dla każdego ich gatunku trzeba by opracować indywidualne testy. Jak bowiem można porównywać zdolność jednych zwierząt do szybkiego wydostania się z labiryntu z umiejętnością zgrabnego uchwycenia jakiegoś przedmiotu z gęstwiny gałęzi u innych?

Pozostaje jedyna, najbardziej obiektywna metoda porównawcza: waga mózgu, a ściślej mówiąc — stosunek jego ciężaru do masy całego ciała. Wieloryby mają co prawda mózg największy wśród przedstawicieli świata zwierzęcego, ale też mózg ten musi kontrolować ciało, ważące więcej niż 100 ton. Oznacza to, że tylko niewielka liczba komórek mózgowych spełnia zadanie, które moglibyśmy nazwać „zachowaniem się rozumnym". Za to

mózg delfina, ważący ok. 1,8 kg rządzi ciałem o ciężarze tylko ok. 136 kg, co stanowi proporcje bardzo zbliżone do ludzkich!

„Piękny, bo wielki!" — powiadają o słoniu prymitywne plemiona w dżungli, którym imponuje przede wszystkich wielkość i siła. Ale czy równie mądry? Odpowiedź — bardzo trudna. Mózg jego waży prawie 4 razy więcej niż ludzki, ale ciało 46 razy więcej! Zdania co do jego inteligencji są podzielone. Słyszy się o niej nieraz wprost fantastyczne anegdoty. Jeden z badaczy tropików, widział kiedyś słonia, którego właściciel kazał mu ująć w trąbę włócznię. Zwierzę podniosło ją, pokazując wszystkim triumfalnie swoje umiejętności. „Obróć ją!" — polecił Hindus; słoń wykonał natychmiast i ten rozkaz. Inny badacz życia słoni twierdzi jednak, że zdolności umysłowe słonia są podobne do końskich. A przecież ci ludzie, którzy nie mają zbytniego sentymentu dla piękna koni, uważają, że należą one do stworzeń bardzo tępych.

Etolodzy zgadzają się tylko co do jednego: o ile chodzi o inteligencję, ssaki wiodą pośród zwierząt prym. Ale i tu spotykamy wyjątki. Jedną z cech inteligencji człowieka ma być umiejętność posługiwania się narzędziami. A przecież na wyspach Galapagos żyje ptak-rzemieślnik, który obrabia sobie specjalny patyczek do wydłubywania owadów spod kory drzew.

Wielu obserwatorów życia ptaków skłania również głowy przed mądrością kruków i gatunków z nimi spokrewnionych. „To nie sztuka zabić kruka!" — powiada ludowe porzekadło, ale całkiem niesłusznie. Ptak ten bowiem, lśniący płaszczem z czarnych piór, niejednego już myśliwego wystrychnął na dudka. Każdy kruk np. doskonale wie, jaki jest zasięg strzału broni palnej. Ornitolodzy utrzymują, że jest to nie instynkt, ani też „biologiczne zaprogramowanie", ale coś więcej, coś podobnego do sztuki naśladowania dźwięków np. u papug i innych przedstawicieli skrzydlatej rodziny.

Umiejętność rozwiązywania problemów nie jest jedynym wskaźnikiem inteligencji, jak to mniema człowiek. Do wysokiego rzędu wyczynów umysłowych należy np. zaliczyć zdolność organizowania sobie „wyszukanych" rozrywek. Stąd szczególna skłonność wydr do urządzania zabaw, każe je zaliczyć do najbardziej inteligentnych zwierząt. Potrafią na przykład przez kilka godzin ślizgać się, jak dzieci, na specjalnie przygotowanym przez siebie „torze" śniegowym lub błotnym. Zaobserwowano przy tym, że w swoich grach posługują się one różnymi regułami. W jednej z miejscowości w Indiach obserwowano zespół sześciu wyder, które razem łowiły ryby. Każda z nich, po schwytaniu sztuki wracała na ląd i składała ją na brzegu, po czym dołączała z powrotem do ekipy.

Z całej tej rodziny, wyposażonej w piękne futra — przedmiot marzeń niejednej ludzkiej elegantki — na szczególne wyróżnienie zasługują wydry morskie. Kiedyś żyły one na lądzie, ale uciekając przed człowiekiem, który na nie polował od niepamiętnych czasów, przystosowały się do życia w wodzie. I one używają także pewnych

PAMIĘĆ ZWIERZĄT

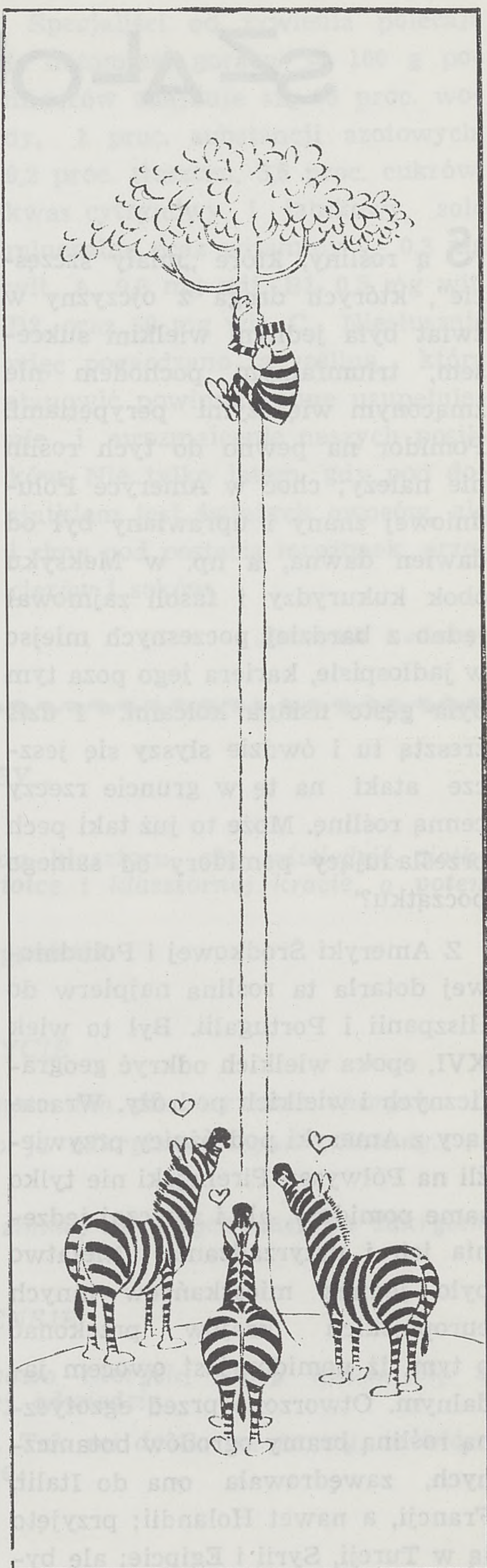
Radziecki fizjolog, Iwan Beritaszwili, uważa, że wszystkie zwierzęta kręgowe mają pamięć — mniej lub bardziej trwałą. Z badań uczonego wynika, że ryby i zwierzęta ziemnowodne zapamiętują obrazy otaczającego świata przez kilka sekund, gady — kilka minut, ptaki — dwa lub trzy dni. Natomiast ssaki, jak kot czy pies, przechowują obrazy czy zdarzenia w pamięci przez kilka miesięcy.

narzędzi. Płynąc na przykład na wznak, umieszczają sobie na brzuchu płaski kamień, który rozłupuje pływające na powierzchni wody ślimaki.

Zdolność wywinięcia się z opresji, to także cecha inteligencji. Tu pierwszeństwo należy oddać kojotom — pięknym wilkom prerii w Ameryce Północnej i Środkowej. Ścigane przez psy, potrafią zawsze wywieść je w pole, działają bowiem w zespołach, których każdy członek ma określone zadanie, jak w dobrze zgranej drużynie sportowej. Najczęściej psy, wyczerpane gonitwą, rezygnują z dalszego pościgu. Znane są wypadki, kiedy zaszczuty kojot wskakuje przed swoimi prześladowcami do pędzącego pociągu towarowego, albo do ciężarówki. Kojoty są także najzręczniejszymi złodziejami pożywienia.

Na zakończenie — jeszcze jedna futrzana piękność: rosomak. Jego wyjątkowa, jakby przemyślana złośliwość w niszczeniu zastawionych na niego pułapek każe go zaliczyć do stworzeń wyjątkowo inteligentnych. Ten ok. 15-kilogramowy drapieżnik potrafi całkowicie zniszczyć sidła, rozwłóczyć ich części, połamać potrzaski, a na koniec — wejść do samej pułapki, żeby dokończyć dzieła zniszczenia. Można by wprost sądzić, że ma on jakieś szczególne zdolności do przejrzenia na wskroś wszelkich urządzeń mechanicznych. Im sprytniejszy potrzask, tym dłużej obchodzi go rosomak, aż wreszcie zrozumie całkowicie jego konstrukcję. Podobne uzdolnienia przejawia szop, z tym — że jest on znacznie sympatyczniejszy od rosomaka.

Etologia znajduje się jeszcze w początkowym stadium swego rozwoju. Bliższe zbadanie inteligencji zwierząt wymaga bowiem dłuższej obserwacji ich zachowania się na wolności, a nie w warunkach sztucznej hodowli. Kiedyś dowiemy się znacznie więcej szczegółów o naszych inteligentnych, bestialskich kuzynach. *„Science Digest"*



SZALONE jabłko

Są rośliny, które „miały szczęście", których droga z ojczyzny w świat była jednym wielkim sukcesem, triumfalnym pochodem nie zmąconym większymi perypetiami. Pomidor na pewno do tych roślin nie należy; choć w Ameryce Południowej znany i uprawiany był od dawien dawna, a np. w Meksyku obok kukurydzy i fasoli zajmował jedno z bardziej poczesnych miejsc w jadłospisie, kariera jego poza tym była gęsto usiana kolcami. I dziś zresztą tu i ówdzie słyszy się jeszcze ataki na tę w gruncie rzeczy cenną roślinę. Może to już taki pech prześladujący pomidory od samego początku?

Z Ameryki Środkowej i Południowej dotarła ta roślina najpierw do Hiszpanii i Portugalii. Był to wiek XVI, epoka wielkich odkryć geograficznych i wielkich podróży. Wracający z Ameryki podróżnicy przywieźli na Półwysep Pirenejski nie tylko same pomidory, ale i zwyczaj jedzenia ich i przyrządzania. Niełatwo było jednak mieszkańców innych europejskich krajów przekonać o tym, iż pomidor jest owocem jadalnym. Otworzono przed egzotyczną rośliną bramy ogrodów botanicznych, zawędrowała ona do Italii, Francji, a nawet Holandii; przyjęto ją w Turcji, Syrii i Egipcie; ale była przede wszystkim ciekawostką, a nie rośliną dającą jadalne owoce.

Bano się ich, a i pierwsze łacińskie nazwy, jakie się im dostały, wcale nie zachęcały do jedzenia. „Szalone jabłko" — „Malum insanum" przywoływało na myśl trujące owoce mandragory, tak właśnie zwane w czasach starożytnych; „złote jabłko o smrodliwym zapachu" — „Mala aurea odore foetido" brzmiało równie odpychająco. Niewiele lepsza i bardziej przychylna była dla pomidorów oficjalna nazwa, jaką nadali jej botanicy: „Psianka wilcza brzoskwinia". Później „imię" to złagodzono nazywając pomidory „wilczą brzoskwinią jadalną".

Na południu Europy już w XVII wieku nazwa ta znalazła potwierdzenie w praktyce, ale w naszym kraju zaczęto jeść pomidory dopiero w XVIII stuleciu obdarzając je przyjętą od Włochów nazwą „złote jabłko", czyli „pomo d'oro". Stąd zrodziła się później nazwa obecna — pomidor. Daleko jednak było jeszcze wówczas do szerokiej uprawy pomidorów, do wielkich plantacji i do licznych odmian. Z roku na rok, począwszy od XIX wieku, pomidor zdobywał coraz więcej miejsca w ogrodach warzywnych i na polach przekształcanych w

plantacje tej rośliny. Gdy zaś święcić już zaczął triumfy, kolej przyszła na następne ataki.

Zarzuty były różnorakie, ale żaden z nich nie zdołał się utrzymać; wszystkie były nieuzasadnione i niesłuszne. Twierdzono, że pomidory wywołują choroby serca, że będąc źródłem szczawianów, prowadzą do rozwoju chorób reumatycznych, że, wreszcie, przejawiają działanie rakotwórcze. Ten ostatni zarzut ponawiano parokrotnie w ciągu ostatnich dziesiątków lat, ale i on nie ostał się w konfrontacji z doświadczeniami przeprowadzonymi przez naukowców.

Specjaliści od żywienia polecają je natomiast gorąco. W 100 g pomidorów znajduje się 93 proc. wody, 1 proc. substancji azotowych, 0,2 proc. tłuszczu, 3,5 proc. cukrów, kwas cytrynowy i jabłkowy, sole mineralne oraz witaminy — 0,3 mg wit. A, 0,8 mg wit. B1, 0,5 mg wit. B2, oraz 30 mg wit. C. Niesłusznie więc pogardzano tą rośliną, która stanowić powinna cenne uzupełnienie i urozmaicenie naszych posiłków. Nie tylko latem, gdy pod dostatkiem jest świeżych owoców, ale i zimą pod postacią mrożonek, przecierów i soków.

„Dziennik Ludowy"

GDYBY...

Włoski chłopiec udał się z matką do klasztoru, aby odwiedzić ciotkę zakonnicę. Z uwagą przygląda się ciotce i klasztornej kracie, a potem pyta matkę:

— A co by się stało, gdyby ją tak wypuścić?

ODKRYCIE

Rozmawiają dwaj pensjonariusze sanatorium dla nerwowo chorych.

— Jestem słynnym podróżnikiem. To ja odkryłem biegun północny.

— Na pewno?

— Oczywiście. Tylko było tam tak zimno, że natychmiast go zakryłem.

PRETENSJE

Pensjonariusz sanatorium dla nerwowo chorych, który uważa się za drzewo, skarży się żonie podczas jej odwiedzin:

— Przybył tu wczoraj nowy pacjent. Tak mi działa na nerwy, że któregoś dnia sprawię mu porządne lanie.

— Ale dlaczego?

— On się uważa za psa!

SPUTNIKI XVIII WIEKU

- *Pojazd zapięty na 1800 guzików...*
- *Profesorowi nie chce się jechać w teren...*
- *Montgolfiera kontra szarliera...*
- *De Rozier staje na progu nieba...*
- *Brzoskwinie fruwają po salonie...*
- *Latająca dama do wszystkiego...*
- *Bożyszcze tłumów ląduje bez spodni...*
- *Rozjera nie wraca na ziemię...*

Bez przesady można zaryzykować stwierdzenie, że dla ludzi epoki Oświecenia pierwsze starty balonów — „bań powietrznych", jak je wówczas nazywano — znaczyły tyle samo, co dla nas pojawienie się na orbicie okołoziemskiej pierwszych sztucznych satelitów. Wynalazek był tak niezwykły i tak poruszający umysły, że władze francuskie uważały za konieczne wyjaśnić publicznie znaczenie balonowych eksperymentów i uprzedzić wszystkich, „którzy by postrzegli na niebie podobne kule, wydające się jak księżyc zaćmiony, że to nie będą jakie straszne przypadki powietrzne, ale jedynie machiny robione zawsze z kitajki lub płótna lekkiego, papierem powiedzionego, które nie tylko nic złego nie mogą uczynić, ale z czasem będą mogły stać się pożytecznymi w potrzebach towarzystwa ludzkiego".

Na razie jednak „towarzystwo ludzkie" pasjonowało się samym faktem oderwania się bani powietrznej od ziemi, a dodatkowo — rywalizacją dwóch typów balonów, trwającą niemal od momentu narodzin tego wynalazku aż do końca XVIII stulecia. Pierwszym z nich była napędzana rozgrzanym powietrzem „montgolfiera" słynnych braci Montgolfier z Annonay pod Lyonem, drugim — wypełniona wodorem „szarliera", dzieło profesora Jacquesa Charlesa.

Okoliczności pojawienia się tej ostatniej są tak oryginalne, że warto je przypomnieć. Otóż, kiedy dotarła do Paryża sensacyjna wieść o wzlocie balonu braci Montgolfier w czerwcu 1783 r. (przy okazji: do połączenia papieru z płótnem wynalazcy użyli 1800 guzików!), paryska Akademia poleciła zbadanie wynalazku wybitnemu uczonemu, prof. J. Charlesowi. Wybór ten stał

się przyczyną paradoksalnego, a jednak prawdziwego zdarzenia. Charles był człowiekiem bystrym i uciążliwą podróż dla zapoznania się na miejscu z faktami uznał za niepotrzebną stratę czasu. Na podstawie ogólnikowych relacji doszedł do wniosku (jak się okazało całkowicie błędnego), że nieznany wynalazca użył do napełnienia balonu nowo odkrytego wówczas lekkiego gazu — wodoru. I zrobił taki balon sam, stając się przypadkowo wynalazcą statków powietrznych odmiennego typu. Prototyp balonu Charlesa wypuszczony został w Paryżu 27 sierpnia, w niespełna trzy miesiące po pierwszym historycznym wzlocie. Po trzech kwadransach lotu spadł we wsi Gonesse o 4 mile od Paryża, gdzie wystraszeni wieśniacy roznieśli „złego" widłami.

Tymczasem przybyli do Paryża na zaproszenie Akademii bracia Montgolfier, zbudowali na miejscu kolejny balon i 12 września zademonstrowali go prześwietnemu gronu. Przy okazji wyjaśniło się nieporozumienie, wynikłe ze zbytniej domyślności pana profesora. Podczas kolejnej próby przeprowadzonej przez Montgolfierów w Wersalu w obecności króla, bania z pałającym powietrzem uniosła po raz pierwszy żywe stworzenia: barana, koguta i kaczkę. Ponieważ wróciły żywe i „zgoła nie zdziczały", zaczęto przemyśliwać o podróży powietrznej człowieka. Kandydatów nie brakowało, ale dobroduszny Ludwik XVI nie chciał się zgodzić na ryzykowanie życia ludzkiego. Dla dobra nauki zdecydował się wreszcie wysłać balonem do nieba dwóch przestępców, ale wyperswadowali mu ten zamiar ci, którzy uczestniczenie w tak historycznym locie uważali za zaszczyt. Ostatecznie na pierwszych aeronautów wyznaczono prof. Pilatre de Roziera, palącego się do tej wyprawy, i markiza François d'Arlandes.

Uwieńczony sukcesem lot odbył się 21 listopada. Francuzi szaleli z radości i zaraz tego samego wieczora — jak relacjonował paryski korespondent „Gazety Warszawskiej" — „otworzono Subskrybcją na bicie Medalu Złotego dla tych pierwszych na świecie Powietrznych Marynarzów, oraz na wystawienie Piramidy na miejscu, gdzie się z powietrza spuścili, z Napisem dokładnym, to Doświadczenie wyrażającym. Literaci i Mechanicy najpierwsi podpisali, za których przykładem i inni poszli".

Ludzkość wkroczyła w nową epokę, a entuzjazm tłumów osiągnął szczytowe nasilenie. W tej atmosferze 1 grudnia 1784 r. stanął znów na starcie ze swoim balonem wodorowym prof. Charles, który — mimo że go znów uprzedzono — nie dawał za wygraną. Poleciał ze starszym z braci Robert — budowniczych balonów jego projektu — a w pół godziny po szczęśliwym wylądowaniu wzleciał ponownie, już sam. Królewskie zezwolenie na lot wymusił oświadczeniem, że albo swoją bania poleci, albo w łeb sobie strzeli. Po tym samotnym locie podobno jednak nigdy już więcej do balonu nie wsiadł...

Statek powietrzny Charlesa był już balonem niemal nowoczesnym. Jego powłoka wykonana była z gumowej tkaniny i opleciona siatką, na której zawieszono kosz. Ponadto wyposażony był we wszystkie niezbędne do bezpiecznej żeglugi urządzenia: klapę umożliwiającą wypuszczanie gazu z powłoki, balast oraz barometr do pomiarów wysokości lotu. Pod względem technicz-

PRZEKŁAD

Po zainstalowaniu komputera na Uniwersytecie w Toronto (Kanada) poddano go próbom. Zadaniem było przetłumaczenie z greckiego na angielski zdania z Biblii: „Duch silny, ale ciało mdłe". Oto przekład komputera: „Zaleca się spirytus, ale mięso nie jest bardzo świeże".

nym znacznie przewyższał „montgolfierę"; zmodyfikowana i ulepszona metoda Charlesa (m. in. przez zastosowanie gazów niepalnych), stosowana jest do dziś.

Pod koniec roku 1783 próby balonowe przestały być francuskim monopolem. Nad Europą rozbiła się prawdziwa bania z powietrznymi baniami. Szybowały po niebie włoskim, angielskim i oczywiście, polskim, pokazy liczyły się już na dziesiątki. Balony wkroczyły do sztuki i literatury, fruwały też po... salonach, w postaci małych baloników-zabawek, dających okazję do dowcipów i żartów. Bawił się nimi nawet sędziwy kardynał de Richelieu: pewnego razu poczęstował królową wspaniałymi brzoskwiniami, które z jej rąk — ku zdumieniu zebranego towarzystwa — uleciały nagle w górę... Na balonowe szaleństwo nie pozostała obojętna i moda — po locie Vincenza Lunardiego (sierpień 1784), przystojnego sekretarza poselstwa neapolitańskiego w Londynie, krzykiem mody stały się berety „a la Lunardi", szczególnie chętnie noszone przez płeć piękną.

Trzeciego czerwca 1784 r. obiegła świat nowa sensacja: oto w Lyonie wzleciał balon, który miał „honor noszenia na sobie Damy". Była nią Elżbieta Thible. Rozentuzjazmowana prasa donosiła m. in.: „...gdy pan Fleurand Malarz zrobił balon... ofiarowała się do kompanii podróży powietrznej Jej mość Pani Thible i puściwszy się z nim o godzinie 4 wieczornej... przez trzy kwadranse po powietrzu żeglowała; kolega jej Pan Fleurand szczęśliwość tak trudnej powietrznej podróży tej Damie jedynie przypisuje. Ona albowiem przez cały ten latania przeciąg nieustraszona, ona zawsze sobie przytomna, ona na wszystkie okoliczności przezorna, ona do pracy przy rozżarzaniu piecyka nieustanna, ona, słowem mówięc, była do wszystkiego..."

Najsłynniejszym aeronautą XVIII wieka był jednak Jean Pierre Blan-

I RZECZYWIŚCIE...

„Wynalezienie aeroplanu oznaczać będzie natychmiastowe, absolutne i trwałe zniknięcie granic państwowych. Nadejdzie kres armii, wojen, wyzysku i eksploatacji. Będzie to olbrzymia pokojowa rewolucja, która wyzwoli ludzkość".

Wiktor Hugo, w liście do nawigatora balonowego Nadara, 1864

„Nie uważam za prawdopodobne, aby aeronautyka mogła odegrać kiedykolwiek poważniejszą rolę w transporcie osób i towarów... Człowiek nie jest albatrosem".

H. G. Wells w „Wizjach przyszłości", 1902

„Mamy nadzieję, że prof. Langley nie będzie dłużej wystawiał na szwank swego autorytetu, jako wybitnego uczonego przez dalsze marnowanie czasu i pieniędzy na eksperymenty lotnicze. Życie jest krótkie, a prof. Langley może oddać ludzkości usługi bez porównania większe od tych, jakich oczekiwać można po próbach latania".

„Times" z 10 grudnia 1903

„To bardzo ładny sport, ale bez jakiegokolwiek znaczenia dla wojska".

Generał Foch po obejrzeniu pokazu lotniczego w 1910

„Aerodynamika jest bezsprzecznie nauką w pełni empiryczną. Wszelkie prawa zasługujące na wiarę powinny być wysnute z doświadczeń. Nic bardziej niebezpiecznego niż dostosowanie zasad matematycznych do budowy nowych praw fizycznych".

Richardo Brozzi, dyrektor szkoły lotniczej w Lozannie, 1916

chard, który nie dla nauki wprawdzie, ale dla pieniędzy i sławy przemierzył całą niemal Europę, a nawet zawędrował za ocean, urządzając wszędzie pokazy balonowe. W wielu krajach europejskich, m. in. i u nas (1789), a także w Ameryce, był pierwszym człowiekiem, który wzniósł się w przestworza. Jego błyskotliwa kariera zawodowego „oblatywacza" balonów i podniebnego akrobaty rozpoczęła się od słynnego przelotu nad kanałem La Manche.

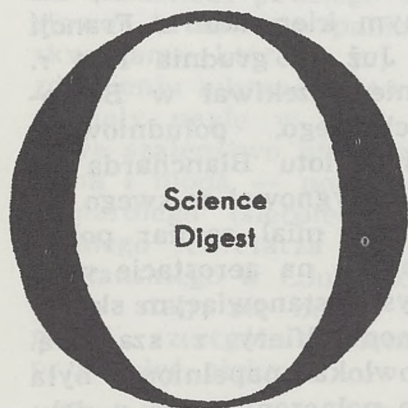
Do sfinansowania tego przedsięwzięcia udało się Blanchardowi nakłonić amerykańskiego lekarza z Bostonu, Johna Jeffriesa. Zapalony balonoman, podchodzący do zagadnienia naukowo, chciał jednak nie tylko płacić, ale i latać, a to już się mniej Blanchardowi podobało — nie miał ochoty dzielić z kimkolwiek sławy pierwszego aeronauty, który pokonał morze. Posunął się nawet do oszustwa: założył pas obciążony ołowiem, aby wykazać, że balon nie podoła dwóm pasażerom. Na nic to się jednak zdało i 7 stycznia 1785 r. wystartowali z Dover obaj na pokładzie szarliery ku brzegom Francji. Spokojny początkowo lot, w dalszej swojej fazie obfitował w dramatyczne momenty. Nieszczelny zapewne balon zaczął się niebezpiecznie obniżać. Aeronauci musieli pozbyć się całego balastu, a gdy i to nie poprawiło sytuacji — wyrzucać z gondoli co się dało. Nerwowy z natury Blanchard wpadł w taką panikę, że w pewnej chwili zdjął spodnie i cisnął je również w morze. Dopiero ta ofiara przebłagała widać nieżyczliwych bogów, bo w tym momencie balon poderwał się nieco i ostatecznie dzielni piloci wylądowali cało ok. 30 km od Calais: po dziś dzień kosz historycznego balonu przechowywany jest w muzeum tego miasta. Niebezpieczna kariera słynnego aeronauty zakończyła się w okolicznościach raczej mało bohaterskich: podczas swojej 66 podróży w r. 1798, w wielkim balonie, którego gondola mieściła 16 osób, doznał ataku apopleksji i wypadł z kosza. Wysokość była niewielka, ale skutki upadku fatalne: nie wrócił już nigdy do zdrowia i latania.

Dokonując przelotu nad La Manche, Blanchard ubiegł swego największego rywala, pierwszego aeronautę świata de Roziera, który również planował lot przez kanał, ale w odwrotnym kierunku: z Francji do Anglii. Już od grudnia 1784 r. bezskutecznie oczekiwał w Boulogne przychylnego, południowego wiatru. Mimo lotu Blancharda de Rozier nie zrezygnował ze swego lotu. Co więcej, miał zamiar pokonać La Manche na aerostacie własnego pomysłu, stanowiącym skrzyżowanie montgolfiery z szarlierą. Kulista powłoka napełniona była wodorem, a połączony z nią u dołu walec miał palenisko, jak w montgolfierze. Pomysł był samobójczy; aż uwierzyć trudno, że de Rozier, mający przecież pojęcie o fizyce i chemii, mógł wpaść na pomysł umieszczenia łatwopalnego wodoru nad ogniem. Piętnastego czerwca 1785 r. powiał wreszcie oczekiwany tak długo wiatr i „Rozjera" poszybowała w górę unosząc swego twórcę i młodego fizyka z Boulogne, Romaina. Był to start ku śmierci. Na wysokości 500 metrów zapalił się wodór i obaj aeronauci ponieśli śmierć na miejscu. Dziwnym zrządzeniem losu, człowiek, który pierwszy podróżował balonem, stał się też pierwszą jego ofiarą.

Wg książki Bolesława Orłowskiego „Przygody pionierów cywilizacji". Nasza Księgarnia, 1970

Łatwiej jest poruszać gałką oczną od lewej strony do prawej niż w kierunku przeciwnym. Chcąc się o tym przekonać, trzeba stanąć na wprost kilku obrazów mniej więcej tej samej wielkości i utrzymanych w tym samym kolorycie. Przeważająca część ludzi zwraca swe oczy najpierw w lewą stronę i przesuwa je w kierunku na prawo.

Angielski malarz, John Constable twierdzi, że większość artystów — działając najzupełniej podświadomie — z lewej strony swych obrazów umieszcza elementy najbardziej dla oka atrakcyjne.



Science Digest

OKO MA DZIWNE ZWYCZAJE

Nasze oczy mają zresztą jeszcze wiele innych upodobań, z których może nawet nie zdajemy sobie sprawy. Spójrzmy na przykład na trzy kąty: kąt prosty, kąt ostry i kąt rozwarty. Który z nich będzie dla oka najprzyjemniejszy? Prawdopodobnie najmniej przypadnie nam do gustu kąt prosty, a to ze względu na instynktowny zmysł proporcji. Wygląd kąta prostego nasuwa podział na równe części, a tymczasem oko chętniej patrzy na części nie równe, ale utrzymane w pewnej określonej proporcji i wydaje się, że naszym oczom najbardziej odpowiada stosunek proporcji, jak 3 do 5.

Czasami jednak oczy nasze wolą symetrię; takim przykładem w pewnej mierze jest ciało ludzkie. Chcemy patrzeć na dwie tej samej długości ręce człwieka, na takiej samej wielkości parę oczu i nie możemy znieść widoku ucha, które jest np. o 3/5 większe od drugiego ucha naszego rozmówcy!

Od dwóch takich samych organów czy członków ciała ludzkiego oczekujemy idealnej symetrii, natomiast szukamy odpowiednich proporcji między poszczególnymi częściami naszej postaci. Spróbujmy sobie wyobrazić człowieka, którego głowa, tułów i nogi do kolan i od kolan byłyby tej samej długości — taki widok raziłby z pewnością nasze oko! Odczuwamy bowiem instynktowną potrzebę pewnych harmonijnych proporcji, co zresztą znajduje wyraz w częstych charakterystykach dotyczących czyjejś figury: mówimy, że ktoś ma „za krótkie nogi w porównaniu z tułowiem" lub „za szerokie ramiona w stosunku do wzrostu"...

Proporcja 3 do 5, która odpowiada w przybliżeniu tzw. „złotemu podziałowi", znana była już w starożytności i jest bardzo często spotykana w różnych dziedzinach sztuki. Jeśli się przyjrzymy pejzażowi, na którym jest niebo, morze i kawałek lądu, w olbrzymiej większości przypadków niebo stanowić będzie ok. 3/8 wysokości obrazu, a morzę 3/5 pozostałej części.

Nie jest też rzeczą przypadku, powiadają specjaliści, w którą stronę kierują się nasze oczy w pewnych określonych warun-

kach czy sytuacjach. Jeśli na przykład wchodzimy po raz pierwszy do jakiegoś pokoju, pierwsze nasze spojrzenie pada na podłogę, chociaż najprawdopodobniej nie zdajemy sobie nawet z tego sprawy. Ma to jednak swoje uzasadnienie. „Uważaj...” — oto słówko, które towarzyszy nam od pierwszych, stawianych samodzielnie kroków i które wyrabia w nas odruch „patrzenia pod nogi”. W wojsku, gdzie ćwiczy się marsz z głową uniesioną do góry i oczyma patrzącymi przed siebie, największe trudności w czasie tych ćwiczeń, mają do pokonania leśnicy i górale. Przyzwyczajeni do nierówności terenu, po którym zwykli się poruszać, nie mogą pohamować, opanować skłonności do spojrzenia na ziemię i sprawdzenia, czy aby noga pewnie stoi!

Ale wracając do zetknięcia z obcym pokojem, to — jeśli nic uderzającego nie przyciągnie naszej uwagi — spoglądamy najprzód na podłogę, potem unosimy wzrok, a oczy przesuwają się w kierunku na prawo. A więc znów — lewa strona jest przez nasze oczy uprzywilejowana. Wielokrotne badania tej właściwości oczu pozwoliły okulistom uniwersytetu w Chicago wyciągnąć interesujące wnioski: większość ludzi nie tylko kieruje odruchowo oczy najpierw w lewą stronę. ale co ciekawsze, z większą wyrazistością widzi to co znajduje się właśnie po lewicy.



Nasze wrażenia wzrokowe nie zawsze zresztą pokrywają się z rzeczywistością, czego doskonałym sprawdzianem jest różny sposób „widzenia” kolorów. Na kilku kawałkach papieru — żółtym, niebieskim, zielonym, czarnym i białym — ułóżmy wąskie paski szarego papieru; chociaż szare paski są identycznego koloru, każdy z nich wydawać się będzie — w zależności od tła — trochę inny. Kiedy spojrzymy na papier czerwony, wrażenie czerwieni będzie dominujące, a szary pasek przez kontrast przybierze pozornie barwę zielonkawą, gdyż kolor zielony jest kolorem dopełniającym czerwonego. Ten sam szary pasek na tle zielonym będzie miał — na tej samej zasadzie — odcień pozornie czerwonawy.

Sposób oddziaływania kolorów na nasze oczy, a pośrednio i na nas samych, jest już dziś powszechnie znany. Najbardziej niepokojącym dla naszego oka jest kolor czerwony. Działa on szczególnie pobudzająco i kojarzy się z wrażeniem ciepła, podniecenia i gwałtownych odruchów. Kolory niebieski i zielony dają poczucie pewności i spokoju, czarny budzi nieufność i zakłopotanie, a żółty wprawia nas w pogodny nastrój.

Spośród różnych odcieni tęczy kolor pomarańczowy jest dla oka najbardziej obojętny — tak przynajmniej twierdzą psychologowie badający te zjawiska.



HIPNOTYZER?

UWODZICIEL?

OSZUST?

AWANTURNIK?

Cagliostro

Któż nie marzy o zachowaniu wiecznej młodości i o tym, aby na dodatek dobry los skierował niewysychający strumień złota do jego prywatnej kabzy? Podobne marzenia nie były obce i warszawiakom oświeconego XVIII wieku, który — mimo swego oświecenia — zafascynowany był ciągle mirażem kamienia filozoficznego czyli sposobu robienia złota z... ołowiu. W nadziei szybkiego „odkucia się" poświęcano na doświadczenia nieraz całe majątki; rezultaty owych alchemicznych zabiegów — jak wiemy — nie przynosiły spodziewanych efektów. W tej sytuacji można sobie wyobrazić podniecenie warszawiaków, gdy raptem zjawia się na stołecznym bruku mąż opatrznościowy, zdolny zrealizować nie tylko te dwa wymienione na wstępie marzenia, ale i wiele innych równie skomplikowanych pragnień. Przybywa wiosną 1780 r. opromieniony legendą i sławą „cudownego" lekarza, który posiadł tajemnicę upragnionego kamienia filozoficznego i eliksiru młodości, wywoływacza duchów, wizjonera, maga i uczonego podróżnika.

Kim był ów niezwykły człowiek, pod którego zniewalającym urokiem damy miękły jak wosk i którego uczonym wywodom ulegały najtęższe męskie głowy? Imię jego utrwalone w pamięci współczesnych i literaturze brzmi: Aleksander hrabia Cagliostro. Nie było to jedyne nazwisko i jedyny tytuł, jaki posiadał; dał się poznać również jako Giuseppe Balsamo i markiz Pellegrino, a Bóg jeden oraz sam „hrabia" tylko wiedzą, pod jakimi jeszcze nazwiskami występował. Giuseppe Balsamo było zresztą podobno jego prawdziwym nazwiskiem; podobno — ponieważ wszystko co „hrabiego" dotyczyło nie było w stu procentach pewne i sprawdzone.

Antoni Magier w swojej osiemnastowiecznej kronice warszawskich wydarzeń pod nieco mylącym nas tytułem: „Estetyka miasta stołecznego Warszawy", taką mu wystawia laurkę: „Józef Balsamo Cagliostro urodził się w Palermie r. 1743. Syn ubogich rodziców, od młodości był oszustem i przebył o tym chlebie Grecją, Egipt, Arabią, Persją, wyspę Rodos i Maltę. W Turczech powiodło mu się najlepiej; wszędzie odmieniając swoje nazwisko. Ożenił się w Wenecji z Lorencją Felicjanną wykradzioną z klasztoru, która podobno bardziej mu była zdolną do jego przebiegów, jak wierną w małżeństwie. (...) Utrzymywał, że był od paru tysięcy lat i śmiało opowiadał tamtejsze zdarzenia, którym był obecny; znał dobrze historią, zdawał się mieć udział w pamięci

jak ów Pic książę Mirandoli i Konkordii *); wreszcie tyle, ile kłamcy potrzeba. Cudowny w uzdrowieniach, gdy w jednym kraju dziecię w powiciu prawie konające do życia przywrócił (podsunąwszy inne zakupione, aby tylko miało tegoż samego koloru oczy). Nie wspominają się nazwiska pań, które go użyły do odmłodnienia twarzy, ani panów, którzy opłacali tajemnicę robienia kamienia filozoficznego.''

Faktem jest, że Cagliostro, nieprzeciętny awanturnik i oszust, odznaczał się równie nieprzeciętną, jak na owe czasy, znajomością chemii, nieprzeciętną inteligencją, znajomością kilku języków, talentem hipnotyzerskim, interesującą aparycją, darem oddziaływania na ludzi i zdobywania sobie ich bezkrytycznego zaufania. W chwili gdy w Petersburgu zaczął mu się palić grunt pod nogami, uznał, że nadeszła pora gościnnych występów w Warszawie. W drodze do Polski zahaczył jeszcze o dwór księcia kurlandzkiego, gdzie — obok niemałych sukcesów finansowych — zdobył względy książęcej kuzynki, panny Elizy von der Reche, względy tak wielkie, że dama gotowa była dzielić z nim dalsze życie. Jak na potrzeby Cagliostra, ofiara była zbyt wielka; wystarczyła mu jedna dozgonna towarzyszka w postaci Lorenzy Feliciani, która nad panną Elizą miała tę przewagę, że nie była zbyt uciążliwa jako żona, była natomiast niezwykle zręczna jako asystentka mistrza, wtajemniczona w dalekie od cudowności arkana jego sztuki. Cagliostro użył też całego swego kunsztu, aby pannie Elizie jej niefortunny pomysł wyperswadować.

Warszawa, jako teren jego kolejnych „cudownych'' operacji, napełniała go ufnością; zarówno polskie społeczeństwo, jak i polski monarcha słynęli przecież w świecie z niezwykłej gościnności i przychylności wobec cudzoziemców. Co do Warszawy Cagliostro się nie zawiódł — przyjęła go owacyjnie; co do monarchy — raczej tak. Stanisław August, na podstawie zasłyszanych o wielkim magu opinii, miał o nim wyrobione zdanie i sławnego mistrza na zamkowe pokoje nie wpuścił. Nie pomogły nawet powiązania Cagliostra (czy prawdziwe?) z lożą masońską, o których starał się w dyskretny sposób króla poinformować. Nie mogąc wejść na zamek główną bramą, starał się Balsamo dostać tam boczną furtką, którą miał mu otworzyć królewski brat, książę Kazimierz Poniatowski, wielbiciel pięknych kobiet, urabiany odpowiednio wdziękami pani Balsamo. Ta droga również jednak zawiodła; nie znał Cagliostro polskich stosunków i nie mógł wiedzieć, że najmniej to stosowny protektor.

„Obstawa'' Kazimierza Poniatowskiego o tyle jednak nie poszła na marne, że wprowadził on „Wielkiego Koftę'' do elity warszawskiego towarzystwa i skontaktował ze stolnikiem koronnym Moszyńskim, od dawna interesującym się alchemią i przeprowadzającym samodzielne doświadczenia nad kamieniem filozoficznym. Pod jego też opiekuńczymi skrzydłami rozpoczął Cagliostro karierę na warszawskim gruncie. Pierwszy wielki seans wywoływania duchów mistrzowi się jednak nie udał, co podważyło nieco wiarę jego nowego protektora. Sprytnie, a przekonywająco, Cagliostro wytłumaczył niepowodzenie warunkami obiektywnymi: wielkomiejski gwar nie sprzyja nieodzownemu w jego pracy skupieniu, a i duchy miejskich murów nie cenią sobie najbardziej...

Na takie dictum przeniesiono go czym prędzej z warszawskiego pałacu księcia Ponińskiego do cichego, wiejskiego pałacyku na Woli. Tu przystąpił do finansowanych przez Moszyńskiego prac nad przemianą ołowiu w złoto, nie zaniedbując naturalnie swojej „praktyki lekarskiej''. Klienteli nie brakowało, pieniądze płynęły rzeką nie tylko od pacjentów, głównie rozhisteryzowanych pacjentek, ale i od naiwnych chytrusów, usiłujących niemałymi sumami dukatów przekupić mistrza i uzyskać od niego tajemnicę robienia złota, zanim stanie się ona udziałem stolnika Moszyńskiego. Ten ostatni dość długo zresztą czekał cierpliwie na efekty balsamowskich eksperymentów, ale przyszedł moment, w którym Cagliostro zrozumiał, że dłużej przeciągać struny nie może, jeśli chce cało wywieźć z Polski nie tylko zarobione pieniądze, ale i własną skórę. 26 czerwca 1780 r. prze-

***) Jan Pico della Mirandola, Włoch, członek Akademii Platońskiej we Florencji.**

CAGLIOSTRA

niósł się z wiejskiego zacisza do Warszawy, a następnego dnia opuścił ją na zawsze. Dla zdezorientowania zainteresowanych pozostała signora Lorenza, rozsiewająca plotki o rychłym powrocie wielkiego małżonka. Rzecz jasna, pewnego pięknego dnia i ona zniknęła bez śladu. Wszystko skończyło się tak, jak zawsze i jak wszędzie: „smerlił w tygielkach z panem, sam wyjechał z pieniędzmi, a panu nadzieję bogactw zostawił". Państwo Cagliostro wywieźli z polskiej stolicy łup jak na owe czasy ogromny — około 8 tysięcy dukatów, nie licząc „biżutów" ofiarowanych małżonce mistrza za jej protekcję u męża.

Warszawskie występy były tylko jednym z epizodów awanturniczego, pełnego perypetii i przygód życia Aleksandra Cagliostro. Następnym celem jego podróży był Paryż, gdzie — w przeciwieństwie do polskiego króla — przywitany został na dworze Ludwika XVI entuzjastycznie. Brylował oczywiście do czasu... O jego paryskich podbojach i awanturach opowiada Aleksander Dumas, jeden z plejady wielkich twórców, którym życie Cagliostra posłużyło za temat utworów. Pisali o nim również Schiller, Goethe, Carlyle. Był bohaterem operetki Straussa, baletu Jana Maklakiewicza „Cagliostro w Warszawie", a nawet wystawionej w Warszawie 23 kwietnia 1786 r. komedii dostojnego pióra carowej Katarzyny II pt. „Oszust".

Spośród wszystkich „uhonorowanych" przez niego krajów, najmniej wyrozumiały, a nawet bezwzględny okazał się w rezultacie dla Cagliostra kraj ojczysty. W Rzymie, gdzie usiłował założyć lożę masońską obrządku koptyjskiego, oskarżony został o herezję i czary. Wtrącony do więzienia z karą dożywocia, zakończył życie w jego murach w sierpniu 1795 r.

BŁOGOSŁAWIEŃSTWO

Znakomity amerykański aktor filmowy Gary Cooper zwrócił się kiedyś do znajomego pastora z prośbą o pobłogosławienie jego samochodu. Po uroczystości pastor poprosił go na bok i szepnął:

— Jako przyjaciel pragnę ci zwrócić uwagę, że błogosławieństwo sięga tylko do 60 kilometrów na godzinę...

MÓWIĄ PRZEDMIOTY I ZWIERZĘTA

Planeta, widząc przelatującą kometę:

— Coś takiego! Gwiazda o napędzie odrzutowym!

*

Robi się piękna pogoda:

— Znowu stracony dzień — wzdycha chmura.

*

Kula śnieżna na widok lawiny:

— Jakiś hurtownik...

*

Owczarek, patrząc na niebo, po którym przesuwają się małe chmurki:

— Pomyśleć, że nikt ich nie pilnuje...

*

Kropla wody oświadcza się drugiej kropli:

— Podoba mi się w tobie to, że do nikogo nie jesteś podobna...

*

Kropka nad „i", na widok dwukropka:

— Bliźniaczki!

*

Ślimak ma jednocześnie płeć męską i żeńską, ale z tego nie korzysta.

*

Szkielet jest to człowiek, którego wnętrze jest na zewnątrz, a część zewnętrzna nie istnieje

*

Dwa obrazy Picassa na widok zwykłego portretu:

— Rozumiesz coś z tego?!

Noctuel

WŁAMYWACZ Z... KWIATAMI

Zawód włamywacza jak każdy wymaga inicjatywy, a życie nie jest usłane różami. Franciszek S. ps. „Zezol" dokonując obserwacji mieszkań, na klatki schodowe wchodził zawsze z kwiatami, reprezentował bowiem pogląd, że dżentelmen z bukietem budzi zaufanie, a róże usypiają czujność dozorców. Miał rację. Zygmunt K. ps. „Boża krówka" penetrował domy w czapce inkasenta, a jego szwagier „Wiśnia" udawał malarza z administracji.



Mimo przedsięwziętych środków ostrożności występuje zawsze margines ryzyka, szczególnie jeśli lokator jest niepunktualny. Znany warszawski włamywacz „na pasówkę" Ireneusz M. ps. „Motylek" miał w ubiegłym roku następujące zdarzenie.

Otóż wszedł do lokalu M-4 otwierając drzwi zaopatrzone w dwie zasuwy. Już się szykował do wyjścia wynosząc „rebuchę" w 2 walizkach, gdy Zofia S., gosposia, przedwcześnie wróciła do domu i zaczęła otwierać drzwi, najpierw górną zasuwę po czym dolną. „Motylek" zaczął od środka obie zasuwy na przemian zamykać i taka zabawa trwała 10 minut. Wreszcie zdenerwowana kobieta pobiegła po ślusarza, klnąc producenta zacinających się zasuw, a „Motylek" wyfrunął unosząc dodatkowo singerowską „główkę" od maszyny, rzecz bardzo chodliwą ze względu na szczególne zaufanie szyjących kobiet do tej firmy.



Każdy włamywacz musi być po trosze psychologiem i mieć własną wersję wydarzeń w przypadku, gdyby nagle okazało się, że w mieszkaniu ktoś jest. Jerzy W. ps. „Figus" znalazł się kiedyś w opałach. Otwiera w nocy drzwi dopasowanym kluczem yale, a tu nagle z mieszkania wychodzi lokator atletycznej budowy i żąda wyjaśnień. Włamywacz przypomniał sobie znajomą „dziewczynę", Mariolę S. o dźwięcznym pseudo „Dziewica", która pracowała „na Fryko". Metoda ta polegała na przyprowadzeniu klienta po kolacji przed dowolnie wybrany dom, tam „Dziewica" brała od delikwenta 200 zł rzekomo dla właścicielki mieszkania, której trzeba każdorazowo płacić, a klient otrzymywał klucz; po 5 minutach miał podążyć za swą towarzyszką, wejść na 3 piętro i po cichu, żeby nie budzić sąsiadów otworzyć mieszkanie powiedzmy nr 23. Jak łatwo się domyślić mieszkanie nr 23 należało do nie spodziewającego się niczego lokatora, który naszego delikwenta manipulującego przy zamku brał po prostu za złodzieja. Otóż gdy „Figus" znalazł się w opałach uznał, że najlepszą obroną jest atak, ruszył z pretensjami do lokatora, którego zamierzał okraść, że drzwi się nie otwierają, zażądał zwrotu 200 zł danych rzekomo wspólniczce lokatora i zagroził milicją. Wreszcie strony uznał incydent za nieporozumienie towarzyskie i rozeszły się w zgodzie.



Tupetem można osiągnąć wiele. Otóż jeden z włamywaczy o posępnym pseudonimie „Puchacz" okradł sklep komisowy w Warszawie, a gdy we wczesnych godzinach rannych opuszczał miejsce włamania, unosząc towar zapakowany w gustowne walizki, po wyjściu z zaplecza na klatkę schodową natknął się... na milicjanta. Przedstawiciel władzy zainteresował się podejrzanym dżentelmenem, który na pytanie

skąd idzie, bezbłędnie wymienił nazwisko i numer mieszkania jednego z lokatorów wyższych pięter zapewniając rozmówcę, że jest to nie tylko jego szwagier, ale nadto dostojnik jednego z poważniejszych ministerstw. Zgodność wymienionego nazwiska z rzeczywiście figurującym na liście lokatorów uśpiła czujność funkcjonariusza, który już tylko, aby nie ucierpiała sztuka, postanowił „Puchacza" wylegitymować. Okazało się, że delikwent zostawił dowód osobisty w mieszkaniu i oddając walizki pod dozór milicjanta spokojnie poszedł na I piętro, skąd wyskoczył oknem i uciekł.



Rasowi włamywacze powiadają, że proceder ich przy aktualnym zabezpieczeniu mieszkania jest dziecinnie łatwy. I to prawda. Odstąpienia od przestępstwa w trakcie forsowania zamków z powodu ich skuteczności zdarzają się niezmiernie rzadko, prawie wcale. Do mieszkania dostać się można zupełnie spokojnie, można też spokojnie „pracować", ludzie powracają do domów późno, często dopiero wieczorem. Włamywacz wie, że pieniądze leżą zawsze pomiędzy prześcieradłami, a biżuteria w tekturowym pudełku po czekoladkach, albo w starej torebce na dnie szafy. Niektórzy chowają cenniejsze przedmioty do pustych wazonów i upychają papierem, ci najsprawniejsi do telewizora czy wnętrza karnisza, wszystkie miejsca są jednak konwencjonalne i włamywacz nawet się nie zastanawia gdzie szukać. Z większych przedmiotów zabiera się aparaty fotograficzne, maszyny do pisania, jeden ze sprawców wyniósł nawet radiolę, ale sam następnie przyznał w śledztwie, że to już była przesada. Partacze kradną garderobę i wszystko co wpadnie w ręce, specjaliści tylko co wartościowe. (Fragmenty)

SZAMBELANOWI DO SZTAMBUCHA

Niezły poeta, pan Kantorbery Tymowski, emigrant z roku 1831, mieszkał w Paryżu; ponieważ majątek miał skonfiskowany, rodzina mu dopomagała. Najczęściej korespondował z bratem stryjecznym, panem Józefem Tymowskim, dyrektorem banku w Warszawie, później ministrem w Petersburgu, który bardzo służbisty a tchórzliwy, każde pismo odebrane od brata, nie odpieczętowując nosił do namiestnika ks. Paskiewicza, a ten upoważniał go do przeczytania i odpisania. Raz, gdy odebrał pismo proszące o zasiłek pieniężny, książę Paskiewicz radził nie posyłać poecie tym razem pieniędzy, a raczej namawiać go do powrotu. — „Napisz mu pan — mówił — że cesarz jest taki dobry, nikomu nie odmawia przebaczenia, kto o nie prosi przez ambasadę i żadnemu z tych, co powrócili, nic nie stało się złego. Powiedz mu zresztą, że niedawno zostałeś mianowany szambelanem i będziesz mógł osobiście poprzeć jego prośbę, bo cesarz ma być wkrótce w Warszawie".

Odebraną odpowiedź pan Tymowski, podług zwyczaju swego, zaniósł do ks. Paskiewicza; ten, tym razem ciekawy, sam pismo odpieczętował. Zobaczywszy tylko czterowiersz, przeczytał, po czym ze zgrozą odskoczył, i list oddając, powiedział: „To wariat! Nic z nim nie zrobimy, lepiej mu dać spokój!...". Oto treść tego pisma:

Odebrałem twe pismo
z siedemnastej daty,
Nie prosiłem o rady,
ale o dukaty;
A ponieważ zostałeś
dworu szambelanem,
Całuj mnie w d...
z Najjaśniejszym Panem!

Poeta do śmierci pozostał na emigracji i umarł w Paryżu.



Wiązka

JULIAN TUWIM

Poświęcam najświętszej pamięci Stefana Żeromskiego

NIEZNANE DRZEWO

Gdzie jesteś, drzewo mocne i dumne,
Rozgałęzione, liściami szumne,
Węzłem korzeni zarosłe w ziemi,
Drzewo, z którego będę miał trumnę?

Muszę cię poznać, w korę zastukać,
Po lasach wołać, po borach hukać:
Gdzieżeś tajemne drzewo trumienne?
Twój narzeczony przyszedł cię szukać!

Błądzi strapiony po czarnym borze,
Drzewa swojego znaleźć nie może,
Zaszum mi, zaszum na wieczność naszą,
Zanim się z tobą do snu ułożę.

Trzeba się przecież umówić wprzódy
Na owe ciężkie śmiertelne trudy,
Gdy nam sądzono po nieskończoność
Zmieniać się w popiół, w bezpłodne grudy.

Może na tratwach po sinej fali
Przypłyniesz do mnie z ogromnej dali,
I wstyd nam będzie, wieczny sąsiedzie,
Żeśmy do śmierci się nie poznali!...

A może rośniesz przed moim domem,
Co dzień witane a nieznajome,
I ktoś ci może wyrzezał w korze
Miłe litery, serce wiadome?

Długo, serdecznie gadałbym z tobą,
Wzruszyłbym wierszem, wymógł żałobą,
Żebyś rozparło tę ziemię czarną
I znów zakwitło, na dziwo grobom.

Żebyś mnie w siebie jakoś wszczepiło,
Wydarło z ziemi ukrytą siłą!
Coś może złączy nerw jakiś z kłączem
I zadrzewimy się nad mogiłą!

Może ogromnym westchnieniem z łona
W górę nas wzniesie ziemia zielona,
Ziemia jedyna, ziemia rodzima,
Tym grobem w samo serce zraniona.

KOT JAK CZŁOWIEK...

Chodzi o zwykłego kota. Całe dzieło napisała o nim dr Meri, znany weterynarz francuski. Kotek, który wydaje się być zwierzątkiem łagodnym, zadomowionym, całymi godzinami drzemiącym na kolanach gospodyni, w nocy całkowicie zmienia swój tryb życia, staje się dzikusem, z demonicznym wprost okrucieństwem walczącym na dachach i płotach.

Dziwne zwierzę. Dziwna jest też jego historia. Zjawił się w czasie panowania w Egipcie VIII dynastii, dwa tysiące lat przed naszą erą. Ale skąd przyszedł? Z Abisynii? Sudanu? Libii? Nie wiadomo. Od razu jednak zdobył sympatię człowieka.

Pies żyje obok człowieka już sto tysięcy lat, jest jego sługą, towarzyszem na łowach, a jednak w ciągu tysięcy lat nie śmiał wejść do przedhistorycznej pieczary czy koliby człowieka ery neolitu. Kot natomiast, gdy przed czterema tysiącami lat zawitał do pieczary, od razu stał się miłym gościem przy ognisku. U Egipcjan pies był co prawda bóstwem, Anubisem, ale jego prerogatywy dotyczyły tylko kultu zmarłych; natomiast kot był bóstwem mającym pod swą opieką dziedzinę najprzyjemniejszą — miłość. W XIX wieku archeologowie angielscy znaleźli w miejscowości Bubastis 200 tysięcy mumii kotów. Załadowali je na statek i wysłali do Wielkiej Brytanii. Tam nie wiedziano co zrobić z mumiami, wyrzucono je na śmietnisko.

Z Egiptu kult kota przedostał się do Europy. W wiekach średnich na obszarze Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego rozwinął się kult „FREYA"; w czasie misteriów kobiety wydawały lubieżne okrzyki „Miaaauu... Miaaauuu..." Kościół zareagował natychmiast i uznał kota za pomocnika diabła, za współtowarzysza czarownic. Wydano mu bezpardonową walkę — zabijano i topiono. Wydawało się, że kot zniknie z powierzchni Europy.

Ocalił go jego największy nieprzyjaciel: siwy szczur. Do Europy przyszedł za Hunnami, plaga szczurów zaczęła się szerzyć w niesamowitym tempie. Wówczas przypomniano sobie o jednej z plag egipskich i o roli kota w jej zwalczaniu. I mruczek wygrał walkę z Kościołem. Nawet w klasztorach na Świętej Górze Athos, w których nie wolno było trzymać żadnych zwierząt płci żeńskiej — dla kotka zrobiono wyjątek.

W XII wieku na Europę spadła następna plaga: czarny szczur, jeszcze gorszy od siwego. Całe mrowia tych gryzoni ciągnęły z Ziemi Świętej za niedobitkami krzyżowców. Kościół pod grozą anatemy zabronił zabijania kotów, a one rychło zatrzymały inwazję szczurów czarnych.

Gdy jednak niebezpieczeństwo minęło, koty zaczęto znów tępić. Trwało to aż do wieku XVIII, do 1743 roku, kiedy to nad Europę nadciągnęła zaraza. Kot znowu odzyskał swoje uprzywilejowane stanowisko. Za czasów Dyrektoriatu koty we Francji traktowano jako... urzędników państwowych: w budżecie państwa przewidziane były poważne sumy na ich wyżywienie, awansowały, otrzymywały nagrody.

W wieku XIX prawdziwą kotofobię — i w ogóle zoofobię — wywołał Pasteur: uważano powszech-

nie, że zwierzęta domowe przenoszą wszelkie zarazki. Kota nie ośmielił się nikt nawet pogłaskać, a na konia wsiadano tylko w rękawiczkach. Znowu musiały przejść długie lata, znowu — w czasie pierwszej wojny światowej — musiało pojawić się niebezpieczeństwo szczurów, by mruczek mógł odzyskać swoje miejsce przy ognisku domowym.

Kot należy do najczystszych zwierząt domowych. On jeden zakopuje swoje ekskrementy, a przyłapany na tej czynności — jest wystraszony i „wstydzi się". Dlaczego się wstydzi — nie wiadomo. Natomiast codzienna toaleta kota, jego wylizywanie się, nie ma z czystością nic wspólnego. Kot liże się dlatego, by ze swej sierści zebrać pewną witaminę grupy „B", koniecznie potrzebną mu dla zachowania... równowagi psychicznej. Gdyby zwilżyć watę eterem i kota nią nasmarować — przestanie się lizać, stanie się nerwowy, „zdziczeje", a po piętnastu dniach — zdechnie.

Kot jest jedynym zwierzęciem, któremu cywilizacja całkowicie poszarpała nerwy. Bezpośrednią przyczyną tego stanu jest kastrowanie kotów i zabijanie ich potomstwa. O cyklu menstruacji kotek właściwie niczego się nie wie, poza tym, że jest ona nieregularna.

Z drugiej strony, zabijanie kociego potomstwa wyrobiło u kotek spryt i prawdziwy heroizm w ukrywaniu małych, w chowaniu ich przed wzrokiem człowieka, przenoszeniu z miejsca na miejsce i — więcej — karmieniu ich prawie własnym ciałem. W Detroit kotka urodziła małe w wymoszczonej słomą skrzyni, w której przygotowane były jakieś narzędzia na wysyłkę do Egiptu. Robotnicy nie zauważyli kociej rodziny, skrzynię zabito, wysłano samolotem do New Yorku, stamtąd statkiem do Aleksandrii. Gdy po 25 dniach skrzynię otworzono, wyszła z niej kotka — sama skóra i kości — oraz trzy małe kociaki w świetnym stanie zdrowotnym, tłuściutkie i czyste. Jakież inne zwierzę wykazałoby tyle poświęcenia?

Neurozy u kotów są tak samo skomplikowane, jak i u ludzi. Bardzo częstym zjawiskiem są u kotek psychozy macierzyńskie i fałszywe ciąże. Do ataków histerii doprowadza nieraz kota zapach alkoholu lub perfum. Znana jest jego zazdrość o łaski domowników, gdy w domu zjawi się jakieś inne zwierzę.

W ogóle kot to indywiduum wielce skomplikowane. Do dziś nie jest w pełni wyjaśnione, jak trafia do domu, wywieziony z niego w worku, na odległość wielu kilometrów. Albo — łapanie po ciemku myszy. Przypuszcza się, że mysz wydziela promienie ultrafiołkowe, które kot, podobnie jak sowa, odbiera z największą precyzją.

Sen kota podobny jest do snu człowieka. U małych kotków, wkrótce po ich urodzeniu, obserwuje się powiązaną ze snem aktywność neurofizjologiczną funkcjonującą tak samo, jak oddech lub trawienie. Badania przy pomocy encefalografu wykazały, że sny kotów są dla nich przyjemne i nieprzyjemne. We śnie „płaczą", warczą lub mruczą z zadowolenia. Czasem zdarza się, że budzą się wystraszone, płaszczą się przy ziemi, jeżą sierść. Objawy te wykazują i na jawie, chociaż nikt i nic ich nie straszy. Wyciągnąć z tego można tylko jeden wniosek: koty miewają halucynacje.

Jakaż jest przyszłość kotów? Czy nie zwariują całkowicie? Odpowiedź jest jedna: czeka ich to samo, co i ludzi. *„NIN" (Belgrad)*

PIERWSZA LEPSZA...

Pierwszą kobietą, która w walce wolnoamerykańskiej pokonała mężczyznę, jest 22-letnia Zilma Diaz z Trinidadu; zapaśnika Andersona rozłożyła ona na obie łopatki.

Niedawno zmarła pierwsza i jedyna kobieta latarnik; Francuzka Anna La Bail od czterdziestu lat samotnie obsługiwała latarnię morską w Kernavest.

Pani prof. dr inż. Lieselotte Herfarth została pierwszą kobietą rektorem Technicznego Uniwersytetu w Dreźnie, jednej z największych politechnik w Europie (18 000 studentów).

Pierwszym kapitanem wielkiej żeglugi — kobietą — jest w Polsce pani Danuta Walas-Kobylińska; jedna z czterech takich żeńskich kapitanów na świecie

Czy pierwszymi na świecie kobietami włamywaczkami są dwie młode studentki z dobrych, francuskich domów — nie wiadomo. W każdym razie włamywały się one do letniskowych willi na wybrzeżu morskim.

Dżamila Gissasi stanęła przed sądem w Maroku, jako pierwsza mahometanka adwokat.

Po raz pierwszy wielką orkiestrą symfoniczną dyrygowała kobieta — Weronika Dudarowa, w Moskwie.

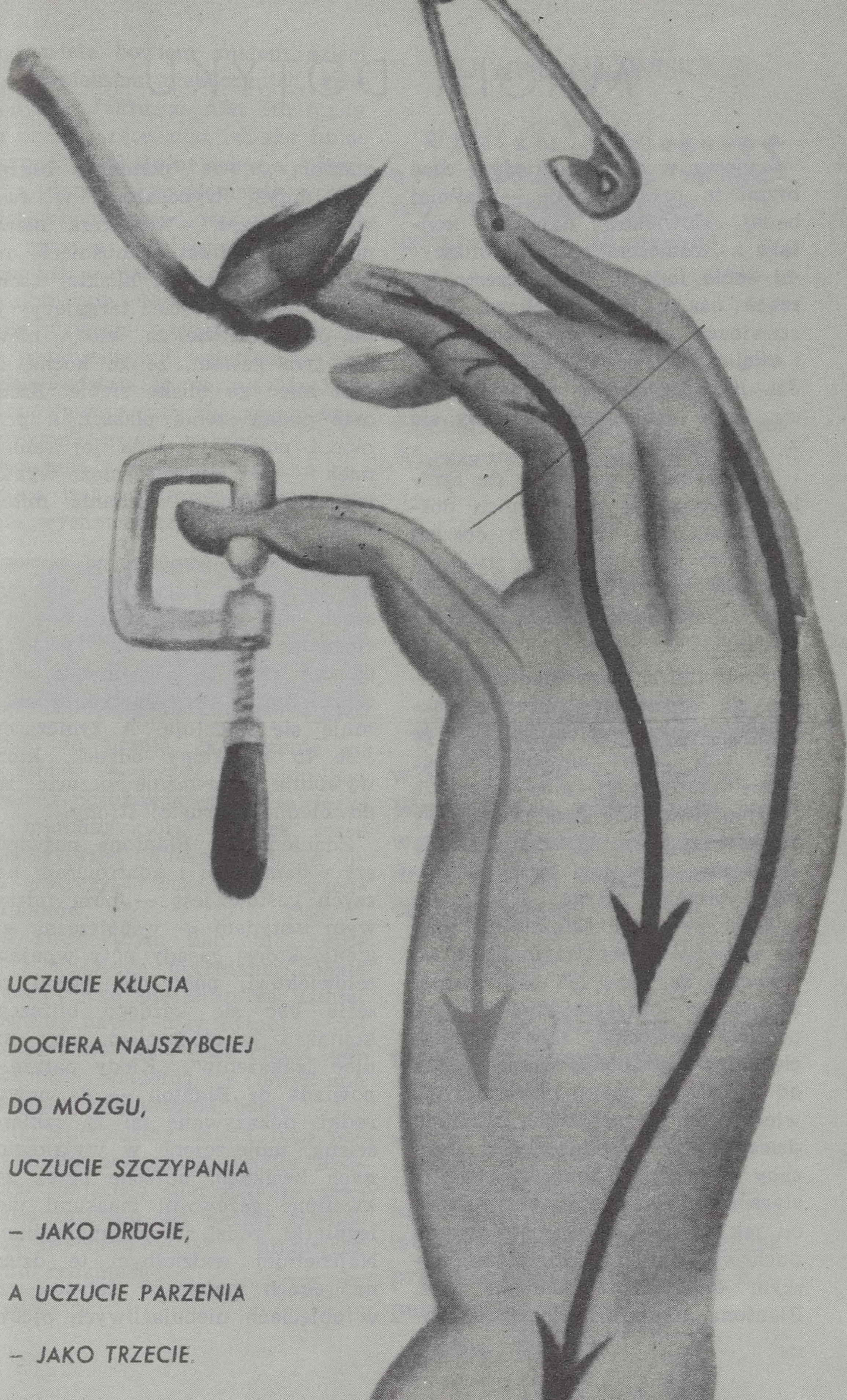
Natomiast w Wiedniu pierwszą (i chyba mało naśladowaną) kobietą kominiarzem jest 24-letnia Ewa Subrenick. Podwójne szczęście, gdy się ją akurat spotka rano!

Pierwszą kobietą pastorem szwedzkiego kościoła luterańskiego była 30-letnia panna Elżbieta Djurie — wyświęcona wbrew zażartej opozycji konserwatywnych kół religijnych. Panna pastor zrobiła wyłom w antyfeministycznej tradycji i znalazła już liczne naśladowczynie.

W połowie listopada ub. roku wielka nowojorska giełda przeżyła małe trzęsienie ziemi: w czysto męskim dotychczas gronie maklerów pojawiły się dwie pierwsze maklerki — pani Julia Walsh, 42-letnia matka dwanaściorga dzieci, oraz pani Philips Peterson, 45-letnia matka dwojga dzieci. Ciekawe, kto w ich rodzinie rządzi kasą domową? Mąż?

Nikt nie wie, którą kobietę poeta pierwszą przyrównał do gwiazdy. Natomiast dokładnie wiadomo, która kobieta pierwsza znalazła się ponad Ziemią, w gwiazdach: Walentyna Tiereszkowa-Nikołajewa, jak dotąd jedyna kosmonautka, żona kosmonauty, matka córki (być może przyszłej kosmonautki) i patronka tańca... „Walentyna-twist".

A może czytelnicy dorzucą jakieś oryginalne zawody, które już nie są jedyną domeną mężczyzny. Prosimy o wycinki z prasy krajowej lub zagranicznej.



UCZUCIE KŁUCIA DOCIERA NAJSZYBCIEJ DO MÓZGU, UCZUCIE SZCZYPANIA – JAKO DRUGIE, A UCZUCIE PARZENIA – JAKO TRZECIE.

MAGIA DOTYKU

Żyjemy w czasach, kiedy — choć brzmi to paradoksalnie — łatwiej bodaj człowiekowi nawiązać kontakt z Kosmosem niż z najbliższymi sobie ludźmi. Jakże często łącząca nas z nimi duchowa więź rozwiewa się pod wpływem czasu i okoliczności, a wreszcie przychodzi moment, kiedy wydaje nam się, że w ogóle nie potrafimy się z nimi dogadać.

Amerykański neurolog, dr Smiley Blanton, po długoletnich doświadczeniach i badaniach doszedł do wniosku, że większość naszych kłopotów tego typu ma swe źródło w... zaniedbaniu tzw. „kultury dotyku".

Do kliniki doktora Blantona zgłasza się codziennie mnóstwo pacjentów. Najczęściej chodzi o to, że „on" lub „ona" zupełnie wobec siebie zobojętnieli, albo o to, że rodzice całkowicie stracili duchowy kontakt ze swymi dziećmi. Pytania zadawane pacjentom przez neurologa brzmią nieraz dziwacznie: „Kiedy był pan ostatnio z żoną na spacerze i czy trzymaliście się wówczas za ręce, tak jak bywało za czasów narzeczeńskich?" „Czy podczas beztroskiej zabawy tarzacie się z dziećmi po ziemi?" „Czy od czasu do czasu uczestniczycie wieczorami w zabawach waszych dzieci, grając z nimi np. w warcaby lub ping-ponga?" Lekarz stara się dowiedzieć w ten sposób, od jak dawna jego pacjent utracił duchowy kontakt ze swym najbliższym otoczeniem. Zdaniem prof. Blantona najbardziej bowiem zrozumiałą „mową" pomiędzy ludźmi jest dotyk, wyposażony w swój własny „język". Wystarcza nieraz np. tylko delikatne muśnięcie ręki, aby wywołać u bliskiej osoby dobry nastrój. Ojciec targający syna pieszczotliwie za włosy, mówi mu tym gestem, że go kocha, że lubi mieć go blisko siebie. Kiedy mąż podaje żonie płaszcz, a przy okazji położy ręce na jej ramionach — gest ten mieć może wymowę najgłębszego wyznania miłosnego.

Cywilizacja współczesna sprawiła, że często wstydzimy się naszych uczuciowych odruchów w stosunku do ludzi, uważając je za oznakę słabości. Drwimy z mężczyzn, którzy przy spotkaniu obejmują się i całują. A tymczasem jest to naturalny odruch, który wywołuje przeważnie uczucie zadowolenia u drugiej strony.

Zdaniem dra Blantona największym hamulcem i kontrolerem naszych gestów jest — poza fałszywym wstydem — współczesna higiena, której zasady póty wpajano człowiekowi, póki nie zaczął na serio bać się każdego bliższego kontaktu z otoczeniem, aby nie ulec „zakażeniu". „Kiedy patrzę — powiada dr Blanton — na noworodki, pokazywane mi za szklaną ścianą, umieszczone w wyjałowionych becikach, noszone przez zakwefione gazowymi maskami pielęgniarki, rodzi się we mnie bunt. Najchętniej widziałbym te dzieci na rękach matek, w kołysce, czy w objęciach niebojaźliwych ojców.

Zbyt wiele bowiem znałem dzieci z „kompleksem niekochania", zrodzonym z faktu, że nikt ich nigdy nie brał na ręce, nikt ich nie śmiał dotknąć." Zbliżenie cielesne, pieszczota, dotyk — to elementy współżycia, których nie powinniśmy skąpić naszym najbliższym, aby nie wywołać u nich uczucia trwałego osamotnienia. Nawet każde skarcenie dziecka powinno zakończyć się pocałunkiem i wzięciem w objęcia. Podziała to na nie bardziej wychowawczo, niż słuszna i umotywowana nawet nagana.

Również i w szkole dziecko narażone jest na zimny, surowy system wychowawczy. Serdeczny stosunek do ucznia, pogładzenie go po głowie — nawet jeśli nie jest ideałem posłuszeństwa — to jedyna metoda, która otwiera serce dziecka przed nauczycielem. To samo dotyczy, rzecz jasna, przedszkolaków.

Według danych ONZ, ponad 700 milionów ludzi, zamieszkałych na naszej planecie jada do dziś dnia palcami.

W starożytnym Babilonie, Egipcie i w Grecji doceniano „magię dotyku", jego siłę leczniczą. Istniał wówczas nawet cały rytuał „stopniowania dotyku". Jest rzeczą powszechnie wiadomą, że dotyk ma własności uśmierzania bólów.

Nie lekceważmy zatem tego powszechnie dostępnego źródła ukojenia, mającego niebagatelne znaczenie zarówno dla naszej równowagi psychicznej, jak i atmosfery domu rodzinnego.

SŁAWNE NAZWISKA...

William Shakespeare (Szekspir) jest redaktorem brytyjskiej gazety codziennej „The Guardian".

*

Ignacy Krasicki jest rzymskim korespondentem Agencji Robotniczej, „Życia Warszawy" i Polskiego Radia.

*

Julian Tuwim jest pedagogiem mieszkającym w Łodzi.

*

Siedmiu Władysławów Jagiełło mieszka w Warszawie — jeden z nich, jest wysokiej rangi wojskowym, drugi artystą muzykiem, trzeci inżynierem.

*

Stefan Batory posiada telefon w Warszawie.

*

Mikołaj Kopernik — kapitan WP — odbierał w Telewizji Nagrodę Archimedesa przeznaczoną dla Mikołaja Kopernika astronoma.

Miejscowość Zmyślona wcale nie została zmyślona, ona naprawdę istnieje i położona jest w odległości 15 km od miasteczka Ostrzeszów w woj. poznańskim.

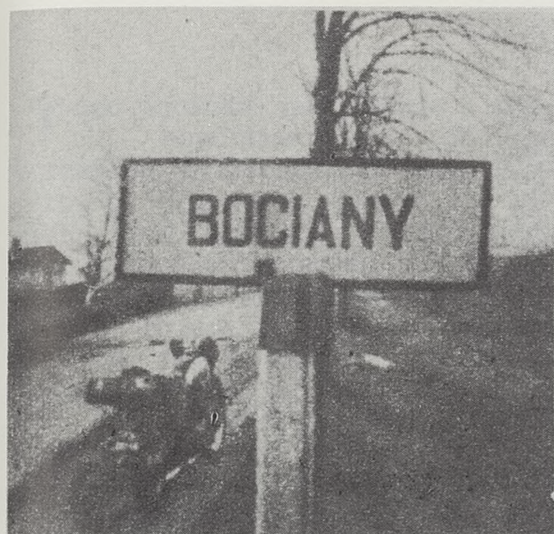
Również wszystkie inne dziwne nazwy, które tu ukazujemy, są to nazwy rzeczywiste, a reprodukcje pochodzą z autentycznych zdjęć drogowskazów, nadesłanych przez czytelników do tygodnika „Motor", z którego je reprodukujemy.



WCALE NIE ...ZMYŚLONE LECZ AUTENTYCZNE

Wybraliśmy z nich najdziwniejsze. Ale czy rzeczywiście nie ma już nazw dziwniejszych? Kto wie? Może nasi Czytelnicy nadeślą nam nazwy jeszcze cudaczniejsze...




BOCIANY


2 TEOLOG


OŚ 2


WYDRA ZIELONA


PANIENKA 3
ZALESIE 2


ZEBRACZKA



CO MAMUT ZJADAŁ NA ŚNIADANIE

Tego poranka, jak zwykle o świcie, powietrze było chłodne i rześkie. Przezroczysty nurt Bierezowki bulgotał i szemrał na wirach, lizał mielizny i gdzieniegdzie wyrzucał na brzeg pokracznie powykręcane, sczerniałe od wody konary drzew. Lasem przedzierał się ku rzece mamut. Najpierw spośród zarośli wysunęła się długa i giętka trąba, błysnęły potężne siekacze — ciosy; wreszcie, roztrącając młode drzewa i krzewy, „słoń północy" wytoczył się na łąkę. On nie lubi pośpiechu. Pierwsze śniadanie zwykł zajadać wolno, starannie dobierając potrawy. Na rozsłonecznionej łące wydawał się szczególnie zwalisty i masywny. Nie był tu sam. W oddali pasł się spokojnie nosorożec włochaty, wielkie zwierzę ustępujące z drogi tylko jemu, mamutowi. Stado jeleni i koni tłoczyło się na wydeptanej ścieżce, wiodącej ku wodzie.

Mamut dostojnie kroczył nad samym brzegiem rzeki, przeżuwając poranny posiłek. Nagle głuchy łoskot zakłócił sielską ciszę. Spłoszone konie żachnęły się i odwróciły od rzeki. Nosorożec powoli uniósł ciężki łeb uzbrojony w podwójny róg i rozejrzał się obojętnie. Duży płat brzegu obsunął się w dół, pociągając za sobą mamuta. W świeżym usypisku, tarasującym nurt rzeki coś się jeszcze poruszało: to królewskie zwierzę wyteżało siły, aby wydostać się z niespodziewanej pułapki. Ale oto druga, jeszcze większa lawina ziemi i piasku runęła do rzeki i przykryła wszystko.

Największe zwierzę półkuli północnej, pochowane żywcem i zakonserwowane wśród lodów, przetrwało w stanie prawie nienaruszonym wiele tysięcy lat. Dzisiaj wypchaną skórę mamuta znad syberyjskiej Bierezowki można obejrzeć w leningradzkim muzeum.

Tragedia mamuta rozegrała się bardzo dawno — w plejstocenie, epoce, której początek dzieli od naszych czasów milion lat. Klimat półkuli północnej był wówczas bardzo zimny. Kilka razy skuwały ją lodowce. W tych okresach znikała roślinność strefy umiarkowanej, a jej miejsce zajmowała flora tundry: karłowate brzozy, krzewy, trawy i mchy. Później lodowce cofały się i na uwolnionej od nich ziemi wyrastały puszcze, podobne do dzisiejszych. Zamieszkiwały je zwierzęta również niezbyt różniące się od współczesnych, chociaż były wśród nich także gatunki, znane nam tylko z wykopalisk oraz z malowideł i podobizn wyrytych na skałach przez pierwotnych ludzi. Były więc w tych lasach mamuty, włochate nosorożce, jelenie olbrzymy, niedźwiedzie jaskiniowe i inne.

Szczątki zwierząt i roślin z epoki lodowcowej i z innych, znacznie starszych, epok zachowały się w poszczególnych warstwach skorupy ziemskiej. Właśnie te szczątki służą uczonym do odtworzenia historii naszej planety, przy czym najwięcej informacji o jej przeszłości przekazuje nam... zwiewny kwiatowy pyłek. Ziarna pyłku, wytwarzane w komorach pyłkowych pylnika, są męskimi komórkami rozrodczymi. Przyroda zbudowała je z niezwykle cennych surowców. Te miniaturowe kuleczki zawierają białka, węglowodany, tłuszcze, sole mineralne — zwłaszcza fosforowe, fermenty i hormony. Jeden gram pyłku jest wyposażony w taką ilość witaminy R (zwanej witaminą młodości), że starczyłoby jej na zapobieżenie zawałom serca i wylewom krwi do mózgu u dwudziestu osób. Pyłek zawiera dwudziestokrotnie więcej witaminy A niż marchewka. Jest także bogaty w witaminy: C, B, B2, E, PP, B3, B6, H. Tak cenną

SZAŁAS Z KOŚCI

W 1956 roku ekspedycja paleontologiczna odkryła w pobliżu wsi Maziny (Obwód Czernihów), na głębokości 4—5 metrów, resztki szałasu zbudowanego z kości zwierząt kopalnych. Metraż tej budowli, podobnej z kształtu do indiańskiego wigwamu, wynosił około 23 metrów kwadratowych, a wysokość w najwyższym miejscu — 2,6 metra. Na jej wzniesienie zużyto 255 kości mamutów (w tym 14 czaszek), 30 rogów jeleni olbrzymich, 1 łopatkę nosorożca i 1 czaszkę wilczą, która prawdopodobnie miała znaczenie magiczne. Ludzie późnego paleolitu umieli doskonale wykorzystać różnorodność kształtu zwierzęcych kości.

substancję należy chronić przed zniszczeniem. A więc każde ziarnko pyłku otrzymało pancerz — błonę, zbudowaną z niezwykle trwałego materiału. Nie niszczy go ani nadmierne ciśnienie, ani wysoka temperatura, ani żrące środowisko stężonych kwasów lub zasad. Rośliny produkują pyłek szczodrze; jedna wiecha kukurydzy zawiera około 50 milionów ziarenek pyłku, a z hektara lilii można go zebrać około 30 kilogramów! Na zapłodnienie zostaje zużyta znikoma część pyłku. Reszta, olbrzymia rezerwa, spada na ziemię, rozprasza się i... trwa. Pyłek roślin z różnych epok można znaleźć wszędzie: na pustyniach, w korytach rzek, w górach lodowych błąkających się po oceanicznych bezdrożach, w ropie naftowej i w innych kopalinach, ukrytych w głębi Ziemi.



— I znów pieczeń z dinozaura!

Ziarnka pyłku kwiatowego i zarodniki (komórki służące do bezpłciowego rozmnażania się roślin niższych) stanowią swoistą kronikę naszej planety. Tak zwana pyłkowa analiza, czyli mikroskopowe badanie ziaren pyłku — jest bardzo cenna w ustalaniu wieku i epoki warstw geologicznych, ponieważ prawie każda z nich odznacza się charakterystycznym zespołem pyłków. Pyłki pozwalają także wnioskować o florze i faunie ziemskiej przed tysiącami i milionami lat.

Na podstawie badań pyłku, który zawierały roślinne resztki w żołądku bieriezowskiego mamuta ustalono wiele ciekawych szczegółów. Otóż, podstawowym daniem w jadłospisie mamutów były trawy, wśród których niepoślednią rolę odgrywała turzyca. Mamut nie gardził także piołunami i roślinami baldaszkowymi. Czasem zjadał gałęzie drzew, paprocie i mchy. Pyłek zakomunikował paleontologom, że mamuty i nosorożce włochate zamieszkiwały dorzecze Angary i środkowy brzeg Jeniseju. Dalej na północy, na równinach typu tundrowego, nie było drzew i mamuty znad Tajmyru miały do dyspozycji wyłącznie trawy, mchy i paprocie.

Analiza pyłku kwiatowego jest niezastąpiona także w innych dziedzinach badań biologicznych. Tylko pyłek kwiatowy może wskazać, skąd i z jakich kwiatów pochodzi pszczeli miód. Ta analiza jest też bardzo pomocna w określaniu wieku kopalnych roślin i ustalaniu zwrotnych dat w historii Ziemi. Niedawno tą metodą stwierdzono, że „wyjście" roślin nastąpiło nie w dewonie, jak dotychczas sądzono, lecz około... trzysta milionów lat wcześniej. Wiele jeszcze tajemnic z historii naszej planety może nam opowiedzieć mikroskopijny kwietny pyłek.

RAJ NIEKOCHANYCH

Węże, krokodyle, żaby, jaszczurki, nietoperze — wszystkie te zwierzęta, na widok których odczuwamy dreszcz obrzydzenia — Christian Avart zmienił w swych przyjaciół. W innej epoce zapewne spalono by go na stosie jako czarownika.

— Proszę spojrzeć na tego straszliwego węża — mówi Avart. — Zobaczy pan, co zrobi!

Końcem palca drażni pyszczek zielonego gada okręconego wokół jego ramienia. Wąż początkowo zachowuje lodowatą obojętność, wreszcie prostuje się z wolna, by zaatakować. I nagle przechyla głowę, sztywnieje otwierając szeroko paszczę, z której zdaje się uchodzić ostatnie tchnienie. Język zwisa żałośnie, ciało wiotczeje.

— On udaje — stwierdza mój rozmówca. — „Umiera", żebym mu dał święty spokój. To jego obrona...

Błękitne oczy Avarta iskrzą się szelmowsko, gdy podsuwa mi gada pogrążonego w kataleptycznym śnie.

— Oto nieszkodliwy wąż, niezdolny do kąsania. Tym niemniej na jego widok ludzie zaczynają uciekać w panice lub starają się go zabić. Ignorancja, przesądy. Przeciwko nim walczę, to właśnie chcę zmienić.

Wokół nas w cieplarnianej temperaturze, wśród bujnie rozkwitłej roślinności rozbrzmiewa dziwne gadzie i płazie burczenie. Z głębi klatek syczą żmije wysuwając rozdwojone języki, dyszą wielkie jaszczury, przypomina o sobie grzechotnik...

Christian Avart zbliża się do obszernej klatki, w której wiszą obok siebie istoty przypominające parasole. Poprzez pręty wsuwa palec i dotyka najbliższego „parasola". Rozchyla się on do połowy i z jego wnętrza wyziera mała głowa porosła jasnym jedwabistym włosem, o cienkich uszkach, brązowych oczach i łagodnym wyrazie „twarzy".

— Chodź, Fifi, pocałuj tatusia!

Mały pyszczek otwiera się ukazując różowy języczek, który delikatnie liże palce Avarta. Owe „parasole" — to wielkie nietoperze z krajów tropikalnych. Fifi rozkłada całkowicie jedno ze swych żyłkowatych skrzydeł. Rozprostowuje się z kolei drugi nietoperz; i on także wysuwa język.

— To również ofiary zabobonów i prymitywnych strachów — mówi mój przewodnik. — Ileż bezsensownych bajd nagromadziło się wokół nich. Ich nieszczęściem jest, że latają w nocy, poruszają się bezszelestnie i w dodatku posiadają żyłkowane skrzydła jak... diabeł na obrazkach. Wszystkie te zwierzęta są niekochane. Przeciętny człowiek nie lubi ich, brzydzi się nimi, boi się ich. Postawiłem sobie za zadanie pokazać ludziom te zwierzęta takimi, jakimi są naprawdę.

Ale cofnijmy się o godzinę, kiedy jadąc z Marsylii w kierunku Tulonu ujrzałem nagle ten napis: „Raj niekochanych. Pierwsza droga na prawo".

Zaintrygowany podążyłem krętą drogą; na jej krańcu widać było rozmaite budynki i szklarnie. Mężczyzna o rudej brodzie, w błękitnym kombinezonie i z młotkiem w

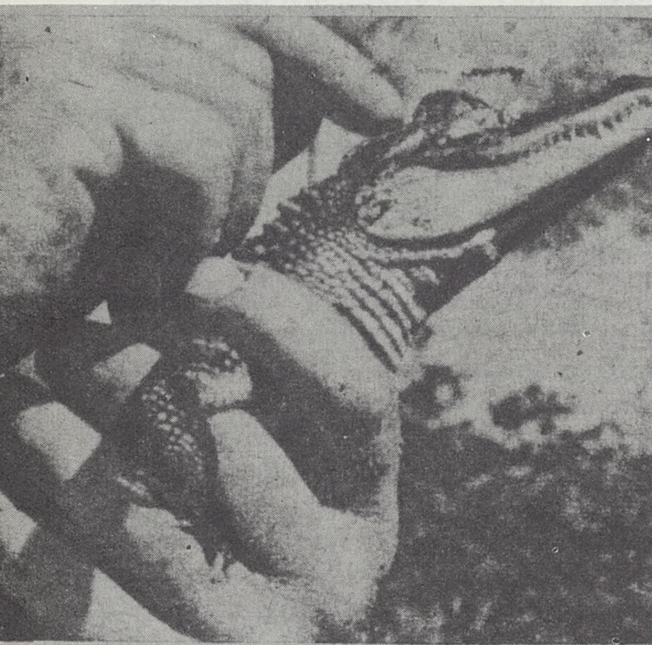
dłoni zdawał się czekać na mnie.

— Rezerwuję dla odwiedzających popołudnia — powiedział. — A rano majstruję. Wszystko, co pan widzi, to dzieło moich rąk: od klatek na węże po dom, w którym mieszkam wraz z rodziną.

I Christian Avart zaczął oprowadzać mnie po swym królestwie. Podchodzi teraz do nas młoda kobieta o niebieskich oczach.

— Maks jeszcze raz chciał mnie ugryźć — stwierdza.

— Maks — tłumaczy Avart — to młody krokodyl. Przepada za mną, ale nie znosi mojej żony. Dlaczego? Któż to wie. Gdy się zbliża robi się niespokojny, bije powietrze ogonem, otwiera groźnie paszczę. Może będzie się tak samo zachowywał na widok pana?



Z tą niepokojącą perspektywą udajemy się do pomieszczeń zwierząt żyjących w bagnach.

— Jak pan wpadł na pomysł stworzenia tego niebanalnego ogrodu zoologicznego?

— Zawsze lubiłem zwierzęta i interesowałem się nimi. Losy moje jednak potoczyły się inaczej. Gdy mieszkałem w Marsylii, wróciłem do moich młodzieńczych zamiłowań, poświęcając się hodowaniu ryb, myszy i królików. Po wielu żmudnych selekcjach udało mi się wyhodować nową, ciekawą biologicznie rasę królików. Niestety, pies udusił parę cennych reproduktorów.

— Wkrótce potem nastąpił nowy cios — ciągnie po chwili Avart. — Pewnej nocy inny pies przeskoczył przez dwumetrowe ogrodzenie, które chroniło dwieście królików naszej normalnej hodowli. O świcie ani jeden królik nie pozostał przy życiu. To już groziło ruiną. Pozostała nam tylko mała hodowla gadów, prowadzona dla kilku laboratoriów naukowych i muzeów przyrodniczych. Przyszła mi wówczas do głowy pewna myśl: moje węże przyciągały przypadkowych zwiedzających i wiele razy przekonałem się o wielkim wrażeniu wywieranym na ludziach przez gady i płazy, wokół których nagromadziło się tyle przesądów. Dlaczego nie stworzyć czegoś w rodzaju ogrodu zoologicznego złożonego wyłącznie z niepopularnych zwierząt? Dałoby mi to środki utrzymania, a jednocześnie zwiedzający nauczyliby się niejednego. Decyzja zapadła.

— To ja znalazłam nazwę — mówi pani Avart — „Raj niekochanych". Jasnowłosa, pięcioletnia dziewczynka zbliża się do nas.

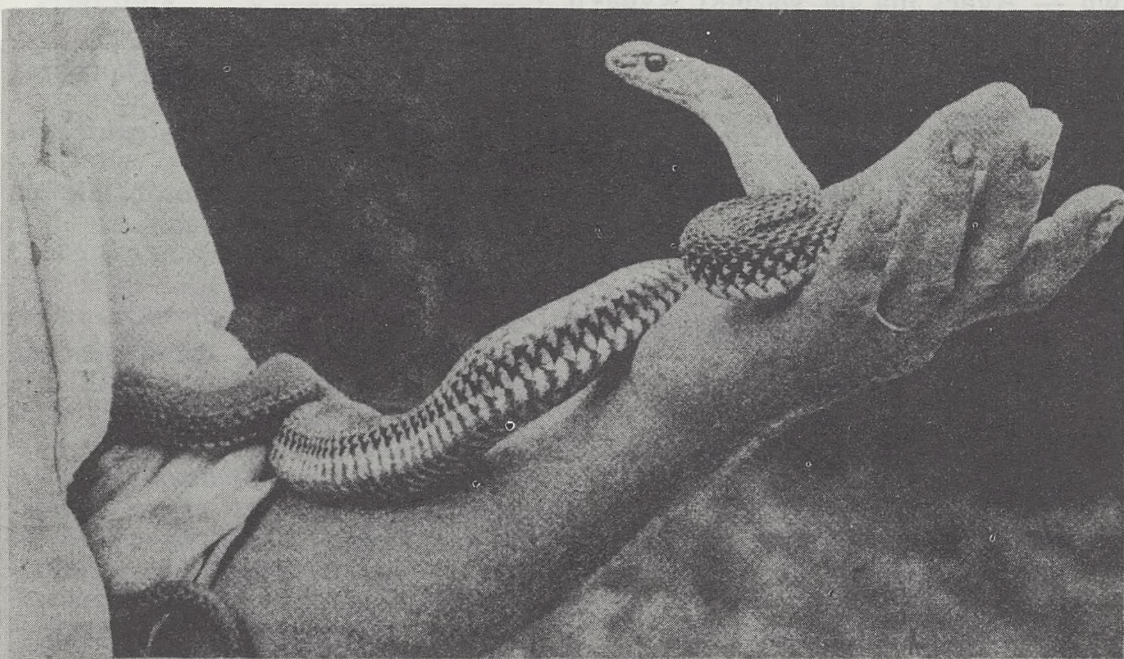
— Tatusiu — mówi — uromastix acanthinurus chce uciec!

— Moja najmłodsza córka przedstawia Avart. — Niemal od kołyski określa nasze zwierzątka nazwami łacińskimi.

Upał panuje tu wręcz tropikalny. Christian Avart z nieukrywa-

ną czułością przemawia do ropuch: — Dzielne zwierzątka, jedne z najbardziej pożytecznych na świecie. Nie tylko niszczą szkodniki, ale w wypadku suszy mogą uratować od śmierci z pragnienia. Wystarczy je trącić, by pozbyły się nagromadzonego, obfitego zapasu zupełnie czystej wody.

Znajdujemy się wśród ropuch czarnych, żółtych, niebieskich, podobnych raczej do figurek z ceramiki niż do żywych stworzeń, oraz wśród salamander i trytonów. Z kąta rozlega się niespodzianie wybuch śmiechu.



— Śmiejąca się żaba — stwierdza Avart. — Mam ich kilka...

— A to najstarszy z moich pensjonariuszy. Już blisko rok boczy się na mnie. A to przecież mój ulubieniec.

Wąż odwrócił pogardliwie głowę.

— To z powodu nosa. Operowałem go, by usunąć zeń nowotwór, który mógł być śmiertelny. Musiałem go operować „na żywca", gdyż nie zniósłby narkozy. Jak mu wytłumaczyć, że zrobiłem to dla jego dobra? Przez całe miesiące nie mogłem włożyć ręki do klatki. Atakował mnie z furią i chciał gryźć. Posiada zresztą potężne szczęki. Jedzenie przyjmował tylko od mojej żony. Jeszcze dziś nie zaryzykowałbym karmienia go.

Patrzy z czułością na zawziętego gada, a potem pochyla się nad sąsiednim terrarium i chwyta małego krokodyla, drzemiącego nad swym basenem.

— To Maks, aligator, który znowu nie może znieść mojej żony. Może jest o nią zazdrosny? Teoretycznie powinien osiągnąć długość 5 lub 6 metrów. Będę miał wówczas poważne kłopoty z zakwaterowaniem go.

— Chyba pan nie spodziewa się, że zwiedzający zaczną żyć na przyjacielskiej stopie z jadowitymi wężami, krokodylami itp?

— Nie, tym bardziej że nie mają żadnej szansy, by spotkać się z nimi na drogach Francji. Ale pragnę przy ich pomocy sprostować pewne mocno zakorzenione opinie. Mnóstwo ludzi głęboko wierzy, że

wąż jest wojowniczy. W rzeczywistości żaden wąż nawet najbardziej groźny i jadowity, nie atakuje dla samej przyjemności walki. Wąż zabija tylko z konieczności, by zdobyć pożywienie. Wąż nigdy nie goni człowieka — wbrew wierzeniom wielu ludzi. Odwrotnie, wiele gatunków węży należy do bardzo łagodnych, łatwo dają się oswajać i szybko przestają mieć brzydki zwyczaj gryzienia.

Gdyby jednak zdarzył się ów nieprawdopodobny fakt, że przyjaźń między człowiekiem i gadem nie przebiegałaby tak sielankowo — Avart ma na wszelki wypadek pełną apteczkę surowicy przeciwjadowej.

— Od 80% do 90% wypadków zatrucia jadem pochodzi od wężów zdechłych — stwierdza. — Ludzie są nieostrożni, a np. jad żmii zachowuje swą moc przez kilka lat. Wystarczy włożyć palec do paszczy zdechłej żmii i zadrasnąć się lekko o jej ząb.

— Nie postuluję — mówi Avart na pożegnanie — by ludzie zakładali sobie węże na szyję, lub by je hodowali jak pokojowe pieski, ale chcę, by nie zabijali ich bez potrzeby. Tym bardziej że wąż jest stworzeniem pożytecznym, które niszczy wiele gryzoni. Niektóre kraje, jak np. Australia i Nowa Zelandia, używają węży do odszczurzania zbożowych silosów.

Schyla się i bierze do ręki wspaniałą iguanę z Gujany.

— To Jakub. Chętnie gryzie i bije ogonem, jak prawdziwym batem. Ale szybko się oswaja!

Głos człowieka brzmi wzruszeniem. Palec drapie głowę płaza, który przymyka z lubością oczy.

„Lectures pour Tous"

ZGODA

Francuz do Francuzki po zawarciu znajomości:

— Czy mogę panią do domu odprowadzić?

— Oczywiście, gdzie pan mieszka?

ROZTARGNIENIE

Spotkawszy kiedyś kolegę Albert Einstein rzekł:

— Niech pan jutro przyjdzie do nas na obiad. Będzie prof. Smith.

— Ależ to ja...

— Nie szkodzi, niech pan też przyjdzie!

SPOSÓB

Bernard Shaw:

— Jest wiele sposobów kochania kobiety.

Najpierw są zaloty, następnie pocałunki.

Jest jeszcze trzeci sposób, ale go już sobie nie przypominam.

BEATKA

Beata (lat 4) cały dzień nosi na rękach jedną ze swoich lalek. Do obiadu też zasiadła z laleczką. „Zostaw tę lalkę — mówi babcia — bo ci przeszkadza w jedzeniu". „Nie mogę, babciu, ona jest chora" — tłumaczy Beatka. „Więc ją połóż do łóżka" — radzi babcia. Na to Beatka: „Kiedy ona nie jest tak naprawdę chora, ona jest tylko na zwolnieniu".

ZASKOCZENIE

Ulicą idzie pewien pan. Naprzeciwko niego podąża młoda kobieta. Przygląda mu się uważnie, po czym mówi z uśmiechem:

— Dzień dobry.

Pan patrzy zdziwiony, ponieważ jej nie poznaje. Młoda kobieta, mijając wyjaśnia:

— Zdaje mi się, że jest pan ojcem jednego z moich dzieci.

— Ja?!

— Tak. Jestem nauczycielką.

„Kobieta i Życie"

DRZEWO...

...PODRÓŻNYCH. Jeśli zdarzy się wam kiedyś — w Międzynarodowym Roku Turystyki wszystko przecież jest możliwe — jeśli więc zdarzy się wam zapuścić bez zapasu wody w pozbawione osiedli rejony Madagaskaru, Gujany czy północnej Brazylii, a wyschnięte gardła nasuwać wam będą wizje śmierci z pragnienia, nie poddawajcie się, a raczej rozglądnijcie bystro — „cysterna" z wodą może być bowiem o przysłowiowy krok. Jest nią pielgrzan, bylina o pokroju drzewiastym, z sympatycznej rodziny bananowatych, dla swoich specyficznych właściwości nazwana „drzewem podróżnych". Jej liście — duże, postrzępione, podobne do bananowych i ułożone wachlarzowato na szczycie pnia — są prawdziwą krynicą dla spragnionych wędrowców. Woda gromadzi się w liściowych pochwach, których przebicie działa podobnie, jak odkręcenie kurka domowego kranu.

...ZDROWIA. Każdy wie, że malarię leczy się chininą, alę nie każdy zna peruwiańską legendę, według której wiedzę o tym rewelacyjnym leku i jego dostawcy — drzewie chinowym — zawdzięcza świat pięknej hiszpańskiej damie, hrabinie Chinchon, żonie wicekróla Peru, który panował w tym kraju lat temu trzysta z okładem. Otóż bawiąc w 1638 r. w Limie, hrabina zapadła na jakąś nieznaną chorobę i byłaby się rozstała z tym światem, gdyby towarzyszący jej spowiednik-jezuita nie zaaplikował chorej wyciągu z kory pewnego drzewa peruwiańskiego. Cudem wyrwana śmierci wicekrólowa, jadąc w dwa lata później do ojczyzny, zabrała ze sobą zapas magicznej kory i ujawniła jej zalety przed światem. W ponad sto lat później, pomny zasług hiszpańskiej hrabiny szwedzki botanik Karol Linneusz — przekręcając z profesorskim roztargnieniem nazwisko — ochrzcił cenne drzewo mianem Cinchona — chinowiec. Stąd wywodzić się ma i chinina. Tak naprawdę jednak źródłosłów nazwy kryje się w peruwiańskim słowie „kina" — kora. Przez prawie dwieście lat jedynym dostarczycielem cudownego lekarstwa były lesiste zbocza Andów. Systematyczne „obdzieranie ze skóry" drzew chinowych dla celów leczniczych, spowodowało jednak takie ich wyniszczenie, że od wieku XIX zaczęto uprawiać chinowce w Indonezji (na Jawie), w Indochinach, a także w ojczyźnie tego drzewa — Ameryce Południowej. W Europie korę chinową stosowano od połowy XVII wieku; chininę wyodrębniono z niej w roku 1820 we Francji.

...ŻYCIA. Oaza... Nikomu nie jest obce to słowo, nawet tym, którzy nosa za rodzinne progi nie wytknęli, chłonąc egzotykę pustyni z kart podróżniczych książek. Daktylowa palma jest dla nich powieściowym mirażem, dla mieszkańców pustynnych okolic gorącego klimatu była natomiast zawsze i jest — „drzewem życia". Tylko dzięki niej oazy Arabii i Sahary stały się możliwe do zamieszkania. Palma ta nie jest jednak darem pustynnej ziemi; przywędrowała z innych stron i jej pierwotnej dzikiej formy nikt już dziś nie zna. Faktem jest natomiast, że daktylowa palma była pierwszą z roślin świata, u której człowiek zastosował sztuczne zapylanie i którą dla jej cennych jadalnych owoców hoduje od Wysp Kanaryjskich poprzez północną Afrykę, Arabię, Mezopotamię, środkowy Iran, aż do Pendżabu w Indii. Jej owoce, zależnie od gatunku szkliste i słodkie albo mączyste, weszły na stałe do jadłospisu ludzi i zwierząt; dla wielbłądów i osłów — łącznie z pestkami. Użyteczność daktylowej palmy nie ogranicza się wyłącznie do gastro-

nomii — jej drewno wykorzystywane jest jako materiał budowlany, a liście — jako surowiec do wyrobu plecionek, a czasem i pokrywania dachów.

...ORĘŻA. Saksauł nazwaliśmy „drzewem oręża" ponieważ odegrał on swego czasu szczególną rolę w historii Europy, jako niezwykle ważny surowiec „przemysłu zbrojeniowego". Jego wysuszone korzenie służyły ni mniej ni więcej tylko do... wytapiania słynnej stali damasceńskiej; kute z niej szable przecinały pancerze z blachy. Niedowiarków informujemy, że rewelacyjną tę wiadomość, której próżno szukać nawet w Wielkiej Encyklopedii Powszechnej, podaje I tom Geografii Powszechnej. Wracając jednak do saksaułu, jest to niewielkie drzewo sięgające 12 metrów, o bardzo dużym systemie korzeniowym, skąpo wyposażone w liście o kształcie zaostrzonych łusek przyciśniętych do łodygi, albo w postaci wypukłości na gałęziach. Rośnie na piaszczystych pustyniach azjatyckich (Iran, Afganistan, Mongolia), gdzie i dziś ma wielkie znaczenie gospodarcze.

...SŁAWY. Pojawiło się ono na ziemi w szczególnych okolicznościach. Oto nieodłączna towarzyszka Artemidy, nimfa Dafne, ścigana przez zakochanego w niej Apollina, widząc, że mu nie ujdzie zwróciła się do bogów z błaganiem o ratunek. Prośba jej została wysłuchana: Zeus zamienił Dafne w drzewo laurowe. Stało się ono odtąd ulubionym drzewem Apollina i jemu zostało poświęcone. W starożytnej Grecji gałązkami wawrzynu (Daphne — wawrzyn) wieńczono czoła zwycięzców w agonach poetycko-muzycznych, a liść jego stał się symbolem sławy i zwycięstwa. Mit grecki, wyzyskany przez starożytność w sztuce i literaturze, przeszedł i do epok późniejszych, znajdując wyraz w malarstwie, rzeźbie i muzyce; dla liści laurowych potomni znaleźli jednak o wiele mniej romantyczne zastosowanie — z bohaterskich czół przenieśli je do kuchni, uznając, że ich ostry, specyficzny zapach czyni z nich znakomitą przyprawę, którą nazwali prozaicznie listkiem bobkowym. Równie prozaicznie brzmi też tytuł sielanki S. Twardowskiego napisanej w 1630 r. — „Dafnis drzewem bobkowym"... Wiecznie zielone drzewo laurowe — niezależnie od tego, co ludzie na jego temat wymyślili — rośnie dalej ku ich pożytkowi w swoim naturalnym podzwrotnikowym otoczeniu, a ku uciesze oczu sadzone jest również w Europie południowej.

...KULTU. „...nie było jeszcze ni ziemi ni nieba, tylko morze sine, a pośród morza stały dwa dęby" — twierdzi stara, podkarpacka klechda o stworzeniu świata, niedwuznacznie określając królewską rolę tego drzewa. Prastary świat słowiański czcił dęby od wieków, przypisując im nadprzyrodzoną moc. Echem tych wierzeń są liczne podania ludowe, z których wynika, że zasięg działania „króla roślin" zaiste był nieograniczony. Oto np. w Kieleckiem, na drodze z Bejsc do Zagórzyc stał potężny dąb zwany „doktorem". Do tego dębu-laryngologa — bo leczył on ból gardła, zębów i dziąseł — pacjent udawał się po poradę przed wschodem słońca, obchodził doktora trzy razy i mówił: „Powiedzże mi, powiedz, mój kochany dębie, jakim sposobem leczyć zęby w gębie"... Noszone na szyi liście niektórych dębów zabezpieczały od złych przygód, innych — miały moc wskrzeszania, a jeszcze innych — zabijania. Każdy dąb z pniem wypróchniałym u podstawy uważany był za mieszkanie duchów. Ludność okoliczna składała pod takim drzewem ofiary, prosząc dobre duchy o pomoc, a złe — o nierobienie krzywdy. Zniknięcie datków — zwitków lnu, plastrów miodu, serów i jaj — oznaczało, że ofiara została przyjęta... Rodzina „świętych" drzew jest liczna — obejmuje ponad 200 gatunków, z których u nas rosną jednak tylko trzy. Są to nasze najstarsze drzewa; tysiącletni senior rodu — Bartek — szumi swoją wielką koroną koło Zagnańska w Kieleckiem.

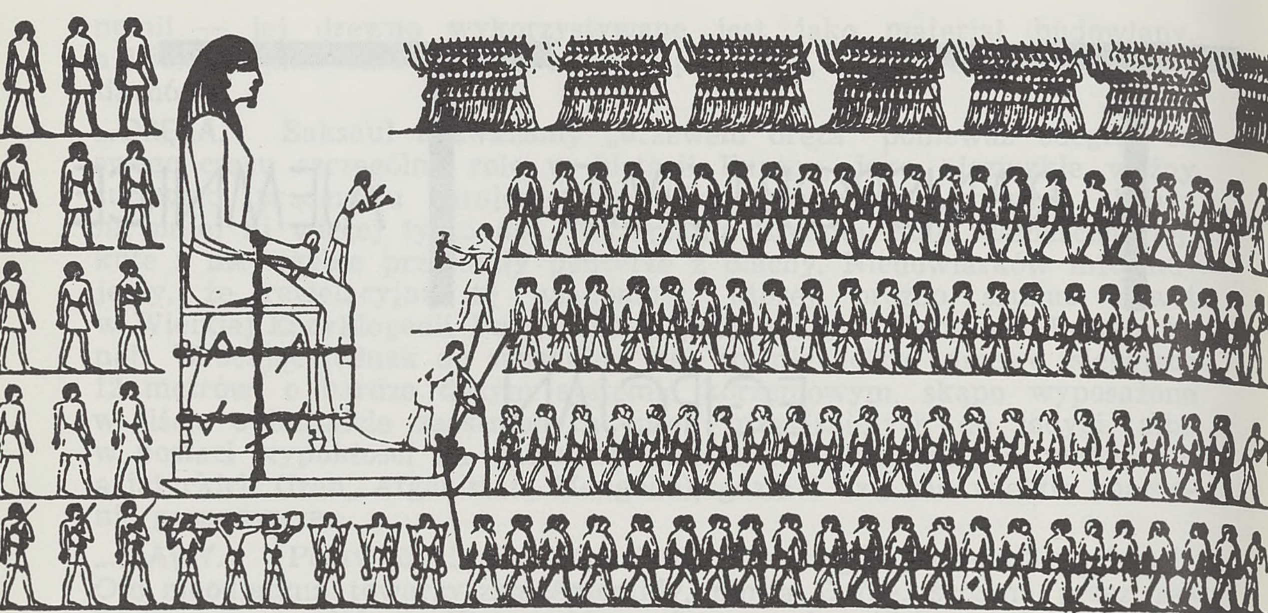
TRANSPORTOWE TAJEMNICE EGIPCJAN

Współczesna technika pozwala na przenoszenie — nawet na wielkie odległości i bez specjalnych trudności — obiektów, których waga sięga setek ton. Podobne wysiłki podejmowane były także i w starożytności, przy czym ludzie owych czasów potrafili nie tylko dokonywać tego bez pomocy pary, silników spalinowych, transmisji i przekładni, ale bardzo często nie znając nawet tak podstawowych urządzeń, jak zwykłe koło.

Wyniki badań współczesnych archeologów wskazują, że wielkie ciężary były transportowane przy pomocy tak prostych, zmniejszających tarcie urządzeń, jak płozy oraz walce w postaci wygładzonych pni olbrzymich drzew, które podkładano pod wielkie bloki kamienne, a nawet pod pomniki.

Cała tajemnica powodzenia takich transportowych przedsięwzięć polegała przy tym na olbrzymim szafowaniu nie tylko czasem, lecz także — i przede wszystkim — roboczą siłą ludzką. Rzecz charakterystyczna, że nie zwierzęta pociągowe, lecz właśnie człowiek był w tych przypadkach źródłem energii. Na starodawnych rysunkach i malowidłach, przedstawiających tego rodzaju prace, nie widać nawet konia, który jest przecież blisko 15 razy silniejszy od człowieka. Zwierzę to było jednak w owych czasach do tego stopnia eksploatowane, że wydajność jego spadała w krótkim czasie zaledwie do czterokrotnej siły człowieka; ponadto koń zjadał cztery razy więcej od człowieka. Ponieważ ludzi było z kolei znacznie więcej, niż zwierząt jucznych, rozwiązanie problemu ciężkich prac nasuwało się w tych warunkach w sposób automatyczny.

Podobnie zresztą jak my — współcześni, ludzie antyczni mieli



także ambicje, żeby pozostawić po sobie trwałe i wielkie pomniki kultury. Hołdowanie prawdziwej gigantomanii miało być właśnie wykładnikiem poziomu i dorobku kultury. Stąd bierze swój początek idea piramid egipskich i stutonowych kolosów Memnona. Gigantomania panowała na całym ówczesnym Lewancie i Środkowym Wschodzie. I tak np. w Mykenach, w Grecji, używano do budowy drzwi grobowców — kamieni o wadze ponad 120 ton! Również i na terenie dzisiejszej Francji, Hiszpanii oraz na Wyspach Brytyjskich stoją do dziś olbrzymie kamienne pomniki dawnych kultur (np. w Stonehenge). W Nowym Świecie zachowały się relikty gigantycznych rzeźb i ołtarzy Olmeków, Majów i Azteków. Olbrzymie twierdze budowali Inkowie, używając do wznoszenia murów kamiennych „cegieł" po 200 ton wagi każda.

Na powyższym rysunku widzimy reprodukcję malowidła z okresu panowania w Egipcie XIII dynastii. Robotnicy i niewolnicy transportują olbrzymi, 60-tonowy posąg, wyobrażający dostojnika imieniem Dżehutihetep. Pomnik jest ustawiony na płozach, a człowiek, idący tuż przed nim, wylewa prawdopodobnie jakąś substancję, która przy przesuwaniu ułatwia poślizg. Niektórzy dzisiejsi uczeni są zdania, że czynność ta jest zapowiedzią współczesnej techniki, która zaczyna także stosować materiały, ułatwiające przesuwanie się olbrzymich ciężarów po gładkiej powierzchni. *„Science Digest"*

GRZECZNOŚĆ PO STAROPOLSKU

GRZECZNOŚĆ PO POLSKU — **brzmi trochę jak „bigos po myśliwsku". Nie ma w tym zestawieniu chyba nic złego: jedno i drugie jest wywodzącą się ze staropolskich obyczajów narodową specjalnością, jedno i drugie bogate ma u nas tradycje, jedno i drugie zeszło ostatnio nieco na psy... Choć kapusty i dziś nie brak na polskich stołach, o prawdziwy „hultajski bigos" trudno, tak samo, jak o sławną sarmacką „grzeczność polskiego stylu", która tak urzekała cudzoziemców. Prawdę mówiąc, urzeka ich i dziś; nie staje jej raczej na codzienny, krajowy użytek; i to właśnie świadczy głównie o niekorzystnej zmianie „polskiego stylu". Kiedyś uderzała bowiem obcokrajowców grzeczność nie tylko wobec nich; zadziwiało także ujmujące i pełne godności zachowanie się Polaków w ogóle, owa całkiem odrębna „sarmacka gracja".**

Przodkowie nasi, skłonni — podobnie jak my dzisiaj — do przesadnego czasem naśladowania zagranicznych wzorów, w zakresie dobrego wychowania i reguł grzeczności, uznawali wszakże tylko jeden towarzyski kodeks, a mianowicie — kodeks polski. Ich grzeczność była „towarem" ze znakiem najwyższej jakości: grzecznością prawdziwą, pozbawioną serwilizmu i fałszu, wyrastającą „ze szczerego obyczaju, dobrego wychowania i wrodzonej uprzejmości serca". Zmącił jej czystość dopiero bieg czasu, zwłaszcza wiek XVII, kiedy wielka szlachta przybrała uroszczenia dynastów, a mniejsza przywykła do serwilizmu; obłudna pokora szła wówczas często w parze z grubym zuchwalstwem, a pogarszał sytuację brak cnoty opanowania, zalety, której w kodeksie grzeczności naturalnie nie brakowało. Ale i wtedy wśród najlepszej części szlacheckiego świata nie ginie dobra tradycja grzeczności polskiej. O tym jak ona wyglądała i jak wiele przyjęły z niej — przynajmniej w teorii — następne pokolenia, powiemy za chwilę; najpierw jeszcze słów parę o towarzyskiej terminologii starego świata.

GRZECZNOŚĆ SPRAWĄ... POLITYCZNĄ. Wiele pojęć w języku staropolskim nosiło inne zgoła nazwy niż dziś. W XVI i XVII w. nie używano np. słowa „grzeczność" w dzisiejszym znaczeniu; określało ono rozsądek, takt, właściwe zachowanie. Cały ówczesny kodeks towarzyski wymagał „ludzkości", a wykwintne maniery znane były pod słowem „polityka". A więc człowiek źle wychowany był człowiekiem „niepolitycznym", albo — jeśli posiadał w dodatku takie cechy, jak zbytnią pewność siebie i obcesową poufałość — „bezpiecznym". Akurat odwrotnie niż nazwalibyśmy go dziś... Z biegiem czasu te same słowa nabierały przeciwstawnego znaczenia: „ludzkością" nazywano później również dzisiejsze „rozrabianie" i hulaszczość, a Górnicki używał np. pojęcia „bezpieczeństwo" w znaczeniu swobody i naturalności zachowania. W starej Polsce nie używano również słowa „honor"; wszystko co mieści się pod tym pojęciem w dzisiejszym znaczeniu określano mianem „uczciwego". Podobnie było z dowcipem: oznaczał on u braci Sarmatów bystrość umysłu i inteligencję, odpowiednikiem dzisiejszego dowcipu było natomiast słowo „trefność". Wszystko to nie ma dziś dla nas oczywiście praktycznego znaczenia, jest tylko małą lekcją obyczajową, pozwalającą nam „bez słownika" czytać ciąg dalszy.

„Po łacinie mądry, a po polsku błazen" — mawiano o tym, kto mimo umysłowego wykształcenia nie posiadał manier polskiej grzeczności. Jechali więc szlacheccy i pańscy synowie za granicę dla nabrania europejskiego poloru, ale tego, jak mają się zachowywać wobec starszych i znaczniejszych, jak kłaniać się i tańczyć — uczyli się w kraju. Ojciec młodych Sobieskich żegna ich przykazaniem „aby po polsku byli grzecznymi"; mają się więc strzec pychy, ale pamiętać o tym, aby „posiadać się nigdzie nie dawali", to znaczy, aby nie pozwalali traktować się z góry; nie uchybiać nikomu, ale też nie dać uchybić sobie i strzec swego „uczciwego". Każdemu też kto ich odwiedzi, „prawą rękę i pierwsze miejsce niech dadzą, przeciwko każdemu niechaj aż do drzwi wychodzą i każdego aż do drzwi niechaj wyprowadzą". Malowniczy i poważny ukłon polski zadziwia cudzoziemców jeszcze w ostatnich latach XVIII wieku. Wielu ma go za zbyt niski i czołobitny, wynika to jednak z nieznajomości polskich obyczajów, nakazujących młodzieży najgłębszą cześć dla rodziców i dla sędziwego wieku. Szlachta polska, a zwłaszcza jej wyższa i dostojniejsza warstwa, przywiązywała wielką wagę do swoich tradycyjnych form grzeczności i bardzo gorszyła się ich brakiem za granicą. Jerzy Ossoliński w swoim diariuszu z podróży do Ratyzbony w roku 1636 zanotował, że w Czechach tylko hrabiego Wierbna, tylko jego „samego jedynego między wszystkimi Czechami

znalazł człowieka ludzkiego". Z satysfakcją zapisał również, jak to, z podziwieniem dworu tutecznego grube *et hospitales animos* Niemców coraz do lepszej przywiódł ludzkości".

GRZECZNOŚĆ KOMINKOWEJ KONWERSACJI. Każdy Polak nieomal od kolebki był człowiekiem towarzyskim, czyli jak mówiono w starej Polsce „biesiadnym". Temu wrodzonemu talentowi zawdzięczamy, że jeszcze w XVI wieku obdarzono nas mianem „Francuzów Północy". Górnicki mówił o tym tak: „Ma drugi w sobie bezpieczeństwo jakieś szczere a otworzyste, nie patrząc bardzo na ceremonie i powiadają tak, którzy bywali we Francji, iżeśmy my Polacy Francuzom w tym, albo oni nam, bardzo podobni". To podobieństwo w sposobie bycia narzuca się również bardzo bystremu obserwatorowi polskiego obyczaju, Francuzowi Beauplanowi, przybyłemu do Polski w 1632 r. Towarzyska łatwość, pozbawiona pozy i afektacji swoboda bycia, *„un naturel franc et gai"* ujmowały go na każdym kroku, nasuwając skojarzenia z atmosferą rodzinnego kraju. Obdarzeni takimi przymiotami kawalerowie polscy nie byli jednak salonowymi lwami i mistrzami konwersacji; w Polsce sztacheckiej nie było jeszcze właściwego gruntu do rozwinięcia się naszych towarzyskich talentów w pojęciu europejskim. „Zamiast konwersacji była tylko — pisze Łoziński — gawęda i pogadanka, a na wyższy stopień tych dwóch form, że tak powiemy: kominowych, Górnicki nie ma już nazwy ani swojskiej, ani obcej i używa określenia *gry rozmowne*. Sztuka rozmowy zaś polegała według niego na tym, aby „uczciwie i z wdzięcznością podług czasu i miejsca zabawić każdego i wiedzieć, co z kim mówić". W tej sytuacji duszą towarzystwa był gość-narrator, ten, kto potrafił dużo i interesująco opowiadać.

...Gest i ruch jaki towarzyszył polskiej „polityce", cała malownicza mimika „czystego, gładkiego pachołka"... w całej swojej harmonii i okrągłości rozwijała się w tańcu polskim... — pisze Łoziński. Nie mogło się też bez tańca obyć żadne większe spotkanie, zabawa czy bal. W domach szlacheckich nie lubiano jednak tańców skocznych i wirowych. Niewiele też z rodzimych tańców ludowych przedostało się do warstw wyższych, a i to w okresie późniejszym; przyswajano sobie natomiast dość wcześnie tańce zagraniczne, ale i one przez swą „skoczność i nieskromność" bardzo długo nie licowały ze staroszlachecką, polonezową powagą. „Kasztelan gnieźnieński Sielski obruszył się i zgorszył bardzo w Paryżu — czytamy u Łozińskiego — widokiem tańcującego w podskokach księcia Kondeusza, nie pojmując, jak książę i dostojnik «lekkimi ruchami może wystawiać się na pośmiewisko»". Wykluczone było również z tańców polskich wszelkie poufniejsze zbliżenie się tancerza do tanecznicy, tak zwyczajne za granicą; w liście Zofii Łaskiej czytamy o Polkach, które towarzyszyły królowej Katarzynie po jej wyjeździe z Polski, że w Linzu tym się najwięcej cesarzowej podobały, iż kiedy w taniec szły, nie dały się obłapiać ani całować; i Niemcom się to podobało: mówili, iż to cnotliwa nacja polska." Anonimowy uczestnik jakiejś zabawy tak opisuje natomiast staropolską dbałość o balowych gości: „Podszepniętem to było zwykle, żeby wziąć w taniec osoby, o których zapomniano, lub które za mało tańcowały przez nieśmiałość; starano się, ażeby nikt nie był upośledzonym. Uprzejmość gospodyni lub córki domu umiała bal ożywić, uchybienie jakie lub omyłkę i zapomnienie wynagrodzić, zapraszając z wdziękiem tego, który był zasmucony, lub najznakomitszego z mężczyzn zwracając do tej, której cześć pomienioną oddać chciano".

GRZECZNOŚĆ GOSPODARZA. O niej pisze Łoziński w „Życiu polskim w dawnych wiekach": „Kwiatem, ale i walną próbą cnót towarzyskich, a już głównie cierpliwości, była gościnność, ta historyczna gościnność staroszlachecka, rozsławiona po całym świecie przez cudzoziemców, którzy w jakiejkolwiek porze podróżowali po Polsce — rozkosz, ale i klątwa szlachcica, bo jak z jednej strony była przyjemnością wiejskiego życia, tak znowu z drugiej źródłem niepokoju, utraty i awantury". Stąd i dwa przeciwstawne sobie przysłowia: „Gość w dom, Bóg w dom" i „Gość nie w porę, gorszy od Tatarzyna". Całą wręcz entuzjastyczną serdeczność staropolskiej gościnności najlepiej oddawało to pierwsze przysłowie. Każdy doznawał najżyczliwszego przyjęcia. „Tatarzynem" był tylko ten, kto zwaliwszy się nieoczekiwanie wykorzystywał swoje prawa gościa ponad miarę. Prawdziwym „bogiem" natomiast stawał się gość, któremu gospodarz szczególnie był rad. „Dwór cały, piwnica, spichlerz, spiżarnia, apteczka, skarbiec, kieszeń i dusza gospodarza otwierały się przed nim szeroko". Taki gość musiał liczyć się z każdą wypowiedzianą pochwałą — rzecz wyróżniona była mu bowiem natychmiast dawana. „Darować kogoś koniem", „dać szablę na niezapamiętanie" to były powszednie rzeczy. A nie przyjąć — było obrazą, wzgardą przyjacielskich uczuć... Znany ze swoich pamiętników Marcin Matuszewicz mając niespodziewanych gości a nie mogąc znaleźć muzykantów... sam przez całą noc gra na flecie, albo przyśpiewuje do tańca, a gdy się rozjeżdżają, każdego obdarowuje jakimś „drobiazgiem": cennym koniem, strzelbą francuską, rubinowymi guzami do kontusza itp. itd. Z czym do gości — chciałoby się zawołać — z czym do gości dwudziestowieczny gospodarzu!...

KTO POŻYCZAŁ OD NASZYCH PRADZIADÓW?

Jeszcze do niedawna uważano powszechnie, że Słowianie zachodni, a także nasi bezpośredni przodkowie Polanie czy Pomorzanie, zajmowali się głównie myślistwem, wiedli żywot na wpół koczowniczy i stali na bardzo niskim szczeblu cywilizacji i kultury. Tak np. twierdzili niektórzy uczeni niemieccy, przy czym sąd ich wynikał głównie z wyraźnej tendecji politycznej do negowania i pomniejszania wszystkiego, co Słowianie wnieśli do skarbnicy ogólnoświatowej kultury.

Sugestii tego poglądu ulegli również niektórzy pisarze polscy, przedstawiając kulturę Polan czy Pomorzan jako ubogą i pierwotną. Błąd ten znajdujemy nie tylko w „Starej Baśni" J. I. Kraszewskiego, gdzie Polanie z czasów Popiela żyją jeszcze w kulturze kamiennej i ze zdziwieniem oglądają żelazną broń w ręku przybyszów germańskich, ale i we współczesnej polskiej literaturze pięknej. Na przykład w „Bursztynach" Kossak-Szczuckiej spotykamy mylną i krzywdzącą ocenę kultury prasłowiańskiej, a Stefan Żeromski w „Wietrze od morza" każe Kaszubowi z okresu wczesnohistorycznego posługiwać się w walce z wodzem najeźdźczej drużyny germańskiej — młotem kamiennym, w istocie już od wieków na Pomorzu nie używanym. O toporach kamiennych wspomina wreszcie Bunsch w swej powojennej powieści z czasów Mieszka I pt. „Dzikowy Skarb". Tymczasem nawet co bezstronniejsi badacze niemieccy (W. Frenzel, H. Knorr) zauważają trafnie, że Słowianie wczesnohistoryczni posiadali bogatą kulturę materialną i duchową, w związku z czym wywierali znaczny wpływ na kulturę sąsiadujących z nimi plemion germańskich, a nawet ludów skandynawskich. Widać to choćby na przykładach niektórych nazw słowiańskich, sięgających czasów wspólnoty słowiańskiej (VI w. n. e.), z których wiele przeszło na trwałe do obcych języków.

Oto garść przykładów:

Germanie zapożyczyli od Prasłowian:

chomąto	—	Kummet
szuba	—	Chaube
prom	—	Pramr
twaróg	—	Quark
śmietana	—	Schmetten, Schmant
skop	—	Schöps
piskorz	—	Beitzker
płocica	—	Plötze
przystaw (tłumacz)	—	Pristabel; w Brandenburgii nazwa ta oznaczała starszego nad rybakami i w tym znaczeniu zapożyczyli ją Szwedzi (praestaf)
czyżyk	—	Zeisig
szczygieł	—	Stieglitz
buda	—	wg niemieckiego etymologa Kluge germański odpowiednik Bude został zapożyczony od Słowian, a nie odwrotnie, jak mogłoby się wydawać
duchna (pierzyna)	—	Duchnet, Duchet
reż (żyto)	—	Roggen, od tego wywodzi się nazwa wyspy Rugia
konopie	—	Hanaf, Hanf
ogórek	—	Gurken
karczmarz	—	Kretscham, Kretschmer

Ludy Skandynawii zapożyczyły od Prasłowian, m. in.:

prom	—	Pramr
korab	—	Karfi
pląsać	—	plinsjan

Nie istniejący już dzisiaj Prusowie przyjęli od naszych przodków, m. in.:

kmieć	—	kumetis
włodyka	—	walduiko
żupan	—	zupon.

Wg „Kultury Prasłowian" J. Kostrzewskiego i „Słownika etymologicznego języka polskiego" Al. Brücknera

MYSZY ZJADAJĄ AUSTRALIĘ

Australijskie matki kładą swe niemowlęta w koszach zawieszonych u sufitu. W szpitalach Onyen personel pielęgniarski zainstalował przy łóżkach ciężko chorych pułapki na myszy, ponieważ zaczęły one napastować unieruchomionych pacjentów. Ulicami miast przemyka tyle myszy, że powodują wypadki samochodowe. Kierowcy hamując wpadają w poślizg na mysich trupkach. Miejscami wygląda to jak żywy dywan — mówią policjanci.

Farmerzy wykopują wokół stogów zboża głębokie rowy i napełniają je wodą. Pewien farmer jednego tylko dnia wyłowił z rowu tysiąc utapionych myszy. Rozsypuje się też tony ziarna pszenicznego zatrutego strychniną, by w ten sposób ratować resztę plonów przed mysią plagą. Niestety, ofiarami trucizny padają prócz myszy ptaki i zwierzęta domowe.

Po raz trzeci w ostatnim pięćdziesięcioleciu Australia przeżywa inwazję myszy. Plaga minionych miesięcy nie jest wcale największa, choć szkody w zbiorach idą w miliony. Hodowcy ryżu z okolic Murrumbidgee i Colleambally oceniają straty na jedną czwartą całości zbiorów. Nie ma skutecznego środka przeciwko tym szkodnikom. Mysz, „mały brudny gryzoń — twierdzą brytyjscy badacze Davis i Rowe — stawia opór wszelkim środkom niszczącym, nawet używanym w wojnie chemicznej".

Mysz towarzyszy człowiekowi od tysięcy lat. Już w Egipcie faraonów występowała gromadnie — malowidła ścienne przekazały tę plagę. Średniowieczne sztychy ukazują myszy atakujące miasta. W czasach nowszych — wg. „Życia zwierząt" Brahmsa — w jednym tylko okręgu Zabern, w 1822 r. w ciągu 14 dni złowiono 1 570 000 myszy. W 1861 roku łowcy tego gryzonia zabili w okolicy Alsheim i Rhein-Hessen 409 523 sztuki.

W połowie lat trzydziestych napłynęły tabuny myszy z Andów na pola w okolicy Santiago, stolicy Chile. Nawet ogień nie mógł powstrzymać tej żywej fali. W przeciągu kilku dni gryzonie, wystraszone prawdopodobnie trzęsieniem ziemi, wyżarły do cna rozległe pola zbożowe.

— Żyjemy w roku myszy — pisała w 1967 roku gazeta „International Herald Tribune" — ponieważ jak nigdy przedtem szkodniki zaatakowały całkiem nowe połacie ziemi w Europie.

" Na Sycylii, w tym samym okresie, miliony myszy napadły w czasie zbiorów rozliczne wsie, po czym przecwałowały przez Palermo, zabijając po drodze kurczaki, gołębie i króliki.

Najbardziej dotkliwie wystąpiła plaga myszy w 1967 r. w Jugosławii. Setki wsi Bośni, Hercegowiny i Serbii zaatakowała niszczycielska inwazja. Wystawiona przeciw myszom armia kotów — ich odwiecznych wrogów — uciekła w panice. Nawet rzeki nie mogły zatrzymać marszu małych gryzoni. Setki ludzi padło wówczas ofiarą „mysiej choroby", infekcji, której zarazek dociera poprzez żyły do nerek, no i nerki przestają działać. Zanotowano nawet wypadki śmiertelne. Dopiero zima położyła kres mysiej pladze, śnieg bowiem — jak dotąd — jest na nią najlepszym środkiem.

I w tym roku zima jest jedyną nadzieją dla ciężko doświadczonej Australii.

AKT KAPITULACJI HITLEROWSKICH NIEMIEC

Podpisanie aktu kapitulacji Niemiec, kończące II wojnę światową w Europie, odbyło się 8 maja 1945 roku w Karlhorst, jednej ze wschodnich dzielnic Berlina. Przybywających przedstawicieli sojuszniczyck armii Stanów Zjednoczonych (gen. K. Spaatz), Wielkiej Brytanii (główny marszałek lotnictwa Anglii A. Tedder) i Francji (gen. F. de Lattre de Tassigny) witał w roli gospodarza marszałek Związku Radzieckiego G. K. Żukow, reprezentujący Naczelne Dowództwo Armii Czerwonej. Wszyscy zgromadzili się w jednopiętrowym domu otoczonym ogrodem — dawnej stołówce wojskowej szkoły inżynieryjnej. Następnie została wprowadzona delegacja niemiecka w składzie: szef OKW — feldmarszałek Keitel, naczelny dowódca Kriegsmarine — admirał Friedeburg, zastępujący naczelnego dowódcę Luftwaffe — gen. Stumpf.

Po sprawdzeniu przez marszałka Żukowa pełnomocnictwa delegacji niemieckiej do podpisania aktu kapitulacji, nastąpiło złożenie podpisów pod dokumentem następującej treści:

1) My niżej podpisani, działając w imieniu niemieckiego Naczelnego Dowództwa, zgadzamy się na bezwarunkową kapitulację przed Naczelnym Dowództwem Armii Czerwonej i równocześnie przed Naczelnym Dowództwem Sojuszniczych Sił Ekspedycyjnych wszystkich naszych sił zbrojnych na lądzie, na morzu i w powietrzu, jak również wszystkich sił znajdujących się w chwili obecnej pod dowództwem niemieckim.

2) Naczelne Dowództwo niemieckie wyda niezwłocznie wszystkim niemieckim dowódcom sił lądowych, morskich i lotniczych oraz wszystkim siłom pozostającym pod dowództwem niemieckim rozkaz przerwać działania wojenne 8 maja 1945 r. o godzinie 23.01 czasu środkowoeuropejskiego, pozostać na miejscach, które w tym czasie będą zajmowały, oraz całkowicie rozbroić się i wydać całą swą broń i sprzęt wojskowy miejscowym dowódcom sojuszniczym albo oficerom wyznaczonym przez przedstawicieli Sojuszniczego Naczelnego Dowództwa, nie niszczyć i nie wyrządzać żadnych szkód statkom, okrętom i samolotom, ich silnikom, kadłubom i oporządzeniu, jak również samochodom, uzbrojeniu, przyrządom i wszystkim w ogóle wojskowo-technicznym środkom prowadzenia wojny.

3) Naczelne Dowództwo niemieckie wyznaczy niezwłocznie odpowiednich dowódców i zapewni wykonanie wszystkich dalszych rozkazów wydanych przez Naczelne Dowództwo Armii Czerwonej i Naczelne Dowództwo Sojuszniczych Sił Ekspedycyjnych.

4) Akt niniejszy nie może stać na przeszkodzie do zastąpienia go innym, generalnym dokumentem o kapitulacji, zawartym przez Zjednoczone Narody lub w ich imieniu, a stosującym się do Niemiec i do całości niemieckich sił zbrojnych.

5) W przypadku gdy Naczelne Dowództwo niemieckie lub jakiekolwiek siły zbrojne pozostające pod jego rozkazami, nie będą postępowały zgodnie z niniejszym aktem kapitulacji, Naczelne Dowództwo Armii Czerwonej, jak również Naczelne Dowództwo Sojuszniczych Sił Ekspedycyjnych przedsięwezmą takie kroki represyjne lub inne działania, jakie uznają za nieodzowne.

6) Akt niniejszy sporządzony jest w języku rosyjskim, angielskim i niemieckim. Tylko tekst rosyjski i angielski są miarodajne.

Podpisano dnia 8 maja 1945 r. w mieście Berlinie.

Podał do druku W. Lang

Podpisanie aktu kapitulacji Niemiec przez feldmarszałka Keitla



KTO WYNALAZŁ GOLFA?

Można by zacząć od sakramentalnego „już starożytni Rzymianie...". Fakt, że grali oni w grę zwaną *panica* o zbliżonych zasadach. Natomiast Francuzi grywali w średniowieczu w *jeu de mail*. Lecz obecny golf ma się wywodzić ze staroszkockiej gry. Wygrywał ten, kto na dystansie kilkuset metrów wrzucił kolejno do dołków piłeczkę najmniejszą ilością uderzeń. Naturalne nierówności, które początkowo przeszkadzały w grze, zostały podniesione do rangi obowiązujących. Jakub I angielski (VI szkocki, 1566—1625) wprowadził tę grę u siebie na dworze, lecz dopiero w połowie XIX wieku zyskała na popularności. W 1754 roku założono w St. Andrews (na północ od Edynburga) klub golfowy „Royal and Ancient Golf Club" istniejący do dzisiaj. Jego przepisy są wzorem dla regulaminów klubowych i międzynarodowych. Tu musi być zgłoszona każda zmiana przepisów, każdy nowy klub. Jednak zawody w Wielkiej Brytanii tracą zwolna swoją atrakcyjność dla graczy, zwłaszcza zawodowych, gdyż konkurencja amerykańska oferuje wyższe nagrody pieniężne dla zwycięzców.

Z POEZJI LEOPOLDA STAFFA

PRZEDŚPIEW

Czciciel gwiazd i mądrości, miłośnik ogrodów,
Wyznawca snów i piękna i uczestnik godów,
Na które swych wybrańców sprasza sztuka boska:
Znam gorycz i zawody, wiem, co ból i troska,
Złuda miłości, zwątpień mrok, tęsknot rozbicia,
A jednak śpiewać będę wam pochwałę życia —
Bo żyłem długo w górach i mieszkałem w lasach.
Pamięcią swą dni chmurne i dni w słońcu krasach
Przechodzę, jakby jakieś wielkie, dziwne miasta,
Z myślą ciężką, jak z dzbanem na głowie niewiasta,
A dzban wino ukrywa i łzy w swojej cieśni.
Kochałem i wiem teraz, skąd się rodzą pieśni;
Widziałem konających w nadziejnej otusze
I kobiety przy studniach brzemienne, jak grusze;
Szedłem przez pola żniwne i mogilne kopce,
Żyłem i z rzeczy ludzkich nic mi nie jest obce.
Przeto myśli me, które stoją przy mnie w radzie,
Choć smutne, są pogodne jako starcy w sadzie.
I uczę miłowania, radości w uśmiechu,
W łzach widzieć słodycz smutną, dobroć chorą w grzechu,
I pochwalam tajń życia w pieśni i milczeniu,
Pogodny mądry smutkiem i wprawny w cierpieniu.

ZMIANY

W myśl o śmierci wstępuję codziennie, jak w łódź,
I na błękitach życia chwilę się kołyszę:
Wszak tak często spokojnie-m wsłuchiwał się w ciszę,
Przy echach z brzegu, które brzmią jak smętne "wróć!"

Gdy zmierzch zaczyna cienie szafirowe snuć
Na szczytach gór, co złocą się w zachodu pysze,
Długo źrenicą niemą na blaskach zórz wiszę,
Co kwitną jak wrześniowych róż spóźniona młódź.

Czemu ma trwożyć zmiana? Czyż nie kocham zmiany?
Tak często do mgły jutra tęskniłem nieznanej.
A czym dziś żyw ten, który-m był w dzieciństwa czas?

Czyżbym się nie czuł jako kamień wśród kamieni,
Gdybym wiedział, że nic się już nigdy nie zmieni?
A jestże coś mniej piękne przeto, że jest raz?



POWRÓT

W nieskalanej jak rosa ciszy bezgranicznej
Majowy ranek szczęściem przedwiecznym się śmieje,
Gdy nad rajskim zdziwieniem drzew niebo epiczne
Maluje chmur wędrownych wiecznie nowe dzieje.

Czy to prawda? Czy obłęd złudą mnie olśniewa?
To było przed wiecznością! To nie z tego świata!
To nie pola, nie kwiaty, nie chmury, nie drzewa,
To moje młode lata! Moje młode lata!



SMACZNEGO

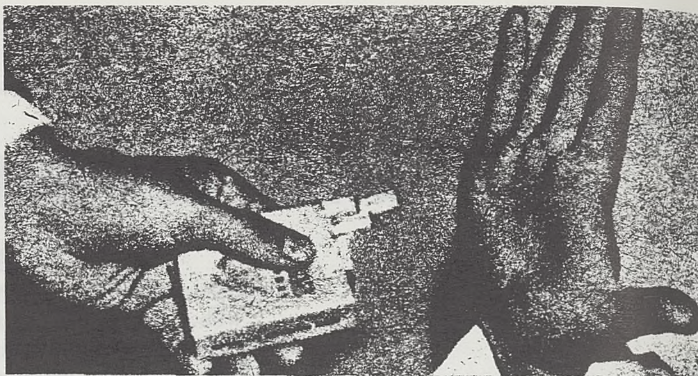
Myszy: Profesor Uniwersytetu Kalifornijskiego Mc Kleiber, po długotrwałych badaniach i doświadczeniach naukowych, wystąpił z tezą, że mięso mysie jest niezwykle zdrowe i pożywne; zawiera ono dwanaście razy więcej kalorii niż wołowina. Uczony polecił kierownictwu amerykańskiej kosmonautyki wykorzystywanie w przyszłych lotach kosmicznych mysiego mięsa, jako pożywienia astronautów. Wpłynie to na ich samopoczucie i na zmniejszenie wagi kosmicznego „bagażu".

Chrabąszcze: Dwaj amerykańscy entomolodzy z uniwersytetu w Saint Louis wysunęli hipotezę, że wobec wzrastających trudności z wyżywieniem gwałtownie wzrastającej liczby ludności na świecie, już w niedalekiej przyszłości ludzkość będzie musiała się zacząć oglądać za... owadami. Na „pierwszy ogień" pójdą naturalnie już od dawna spożywane na Dalekim Wschodzie — chrabąszcze. A potem...

Glisty: Ci sami uczeni zwrócili uwagę również na inne jeszcze możliwości wyżywieniowe dla głodującej części ludzkości. „Prymitywne ludy, np. Eskimosi, niektóre szczepy indyjskie czy ludzie z buszu, w okresach głodowych jadali masowo glisty i pająki. Po odpowiednim spreparowaniu można z tego surowca zrobić apetyczny i wartościowy pokarm".

Ludzie: W brytyjskiej Izbie Gmin w czasie debaty nad toksycznością różnych produktów chemicznych, jeden z referentów poinformował członków parlamentu, że w organizmie Anglików znajduje się minimalny procent DDT — wynoszący 0,000002%. Gorzej jest z Amerykanami: wskutek nadużywania przez nich i nadmiernego wdychania proszku DDT organizm Amerykanina zawiera przeciętnie 0,000011% tego proszku dezynfekcyjnego. Zdaniem referenta „mięso Amerykanów nie ma szans, żeby stało się ulubionym przysmakiem ludożerców. Anglicy są zdrowsi i smaczniejsi".

ZAPALIMY?



- Młody człowiek z papierosem w ustach czuje się dorosłym;

- chłopiec palący uważa się za mężczyznę;

- dziewczyna paląc nabiera pewności siebie i czuje się nowoczesną kobietą.

Takie są bardzo często przyczyny kształtowania się nawyku, a w końcu — nałogu palenia we wczesnej młodości. A jeśli dodamy jeszcze, że w środowisku młodzieżowym silna jest niechęć do wyróżniania się w swojej grupie — to zrozumiemy, jak bardzo trudno jest młodemu człowiekowi przeciwstawić się nieraz naciskowi otaczających go rówieśników-palaczy.

W toku badań prowadzonych w Czechosłowacji przez komisję specjalnie powołaną do zagadnień nikotynizmu — uzyskano bardzo ciekawe dane:

- większość palaczy świadomie odrzuca twierdzenie o szkodliwości palenia;

- absolutna większość sprzeciwia się paleniu na zebraniach i podczas pracy;

- 2/3 palaczy pali podczas pracy;

- młodzież (a szczególnie dziewczęta) papierosem pragnie zwrócić na siebie uwagę i podkreślić swą „dorosłość";

- większość kobiet (wg przeprowadzonej ankiety) twierdzi, że bodźcem do rozpoczęcia palenia była u nich chęć... podobania się mężczyznom;

- 70—90% mężczyzn wypowiada się przeciw używaniu przez kobiety tytoniu;

- i wreszcie niedyskrecja ze świata lekarskiego: lekarze palą mniej niż mężczyźni innych grup zawodowych, natomiast lekarki i pielęgniarki więcej niż inne kobiety pracujące zawodowo;

- jeśli chodzi o kobiety — to wiele z nich zaczynając palić szukało w paleniu ucieczki lub pocieszenia w przeżywanych konfliktach (podobnie jak przy używaniu alkoholu).

Badania nad nikotynizmem rozwijają się na całym świecie i zmierzają w dwóch kierunkach; ujawniania przyczyn powstawania nałogu i znalezienia środków do jego pokonania.

W ostatnim okresie problematyka badawcza rozszerza się na zagadnienie mało dotąd uwzględniane, a mianowicie — szkodliwość wdychania powietrza zanieczyszczonego dymem papierosowym, czyli szkodliwość tzw. palenia biernego.

„Żyjmy dłużej"

ILE? ZA ILE?

53 340 znaczków pocztowych wydano na całym świecie w ciągu dwudziestu lat, od 1945 do 1964. Najwięcej wydano ich w Europie: 20 350 znaczków.

220 100 nowych franków (francuskich) wynosi globalna wartość rynkowa tych 53 340 znaczków (wartość nominalna jest o wiele niższa!). Przybliżona ich wartość rynkowa w złotych: — 2 201 000 zł.

450 znaczków więcej, niż kraje kapitalistyczne, wydały w tym okresie europejskie kraje socjalistyczne. Socjalistyczne — 10 400 znaczków, pozostałe — 9 950 znaczków.

1 200 znaczków wydała Polska, 2 200 — ZSRR, Francja — 985, Austria — 530, Watykan — 364, ks. Liechtenstein — 214, Wielka Brytania — 153.

28 000 złotych wynosi cennikowa wartość wszystkich wydanych po wojnie znaczków polskich. Znaczków francuskich — 24 500 zł, watykańskich — 67 700, ks. Liechtenstein — 22 500 zł.

1 200 zł wynosi przeciętna wartość rynkowa jednego z 52 znaczków wydanych po 1945 r. przez rząd Wyspy św. Heleny. Przeciętna wartość rynkowa znaczka ZSRR wynosi 20 zł, znaczka USA — 10 zł.

4 znaczki tygodniowo (przeciętnie) wydawał w tym okresie ZSRR. Najwięcej (w skali światowej) wydały znaczków: ZSRR (2 200) i Chiny Ludowe (1 658), najmniej: Wielka Brytania (której monarcha posiada największy zbiór filatelistyczny) oraz kraje skandynawskie.

92 znaczki o nominale 173,95 zł wydano w Polsce w 1965 roku. W 1966 roku przewiduje się wydanie 13 serii, zawierających 81 znaczków i 1 bloczek — razem o wartości nominalnej 161,35 zł.

7 000 000 egzemplarzy wynosiły nakłady niektórych polskich znaczków. Przeciętny nakład znaczka w tak zwanej serii obiegowej wynosi od 1 400 000 do 7 000 000 sztuk. Niektóre nakłady znaczków specjalnych miały jednak tylko od 6 000 do 15 000 egzemplarzy (trudno będzie przyszłemu filateliście skompletować pełny zbiór znaczków PRL!).

1 200 000 000 wynosił w serii obiegowej nakład znaczka 5-centowego (do frankowania kart z życzeniami noworocznymi) wydanego w USA w grudniu 1965 r. Wartość nominalna tego nakładu: 60 milionów dolarów.



Założona w r. 1949 Polska Parafia

ŚWIĘTEGO STANISŁAWA

BISKUPA i MĘCZENNIKA



Ks. Prałat J. Karpiński,
Proboszcz
Prezes Polskiego
Komitetu Imigracyjnego

101 East 7th St.

NEW YORK, N. Y.

KS. PRAŁAT
JAN J. KARPIŃSKI
Proboszcz

Ks. Ludwik Makulec
Ks. Józef Oliński
Ks. Stanisław Król
— Asystenci



KOLĘDA

Hej, kolęda, kolęda,
Pierwsza gwiazda migoce
I z pod ziemi legenda
Wstaje. Idzie w pomroce
Przez kraj mogił i cieni
Płynie dźwiękiem chorału,
Wśród skrzypiących szubienic
I powstańczych wystrzałów,
Płynie mową zdławioną
Ponad lasem i polem,
Ponad Polską skrwawioną,
Poprzez polską niewolę.

Zimno, zimno dokoła,
Słychać głodny płacz dziecka.
U sąsiada wesoło,
Czwarta gwiazdka niemiecka.
Tu zliniała choinka,
Połamane jasełka,
Nie płacz, nie płacz, dziecinko.
Popatrz — matka twa nie łka.
Słuchaj, słuchaj piosenki,
Twoja gwiazdka w piosence:
„Lulaj, lulaj, maleńki,
W ubożuchnej stajence"....

Coraz mocniej brzmią słowa,
Pieśń się niesie chóralna,
Brzmi jak rota bojowa,
Brzmi, jak pieśń nielegalna.
Hej, kolęda, kolęda,
Pierwsza gwiazdka migoce
I z pod ziemi legenda
Wstaje — idzie w pomroce....

L. Pasternak

Szybko krocząc ku STULECIU, istniejąca 99 lat, najstarsza polska i największa katolicka organizacja bratniej pomocy w Ameryce, nosząca miano "Matki Polskich Organizacji w Stanach Zjednoczonych"



ZJEDNOCZENIE POLSKIE Rzymsko-Katolickie w Ameryce

którego Towarzystwa istnieją i rozwijają się prawie w każdej parafii polskiej w Stanach Zjednoczonych, zaprasza w swoje szeregi wszystkich Polaków-Katolików i Katolików spokrewnionych lub powiązanych przez małżeństwo z Polakami!

ZJEDNOCZENIE POLSKIE RZYMSKO - KATOLICKIE

chlubi się wspaniałą tradycją pracy dla Wiary Świętej i polskości, przede wszystkim przez współudziałał w organizowaniu nowych parafii polskich. Historyk Polonii, Mieczysław Haiman stwierdził, że z górą 400 parafii polskich w Stanach Zjednoczonych powstało z inicjatywy i z pomocą Towarzystw Zjednoczenia P.R.K.

Wielki był udział Zjednoczenia P.R.K. w dziele oswobodzenia Polski z niewoli i w niesieniu pomocy polskim ofiarom dwóch wojen światowych.

Znana jest wieloletnia stała pomoc finansowa Seminarium Polskiemu w Orchard Lake, Michigan, skąd wychodzą zastępy polskich kapłanów, przywódców duchowych Polonii Amerykańskiej.

A przez wydatną pomoc naukową, w formie stypendiów dla zdolnej młodzieży polskiej, Zjednoczenie P.R.K. przyczyniło się do wykształcenia wielu wybitnych obywateli, zajmujących wysokie stanowiska w różnych dziedzinach życia amerykańskiego.

Zjednoczenie Polskie Rzymsko-Katolickie w Ameryce daje najlepsze warunki ubezpieczeniowe dla dziatwy, dorastającej młodzieży i osób dorosłych i zwalnia od płacenia asesmentu osoby starsze.

DO ZJEDNOCZENIA NALEŻEĆ—TO ZASZCZYT!

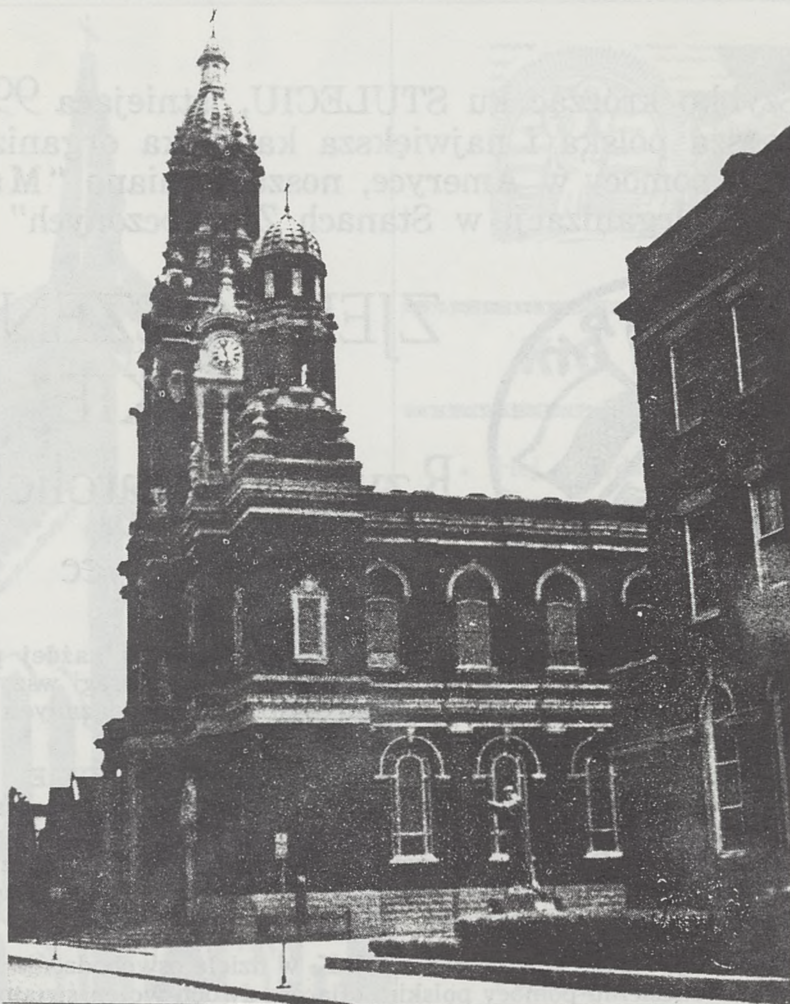
Po informacje należy pisać

POLISH ROMAN CATHOLIC UNION OF AMERICA

984 Milwaukee Avenue,

Chicago, Illinois. 60622.

Telefon: (Area Code 312) 278 - 3210



Kościół Św. Jacka

PARAFIA
ŚWIĘTEGO JACKA
ZAŁOŻONA w ROKU 1894

która 4 października 1969, obchodziła Diamentowy Jubileusz
78 LAT W SŁUŻBIE KATOLICKIEJ POLONII

3636 W. WOLFRAM CHICAGO, ILL. 60618

Ks. Franciszek Grzechowiak, C.R., Proboszcz
Ks. Ludwik Gracz, C.R., Przełożony Domu

WIKARIUSZE:

Ks. Stanisław A. Gadacz, C.R., Ks. Józef Prusiński, C.R.
Ks. Hieronim Klingsporn, C.R., Ks. Franciszek Lapinski, C.R.
Ks. Kazimierz Polinski, C.R., Ks. Marian Gienko, C.R.

REZYDENCI:

Ks. Józef Szczepanik, C.R. (Kościół Misyjny Świętej Jadwigi)
Ks. Józef Samborski, C.R., Kapelan Domu Św. Józefa



JOHN A. SIEROCIŃSKI

Serdeczne

ŻYCZENIA

Na Rok 1972



E. JOHN SIEROCIŃSKI

— przesyłają —

Powodzenia i Sukcesu dla Z.N.P.
z Okazji 90-cio Lecia Istnienia

Z. N. P.



SECOND FEDERAL SAVINGS

AND LOAN ASSOCIATION

26th STREET i PULASKI ROAD

CHICAGO, ILLINOIS 60623

JOHN A. SIEROCIŃSKI
Przewodniczący Dyrekcji

E. JOHN SIEROCIŃSKI
Prezes
i Wiceprzewodniczący

SERDECZNE ŻYCZENIA
Pomyślnego Rozwoju w Roku 1972
Całej Polonii i Jej Organizacjom Składa

R.C.

COILSPRING

MANUFACTURING Co., Inc.

CHESTER SAWKO, prezes • MITCHELL SAWKO, wiceprezes • Adw. VICTOR SAWKO, sekr. i radca prawny

1772 W. Armitage Court i 901 S. Kay Ave.
ADDISON, ILL. 60101
Telefon 629-9550

Alliance Savings

ZAUFANIE:

NASZ NIEWIDOCZNY KAPITAŁ

Alliance Savings, była to jedna z wielu nowych nazw w dziedzinie obsługi oszczędnościowej, w roku 1915. Oczywiście, posiadaliśmy znajomość tej dziedziny i dobre intencje, ale niewiele więcej. Wzrośliśmy głównie z tego powodu, że ludzie wierzą nieustępliwie w fachowość, uczciwość, prawość i pewność. Nie zawiedliśmy naszych klientów i dawno już staliśmy się znani jako "Najbardziej Godni Zaufania Nazwą Dla Waszych Pieniędzy."

Dzisiaj jesteśmy dumni z tego, że w tym aspekcie czas nic nie zmienił w Alliance.

Alliance Savings

5359 West Fullerton Avenue (at Long)
Chicago, Illinois 60639 Phone 237-5300



The most trusted name for your money



PACZKI I TOWARY PEKAO

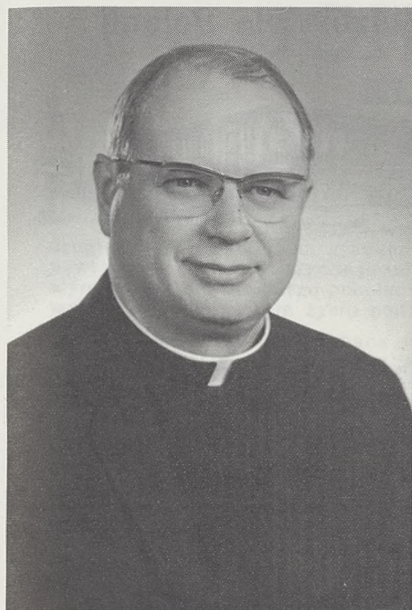
Najmilszym Upominkiem Dla Waszych Krewnych w Polsce

ZAMÓWIENIA PROSIMY KIEROWAĆ DO MIEJSCOWYCH DEALERÓW

lub wprost do

PEKAO Trading Corporation

225 Park Avenue South New York, N. Y. 10003



PARAFIA

ŚWIĘTEJ TRÓJCY

ZAŁOŻONA w ROKU 1873

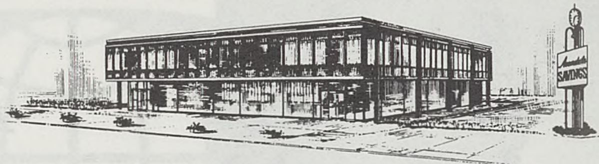
KS. KAZIMIERZ
CZAPLICKI, C.S.C.
Proboszcz

99 LAT W SŁUŻBIE KATOLICKIEJ POLONII
1118 NORTH NOBLE ULICA
CHICAGO, ILL. 60622

Proboszcz: KS. KAZIMIERZ CZAPLICKI, C.S.C.
Asystenci: KS. J. CIECKA, C.S.C.
KS. LEON WOJCIECHOWSKI, C.S.C.
KS. JÓZEF ROGUSZ, C.S.C.
KS. LUDWIK FURGAL, C.S.C.

61 Lat Uczciwej — Nieprzerwanej Służby Dla Polonii





AVONDALE SAVINGS AND LOAN ASSOCIATION

2965 Milwaukee Ave. Założone w Roku 1911 Tel. 772-3600

5% Na Kontach Na Książeczkę

6% Certyfikaty na $5,000
2 Lata Dojrzewania

PROCENTY SKŁADANE WYPŁACANE DZIENNIE OD DATY ZDEPONOWANIA DO DATY PODJĘCIA NA KONTACH OSZCZĘDNOŚCIOWYCH NA KSIĄŻECZKĘ

Specjalnością naszą, to pożyczki na domy — Morgecze. Także Pożyczki na ulepszenie, naprawę i modernizację domów. Nigdy nie żądamy przedpłaty na pożyczkach czynszowych u nas. Umiarkowane spłaty i procenty na pożyczkach.

Najwyższe
Dywidendy Płacimy
Od Waszych Wszystkich
Oszczędności

Oszczędności
Zaasekurowane do $20,000
Przez
Federal Savings & Loan
Insurance Corp.

ZARABIAJCIE NAJWYŻSZE DOZWOLONE RATY

5%
rocznie
RATA NA KSIĄŻECZKĘ
OSZCZĘDNOŚCIOWĄ

5¼%
rocznie
$1,000 Minimum
6 Miesięczne
CERTYFIKATY
DEPOZYTOWE

6%
rocznie
$5,000 Minimum
2 letnie
CERTYFIKATY
DEPOZYTOWE

Wypłacane Kwartalnie



JOSEPH E. KWIATT, PREZES

DAVID M. OPAS
SEKRETARZ
I ZARZĄDZAJĄCY URZĘDNIK

NOWA
SIEDZIBA
ZOSTANIE
UKOŃCZONA
Do CZERWCA
1972
6350 West 63rd St.
TELEFON 586-6900



LOOMIS SAVINGS
AND LOAN ASSOCIATION

1359 West 51st Street -:- Chicago 60609 -:- YArds 7-6700

JOHN C. MARCIN

KLERK MIASTA CHICAGO

oraz

DEMOKRATYCZNY KOMITYMAN 35-TEJ WARDY

I BYŁY PREZES POLSKO-AMERYKAŃSKIEJ ORGANIZACJI DEMOKRATYCZNEJ

Jan C. Marcin urodzony i wychowany na Jackowie, Weteran drugiej wojny światowej, graduant De Paul Uniwersytetu, znany powszechnie ze swego czynnego udziału w życiu Polonii, jest typowym przykładem młodego pokolenia, które swą pracą i rzetelnością wybija się w tutejszym życiu politycznym.

Na stanowisku komitymana wardy wyróżnia się swą znajomością jej potrzeb. Dobro mieszkańców jest jego głównym celem i zadaniem. Jego stałe zabiegi o polepszenie ulic, oczyszczenie parków i zaułków, dążenie do zapewnienia jak największych wygód i bezpieczeństwa mieszkańcom i ochrony ich własności, a przede wszystkim walką z gemblerką—są widoczne i przynoszą rezultaty.

Jest on chlubą 35-tej wardy. Szczyci się ze swojego polskiego pochodzenia. Doskonale włada językiem polskim. Mieszkańcy 35-tej wardy widzą w nim swego lidera.

W roku 1955, poraz drugi w 1959 roku, poraz trzeci 1963 roku na wiosnę poraz czwarty 1967 roku, a 1971 roku olbrzymię większością głosów znów poraz piąty został on wybrany na bardzo zaszczytne i odpowiednie stanowisko Klerka Miasta Chicago. Na wiosnę w 1958 roku, mając zaufanie u swych Kolegów Demokratów Polskiego Pochodzenia, został wybrany prezesem Polsko-Amerykańskiej Organizacji Demokratycznej i pełnił tę funkcję przez okres dwóch kadencji, a od kilku lat także krajowym przewod. Wydziału Polskiego All American Council w Partii Demokratycznej. All American Council zajmuje się grupami narodowościowymi w Partii. Jan Marcin znany jest dobrze ne tylko w kołach politycznych naszego miasta i powiatu, ale już w całym kraju.



JAN C. MARCIN
Klerk Miasta Chicago,
Komityman 35-tej Wardy
— i —
B. Prezes Polsko-Amerykańskiej Organizacji Demokratycznej

Jesteśmy w Chicago i Okolicy Na Wasze
Usługi Sposobem Catering

WANDA MOSKAL

MOSKAL CATERERS



Właścicielka Pięknej Gospody i Sali
Obsługuje Gości Przy Różnych Okazjach
Sposobem CATERING Obsługujemy
Wesela, Bankiety i Wszelkiego Rodzaju
Przyjęcia Gdziekolwiek

5639 N. MILWAUKEE AVENUE
Telefon 792-2262



Po zamówienia telefonować 421-3424
Trunki Krajowe i Importowane oraz Sala
Pięknie Odnowiona na Posiedzenia,
Zabawy, Wesela, Bankiety i Inne Okazje.



SERVING THE COMMUNITY
FOR OVER 35 YEARS

Manufacturers Bank

The Manufacturers National Bank of Chicago



1200 N. ASHLAND AVE.
Phone: BR 8-4040

Member Federal Deposit
Insurance Corporation

ASSETS OVER $100 MILLON DOLLARS



WALTER J. WOLF

Dla Całej Polonii
Wiele Sukcesów
Powodzenia Dla
Waszych Wszelkich
Poczynań, Planów
i Zamiarów,
oraz
Osiągnięcia
Jak Największych
Sukcesów
z Waszej Pracy,
Zadowolenia i Dla
Spraw Polskich
i Amerykańskich

FURNITURE - APPLIANCES - CARPETING

DISTRICT
Furniture & Appliances

4501 South Pulaski Road
Chicago, Ill. 60632
DRUGI SKLEP:
14931 Greenwood Ave., Dalton, Ill.

WALTER J. WOLF
PRESIDENT

Telefon 254-4700

Store Hours
Mon. thru Friday
9-9:30
Saturday 9-6
Sunday 11-6

EARN CHICAGOLAND'S HIGHEST DIVIDENDS ON SAVINGS

FRANK T. SEDLACEK, *president*





"at the sign of the weather torch"

DIVIDENDS PAID QUARTERLY

OLYMPIC SAVINGS AND LOAN ASSOCIATION



6201 W. Cermak Rd., Berwyn • Ph.: BI 2-2424-ST 8-6201



CASEY FUNERAL HOME
LASKOWSKI

4540-50 W. Diversey Ave. **Tel. 777-6300**

Róg Kolmar Ave. **Z dostojeństwem bez dodatkowych kosztów.**



Be a good citizen

You help your community and yourself when you save regularly. PARK FREE next to our building.

CITIZEN SAVINGS

& LOAN ASSOCIATION • GEORGE C. BASTA, President

3917 W. 26th St., Chicago, Ill. 60623 • RO 2-1264


ekao







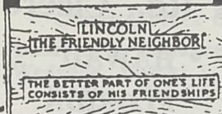
56 lat praktycznego doświadczenia w wysokiej klasy morgeczach, oznacza zabezpieczenie dla naszych oszczędzających.







OSZCZĘDNOŚCI
SKŁADANE
U NAS
ZARABIAJĄ
NAJWYŻSZE
DYWIDENDY





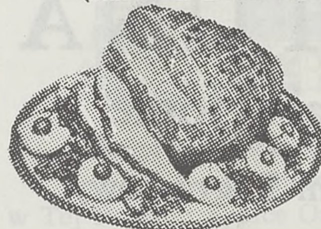
Złożone 1916 **Lincoln Federal** Frank J. Kinst Prezes

SAVINGS AND LOAN ASSOCIATION OF BERWYN
Lincoln Circle - 6655 W. Cermak Road - Berwyn, Ill.
Telefon: PI 9-1900 - BI 2-2017

URBAN'S FOOD MART

1110 N. DAMEN AVE.

(Narożnik Thomas i Damen Aves.)



NAJLEPSZE
ŻYCZENIA
Zw. Nar. Polskiemu
i Całej Polonii
składają

Państwo Mitchell Urban, Właściciele

Na Letnie Pikniki i Przyjęcia oraz na Wasz Codzinny Stół
Polecamy wielki wybór wędlin, a zwłaszcza znakomite własnego wyrobu
POLSKIE KIEŁBASY
oraz szynki wszelkiego rodzaju, przyrządzone na sposób polski i amerykański

AR 6-5760

BEST WISHES TO ALL OUR POLISH FRIENDS

FROM

NEWSPAPERS DRIVERS

LOCAL 706

INTERNATIONAL BROTHERHOOD OF TEAMSTERS OF CHICAGO

TONY JUDGE, President — GEORGE M. FLANNERY, Secretary-Treasurer

300 S. Ashland Ave. Tel. 738-1190

POLSKA PIEKARNIA
61 LAT DOŚWIADCZENIA
W WIERNEJ SŁUŻBIE POLONII —

BODUCH

SANITARY BAKERY

1461 W. CHICAGO AVE.

Tel. MOnroe 6-5486

Codzień Świeży Chleb—Żytni i Razowy

Wielki wybór polskich ciast, babek, bułeczek, ciastek z kremem i innych wyrobów cukierniczych i piekarskich.

SPRZEDAŻ HURTOWA i DETALICZNA
CATERING — NA PRZYJĘCIA
DOSTARCZAMY GORĄCE i ZIMNE
PRZEKĄSKI oraz "PETIT FOURS"
CIASTECZKA NA MIEJSCE.

SERDECZNE ŻYCZENIA DLA NOWEGO ZARZĄDU ZNP

W Dalszych Latach Waszej Pracy Dla Największej Polskiej Organizacji Dalszego Rozwoju Wiele Sukcesów we Wszelkich Poczynaniach

— przesyła —



Dr. EDWARD J. KRÓL

WEST LAWN MEDICAL BLDG.

4255 W. 63rd Street Telefon: RE 5-4834

Szczęśliwego NOWEGO ROKU *1972* Dla Nowego Zarządu ZNP Dla Wszystkich Członków oraz całej Administracji Związku Narodowego Polskiego— oby Wasze wszelkie poczynania dla Sprawy Polski i Polonii były owiane duchem zgody i współpracy! Życzy nowych osiągnięć oraz sukcesów całej Polonii

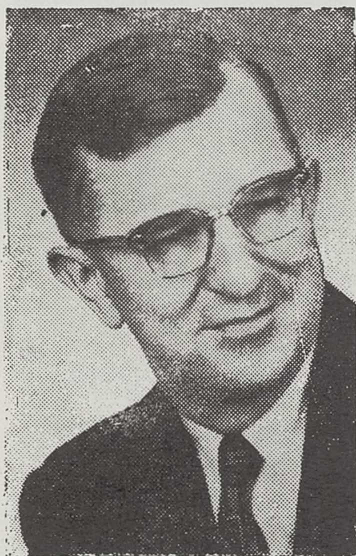


KAZIMIERZ R. WACHOWSKI

Dyrektor Izby Adwokackiej Stanu Illinois

111 W. WASHINGTON STREET

Telefon FRanklin 2-5107



Poza regularnymi studiami lekarskimi, po kilku latach praktyki specjalizacji jako chirurg, obecnie urzęduje w swym jedynym biurze nowocześnie urządzonym. Zawsze jest dla usług wszystkich.

DR. TADEUSZ A. POREMSKI

5645 Milwaukee Ave.

Telefon SPring 4-6822

Członek Tow Bartosza Głowackiego Grupa 899 ZNP

SERDECZNE ŻYCZENIA DLA NOWEGO ZARZĄDU ZNP

oraz Wiele Pomyślnego Sukcesu w Waszych Poczynaniach w Latach Waszej Pracy



Dr. B. J. TATAROWICZ

On zawsze popiera wszystko co polskie i co jest z polskością związane.



Serdeczne życzenia dalszej owocnej, pożytecznej i tak szlachetnej pracy w następnych latach dla dobra Waszej organizacji, dla członków i całej Polonii amerykańskiej
Zasyłają

Dr. Kazimiera J. Sajewska

oraz

Dr. Konrad Mazeski

BIURA OPTOMETRYCZNE

NORTHWEST SUBURBAN OFFICE

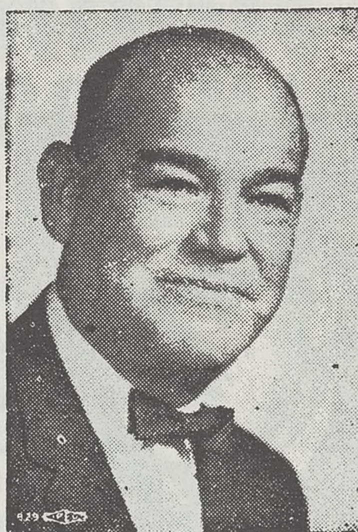
201 West Prospect Avenue

MOUNT PROSPECT, ILLINOIS

Telefon 392-4900

Dokładna Egzaminacja Oczu Przed Dobraniem Okularów
Długoletnie Doświadczenie.
Pierwszorzędne Przyrządy Do Badania Wzroku i Gruntowna Wiedza

SERDECZNE ŻYCZENIA DLA NOWEGO ZARZĄDU ZNP



TED J. ZAREMBA

SKARBNIK-SUPERWIZOR MIASTA CICERO, ILLINOIS

Zawsze oddany dla dobra Sprawy Polskiej i zawsze popiera wszystko co polskie.



FINE ARTS STUDIO

1452 W. Chicago Av.

POLSKI ZAKŁAD FOTOGRAFICZNY

LUDWIK i HELENA SKIKIEWICZ

Właściciele Studia

Specjalnością Naszą Są Fotografie Ślubne, Pojedyńcze i Grupowe

Zdjęcia Dzieci do Komunii Świętej i Podczas Graduacji. Ukończenia Szkoły. Każde Nasze Zdjęcie Jest Piękne i Czarujące

Po umówienie telefonujcie:

HAymarket 1-0610

SERDECZNE ŻYCZENIA

Dla Polonii i Polsko - Amerykańskich Członków Naszej Organizacji

——— składa ———

UNITED STEELWORKERS of AMERICA

AFL-CIO-CLC

I. W. ABEL, Prezes

JOSEPH P. MOLONY, Wiceprezes

WALTER J. BURKE, Sekretarz-Skarbnik

SERDECZNE ŻYCZENIA
CAŁEJ POLONII NA ROK 1972
— składają —



Adwokat EDWARD J.

KOMOSA

Prezes Tow. Dzielni Polacy, Gr. 1464 ZNP
oraz Wiceprezes Gminy 148 ZNP

z Żoną MARYLĄ
ROZMAREK-KOMOSA

SĘDZIA — MAGISTRATE
1-go DYSTRYKTU
2900 N. Milwaukee Ave., Chicago, Ill.
DIckens 2-0910

SERDECZNE ŻYCZENIA DLA
NOWEGO ZARZĄDU ZNP
— składa —



Franciszek

BOBRYTZKE

Przewodniczący Komitetu Wykonawczego

MANUFACTURERS NATIONAL BANK
or CHICAGO

- **Honorary Doctor of Human Letters of Alliance College**
Cambridge Springs, Pennsylvania

NAJLEPSZE ŻYCZENIA I POMYŚLNOŚCI
DLA ZWIĄZKU NARODOWEGO POLSKIEGO
ORAZ CAŁEJ POLONII POZDROWIENIA





William N.

ERICKSON

KOMISARZ POWIATOWY

Serdeczne Życzenia
dalszego
rozwoju dla
Związku
Narodowego
Polskiego
i całej Polonii
składa

★



EDWIN P.
FIFIELSKI

Alderman 45-ej Wardy



SERDECZNE ŻYCZENIA DLA NOWEGO ZARZĄDU ZNP

GUARANTY SAVINGS AND LOAN ASSOCIATION

3854-56 W. 26th Street Phone CR 7-5300

STANLEY DVORAK, Prezes

OSZCZĘDZAJ BEZPIECZNIE i Z ZAUFANIEM

PONAD 70 LAT POD GODNYM ZAUFANIA ZARZĄDEM

KIRSTEN FUNERAL HOME

POLSKI ZAKŁAD POGRZEBOWY

1006 N. WESTERN

(Blisko Augusta Blvd.)

ARmitage 6-3378—3379

SUKCESÓW W DALSZEJ PRACY DLA CAŁEJ POLONII składa



BUSY BEE Restaurant

Zofia Madej z mężem Henrykiem Właściciele

DOMOWA KUCHNIA, SMACZNE i ŚWIEŻE POTRAWY ORAZ GRZECZNA POLSKA OBSŁUGA

1546 N. Damen Avenue • Tel. EVerglade 4-8775



ŁEŚNIAK ROOFING CO.

FIRMA POKRYWANIA DACHÓW i ROBÓT BLACHARSKICH

Reperujemy i Kładziemy Nowe Dachy

Wykonujemy Wszelkie Roboty Blacharskie

Obliczenia Darmo — Ceny Niskie

Robota Gwarantowana

1802-06 West 18-ta Ulica Telefon CAnal 6-0569

Polski Sklep Wędlin, Mięsa i Wszelkich Towarów Spożywczych

SLEZAK MEAT MARKET

2101 W. CHICAGO AVE.

Tel. HUmboldt 6-7685

Szynki Wędzone — Mięsa Różnego Rodzaju

Wyborową i Niezrównaną w Smaku

Krajaną Domowej Roboty

Kiełbasę Polską, Doskonałe Kabanosy naszą specjalnością.

Boczki, oraz Wiele Doskonałych Wędlin

Oraz Wiele Innych z Najlepszego Mięsa Najprzedniejszych Wędlin Własnego Wyrobu Na Sposób Polski i Europejski. Także Importowane Szynki z Polski.

CENY PRZYSTĘPNE — WYBÓR WIELKI

SERDECZNE ŻYCZENIA POMYŚLNOŚCI Całej Polonii, Klientom i Przyjaciołom

—— składa ——

POLSKA FIRMA

NEW CITY AUTO COMMERCIAL WORKS

LUCIAN POMORSKI, Właściciel

5307 SOUTH ASHLAND AVENUE

Telefon: HE 4-7300



Polska Restauracja *F. & T.*

Tel. 252-1150

Sandwich Shop

Henryk F. Nowak i John Truty, Właściciele

SMACZNE i ZDROWE PRZEKĄSKI i DANIA LIKIERY i WÓDKI

1182 MILWAUKEE AVENUE

CHICAGO 22, ILLINOIS

SKORZYSTAJCIE Z NASZEJ NAJWYŻSZEJ BIEŻĄCEJ DYWIDENDY DAJE WAM ZYSK PLUS BEZPIECZNE ULOKOWANIE



MORTON PARK FEDERAL SAVINGS AND LOAN ASSOCIATION

W CENTRUM CICERO 25th STREET, NA ZACHÓD OD LARAMIE Bezpłatne Parkowanie·

5217-25 W. 25th St.

Założona w 1910-tym

Tel. OLympic 6-0100 lub BIshop 2-2924

ZASOBY PRZESZŁO 15 MILIONÓW

FRANK SOBOTKA, Sekretarz i Zarządca

KALENDARZ ZWIĄZKOWY
CZYTA KAŻDY ZWIĄZKOWIEC
TRZEBA KALENDARZ KUPIĆ SAMEMU
i INNYM GO POLECAĆ!

